



lauren oliver

[requiem]

Ostatni tom bestsellerowej trylogii [delirium]

Oliver Lauren

Delirium 03

Requiem

Rewolucja rozlewa się na cały kraj, oddziały rządowe śledzą i brutalnie tępią grupy Odmieńców. Jako członkini ruchu oporu Lena znajduje się w samym centrum konfliktu. Rozdarta między Alekssem i Julianem walczy o swoje życie i prawo do miłości. W tym samym czasie Hana prowadzi bezpieczne, pozbawione miłości życie u boku narzeczonego – nowego burmistrza Portland. Wkrótce drogi dziewczyn znów się zejdą, a ich spotkanie doprowadzi do bolesnej konfrontacji. Czy można wybaczyć zdradę? Czy mury wreszcie runą?



LENA

Znów zaczęło mi się śnić Portland. Od kiedy Alex pojawił się na nowo w moim życiu, zmartwychwstały, ale i zmieniony, przerażający jak potwór z baśni, którymi straszono nas w dzieciństwie, przeszłość znowu nie daje mi spokoju. Przedziera się na powierzchnię, gdy tylko na chwilę stracę czujność, i szarpie mnie brutalnie swoimi drapieżnymi palcami.

Ogromny ciężar w piersi, strzępy koszmarów dręczących nawet na jawie: właśnie przed tym ostrzegano mnie przez te wszystkie lata.

„Uprzedzałam cię”, słyszę w głowie głos ciotki Carol.

„Mówiliśmy ci”, przypomina Rachel.

„Powinnaś była zostać”, odzywa się Hana, sięgając poprzez czas, poprzez nieprzeniknione, gęste warstwy pamięci i wyciągając do mnie, która tonę, lekką jak piórko rękę.

Z Nowego Jorku na północ wyruszyło nas dwadzieścia kilka osób: Raven, Tack, Julian i ja, a także Dani, Gordo i Pike oraz jakieś piętnaście innych, które wolą siedzieć cicho i robić to, co im się mówi.

I Alex. Tyle że nie mój Alex, lecz obcy człowiek, który nigdy się nie śmieje - nawet nie uśmiecha - i rzadko się odzywa.

Pozostali mieszkańcy dawnego magazynu koło White Plains rozdzielili się i udali na południe albo na zachód. Tamten azyl bez wątpienia został już opuszczony i ogołocony. Po ocaleniu Juliana nikt już nie był tam bezpieczny. Julian Fineman jest symbolem, bardzo ważnym symbolem. Zombie będą go ścigać. Będą chcieli ten symbol zawiesić wysoko, pokazać wszystkim, nadać mu krwawy sens, tak by był przestrożą dla innych.

Musimy więc zachować teraz wyjątkową ostrożność. Hunter, Bram, Lu i kilkoro innych dawnych mieszkańców starego azylu koło Rochester czeka na nas niedaleko Poughkeepsie, na południe od miasta. Pokonanie tej odległości zabrało nam prawie trzy dni, trzeba było bowiem ominąć kilka rządowych miast.

Aż wreszcie, nieoczekiwanie, jesteśmy na miejscu: las urywa się na skraju ogromnej betonowej powierzchni pokrytej gęstą siatką pęknięć, na której widać jeszcze blade linie wyznaczające miejsca do parkowania. Wciąż stoją tam samochody, pokryte rdzą, ogołocone z wielu części: opon, kawałków metalu. Wyglądają niepozornie i dziwacznie jak zabawki porzucone przez dziecko.

Stary parking rozciąga się jak szare morze we wszystkich kierunkach i kończy dopiero przy ogromnej konstrukcji ze stali i szkła - dawnej galerii handlowej. Okrąży,

pochyły napis, upstrzony na biało ptasimi odchodami, głosi: EMPIRE STATE PLAZA.

Nasze spotkanie to eksplozja radości. Tack, Raven i ja ostatnie metry pokonujemy sprintem. Bram i Hunter także rzucają się do biegu i padamy sobie w ramiona w połowie parkingu. Wskakuję na Huntera, śmiejąc się, a on obejmuje mnie i podnosi do góry. Wszyscy zaczynają krzyczeć i mówić jednocześnie.

Wreszcie Hunter stawia mnie z powrotem na ziemię, ale ja wciąż mocno obejmuję go jednym ramieniem, jak gdybym bała się, że może zniknąć. Wyciągam drugą rękę, by opasać nią Bramę witającego się z Tackiem uściskiem dłoni, i tak oto przytuleni do siebie, objęci, podskakujemy i krzyczymy skapani w olśniewającym blasku słońca.

— No proszę, proszę. — Odwracamy się i widzimy zmierzającą w naszą stronę Lu. Brwi ma uniesione, zapuściła włosy, które zaczesuje tak, że spływają jej na ramiona. — Kogo tu licho przywiało?

Pierwszy raz od kilku dni jestem naprawdę szczęśliwa.

Podczas tych krótkich miesięcy rozłąki zmienili się i Hunter, i Bram. Bram, wbrew wszystkiemu, przybrał na wadze. Hunterowi przybyło kilka nowych zmarszczek w kącikach oczu, chociaż uśmiech ma tak samo chłopięcy jak zawsze.

— A co z Sarą? — pytam. — Jest tu z wami?

— Sara została w Marylandzie — odpowiada Hunter. — W tamtejszej osadzie mieszka trzydzieści osób, nie będzie więc musiała migrować. Ruch oporu próbuje się skontaktować z jej siostrą.

— A co z Dziadkiem i innymi? — To pytanie z trudem przechodzi mi przez gardło, czuję przy tym ucisk w piersi, jak gdyby wciąż ktoś mnie mocno obejmował.

Bram i Hunter wymieniają krótkie spojrzenia.

- Dziadek nie wytrzymał drogi - wyjaśnia krótko Hunter. - Pochowaliśmy go niedaleko Baltimore.

Raven odwraca wzrok i spluwa na chodnik. Bram dodaje szybko:

- Za to z pozostałymi wszystko w porządku. - Wyciąga rękę i dotyka palcem mojej fałszywej blizny po zabiegu, tej, którą sam mi zrobił, gdy zostałam przyjęta do ruchu oporu. - Wygląda dobrze - mówi i puszcza do mnie oko.

Postanawiamy zostać tutaj na noc. Niedaleko galerii płynie czysta woda, a ruiny starych domów i biur dostarczyły nam paru użytecznych rzeczy: znaleźliśmy wśród gruzów kilka puszek jedzenia, zardzewiałe narzędzia, a Hunter nawet karabin leżący na podpórce z jelenich kopyt pod stosem oderwanego gipsu. Poza tym jedna z naszej grupy, Henley, niska, cicha kobieta z upiętymi w kok długimi siwymi włosami, ma gorączkę. To jej da możliwość zregenerowania sił.

Pod wieczór wybucha kłótnia. Grupa nie może dojść do porozumienia, co dalej.

- Możemy się rozdzielić - proponuje Raven. Siedzi przykucnięta przy wgłębieniu, gdzie przygotowała palenisko, i roznieca pierwsze, nieśmiałe płomienie zwęglonym końcem patyka.

- Im większą grupą maszerujemy, tym bezpieczniej - sprzeciwia się Tack. Po zdjęciu bluzy z polaru ma na sobie tylko podkoszulek, pod którym wyraźnie zarysowują się więzłaste bicepsy. Dni stopniowo stają się cieplejsze, a las budzi się do życia. Czuć nadchodzącą wiosnę i jej gorący oddech, jak gdyby była zwierzęciem poruszającym się delikatnie przez sen.

Ale teraz, gdy słońce chyli się ku zachodowi, Głuszę pochłaniają długie fioletowe cienie. Kiedy siedzimy bez ruchu, odczuwamy chłód, noce są bowiem ciągle zimne.

— Lena — odzywa się warkliwym głosem Raven. Otrząsam się z zamyślenia. Wpatrzona w ogień obserwowałam płomienie wijące się wokół stosu sosnowych igieł, gałązek i suchych liści. — Idź sprawdź, co z namiotami, okej? Wkrótce się ściemni.

Raven postanowiła rozpaścić ognisko w płytkim jarze, wyschniętym korycie dawnego strumienia, dzięki czemu jest ono osłonięte od wiatru. Wolą nie rozbijać obozu zbyt blisko galerii i jej złowrogich przestrzeni. Ciemny gmach majaczy teraz w oddali ponad linią drzew: czarne metalowe kształty i puste oczodoły okien przypominają statek kosmiczny przycupnięty na mieliźnie.

Jakieś dziesięć metrów powyżej, nad jarem, Julian pomaga rozbijać namioty. Jest zwrócony do mnie plecami. On także ma na sobie tylko podkoszulek. Wystarczyły trzy dni, aby się zmienił fizycznie. Ma splątane włosy, do których teraz tuż za lewym uchem przyczepił się liść. Wygląda na szczuplejszego, aczkolwiek nie miał jeszcze kiedy stracić na wadze. To po prostu efekt noszenia ubrań po innych, efekt życia w Głuszy, na świeżym powietrzu, w otoczeniu dzikiej natury, nieustannie przypominającej o kruchości naszego istnienia.

Przywiązuje linę do drzewa i mocno ją naciąga. Nasze namioty są stare, wielokrotnie rozrywały się i były łątane. Nie są w stanie ustać same. Trzeba je podpierać i rozciągać między drzewami, trzeba wlewać w nie życie, jak wiatr wlewa je w żagle.

Gordo stoi obok Juliana i przygląda się z aprobatą jego poczynaniom.

— Potrzebujecie pomocy? — Zatrzymuję się kilka kroków przed nimi.

Julian i Gordo odwracają się.

— Lena! — Twarz Juliana rozjaśnia się i zaraz potem gaśnie, gdy chłopak uświadamia sobie, że nie zamierzam podejść bliżej. Przywiodłam go tu z sobą, w to niesamowite, obce miejsce, a teraz nie mam mu nic do zaproponowania.

— Dzięki, nie trzeba — odpowiada Gordo, chłopak o płomiennorudych włosach, który, chociaż nie jest starszy od Tacka, ma brodę długą do połowy piersi. — Już kończymy.

Julian prostuje się i wyciera ręce o dzinsy. Po chwili wahania rusza w moją stronę, zakładając włosy za ucho.

— Jest zimno — odzywa się, stając kilka kroków ode mnie. — Powinnaś zejść na dół do ogniska.

— Nic mi nie jest — odpowiadam, ale chowam dłonie w rękawy. Zimno jest w środku mnie. Siedzenie przy ognisku w niczym mi nie pomoże. — Namioty całkiem nieźle stoją.

— Dzięki. Chyba trochę się już nauczyłem. — Jego usta się uśmiechają, ale oczy już nie.

Trzy dni. Trzy dni na przemian sztucznych rozmów i milczenia. Wiem, że zastanawia się, co się zmieniło i czy można to jakoś odwrócić. Wiem, że go ranię. Są pytania, których próbuje nie zadawać, i sprawy, o których usilnie stara się nie mówić.

Daje mi czas. Jest cierpliwy i delikatny.

— Ładnie wyglądasz w tym świetle — mówi.

— Chyba masz problemy ze wzrokiem. — Miało to zabrzmieć jak żart, ale w tym rozrzedzonym, zimnym powietrzu mój głos brzmi dziwnie szorstko.

Julian kręci głową, marszczy brwi i odwraca wzrok. Liść, jaskrawożółty, wciąż tkwi w jego włosach, za uchem. W tej chwili z całego serca pragnę wyciągnąć po niego rękę, przejechać palcami po włosach Juliana i śmiać się z tego razem

z nim. To właśnie Głusza. Wyobrażałeś sobie coś takiego? — powiedzieć. A on splótłby swoje palce z moimi, ścisnął je i rzekł: „co ja bym bez ciebie zrobił?”.

Tyle że nie jestem w stanie wykonać żadnego ruchu.

— Masz liść za uchem.

— Co? — pyta Julian zaskoczony, jak gdybym wyrwała go ze snu.

— Liść. W twoich włosach.

Julian przebiega po nich niecierpliwie ręką.

— Lena, ja... Bang!

Oboje podskakujemy, słysząc huk wystrzału. Ptaki siedzące na drzewach podrywają się do lotu, na chwilę zasłaniając niebo czarną chmurą, by po chwili rozproszyć się w pojedyncze kształty. Dobiega nas czyjś głos:

— Cholera.

Spomiędzy drzew okalających obozowisko wyłaniają się Dani i Alex. Oboje niosą strzelby przewieszane przez ramię. Gordo prostuje się.

— Jeleń? — pyta. Prawie całe światło dnia już odpłynęło. Włosy Aleksa wyglądają niemal na czarne.

— Za duże na jelenia - stwierdza Dani. To potężna kobieta, z szerokimi barkami, płaskim czołem i migdałowymi oczami. Przypomina mi Miyako, która zmarła ostatniej zimy, zanim wyruszyliśmy na południe. Pogrzebaliśmy ją w mroźny dzień, tuż przed pierwszym śniegiem.

— Niedźwiedź? — dopytuje Gordo.

— Możliwe — odpowiada krótko Dani. Jest bardziej szorstka, niż była Miyako. Pozwoliła, by Głusza ją zahartowała, uczyniła twardą.

— Trafiłeś? — pytam z przesadnym entuzjazmem, chociaż i tak znam odpowiedź. Chcę tylko, by Alex na mnie spojrział, aby się do mnie odezwał.

— Mógł go najwyżej drasnąć — odpowiada Dani. — Trudno stwierdzić. W każdym razie za mało, żeby zwierzę padło.

Alex nic nie mówi, nawet na mnie nie spogląda. Mija nas, przechodząc na tyle blisko, że mam wrażenie, iż czuję jego zapach — dawny zapach trawy i wysuszonego przez słońce drewna, zapach Portland, który sprawia, że chce mi się krzyczeć i ukryć twarz w jego piersi, i nim oddychać.

Potem Alex kieruje się w głąb jaru, skąd dobiega nas właśnie głos Raven:

— Podano kolację! Jak teraz nie zjecie, to pożałujecie!

— Chodź. — Julian muska mój łokieć koniuszkami palców. Delikatnie, cierpliwie.

Moje stopy odwracają się i same kierują mnie w dół, w stronę ogniska gorejącego teraz silnym płomieniem. W stronę chłopaka, który staje się cieniem stojącym obok ognia, rozmazanym przez dym. Tym właśnie jest teraz Alex: cieniem, złudzeniem.

Przez te trzy dni nie odezwał się do mnie ani razu i ani razu na mnie nie spojrział.

HANA

Chcecie poznać mój mroczny, głęboko skrywany sekret? W szkółce niedzielnej oszukiwałam na sprawdzianach.

Nie byłam w stanie przebrnąć przez *Księgę SZZ* nawet jako dziecko. Jedyne jej rozdział, który w ogóle mnie zainteresował, to *Podania i legendy*, zbiór ludowych opowieści o tym, jak wyglądał świat przed remedium. Moja ulubiona, *Historia o Salomonie*, brzmi następująco:

Dawno, dawno temu, w czasach choroby, przed obliczem króla Salomona stały się dwie kobiety, przynosząc z sobą niemowlę. Każda z nich zapewniała, że dziecko należy do niej, i każda zaciekle broniła swojej sprawy, twierdząc, że umarłaby z żalu, jeśli oddano by je tej drugiej.

Król Salomon wysłuchał argumentów obu kobiet, po czym ogłosił, że zna rozwiązanie, które zadowoli wszystkich, i wygłosił następujący wyrok:

— *Przetniemy dziecko na pół. Dzięki temu każda z was otrzyma jego część.*

Obie kobiety uznały że tak będzie słusznie, przyprowadzono więc kata i ten toporem rozrąbał dziecko na pół.

Dziecko nie zapłakało, nawet nie zakwiliło, a kobiety przyglądały się temu spokojnie. Na posadzce pałacu pozostała zaś plama krwi, której nikt przez następne tysiąc lat nie był w stanie zmyć ani wywabić żadną istniejącą na ziemi substancją...

Musiałam mieć jakieś osiem czy dziewięć lat, gdy przeczytałam ten fragment po raz pierwszy, i naprawdę mnie poruszył. Przez wiele dni nie mogłam wygnać z głowy obrazu biednego dziecka. Ciągle wyobrażałam sobie, jak leży na posadzce rozcięte na pół niczym okaz motyla przypięty za szybą.

Najwspanialsze w tej historii jest to, że jest prawdziwa. Mam na myśli to, że jeśli nawet nie zdarzyła się naprawdę — a wciąż toczą się dyskusje, czy *Podania i legendy* są wierne faktom — to ukazuje świat takim, jakim on rzeczywiście jest. Pamiętam, że czułam się jak to dziecko: rozdarta wewnątrz, rozszczepiona na pół, zawieszona między obowiązkiem a pragnieniem.

Taki właśnie jest świat choroby.

Taki właśnie był dla mnie, zanim zaaplikowano mi re-medium.

Za dwadzieścia jeden dni wyjdę za mąż.

Mama wygląda, jakby miała się rozplakać, i w sumie nie miałabym nic przeciwko temu. W całym swoim życiu widziałam ją płaczącą tylko dwa razy: raz, kiedy złamała

nogę w kostce, i drugi raz w zeszłym roku, kiedy po zamieszkach, które przetoczyły się przez nasze miasto, okazało się, że protestujący przedarli się przez ogrodzenie, zniszczyli nasz trawnik i rozebrali jej śliczny samochód na kawałki.

Jednak moje nadzieje okazują się płonne, bo ostatecznie mama mówi tylko:

— Wyglądasz uroczo, Hana. -1 dodaje: - Jest trochę za szeroka w pasie.

Pani Killegan — „mówicie do mnie Anne”, oznajmiła przymilnie za pierwszym razem, kiedy przyszliśmy do przymiarki — krąży wokół mnie w milczeniu, ciągle coś przypina i poprawia. Jest wysoką kobietą o płowych blond włosach i skwaszonym wyrazie twarzy, jak gdyby przez wszystkie te lata nieraz zdarzyło się jej połknąć szpilki albo igły.

— Jesteś pewna, że chcesz mieć suknię z półrękawkami?
— pyta.

— Tak, jestem pewna - odpowiadam w tym samym momencie, kiedy mama mówi:

— Myśli pani, że wygląda w nich za młodo?

Pani Killegan - to znaczy Anne - gestykuluje ekspresyjnie długą, kościstą ręką.

— Całe miasto będzie oglądać ceremonię — mówi.

— Cały kraj - poprawia ją mama.

— Podobają mi się te rękawy — oznajmiam i niemal dodaję: to w końcu mój ślub. Ale to już nie jest prawdą, nie po styczniowych Incydentach i śmierci burmistrza Hargrove'a. Teraz mój ślub należy do społeczeństwa. To właśnie słyszę zewsząd od kilku tygodni. Wczoraj odebraliśmy telefon z Krajowej Agencji Prasowej z pytaniem, czy będą mogli

odkupić od nas materiał filmowy albo przysłać własną ekipę do nakręcenia ceremonii.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek nasz kraj potrzebuje symboli.

Stoimy naprzeciwko trójdzielnego lustra; zmarszczone brwi mojej mamy odbijają się pod trzema różnymi kątami.

— Pani Killegan ma rację — mówi, dotykając mojego łokcia. — Może spróbujemy z rękawem trzy czwarte, co ty na to?

Wiem, że lepiej się nie kłócić. Trzy odbicia kiwają głową jednocześnie, trzy identyczne dziewczyny z identycznymi warkoczami w trzech identycznych, białych, sięgających do ziemi sukienkach. Już teraz ledwo siebie poznają. Suknia i jasne światła w przymierzalni zupełnie mnie przeobraziły.

Przez całe życie byłam Haną Täte. Ale dziewczyna w lustrze to już nie ona. To Hana Hargrove, przyszła żona przyszłego burmistrza i symbol wszystkiego, co jest słuszne w wyleczonym świecie.

Wzór dla każdego.

— Sprawdź, co mam na zapleczu — mówi pani Killegan. — Znajdę ci coś w innym stylu, tak dla porównania. — Sunie po wydeptanym szarym dywanie i znika w magazynie. Przez otwarte drzwi widzę dziesiątki sukienek w plastikowych foliach zwisające bezwładnie z wieszaków.

Mama wzdycha. Siedzimy tu już od dwóch godzin, a ja zaczynam się czuć jak strach na wróble: wypchany, poznaczony szwami i najeżony szpilkami. Mama siada na wypłóviałym stołeczku obok luster i trzyma swoją torebkę sztywno na kolanach, tak żeby nie dotknęła dywanu.

Lokal pani Killegan był od zawsze najpopularniejszym salonem sukni ślubnych w Portland, ale i jego nie ominęły długofalowe skutki Incydentów, a dokładnie działań

w dziedzinie bezpieczeństwa, jakie w następstwie zamieszek podjął rząd. Właściwie każdy ma mniej pieniędzy, i to widać. Jedna z wiszących u sufitu żarówek nie działa, a sklep śmierdzi stęchlizną, jak gdyby od dawna nie był porządnie sprzątnięty. Tapeta w pewnym miejscu wybrzusza się od wilgoci, a wcześniej zauważyłam wielką brązową plamę na jednej z pasiastych sof. Pani Killegan spostrzegłszy, że gapię się w tamtą stronę, rzuciła na nią chustę, by ukryć skazę.

- Naprawdę wyglądasz cudownie, Hana - mówi mama.

- Dziękuję - odpowiadam. Może zabrzmiało to zarozumiale, ale wiem, że rzeczywiście tak jest.

To także zmieniło się po zabiegu. Zanim zostałam wyleczona, mimo że ludzie od zawsze mówili mi, iż jestem ładna, wcale się tak nie czułam. Po remedium zaś mur wewnątrz mnie runął. Teraz widzę, że nie ma co zaprzeczać: jestem po prostu piękna.

Ale to nie ma już dla mnie znaczenia.

- Oto one. - Pani Killegan wyłania się z zaplecza z pękiem przewieszonych przez ramię, owiniętych w plastik sukien. Mimowolnie z mojej piersi wyrywa się jęk. Pani Killegan kładzie mi rękę na ramieniu. - Nie martw się, kochaneńka - mówi. - Znajdziemy dla ciebie idealną suknię. W końcu po to tu jesteśmy, prawda?

Układam usta w uśmiech, a ładna dziewczyna w lustrze uśmiecha się razem ze mną.

- Oczywiście — odpowiadam.

Idealna suknia. Idealny mąż. Idealne, szczęśliwe życie. Doskonałość jest obietnicą, a zarazem potwierdzeniem, że nasza droga jest słuszna.

Lokal pani Killegan znajduje się w starym porcie. Gdy więc wychodzimy na ulicę, w nozdrza uderza mnie znajomy zapach suszonych wodorostów i zbutwiałego drewna. Dzień jest pogodny, ale wiatr od zatoki — zimny. Kilka łodzi podskakuje na wodzie, to głównie statki rybackie i handlowe. Z oddali upstrzone ptasimi odchodami drewniane pale cumownicze wyglądają jak trzcina wystająca z wody.

Na ulicy, nie licząc dwóch porządkowych i Tony'ego, naszego ochroniarza, jest pusto. Moi rodzice postanowili zatrudnić firmę ochroniarską zaraz po Incydentach, kiedy ojciec Freda Hargrove'a, nasz burmistrz, został zabity, i podjęto decyzję, że mam porzucić studia i jak najszybciej wyjść za mąż.

Teraz Tony chodzi za nami jak cień. Kiedy ma wolne, przysyła w zastępstwie swojego brata Ricka. Dopiero po miesiącu nauczyłam się ich rozróżniać. Obaj mają grube, masywne karki i błyszczące łysiny. Obaj są małomówni, a jeśli już się odzywają, i tak nie mają nic ciekawego do powiedzenia.

To właśnie był jeden z moich największych lęków związanych z remedium: że zabieg na swój sposób mnie wyłączy i upośledzi moją zdolność myślenia. Ale jest na odwrót. Moje myślenie się wyostrzyło. W jakiejś mierze nawet odczuwam świat wyraźniej. Dawniej odbierałam wszystko z pewnym rodzajem gorączkowości. Przepęłniały mnie panika, niepokój i sprzeczne pragnienia. Były noce, kiedy nie mogłam zasnąć, dni, kiedy miałam uczucie, że wnętrzości podchodzą mi do gardła.

Byłam zakażona. Teraz po infekcji nie został nawet ślad.

Tony stoi oparty o samochód. Zastanawiam się, czy stał w tej pozycji przez całe trzy godziny, które spędziłyśmy

z mamą u pani Killegan. Prostuje się na nasz widok i otwiera przed nami drzwi.

- Dziękuję, Tony - mówi mama. - Czy pod naszą nieobecność działo się coś niepokojącego?

- Nie, proszę pani.

- To dobrze. - Mama zajmuje tylne siedzenie, a ja wsiadam za nią. Mamy ten samochód od zaledwie dwóch miesięcy, zastąpił auto zniszczone przez wandalów, ale już kilka dni po jego zakupie mama po wyjściu ze sklepu ujrzała wydrapane na lakierze słowo ŚWINIA. Jeśli mam być szczerą, wydaje mi się, że prawdziwą motywacją mojej mamy do zatrudnienia Tony'ego było pragnienie zapewnienia ochrony nowemu autu.

Gdy Tony zamyka drzwi, świat po drugiej stronie przyciemnianych szyb zabarwia się na ciemnoniebiesko. Ochroniarz włącza radio na KSI, Krajowy Serwis Informacyjny. Głosy komentatorów brzmią znajomo i uspokajająco.

Opieram głowę o zagłówek i obserwuję, jak świat zaczyna się poruszać. Mieszkam w Portland od zawsze i niemal każda ulica oraz każdy zakątek wiążą się z jakimiś wspomnieniami. Ale i to wydaje się teraz odległe, bezpiecznie zanurzone w przeszłości. Dawno temu, tak dawno, że wydaje się to zupełnie innym życiem, lubiłam siadać z Leną na ławce nad morzem i wabić mewy okruszkami chleba. Rozmawiałyśmy o lataniu. Rozmawiałyśmy o ucieczce. Były to takie same dziecięce rojenia jak wiara w jednorożce i magię.

Nigdy nie sądziłam, że rzeczywiście byłaby w stanie zrobić coś takiego.

Czuję skurcz w żołądku. Uświadamiam sobie, że nie jadłam niczego od śniadania. Zatem to pewnie z głodu.

- Pracowity tydzień - odzywa się mama.
- Mhm.
- Pamiętasz, że jesteś umówiona z „Post” na wywiad dzisiaj po południu?
- Tak, pamiętam.
- Teraz musimy tylko znaleźć ci sukienkę na zaprzysiężenie Freda, i z głowy. Chyba że postanowiłaś jednak iść w tej żółtej, którą widziałyśmy w Lavie w zeszłym tygodniu?
- Jeszcze nie wiem - odpowiadam.
- Co to znaczy, że jeszcze nie wiesz? Zaprzysiężenie jest za pięć dni, Hana. Oczy wszystkich będą skierowane na ciebie.
- Zatem niech będzie ta żółta.
- Zastanawiam się jeszcze, co sama włożę.

Jedziemy właśnie przez West End, naszą starą dzielnicę. Od zawsze zamieszkiwali ją ważni dostojnicy kościoła i sławy świata medycznego: księża Kościoła Nowego Porządku, urzędnicy państwowi, lekarze i naukowcy. Nic dziwnego, że West End stał się celem tak agresywnych ataków podczas zamieszek, które wybuchły po Incydentach.

Zamieszki stłumiono szybko. Wciąż nie stwierdzono jednoznacznie, czy były one wyrazem autentycznych przemian zachodzących w społeczeństwie, czy tylko wynikiem źle ukierunkowanego gniewu i negatywnych, próbujących znaleźć ujście uczuć. W każdym razie wielu uznało, że West End jest położony zbyt blisko centrum, zbyt blisko niespokojnych dzielnic, siedliska sympatyków i buntowników. Wiele rodzin, w tym i nasza, postanowiło wyprowadzić się po tamtych zajściach z półwyspu.

— Pamiętaj też, że w poniedziałek mamy rozmawiać z firmą cateringową.

— Tak, wiem, wiem.

Skręcamy z Danforth na Vaughan Street, ulicę, przy której do niedawna mieszkaliśmy. Wychylam się nieco, by dojrzeć nasz stary dom, ale drzewa Andersonów zasłaniają widok niemal całkowicie, tak że przed oczami miga mi jedynie zielony dach.

Nasza posesja, podobnie jak stojący obok dom Andersonów oraz willa Richardsów z naprzeciwka, jest pusta i pewnie tak już pozostanie. Nigdzie nie widać napisu „NA SPRZEDAŻ”. Nikogo nie byłoby stać na kupno. Fred mówi, że zastój ekonomiczny potrwa jeszcze co najmniej kilka lat, zanim sytuacja w kraju zacznie się stabilizować. Teraz rząd musi się skupić na wzmocnieniu kontroli. Ludziom trzeba bowiem przypomnieć, gdzie ich miejsce.

Zastanawiam się, czy w moim pokoju zagnieździły się już myszy i zdążyły zabrudzić odchodami wypolerowane drewniane podłogi oraz czy pająki zaczęły już tkać w kątach swoje sieci. Wkrótce nasz dawny dom będzie wyglądał jak ten przy Brooks Street 37, smutny, zmęczony, zapadający się powoli na skutek zniszczeń dokonanych przez termity.

Oto przykład kolejnej zmiany, jaka we mnie zaszła: mogę już myśleć o Brooks Street 37, Lenie i Aleksie bez towarzyszącego mi przedtem bólu w piersi.

— I założę się, że nawet nie przejrzałaś listy gości. Zostawiłam ci ją w pokoju.

— Nie miałam kiedy — odpowiadam w zamyśleniu, nie odrywając wzroku od krajobrazu migającego za szybą.

Wjeżdżamy w Congress Street i pejzaż zmienia się w mgnieniu oka. Wkrótce mijamy jedną z dwóch stacji

benzynowych w naszym mieście, której pilnuje grupa porządkowych trzymających broń wycelowaną w stronę nieba, potem sklepy dyskontowe i pralnię samoobsługową z wyblakłą pomarańczową markizą oraz niezbyt zachęcające delikatesy.

Nagle mama wychyla się i kładzie rękę na siedzeniu Tony'ego.

— Daj głośniej — odzywa się.

Ochroniarz podkręca dźwięk na desce rozdzielczej. Głos w radiu słychać teraz wyraźniej.

— W następstwie ostatniego wybuchu epidemii w Waterbury, w stanie Connecticut...

— O Boże — wzdycha mama. — Tylko nie znowu.

— ... wszystkim mieszkańcom, a zwłaszcza tym z południowo-wschodniej części miasta, zaleca się przeniesienie do lokali zastępczych w pobliskim Bethlehem. Bill Ardury, dowódca sił specjalnych, uspokaja poruszonych mieszkańców. „Sytuacja jest pod kontrolą — powiedział podczas swojego siedmiominutowego przemówienia. — Rządowe i miejskie siły wojskowe robią wszystko, by powstrzymać chorobę oraz jak najszybciej zabezpieczyć i oczyścić cały teren. Nie ma absolutnie żadnego powodu, by obawiać się kolejnych przypadków zarażenia...”

— Wystarczy — stwierdza mama i opiera się o siedzenie. — Nie mogę tego dłużej słuchać.

Tony zaczyna szukać innej stacji. Na większości słychać tylko szum. W zeszłym miesiącu wybuchła wielka afera, gdy rząd odkrył kilka częstotliwości radiowych zajętych przez Odmieńców. Udało się przechwycić i rozszyfrować parę niezwykle ważnych informacji, co doprowadziło do triumfalnego nalotu na siedzibę ruchu oporu w Chicago

i aresztowania kilku ważnych spośród nich postaci. Jedna z nich była odpowiedzialna za podłożenie bomby w Waszyngtonie ubiegłej jesieni, której wybuch zabił dwadzieścia siedem osób, w tym matkę i dziecko.

Cieszyłam się, gdy tamci Odmieńcy zostali straceni. Niektórzy twierdzili, że zastrzyk jest zbyt humanitarną śmiercią dla takich terrorystów, ale myślę, że za tą decyzją krył się bardzo ważny przekaz: to nie my jesteśmy źli. My kierujemy się rozsądkiem i współczuciem. Stajemy po stronie sprawiedliwości, struktury i organizacji.

To oni, niewyleczeni, wprowadzają chaos.

- To naprawdę jakiś koszmar - mówi mama. - Jeśli zaczęlibyśmy ich bombardować, gdy pojawiły się pierwsze... Tony, uważaj!

Tony naciska ostro na hamulec. Rozlega się pisk opon. Zarzuca mnie do przodu, tak że ledwo unikam uderzenia czołem o przednie siedzenie, zanim czuję szarpnięcie pasów. Słysząc ciężki, głuchy odgłos. W powietrzu czuć swąd spalonej gumy.

- Cholera - odzywa się mama. - Cholera. Co to było, na Boga...?

- Przepraszam panią, nie zauważyłem jej. Wyskoczyła zza tych kontenerów...

Przed samochodem stoi młoda dziewczyna. Jej ręce spoczywają na masce samochodu, włosy opadają na chudą, wąską twarz, a oczy ma wielkie i przerażone. Wygląda jakoś znajomo.

Tony opuszcza szybę. Do środka wpada smród gnijących resztek bijący z kontenerów na śmieci, których stoi tu w rzędzie kilka, jeden koło drugiego. Mama zaczyna kaszleć i zakrywa ręką nos.

— Nic ci nie jest? — krzyczy Tony, wychylając głowę na zewnątrz.

Dziewczyna nie odpowiada, tylko oddycha ciężko. Jej wzrok biegnie od Tony'ego do siedzącej na tylnym siedzeniu mamy, a potem do mnie. O Boże!

To Jenny. Kuzynka Leny. Nie widziałam jej od ostatniego lata. Bardzo schudła, wygląda też poważniej, ale to bez wątpienia ona. Poznaje jej rozszerzone nozdrza, dumny, ostry podbródek, i te oczy.

Ona też mnie rozpoznała. Widzę to. Zanim mam okazję cokolwiek powiedzieć, podrywa ręce z maski i rzuca się biegiem na drugą stronę ulicy. Ma ze sobą stary, poplamiony tuszem plecak — stary plecak Leny. Na jednej z kieszeni widnieją wypisane kolorowymi okrągłymi literami dwa imiona: Leny i moje. Narysowałyśmy je na jej plecaku w siódmej klasie, kiedy nudziłyśmy się na lekcji. Tego właśnie dnia wymyśliłyśmy nasze hasło, okrzyk, którym dodawałyśmy sobie nawzajem otuchy podczas zawodów w biegach przełajowych. Połączenie naszych imion. Halena.

— Na litość boską, wydawałoby się, że dziewczyna jest na tyle duża, by wiedzieć, że nie wbiega się pod rozpędzony samochód. Mało nie przyprawiła mnie o atak serca.

— Znam ją — odpowiadam bez zastanowienia. Nie potrafię wyrzucić z pamięci widoku wielkich, ciemnych oczu Jenny, jej białej, wychudzonej twarzy.

— Co to znaczy, że ją znasz? — pyta mama zaskoczona.

Zamykam oczy i staram się myśleć o czymś uspokajającym. Zatoka. Mewy krążące po błękitnym niebie. Wstęgi nieskazitelnej białej tkaniny. Ale zamiast tego widzę oczy Jenny, ostre krawędzie jej policzków i podbródka.

- Ma na imię Jenny - odpowiadam. - Jest kuzynką Leny...

- Uważaj na słowa - przerywa mi ostro mama. Uświadamiam sobie poniewczasie, że nie powinnam była nic mówić. Imię Leny jest traktowane w mojej rodzinie gorzej niż najgorsze przekleństwo.

Przez wiele lat mama była dumna z tego, że się przyjaźnię z Leną. Uznawała to za dowód swojego liberalizmu. „Nie osądzamy dziewczyny z powodu jej pochodzenia - mówiła znajomym, gdy poruszali ten temat. - Choroba me jest dziedziczna, to przesąd”.

Odebrała to niemal jak osobistą zniewagę, gdy Lena zaraziła się i uciekła przed zabiegiem - jak gdyby zrobiła to celowo, żeby mamę ośmieszyć.

„I pomyśleć, że przez te wszystkie lata wpuszczaliśmy ją do swojego domu - wzdychała czasami, ni z tego, m z owego, po ucieczce Leny. - Chociaż wiedzieliśmy, jakie było ryzyko. Wszyscy nas ostrzegali... No cóż, najwyraźniej trzeba było ich słuchać”.

- Wyglądała na wymizerowaną - mówię.

- Do domu, Tony. - Mama opiera głowę o siedzenie i zamyka oczy. Wiem, że to koniec rozmowy.

LENA

Budzę się w środku nocy z koszmaru, w którym pojawiła się Grace. Noga małej uwięzła między deskami podłogi naszej dawnej sypialni w domu ciotki Carol. Z dołu dobiegały krzyki: „pożar! pożar!”. Pokój był pełen dymu. Próbowałam dostać się do Grace, żeby ją ratować, ale jej dłoń ciągle wyslizgiwała się z mojej. Oczy mnie piekły, dym dławił i wiedziałam, że jeśli natychmiast nie rzucę się do ucieczki, zginę. Ale mała płakała i wołała, żeby ją ratować, ratować...

Podnoszę się na swoim posłaniu. Powtarzam w głowie mantrę Raven — przeszłość jest martwa, nie istnieje — ale to nie pomaga. Nie potrafię się pozbyć wspomnienia dotyku drobnej dłoni Grace, mokrej od potu, wyslizgującej się z mojego uścisku.

W namiocie jest ciasno. Dani przyłgnęła do mnie jedną stroną ciała, a obok niej leżą zwinięte w kłębek trzy inne kobiety.

Julian ma osobny namiot. To taka drobna uprzejmość ze strony grupy. Dają mu czas na przystosowanie, tak jak dali i mnie, kiedy uciekłam do Głuszy. Potrzeba czasu, żeby przyzwyczać się do tej bliskości, do ciał, które nieustannie stykają się z twoim. W Głuszy nie ma prywatności, tak jak i nie ma w niej miejsca na intymność.

Mogłam spać z Julianem w jego namiocie. Wiem, że oczekiwał tego po tym, co wydarzyło się w podziemiach: nasze porwanie, pocałunek. Przecież sprowadziłam go tu. Uratowałam go i wepchnęłam w to nowe życie, życie wolne i pełne emocji. Nic nie może mnie powstrzymać przed spaniem z nim. Wyleczeni — zombie — powiedzieliby, że już jesteśmy zarażeni. Tarzamy się w naszym zepsuciu, jak świnie tarzają się w błocie.

Kto wie? Może mają rację. Może nasze uczucia doprowadzają nas do szaleństwa. Może miłość rzeczywiście jest chorobą i lepiej by nam było bez niej.

Ale wybraliśmy inną drogę. W końcu to jest właśnie celem ucieczki przed remedium: mamy wolność wybom.

Mamy nawet wolność wybierania źle.

Wiem, że nie usnę od razu. Muszę się przewietrzyć. Wygrzebuję się spod płataniny śpiworów oraz koców i szukam po omacku wyjścia z namiotu. Wyczołguję się na zewnątrz, starając się nie robić przy tym hałasu. Za moimi plecami Dani wierzga przez sen i mruczy coś niezrozumiałego.

Noc jest chłodna, a niebo jasne i bezchmurne. Księżyc wydaje się bliższy niż zazwyczaj, spowija wszystko srebrnym blaskiem, przez co świat sprawia wrażenie, jakby pokryty był cienką warstwą śniegu. Stoję tak przez chwilę, rozkoszując się ciszą i spokojem, widokiem namiotów

muśniętych światłem księżycyca oraz wiszących nisko gałęzi, na których nieśmiało pączkują liście, sporadycznym pohukiwaniem sowy gdzieś w oddali.

W jednym z namiotów śpi Julian.

A w innym Alex.

Mijam wszystkie namioty. Schodzę do jaru, przechodzę obok wygasłego ogniska, z którego nie zostało już nic oprócz poczerniałych kawałków drewna i kilku żarzących się węgielków. W powietrzu wciąż unosi się słaba woń przypalanej w garnku fasoli.

Nie mam pojęcia, dokąd właściwie idę, i wiem, że to głupie oddalać się od obozu — Raven ostrzegła mnie przed tym miliony razy. Nocą Głusza należy do zwierząt, a poza tym łatwo zgubić drogę wśród tej gęstwiny krzaków i drzew. Ale coś każe mi iść przed siebie, a noc jest tak jasna, że poruszam się w lesie bez trudu.

Zeskakuję do wyschniętego koryta strumienia pokrytego warstwą kamieni i liści, a gdzieniegdzie noszącego ślady dawnego życia, takie jak wgięta aluminiowa puszka, plastikowa reklamówka czy dziecięcy but. Kieruję się na południe, ale po kilkudziesięciu metrach dalszą drogę zagraadza mi ogromny przewrócony dąb. Jego pień jest tak szeroki, że nawet ułożony poziomo sięga mi prawie do piersi. Rozległa sieć korzeni wystrzela w górę niczym ciemna fontanna.

Słyszę szelest za plecami. Odwracam się gwałtownie. Widzę cień, który się przesuwa i materializuje, i przez chwilę zamieram z przerażenia — jestem bezbronna. Nie mam przy sobie niczego, czym mogłabym odeprzeć atak głodnego zwierzęcia. A wtedy cień wynurza się na otwartą przestrzeń i przybiera kształt chłopaka.

W świetle księżycy nie widać, że jego włosy mają ten sam kolor co jesienne liście: złotobrazowy i przetykany czerwienią.

- Ach - odzywa się Alex. - To ty. - To pierwsze słowa, jakie wypowiedział do mnie od czterech dni.

Są tysiące rzeczy, które chciałabym mu powiedzieć. Zrozum, proszę. Błagam, wybac mi. Modliłam się każdego dnia o to, abyś żył, aż nadzieja zaczęła sprawiać mi ból.

Postaraj się mnie nie nienawidzić.

Wciąż cię kocham.

Ale z moich ust wydobywa się tylko:

- Nie mogłam spać.

Alex pamięta pewnie, że ciągle gnębiły mnie koszmary. Dużo o tym rozmawialiśmy podczas naszego wspólnego lata w Portland. Poprzedniego lata - niecały rok temu. Trudno sobie wyobrazić dystans, jaki przebyłam od tamtego czasu, barierę, która uformowała się między nami.

- Ja też nie mogłem spać — odpowiada.

Samo to, to zwyczajne zdanie, i fakt, że w ogóle do mnie mówi, sprawia, że coś we mnie pęka. Chcę go przytulić, pocałować go tak jak dawniej.

- Myślałam, że nie żyjesz. Omal mnie to nie zabiło.

- Naprawdę? - mówi obojętnym głosem. - Jak widzę, szybko doszłaś do siebie.

- Nie. Nie rozumiesz. - Czuję ucisk w gardle, mam wrażenie, jakby ktoś mnie dusił. - Nie byłam w stanie żywić nadziei, a potem budzić się w rozpacz, że to nieprawda, że wciąż cię nie ma. Nie... nie miałam tyle siły.

Alex milczy przez chwilę. Jest za ciemno, bym mogła odczytać wyraz jego twarzy. Znowu stoi w cieniu, ale wiem, że się we mnie wpatruje.

Wreszcie odzywa się:

— Kiedy mnie zaciągnęli do Krypt, myślałem, że mnie zabiją. Ale nawet im się nie chciało. Po prostu wrzucili mnie do celi, zaryglowali drzwi i zostawili, bym zdechł.

— Alex. — Gula tkwiąca mi w gardle przemieściła się do piersi i sama nie wiem, kiedy zaczęłam płakać. Ruszam w jego stronę. Chcę przebiec rękami po jego włosach, ucałować jego czoło, powieki i usunąć wspomnienia tego, co przeszedł. Ale on się cofa, bym nie mogła go dosięgnąć.

— Nie umarłem. Sam nie wiem, jakim cudem. Powinienem był umrzeć. Straciłem mnóstwo krwi. Oni byli tak samo zaskoczeni jak ja. Potem stało się to rodzajem gry: zobaczyć, ile wytrzymam. Zobaczyć, co mogą mi zrobić, zanim...

Urywa. Nie mogę tego słuchać, nie chcę wiedzieć, nie chcę, żeby to była prawda, nie mogę znieść myśli, ile cierpienia mu zadali. Postępuję kolejny krok do przodu i w ciemności wyciągam rękę, by dotknąć jego piersi i ramion. Tym razem mnie nie odpycha. Ale też nie przytula. Stoi tylko, zimny i nieruchomy, jak głaz.

— Alex — powtarzam jego imię jak modlitwę, jak magiczną formułę, który sprawi, że znowu wszystko będzie dobrze. Wędruję ręką w górę jego piersi, do podbródka. — Tak mi przykro. Tak mi przykro...

Wtedy Alex cofa się gwałtownie, jednocześnie łapiąc mnie za nadgarstki i ściągając je w dół.

— Były dni, kiedy chciałem, żeby mnie zabili. — Wciąż trzyma mnie mocno, uniemożliwiając ruch. Jego głos, choć cichy, aż kipi od emocji i jest tak przepelniony gniewem, że boli mnie bardziej nawet niż jego uścisk. — Były dni, kiedy prosiłem, kiedy modliłem się o to przed zaśnięciem. Wiara,

że może kiedyś znowu cię zobaczę, że może cię odnajdę, nadzieja, że tak będzie, to była jedyna rzecz, która nie pozwalała mi się poddać. - Puszczaj mnie wreszcie i cofaj się o kolejny krok. — A więc nie. Nie rozumiem.

- Alex, błagam. Zaciska ręce w pięści.

- Przestań powtarzać moje imię. Już mnie nie znasz, nie wiesz, kim jestem.

- Znam cię. - Próbuję stłumić wstrząsające mną spazmy, złapać głębszy oddech, ale na próżno. Nie mogę przestać płakać. To musi być koszmar i wkrótce się z niego obudzę. To jest jak straszny film, w którym Alex wrócił do mnie w ciele potwora, źle pozszywany, odrażający i zionący nienawiścią, ale zaraz się obudzę, a on będzie leżał obok mnie, zupełnie normalny i znowu mój. Odnajduję jego ręce, wplatam swoje palce w jego, chociaż on próbuje się wyzwolić z mojego uścisku. — Alex, to ja, Lena. Twoja Lena. Pamiętasz? Pamiętasz Brooks 57 i koc, który rozkładaliśmy na trawie...

- Przestań - przerywa mi łamiącym się głosem.

-1 zawsze pokonywałam cię w scrabble. - Muszę mówić dalej, zatrzymać go tu, obudzić w nim wspomnienia. — Bo zawsze pozwalałeś mi wygrać. A pamiętasz, jak raz urządziliśmy sobie piknik i jedyne, co mieliśmy, to spaghetti w puszcze i fasolka szparagowa? Stwierdziłeś, że najlepiej je wymieszać...

- Przestań.

-1 tak też zrobiliśmy, i było to całkiem zjadliwe. Spalaszowaliśmy całą puszkę, tacy byliśmy głodni. A kiedy zaczęło się ściemniać, wskazałeś na niebo i powiedziałeś mi, że gwiazd jest tyle, ile rzeczy, które we mnie

kochasz. — Oddech mi się rwie, czuję, jak gdybym tonęła. Wyciągam rękę na oślep, natrafiam na jego kołnierz.

— Daj spokój. — Alex łapie mnie za ramiona. Jego twarz znajduje się tuż przy mojej, ale jest zupełnie obca: odpychająca maska z okropnym grymasem. — Po prostu przestań. Daruj sobie. To już dawno skończone, rozumiesz? To wszystko dawno skończone.

— Alex, proszę...

— Przestań! — Jego głos jest teraz ostry, twardy, jak gdyby wymierzał mi policzek. Wreszcie puszcza mnie, a ja cofam się chwiejnym krokiem. — Alex nie żyje, rozumiesz? Tamte uczucia dawno minęły, nie mają już znaczenia, jasne? Rozpłynęły się. Nie ma ich.

— Alex!

Już miał odejść, ale błyskawicznie się odwraca. W świetle księżycy jego twarz jest surowa, biała i wściekła, dwuwymiarowa jak na prześwietlonym zdjęciu.

— Nie kocham cię, Lena. Jasne? Nigdy cię nie kochałem. Powietrze ze mnie uchodzi. Wszystko znika.

— Nie wierzę ci. — Szlocham tak mocno, że z trudem wypowiadam słowa.

Alex robi krok w moją stronę. I teraz wcale go nie rozpoznaję. Zmienił się całkowicie, to już zupełnie obcy człowiek.

— To było kłamstwo. Rozumiesz? Wszystko to było kłamstwem. Szaleństwem, tak jak nam powtarzali. Po prostu zapomnij o tym. Zapomnij, że to się kiedykolwiek wydarzyło.

— Błagam. — Sama nie wiem, jakim cudem stoję jeszcze na nogach, dlaczego nie rozpłynęłam się we łzach, dlaczego moje serce ciągle bije, kiedy tak bardzo chcę, żeby się zatrzymało. — Błagam, nie rób mi tego, Alex.

— Przestań powtarzać moje imię.

A wtedy nagle za naszymi plecami rozlegają się trzask i szelest liści, jakby coś dużego szło przez las. Twarz Aleksa zmienia się. Gniew ulatnia się i zastępuje go coś innego: nieruchome napięcie jak u jelenia tuż przed ucieczką.

- Nie ruszaj się, Lena ~ mówi cicho, ale w jego słowach wyczuwam niepokój.

Odwracam się, ale już chwilę wcześniej wyczułam kształt wyłaniający się za moimi plecami, ciężkie sapanie zwierzęcia i głód tak silny, że tłumi wszystko inne.

Niedźwiedź.

Zszedł na dno jaru i teraz dzieli nas od niego jakiś metr. To niedźwiedź czarny. Jest duży - ma na pewno ponad półtora metra i nawet gdy spoczywa na czterech łapach, sięga mi niemal do ramienia. Światło księżyca przetyka srebrem jego skołtunione futro. Zwierzę spogląda na Aleksa, na mnie, potem znowu na Aleksa. Jego oczy są jak kawałki onyksu, matowe, bez życia.

Uderzają mnie dwie rzeczy: niedźwiedź jest chudy, wygłodzony. Zima była w tym roku ostra.

A do tego widzę, że w ogóle się nas nie boi.

Niczym prąd przebiega przeze mnie strach, wyłączając ból, wyłączając wszystkie myśli z wyjątkiem jednej: jak mogłam nie wziąć ze sobą broni?

Niedźwiedź posuwa się do przodu o kolejny krok, kołysząc ogromną głową w tył i w przód, nie spuszczając z nas wzroku. Widzę, jak w zimnym powietrzu jego oddech zamienia się w parę, widzę jego sterczące łopatki.

- Okej - mówi Alex tym samym cichym głosem. Stoi za mną, zupełnie nieruchomy, wyczuwam napięcie jego ciała. - Musimy zachować spokój. Wszystko powoli. Wycofamy się, jasne? Powoli i spokojnie.

Robi jeden krok w tył i już samo to, ten nieznaczny ruch powoduje, że niedźwiedź napręża się, gotów do ataku, i obnaża kły, które błyskają bielą w świetle księżyca. Alex znowu zastyga. Niedźwiedź zaczyna groźnie pomrukiwać. Jest tak blisko, że czuję ciepło jego ogromnego ciała i kwaśny odór wygłodniałego oddechu.

Powinnam była zabrać broń. Teraz nie ma jak się odwrócić i uciec. To czyni z nas łatwą zdobycz, a niedźwiedź właśnie tego szuka. Co za głupota z mojej strony. Oto zasada Głuszy: musisz być większy, silniejszy i twardszy. Musisz ranić, bo inaczej sam zostaniesz zraniony.

Zwierzę kołyszącym się krokiem podchodzi jeszcze bliżej, nie przestając pomrukiwać. Każdy mięsień w moim ciele bije na alarm, każe mi uciekać, mimo to stoję nieruchomo, jakbym wrosła w ziemię, starając się nawet nie drgnąć.

Niedźwiedź przystanął. Widzi, że nie zamierzam uciekać. Może więc uzna, że nie jestem łatwą zdobyczą.

Cofa się nieznacznie — punkt dla mnie, drobna przewaga.

Postanawiam ją wykorzystać.

— Hej! — krzyczę najgłośniej, jak potrafię, i wyciągam ręce do góry, by wydać się dużo wyższą. — Hej! Wynoś się stąd! No idź. Idź!

Niedźwiedź cofa się o kolejny centymetr, zdezorientowany, przestraszony.

— Powiedziałam: wynoś się!

Kopię w najbliższe drzewo i posyłam w kierunku niedźwiedzia odprysk kory. Ponieważ zwierzę ciągle nie zbiera się do odwrotu — choć już nie mruczy i jest najwyraźniej zdezorientowane, w defensywie — przykucam szybko, chwytam

pierwszy lepszy kamień, podnoszę się i ciskam nim mocno. Z głuchym, ciężkim odgłosem trafia niedźwiedzia tuż pod lewą łopatkę. Zwierzę zaczyna skowyczeć i wycofuje się, szurając łapami. Aż wreszcie odwraca się, ucieka i po chwili plama czarnego futra znika między drzewami.

- A niech to szlag! - dobiega mnie z tyłu głos Aleksa. Bierze głęboki oddech, głośny i przeciągły, pochyła się i znowu prostuje. — A niech to szlag.

Uderzenie adrenaliny, a potem odprężenie sprawiły, że zapomniał się na chwilę, maska opadła i przez mgnienie oka ukazał się zza niej dawny Alex.

Zalewa mnie fala mdłości. Ciągle mam przed oczami zranione, zdesperowane spojrzenie niedźwiedzia, a w uszach brzmi głuchy, ciężki odgłos kamienia uderzającego go w łopatkę.

Ale nie miałam wyboru. Takie zasady panują w Głuszy.

- To było szaleństwo. Ty jesteś szalona - Alex kręci głową z niedowierzaniem. - Dawna Lena rzuciłaby się do ucieczki.

Musisz być większy, silniejszy i twardszy. Przenika mnie zimno, a w mojej piersi kawałek po kawałku wyrasta ściana. On mnie nie kocha. Nigdy mnie nie kochał. To wszystko było kłamstwem.

- Tamta Lena nie żyje - odpowiadam, a potem mijam go i ruszam do obozu. Każdy krok jest trudniejszy od poprzedniego. Całe moje ciało staje się dziwnie ciężkie, a kończyny zamieniają w ołów.

Musisz ranić albo zostaniesz zraniony.

Alex nie idzie za mną, zresztą nawet tego nie oczekuję. Nie obchodzi mnie, gdzie pójdzie, czy zostanie w lesie całą noc, czy też nigdy już nie wróci do obozu.

Tak jak powiedział, wszystko między nami — w tym wzajemna troska — jest skończone.

Dopiero przy namiotach zaczynam płakać. Łzy napływają z taką mocą, że muszę się zatrzymać, przykucnąć i skulić. Chciałabym wypłakać z siebie wszystkie uczucia. Przez chwilę przebiega mi przez głowę myśl, jakie to byłoby łatwe: wrócić na drugą stronę, pójść prosto do laboratorium i oddać się w ręce chirurgów.

Mieliście rację, ja się myliłam. Uwolnijcie mnie od tego.

— Lena?

Podnoszę wzrok. Julian wyszedł z namiotu, musiałam go obudzić. Jego włosy sterczą na różne strony jak powyginane szprychy koła. Jest boso.

Prostuję się i wycieram nos rękawem.

— W porządku — mówię, wciąż próbując powstrzymać łzy. — Nic mi nie jest.

Przez chwilę stoi nieruchomo, wpatrując się we mnie, i z pewnością domyśla się, że płaczę, i rozumie, i wiem, że chciałby mnie pocieszyć. Rozkłada szeroko ramiona.

— Chodź do mnie — mówi cicho.

Ruszam do niego pędem i wręcz rzucam się na niego. Julian obejmuje mnie i przyciska mocno do piersi, a ja znowu odpuszczam, pozwalam, by raz po raz wstrząsał mną szloch. On stoi tak ze mną i mruży mi we włosy wyrazy pocieszenia, całuje mnie w czubek głowy i pozwala mi płakać po stracie innego chłopaka — chłopaka, którego kochałam bardziej.

- Przepraszam - powtarzam ciągle w jego pierś. - Przepraszam. - Jego koszulka pachnie dymem z ogniska, lasem i wiosną.

- W porządku - odpowiada mi szeptem.

Gdy wreszcie trochę się uspokajam, Julian bierze mnie za rękę. Idę za nim w ciemną czeluść jego namiotu, pachnącego jak jego koszulka, ale jeszcze intensywniej. Kładę się na jego śpiworze, a on obok mnie, tworząc idealne wgłębienie dla mojego ciała. Zwijam się w tę przestrzeń - bezpieczną, ciepłą - i pozwalam, by ostatnie gorące łzy, które wylewam za Aleksa, spływały mi po policzkach, a potem wsiąkały w ziemię coraz głębiej i głębiej.

HANA

— H a n a. — Mama spogląda na mnie wyczekująco. — Fred prosił, żebyś podała mu fasolkę.

— Przepraszam. — Siłę się na uśmiech. Ostatniej nocy kiepsko spałam. Nawiedził mnie sen, a raczej strzępy snu: smugi obrazu rozpływające się, zanim miałam szansę się na nich skupić.

Sięgam więc po lśniące ceramiczne naczynie — zachwycające, jak zresztą wszystko w domu Hargrove'ów -choć Fred ma do niego bliżej. Ale to część rytuału. Wkrótce zostanę jego żoną i będziemy siedzieć tak każdego wieczoru, powtarzając skrupulatnie ten sam układ choreograficzny.

Fred uśmiecha się do mnie.

— Zmęczona? — pyta. W ciągu ostatnich kilku miesięcy spędziliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Wspólny niedzielny obiad jest jednym z wielu sposobów, za pomocą których zaczęliśmy scalać życie moje i jego.

Miałam mnóstwo czasu, by dokładnie obserwować jego twarz. Zastanawiałam się, czy można go uznać za przystojnego, aż uznałam w końcu, że po prostu miło się na niego patrzy. Nie jest tak atrakcyjny, jak ja, ale na pewno bystrzejszy, a do tego podobają mi się jego ciemne włosy, tak uroczo opadające mu na prawą brew, kiedy nie ma czasu, by je poprawić.

— Rzeczywiście wygląda na zmęczoną — stwierdza pani Hargrove. Matka Freda często mówi o mnie tak, jakby nie było mnie w pokoju. Nie biorę tego do siebie, ona traktuje tak każdego. Ojciec Freda był burmistrzem przez ponad trzy kadencje. Teraz, kiedy nie żyje, jego syn ma przejąć stanowisko. Od styczniowych Incydentów Fred niestrudzenie walczył o tę nominację i jego wysiłki nareszcie przyniosły owoce. Zaledwie tydzień temu komitet tymczasowy mianował go nowym burmistrzem. Zaprzysiężenie odbędzie się z początkiem przyszłego tygodnia.

Pani Hargrove jest więc przyzwyczajona do bycia najważniejszą kobietą w towarzystwie.

- Nic mi nie jest - odpowiadam.

To, co powiedziałam, nie do końca jest prawdą. Lena zawsze powtarzała, że swoimi kłamstwami mogłabym nabrać samego diabła. Niepokoi mnie, że nie jestem w stanie przestać się martwić o Jenny ani myśleć o tym, jak mizernie wyglądała. Niepokoi mnie, że znowu zaczęłam myśleć o Lenie.

— Przygotowania do wesela są zawsze bardzo stresujące -odzywa się mama.

- Masz szczęście, że to nie ty wypisujesz czeki — wtrąca się tata.

Po tych słowach wszyscy wybuchają śmiechem. Pokój nagle rozświetla flesz: fotograf, ulokowany w krzakach tuż

za oknem, robi nam zdjęcie. Potem zostanie ono sprzedane do lokalnych gazet i stacji telewizyjnych.

Obecność paparazzich zawdzięczamy pani Hargrove. Wcześniej dała im cynk, gdzie będziemy jeść kolację, którą zorganizował dla nas Fred z okazji sylwestra. Sytuacje takie są starannie aranżowane, by publika mogła śledzić historię naszej znajomości i być świadkiem naszego szczęścia wynikającego z tego, że tak idealnie nas sparowano.

I naprawdę jestem z Fredem szczęśliwa. Dobrze się dogadujemy. Lubimy te same rzeczy, mamy mnóstwo wspólnych tematów.

Dlatego właśnie tak się martwię: wszystko rozwiąłoby się z dymem, jeśliby się okazało, że zabieg nie powiódł się w stu procentach.

— Słyszałem w radiu, że ewakuowano część Waterbury — mówi Fred. — Część San Francisco również. Zamieszki wybuchły w weekend.

— Fred, proszę — odzywa się pani Hargrove. — Czy naprawdę musimy rozmawiać o tym przy kolacji?

— Ignorowanie problemu nie rozwiąże go — odpowiada jej twardo Fred. — Tak właśnie robił tata. I widzisz, czym się to skończyło.

— Fred. — W głosie pani Hargrove słychać napięcie, ale ona sama nie przestaje się uśmiechać. Pyk. Przez krótką chwilę ściany jadalni rozbłyskują światłem flesza. — To naprawdę nie pora...

— Nie możemy już dłużej udawać. — Fred rozgląda się wokół stołu, jak gdyby zwracał się do każdego z nas z osobna. Spuszczam wzrok. — Ruch oporu istnieje. Może nawet się rozrasta. Trzeba nazwać rzeczy po imieniu: to już epidemia.

- Zamknięto większość Waterbury - mówi mama. - Jestem pewna, że to samo zrobią w San Francisco.

Fred kręci głową.

- Tu nie chodzi tylko o kwestie zarażenia. Największym problemem jest istnienie sieci sympatyków. Oni stworzyli już cały system wsparcia. Nie popełnię tego samego błędu co tata - oznajmia z nagłą zaciętością. Pani Hargrove siedzi zupełnie nieruchomo. - Przez lata krążyły plotki o istnieniu Odmieńców, mówiono nawet, że ich liczebność wzrasta. Dobrze o tym wiesz. Tata też o tym wiedział. Ale wołał udawać, że jest inaczej.

Nie podnoszę wzroku znad talerza, na którym nietknięty kawałek jagnięciny leży obok fasolki szparagowej i galaretki ze świeżej mięty. Hargrove'owie zawsze mieli wszystko, co najlepsze. Modłę się, by paparazzi nie zrobił nam teraz zdjęcia. Z pewnością jestem czerwona na twarzy. W końcu wszyscy wśród zgromadzonych wiedzą, że moja była najlepsza przyjaciółka próbowała uciec z Odmieńcem, i pewnie podejrzewają, że ją kryłam.

Fred obniża głos.

- Kiedy wreszcie pogodził się z prawdą i uznał, że pora przystąpić do działania, było już za późno. - Wyciąga rękę, by dotknąć dłoni swojej matki, ale ona bierze widelec i nadziewa nań fasolkę z taką siłą, że metalowe zęby ostro szczękają o talerz. Fred przełyka ślinę. - Cóż, ja nie będę odwracał wzroku - kontynuuje. - Nadszedł czas, byśmy wszyscy spojrzeli prawdzie w oczy i stawili czoło zagrożeniu.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego musimy rozmawiać o tym przy kolacji - odpowiada pani Hargrove. - Kiedy spędzamy miło czas...

— Czy mogę was wszystkich przeprosić? — wtrącam niespodziewanie. Wszyscy przy stole spoglądają na mnie zdziwieni. Pyk. Mogę sobie tylko wyobrazić to zdjęcie: usta mojej mamy ułożone w idealne O, zmarszczone brwi pani Hargrove i tata z krwistym kawałkiem jagnięciny wędrującym do ust.

— Co to znaczy: przeprosić? — pyta mama.

— Widzisz, Fred, co narobiłeś? - Pani Hargrove wzdycha i kręci głową. — Zmartwiłeś Hanę.

— Nie, nie. Nie o to chodzi. To tylko... miała pani rację. Nie czuję się najlepiej — odpowiadam. Zwijam serwetkę w dłoni, ale zaraz potem, złowiwszy spojrzenie matki, rozprostowuję ją i kładę obok talerza. — Boli mnie głowa.

— Mam nadzieję, że to nie początek jakiejś choroby — mówi pani Hargrove. — Nie możesz być chora na zaprzysiężenie.

— Nie będzie chora — wtrąca szybko mama.

— Nie będę chora — powtarzam za nią. Nie wiem, co się dzieje, ale czuję w głowie eksplodujące punkciki bólu. -Przejdzie mi. Muszę się tylko położyć.

— Wezwę Tony'ego. — Mama wstaje od stołu.

— Nie, proszę. - Niczego nie pragnę teraz bardziej, niż zostać sama. Od miesiąca, od kiedy mama i pani Hargrove postanowiły, że ślub powinien zostać przyspieszony, by zbiec się z zaprzysiężeniem Freda na burmistrza, mam wrażenie, że mogę być sama tylko wtedy, gdy udaję się do toalety. — Wolalabym się przespacerować.

— Przespacerować! — Moje słowa wywołują poruszenie. Nagle wszyscy mówią jednocześnie. Tata oznajmia: „nie ma mowy”, mama wzdycha: „wyobraź sobie, jak by to wyglądało”, Fred nachyla się do mnie: „teraz nie jest bezpiecznie, Hana”, a pani Hargrove stwierdza: „pewnie masz gorączkę”.

W końcu moi rodzice postanawiają, że Tony odwiezie mnie do domu, a potem po nich wróci. To kompromis do przyjęcia. Oznacza przynajmniej, że będę mieć dom dla siebie chociaż przez chwilę. Wstaję i odnoszę talerz do kuchni, mimo nalegań pani Hargrove, że zrobi to gosposia. Gdy wyrzucam jedzenie do kosza, zapach ten przywołuje wspomnienie smrodu kontenerów i wyłaniającej się spomiędzy nich Jenny.

— Mam nadzieję, że ta rozmowa cię nie zmartwiła. Odwracam się. Fred przyszedł za mną do kuchni. Staje w bezpiecznej odległości.

— Nie, nie zmartwiła. — Jestem zbyt zmęczona na dłuższe wyjaśnienia. Po prostu chcę iść do domu.

— Nie masz gorączki, prawda? — Fred przygląda mi się uważnie. — Jesteś blada.

— Jestem po prostu zmęczona.

— Aha. — Fred wkłada ręce do kieszeni spodni: ciemnych, z zakładką z przodu, jak u mojego ojca. — Bałam się, że trafiła mi się wybrakowana partia.

Kręcę głową, pewna, że się przesłyszałam. -Co?

— Żartowałem — uśmiecha się Fred. Ma dołeczek w lewym policzku i bardzo ładne zęby. To też mi się w nim podoba. — Do zobaczenia wkrótce. — Nachyla się i całuje mnie w policzek. Cofam się mimowolnie. Wciąż nie jestem przyzwyczajona do jego dotyku. — Wyśpij się.

— Tak jest — odpowiadam, ale on już jest w drodze do jadalni, gdzie wkrótce podadzą deser i kawę. Za trzy tygodnie będzie moim mężem, a to będzie moja kuchnia, gospodyni także będzie moja. Pani Hargrove będzie musiała mnie słuchać, to ja będę wybierać, co będziemy jadać, i nic więcej nie będzie mi trzeba.

Chyba że Fred ma rację. Chyba że jestem wybrakowana.

LENA

Sporom, dokąd pójść i czy się rozdzielić, nie ma końca.

Niektórzy z naszej grupy chcą ruszyć z powrotem na południe, a potem na wschód do Waterbury, gdzie podobno prężnie działa ruch oporu, a za murem rozrasta się duży obóz Odmieńców. Inni chcą iść aż do półwyspu Cape Cod, który jest właściwie niezamieszkały, dlatego będzie bezpieczniejszym miejscem na rozbić obozu. Kilkoro z nas — a zwłaszcza Gordo — chce podążać dalej na północ, by przedrzeć się do Kanady.

W szkole uczono nas, że inne kraje — miejsca, gdzie nie stosuje się remedium — zostały spustoszone przez chorobę i zamieniły się w ruiny. Ale to, jak i większość rzeczy, które nam wpajano, okazało się kłamstwem. Gordo słyszał od myśliwych oraz włóczęgów opowieści o Kanadzie i w jego ustach brzmiało to jak opis Edenu z *Księgi SZZ*.

— Jestem za Cape Cod — odzywa się Pike, mężczyzna o jasnoblonde włosach bezlitośnie przyciętych aż do skóry. — Jeśli znowu zacznie się bombardowanie...

— Jeśli znowu zacznie się bombardowanie, nigdzie nie będzie bezpiecznie — przerywa mu Tack. Ci dwaj nieustannie sprzeczą się ze sobą.

— Im dalej od dużych miast, tym bezpieczniej — utrzymuje Pike. To fakt, jeśli działania ruchu oporu zmieniają się w otwartą rebelię, możemy się spodziewać natychmiastowej reakcji odwetowej rządu. — Będziemy mieć więcej czasu.

— Więcej czasu na co? Żeby przepłynąć ocean wpływ? — Tack z politowaniem kręci głową. Siedzi w kucki obok Raven, która reperuje zepsutą pułapkę. To niesamowite, na jaką szczęśliwą wygląda, siedząc tutaj, na gołej ziemi, po długim dniu wędrowania i polowania. Dużo bardziej niż wtedy, gdy razem z Tackiem mieszkaliśmy na Brooklynie, udając wyleczonych, w naszym apartamencie wśród wygód i luksusu. Tam przypominała kobiety, o których uczono nas na lekcjach historii, ściskające ciało gorsetem, tak że ledwo mogły oddychać czy mówić. — Posłuchaj, konfrontacji z drugą stroną nie unikniemy. Lepiej chyba połączyć siły i maksymalnie zwiększyć liczebność naszych szeregów.

Tack, siedzący po drugiej stronie ogniska, łowi mój wzrok. Uśmiecham się do niego. Nie wiem, jak dużo on i Raven domyślili się na temat tego, co wydarzyło się między mną a Aleksem — w każdym razie ani razu o to nie zagadnęli — ale są dla mnie miłsi niż dotychczas.

— Zgadzam się z Tackiem — mówi Hunter. Podrzuca nabój do góry, łapie go na wierzch dłoni, a potem przrzuca do jej wnętrza.

— Moglibyśmy się rozdzielić — proponuje Raven chyba po raz setny. Widać, że nie lubi Pike'a ani Dani. To jest nowa grupa, hierarchia nie została w niej jeszcze określona i to, co mówią Tack i Raven, nie uchodzi od razu za prawdę objawioną.

— Nie rozdzielamy się — mówi twardo Tack, ale natychmiast bierze od niej pułapkę. — Daj, pomogę ci.

Właśnie tak żyje ze sobą ta dwójka: to ich prywatny język zaczepek i oddawania ciosów, kłótni i ustępstw.- Po remedium wszystkie związki są takie same, a panujące w nich reguły i wzajemne oczekiwania z góry ustalone. Bez remedium natomiast wszystko to musi być redefiniowane każdego dnia, a język komunikacji ciągle dekodowany i odszyfrowywany na nowo.

Wolność potrafi być naprawdę męcząca.

— Jakie jest twoje zdanie, Lena? — pyta Raven, a Pike, Dani i inni odwracają głowy i patrzą na mnie. Teraz, gdy udowodniłam swoją wartość dla ruchu oporu, ludzie liczą się z moją opinią. Alex także obserwuje mnie z cienia.

— Cape Cod — oświadczam, dorzucając drew do ognia. — Im dalej od dużych miast, tym lepiej, a nawet niewielka korzyść jest lepsza niż żadna. I przecież nie będziemy zdani sami na siebie. Po drodze napotkamy innych osadników, inne grupy, do których będziemy mogli dołączyć. — Mój głos rozchodzi się donośnie po polanie. Zastanawiam się, czy Alex zauważył tę zmianę: nie jestem już cicha i zahukana, stałam się bardziej pewna siebie.

Następuje chwila ciszy. Raven spogląda na mnie w zamyśleniu. A potem nagle odwraca się i rzuca spojrzenie przez ramię.

— A ty, Alex?

— Waterbury — odpowiada natychmiast. Czuję nagły ścisk w żołądku. Wiem, że to głupie, wiem, że stawką jest coś większego niż nas dwoje, ale nie jestem w stanie powstrzymać zalewającego mnie gniewu. Jasne, że nie zgadza się z moim zdaniem. To było do przewidzenia.

— Nie ma żadnej korzyści w odcięciu się od informacji — kontynuuje. — Rebelia wisi w powietrzu. Możemy próbować temu zaprzeczać, możemy chować głowę w piasek, ale taka jest prawda. A wojna i tak nas w końcu dopadnie. Moim zdaniem powinniśmy wyjść jej na spotkanie.

— On ma rację — wtrąca się Julian.

Odwracam się zaskoczona. Prawie nigdy nie odzywał się podczas tych naszych wieczornych rozmów przy ognisku. Przypuszczam, że wciąż czuje się skrępowany. Wciąż jest nowicjuszem, kimś obcym - a co gorsza, konwertytą stojącym do niedawna po drugiej stronie barykady. Julian Fineman, syn nieżyjącego Thomasa Finemana, założyciela i szefa Ameryki Wolnej od Delirii, wroga wszystkiego, co reprezentujemy. Nie ma znaczenia, że Julian odwrócił się od swojej rodziny oraz sprawy i o mało nie przypłacił tego życiem. Jestem pewna, że niektórzy nadal mu nie ufają.

Julian mówi ze spokojem doświadczonego mówcy.

— Nie ma sensu unikać konfrontacji. Sytuacja się nie uspokoi. Jeśli ruch oporu rośnie w siłę, rząd i wojsko będą robić wszystko, żeby go powstrzymać. Zapewnimy sobie większą szansę odwetu, jeśli znajdziemy się w centrum wydarzeń. W przeciwnym razie będziemy jak króliki w norze, czekające beczynn timer, aż ktoś je stamtąd wykurzy.

Mimo że Julian popiera Aleksa, więc naturalne byłoby, gdyby chociaż zerkał na niego, oczy ma ciągle utkwione w Raven. Julian i Alex nigdy ze sobą nie rozmawiają ani nawet na siebie nie spoglądają, ale nikt z grupy tego nie komentuje.

— Jestem za Waterbury - wtrąca ku mojemu zaskoczeniu Lu. W ubiegłym roku nie chciała mieć nic wspólnego z ruchem oporu. Marzyła tylko o tym, by zaszyć się w Głuszy i założyć osadę jak najdalej od rządowych miast.

— Zatem dobrze. — Raven podnosi się, otrzepując dzinsy. — Niech będzie Waterbury. Ktoś ma jeszcze jakieś zastrzeżenia?

Przez chwilę wszyscy siedzimy cicho, spoglądając jeden na drugiego. Wszystkie twarze pozostają w cieniu. Nikt nic nie mówi. Nie jestem zadowolona z tej decyzji i Julian z pewnością to czuje. Kładzie rękę na moim kolanie i ściska je.

— A zatem postanowione. Jutro możemy...

Raven urywa, z lasu dobiegają bowiem krzyk i ożywione głosy. Wszyscy podnosimy się jak na komendę.

— Co jest, do diabła? — Tack, oparłszy karabin o ramię, przeskakuje wzrokiem otaczającą nas gęstwinę drzew, splątana ścianę gałęzi i winorośli. Ale las znowu ucichł.

— Ciii. — Raven podnosi rękę.

W tym samym momencie rozlega się okrzyk:

— Hej tam, potrzebuję pomocy! — A zaraz potem: - Cholera! — Słysząc zbiorowe westchnienie ulgi. Rozpoznajemy głos Sparrowa, który oddalił się wcześniej za potrzebą.

— Już lecimy, Sparrow! — odkrzykuje Pike. Kilka osób biegnie w stronę drzew i gdy tylko opuszczają krąg światła rzucanego przez ognisko, zmieniają się w cienie. Julian i ja zostajemy na miejscu, kątem oka dostrzegam, że Alex również. Słysząc chaotyczną wymianę zdań i poleceń: „Nogi, nogi, złap ją za nogi”, a potem Sparrow, Tack, Pike i Dani pojawiają się z powrotem na polanie, każda dwójka dźwiga ciało. Na początku wygląda to tak, jakby taszczyli zwierzęta załadowane na planckę, ale potem w blasku ognia dostrzegam białą rękę zwisającą bezwładnie, i żołądek mi się przewraca.

To ludzie.

- Wody, przynieście wody!
- Podaj mi apteczkę, Raven, ona krwawi!

Przez chwilę stoję jak sparaliżowana. Gdy Tack i Pike kładą ciała na ziemi, w świetle ogniska ukazują się nam dwie twarze: jedna pomarszczona, ciemna, ogorzała -twarz kobiety, która spędziła w Głuszy większość swojego życia, jeśli nie całe. W kącikach jej ust widać bąbelki śliny, a oddech ma świszczący i chrapliwy.

Druga twarz jest niezwykle piękna. Dziewczyna musi być w moim wieku albo nawet młodsza. Skórę ma białą jak migdał, a długie ciemnobrązowe włosy rozlewają się jak wachlarz po ziemi. Przez chwilę wracam pamięcią do własnej ucieczki do Głuszy. Pewnie Raven i Tack znaleźli mnie w podobnym stanie: bardziej nieżywą niż żywą, posiniaczoną, wyczerpaną.

Tack odwraca się i łowi moje spojrzenie.

- Potrzebuję twojej pomocy, Lena - rzuca. Jego głos wybija mnie z transu. Podchodzę i klękam przy nim obok starszej kobiety. Raven, Pike i Dani zajmują się dziewczyną. Julian staje za moimi plecami.

- Mogę w czymś pomóc? — pyta.

- Potrzebujemy czystej wody - oznajmia Tack, nie podnosząc wzroku. Wyciąga nóż i rozcina koszulę kobiety. Ubranie miejscami wygląda na niemal stopione z jej skórą. Wtedy dostrzegam z przerażeniem, że dolna część jej ciała jest paskudnie poparzona, a nogi pokryte otwartymi ranami i owrzodzeniami. Muszę zamknąć na chwilę oczy, by powstrzymać mdłości. Julian dotyka delikatnie mojego ramienia, a potem odchodzi po wodę.

- Cholera - klunie pod nosem Tack, gdy odkrywa kolejną ranę: długie, poszarpane rozcięcie wzdłuż golenia, głębokie

i wzbierające ropą. - Cholera. - Kobieta wydaje z siebie chrapliwy jęk, a potem cichnie. - Nie umieraj mi teraz -mruczy Tack. Zdejmuje wiatrówkę. Widzę, że pot perli mu czoło. Znajdujemy się blisko ogniska, do którego przed chwilą dołożono drewna i pali się teraz jeszcze mocniej.

- Potrzebuję apteczki! - Tack łapie mały ręcznik i zaczyna rozdzierać go na pasy szybko i z wprawą, by zrobić z nich opaski uciskowe. - Niech ktoś mi wreszcie poda tę cholerną apteczkę!

Obok nas wyrosła ściana żaru. Ciemny dym zakrywa niebo i wdziera się również w mój umysł, zniekształcając postrzeganie świata, podobnego teraz do snu: głosy, gorączkowa krzątanina, żar i zapach ciał - wszystko to wydaje się zdeformowane i nierealne. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy klęczę tam przez kilka minut, czy godzin. W pewnym momencie wraca Julian, niosąc wiadro parującej wody. A potem odchodzi i wraca znowu. Pomagam oczyścić rany kobiety. Po jakimś czasie przestaję już postrzegać jej ciało jako skórę i mięśnie, dla mnie to teraz powyginana, wypaczona i dziwaczna struktura, podobna do ciemnych kawałków skamieniałego drewna, które znajdujemy w lesie.

Tack mówi mi, co mam robić, a ja wykonuję jego polecenia. Więcej wody, tym razem zimnej. Czyste szmatki. Wstaję, idę, odbieram podawane mi przedmioty i wracam z nimi. Mijają kolejne minuty, kolejne godziny.

W którymś momencie podnoszę wzrok i koło mnie siedzi nie Tack, lecz Alex. Zszywa przy użyciu zwykłej igły i długiej, ciemnej nitki ranę na ramieniu kobiety. Jego twarz jest blada, skupiona, ale jego ruchy szybkie i zwinne. Widać, że ma w tym wprawę. Uświadamiam sobie, że jest tyle rzeczy, których o nim nie wiem - jego przeszłość, rola w ruchu

oporu, jak wyglądało jego życie w Głuszy, zanim przybył do Portland — i zalewa mnie fala gniewu tak ogromna, że chce mi się krzyczeć: nie z powodu tego, co straciłam, ale z powodu szans, które mnie ominęły.

Nasze łokcie stykają się. Alex się odsuwa.

Dym wypełnia mi teraz gardło, utrudniając przełykanie śliny. W powietrzu czuć popiół. A ja dalej oczyszczam ołowiane nogi i ciało kobiety, powoli i dokładnie, tak jak kiedyś co miesiąc pomagałam ciotce czyścić mahoniowy stół.

Potem Alex znika, a koło mnie znów pojawia się Tack. Kładzie mi ręce na ramionach i delikatnie odsuwa mnie do tyłu.

— W porządku — mówi. — Zostaw. Już wystarczy. Ona już cię nie potrzebuje.

Przez chwilę w głowie błyska mi myśl: udało nam się, już nic jej nie grozi. Ale zaraz potem, gdy Tack kieruje mnie w stronę namiotów, widzę jej twarz oświetloną blaskiem ogniska — białą, woskową, z otwartymi oczami skierowanymi nieruchomo w niebo — i wiem, że kobieta nie żyje, i cały nasz wysiłek poszedł na marne.

Raven ciągle klęczy przy boku rannej dziewczyny, ale jej ruchy są teraz mniej gorączkowe, słyszę też, że tamta oddycha spokojnie i miarowo.

Gdy wracam do namiotu Juliana, on już siedzi w środku. Jestem tak zmęczona, że właściwie śpię na stojąco. Julian przesuwa się i robi dla mnie miejsce, a ja niemal zapadam się w niego, w ten znak zapytania, który tworzy jego ciało. Moje włosy śmierdzą dymem.

— Dobrze się czujesz? — pyta szeptem Julian, odnajdując w ciemności moją rękę.

— Tak — odpowiadam również szeptem.

— A ona?

— Nie żyje — mówię krótko.

Julian bierze głęboki wdech. Jego ciało tężeje.

— Tak mi przykro, Lena.

— Nie można uratować wszystkich. To tak nie działa. —
To właśnie powiedziałaby Tack, i wiem, że to prawda, nawet
jeśli gdzieś głęboko w środku wciąż nie dopuszczam jej do
siebie.

Julian ściska mi rękę i całuje moje włosy, a potem
zapadam w sen, z dala od zapachu dymu i ognia.

HANA

Już drugą noc przez mrok mojego snu przedziera się następujący obraz: przez opary szarej mgły dosięga mnie para oczu. Potem oczy stają się kręgami światła, reflektorami świecącymi wprost na mnie, tymczasem ja stoję jak skamieniała na środku drogi, otoczona intensywnym smrodem śmieci i spalin, przytłoczona, nieruchoma, czując żar ryczącego silnika...

Budzę się tuż przed północą zlaną potem.

To nie może się dziać. To nie mogło mi się przytrafić. Nie mnie.

Wstaję i po omacku kieruję się do łazienki, uderzając goleniem o jedno z nierozpakowanych pudeł stojących w moim pokoju. Mimo że wprowadziliśmy się tu pod koniec stycznia, ponad dwa miesiące temu, nie rozpakowałam nic poza podstawowymi rzeczami. Za niecałe trzy tygodnie zostanę mężatką i znowu będę się musiała przeprowadzić. Poza tym moje stare pamiątki - pluszowe maskotki,

książki i śmieszne porcelanowe figurki, które zbierałam jako dziecko — niewiele już dla mnie znaczą.

W łazience ochlapuję twarz zimną wodą, starając się zmyć z siebie wspomnienie tych oczu-reflektorów, tego ucisku w piersi, strachu przed śmiercią pod kołami. Powtarzam sobie, że to o niczym nie świadczy, że remedium na każdego działa trochę inaczej.

Za oknem świeci księżyc, okrągły i niesamowicie jasny. Przyciskam nos do szyby. Po drugiej stronie ulicy stoi dom niemal identyczny jak nasz, a obok niego kolejne lustrzane odbicie. I tak dalej i dalej, dziesiątki kopii, wszędzie te same dachy, niedawno położone, ale mające robić wrażenie starych.

Muszę coś ze sobą zrobić. Dawniej czułam to świerzbienie cały czas, moje ciało dosłownie wołało o ruch. Od dnia wyleczenia biegałam może raz albo dwa — więcej nie próbowałam, to już nie było to samo — i nawet teraz ten pomysł nie pociąga mnie jakoś specjalnie. Ale coś zrobić muszę.

Przebieram się w stare spodnie od dresu i ciemną bluzę. Zakładam też starą baseballówkę, która należała do mojego ojca — po części, by schować włosy, a po części po to, by nikt, kto akurat o tej porze będzie na zewnątrz, mnie nie rozpoznał. Teoretycznie mam prawo przebywać poza domem po godzinie policyjnej, ale nie uśmiecha mi się odpowiadanie na pytania rodziców. To nie jest zachowanie typowe dla Hany Tate, mającej stać się wkrótce Haną Hargrove. Nie chcę, by wiedzieli, że mam problemy ze snem. Nie mogę dać im powodów do podejrzeń.

Zawiązuję tenisówki i na palcach kieruję się do drzwi od sypialni. Zeszłego lata często wymykałam się z domu.

Byłam na kilku zakazanych imprezach: jedna odbyła się w magazynie za sklepem z farbami Otremba's Paint, była też słynna na Deering Highlands, rozpędzona przez porządkowych. Spędzałam noce na plaży w Sunset Park i chodziłam na nielegalne schadzki z niewyleczonymi chłopcami. Na jednej z nich, w Back Cove, pozwoliłam Stevenowi Hiltowi położyć rękę po wewnętrznej stronie mojego uda i miałam wrażenie, że czas się zatrzymał.

Steven Hilt: ciemne rzęsy, ładne, równe zęby, zapach sosnowych igieł, i ten skurcz w brzuchu za każdym razem, gdy na mnie spoglądał.

Wspomnienia wydają się teraz jak migawki z życia kogoś innego.

Schodzę na dół w niemal absolutnej ciszy. Po ciemku odnajduję zasuwę w drzwiach frontowych i obracam ją drobnymi ruchami, żeby rygiel przesunął się bezgłośnie.

Zimny wiatr szeleści krzakami ostrokrzewu otaczającymi naszą posesję. Na osiedlu WoodCove Farms można je spotkać przy każdym domu: dla ochrony i bezpieczeństwa — jak głosiła ulotka agencji nieruchomości — oraz zapewnienia prawdziwej prywatności.

Zatrzymuję się, nasłuchując odgłosów przechodzących patroli. Cisza. Ale nie mogą być zbyt daleko. WoodCove ma do dyspozycji ochotnicze oddziały strażników, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Jednak osiedle jest duże, każda ulica ma mnóstwo odgałęzień i ślepych zaułków. Przy odrobinie szczęścia uda mi się uniknąć patroli.

Kieruję się w stronę bramy. Czarne kształty nietoperzy, tak wyraźne na tle księżyca, rzucają na trawnik ruchome cienie. Dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa. Powoli

odechciewa mi się jakiegokolwiek ruchu. Myślę o tym, jak dobrze by było wrócić do łóżka, o tym, by zagrzebać się pod miękkimi kocami i poduszkami pachnącymi delikatnie płynem do płukania, obudzić się jutro, rześką i wyspaną, i zjeść na śniadanie dużą porcję jajecznicy.

Nagle dobiega mnie huk z garażu. Odwracam się w mgnieniu oka. Drzwi do niego są uchylone.

Moja pierwsza myśl: fotograf. Jeden z nich mógł się przedostać przez ogrodzenie i przycząć w ogródku. Ale szybko odrzucam tę myśl. Wszystkie nasze kontakty prasowe starannie zaaranżowała pani Hargrove i jak do tej pory nigdy nie byłam obiektem zainteresowania, gdy nie znajdowałam się w towarzystwie Freda.

Druga myśl: złodziej paliwa. Ostatnio, z powodu ogłoszonych przez rząd restrykcji, które dotknęły zwłaszcza biedniejsze części miasta, w całym Portland miała miejsce fala włamań. Najgorzej było w czasie zimy: z kotłów grzewczych spuszczano olej, a z samochodów benzynę. Domy napadano i demolowano. W lutym zanotowano dwieście kradzieży z włamaniem — największa liczba przestępstw od czterdziestu lat, czyli odkąd remedium stało się obowiązkowe.

Zastanawiam się przez chwilę, czy nie wrócić do środka i nie obudzić taty. Ale to oznaczałoby mnóstwo pytań i konieczność wyjaśnień.

Ruszam więc do garażu, nie odrywając wzroku od uchylonych drzwi, szukając między nimi śladów poruszenia. Trawa pokryta jest rosą, która od razu wsiąka w tenisówki. Ciarki przebiegają mi po całym ciele. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

Za plecami słyszę trzask gałązki. Odwracam się błyskawicznie. Podmuch wiatru znowu porusza ostrokrzewem.

Biorę głęboki oddech i ruszam z powrotem w stronę garażu. Serce wali mi jak młot i pochodzi do gardła: koszmarne, dawno zapomniane uczucie. Nie bałam się — nie tak naprawdę - od dnia zabiegu, kiedy ręce trzęsły mi się tak strasznie, że nie byłam nawet w stanie zapiąć szpitalnego fartucha.

- Jest tam kto? — pytam szeptem.

Kolejny szmer. Coś — lub ktoś — z pewnością jest w garażu. Przystaję kilka kroków przed wejściem, sparaliżowana strachem. To głupie. Zachowuję się idiotycznie. Lepiej wrócę do domu i obudzę tatę. Powiem, że słyszałam jakiś hałas, a o wyjaśnienia będę się martwić później.

Wtedy dobiega mnie ciche miauczenie. W otwartych drzwiach mrugają na mnie kocie ślepia.

Z ulgą wypuszczam z płuc powietrze. To tylko zabłąkany kot. Po Portland włóczy się ich mnóstwo. To samo z psami. Ludzie je kupują, potem albo nie stać ich na utrzymanie, albo mają ich dość i wyrzucają je na ulicę. Przez lata rozmnażały się bez przeszkód. Słyszałam, że cała sfora dzikich psów wałęsa się wokół Deering Highlands.

Powoli posuwam się naprzód. Kot nie spuszcza ze mnie wzroku. Kładę rękę na drzwiach do garażu i otwieram je o kolejne kilka centymetrów.

— Kici, kici — mówię słodkim głosem. — Idź sobie stąd, koteczku.

Kot czmycha w głąb pomieszczenia. Gdy przemyka obok mojego starego roweru, uderza o podpórkę. Rower zaczyna się chwiać, więc rzucam się w jego stronę i łapię go w ostatniej chwili. Kierownica jest zakurzona. Chociaż prawie nic nie widać, czuję na niej warstwę brudu.

Jedną ręką trzymam rower, a drugą szukam w ciemności kontaktu. Gdy włączam górne światła, wszystko staje się normalne i znajome: samochód, kosze na śmieci, kosiarka do trawy w kącie, puszki z farbą i kanistry benzyny ułożone w równą piramidę. Właśnie między nimi przyczał się kot. Przynajmniej wygląda względnie czysto, nie widzę piany wokół pyska ani strupów na skórze. Nie ma się więc czego obawiać. Jednak kiedy robię krok w jego stronę, znowu rzuca się do ucieczki — okrąża samochód, mnie, a potem wypada na ogród.

Gdy opieram rower o ścianę garażu, mój wzrok pada na fioletową bufiastą frotkę do włosów zawiązaną wokół jednego z uchwytów. Lena miała identyczny rower jak ja, ale stale droczyła się ze mną, że jej jest szybszy. Zawsze przez przypadek zamieniałyśmy się nimi: najpierw, dojechawszy do celu, rzucałyśmy je byle jak na trawę lub piasek, a potem łapałyśmy w pośpiechu. Lena wskakiwała na siodełko i z trudem dosięgała pedałów, a ja siedziałam na jej rowerze skulona jak dziecko, i jechałyśmy tak do domu, śmiejąc się jak wariatki. Żeby je rozróżnić, w sklepie wujka kupiła dwie frotki do włosów — fioletową dla mnie i niebieską dla siebie — właśnie dlatego założyłyśmy je wokół uchwytów kierownicy.

W zagięciach frotki zagnieździł się brud. Nie jeździłam na rowerze od ubiegłego lata. To hobby, tak samo jak Lena, stało się wyblakłą przeszłością. Dlaczego właściwie byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami? O czym rozmawiałyśmy? Przecież bardzo wiele nas różniło. Nie lubiłyśmy tego samego jedzenia ani tej samej muzyki. Nawet nie wierzyłyśmy w te same rzeczy.

Ale kiedy odeszła, złamało mi to serce i zadało taki ból, że ciężko mi było nawet oddychać. Gdyby nie remedium, nie wiem, co by się ze mną stało.

Teraz mogę już przyznać, że pewnie kochałam Lenę. Nie w żaden zakazany, nienaturalny sposób, ale moje uczucia do niej musiały być rodzajem choroby. Jak ktoś może mieć taką moc, by sprawić, że drugi człowiek rozpada się na tysiąc kawałków albo doświadcza uczucia pełni?

Potrzeba spaceru opuściła mnie już zupełnie. Jedyne, czego teraz pragnę, to wrócić do łóżka.

Wyłączam światła i zamykam drzwi do garażu, upewniając się, że słyszę trzask zaskakującej zasuwy.

Już mam się skierować do domu, gdy mój wzrok przykuwa kawałek papieru leżący na trawie, lekko wilgotny od rosy. Na pewno nie było go tutaj przed chwilą. Ktoś musiał go wepchnąć przez bramę, gdy byłam w ogrodzie.

Zatem ktoś rzeczywiście mnie obserwował — a może nawet nadal obserwuje.

Powoli przechodzę przez ogród i nie do końca świadoma, co tak naprawdę robię, schylam się, by podnieść ulotkę.

Okazuje się, że to ziarniste czarno-białe zdjęcie, odbite na ksero. Ukazuje całującą się parę. Kobieta jest odchyłona do tyłu, palce ma wplecione we włosy mężczyzny, który uśmiecha się podczas tego pocałunku.

Na dole ulotki widnieją słowa: **JEST NAS WIĘCEJ, NIŻ WAM SIĘ WYDAJE.**

Odruchowo zgniatam kartkę. Fred miał rację: ruch oporu działa i panoszy się w naszym mieście. Muszą mieć dostęp do kopiarek, do papieru, muszą mieć ludzi do dystrybucji.

Gdzieś w oddali trzaskają drzwi, a ja podskakuję. Nagle noc jakby ożyła. Rzucam się sprintem na ganek i zupełnie zapominam o tym, że powinnam być cicho, gdy wślizguję się do środka i zamykam za sobą drzwi na potrójny zamek.

Przez chwilę stoję w hallu, trzymając ciągle w ręku zwiniętą w kulkę ulotkę, wdychając znajomy zapach środka do czyszczenia mebli i wybielacza.

W kuchni wyrzucam ulotkę do kosza. A potem, po namyśle, wyciągam ją i wpycham do młynka na odpadki. Nie martwię się już, czy obudzę rodziców. Chcę się po prostu pozbyć tego zdjęcia, pozbyć tych słów — niewątpliwie groźby. Jest nas więcej, niż wam się wydaje.

Myję ręce gorącą wodą i wracam do swojego pokoju. Nie rozbieram się nawet, tylko zrzucam buty, ściągam czapkę i wsuwam się pod kołdrę. Słyszę szum ogrzewania, ale i tak jest mi zimno.

Otoczają mnie długie, ciemne palce. Ręce w aksamitnych rękawiczkach, miękkie i pachnące, obejmują moją szyję i słyszę szept Leny z jakiegoś odległego miejsca: co zrobiłaś? A potem na szczęście zacisk się rozluźnia, ręce cofają i spadam, spadam w głęboki sen bez snów.

LENA

Otwieram oczy. Cienkie ściany namiotu filtrują wpadające do środka promienie słoneczne, przez co jego wnętrze wypełnia przyćmione zielone światło. Grunt pode mną jest lekko wilgotny, jak zwykle o poranku. Ziemia wydycha rosę, oddaje nocny chłód. Dobiegają mnie głosy i szcęk metalowych garnków. Julian zniknął.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałam tak głęboko. Wydaje mi się nawet, że nic mi się nie śniło. Zastanawiam się, czy tak to jest po remedium: człowiek budzi się rześki i wypoczęty, bo we śnie nie jest niepokojony dotykiem tych długich, mrocznych palców.

Na zewnątrz powietrze jest zaskakująco ciepłe, las rozbrzmiewa ptasim śpiewem, a chmury płyną w zawrotnym tempie po bładoniebieskim niebie. Głusza dumnie zapowiada nadejście wiosny, pusząc się niczym drozdy w okresie godowym.

Schodzę do małego strumienia, gdzie czerpiemy wodę. Dani właśnie wychodzi z kąpieli i stoi zupełnie naga,

owijając włosy podkoszulkiem. Niegdyś nagość mnie szokowała, ale teraz prawie nie zwracam na nią uwagi. W tym momencie Dani równie dobrze mogłaby być ciemną, śliską wydrą otrząsającą się z wody na słońcu. Mimo to odchodzę nieco dalej i dopiero tam zdejmuję podkoszulek, by ochlapać twarz i pachy, po czym wsadzam głowę pod wodę. Po wynurzeniu oddycham ciężko przez chwilę. Woda jest ciągle lodowata i nie mam jeszcze odwagi, żeby zanurzyć się cała.

Po powrocie do obozu zauważam, że ciało starszej kobiety zniknęło. Mam nadzieję, że znaleźli gdzieś miejsce, by ją pochować. Przypomina mi się Blue, którą musieliśmy zostawić na śniegu, a na jej czarnych rzęsach osiadał lód i pieczętował jej oczy, i Miyako, której ciało spaliliśmy. Duchy, postacie-cienie zaludniające moje sny. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek je stamtąd przegonię.

— Dzień dobry, słońce — wita mnie Raven, nawet nie podnosząc wzroku znad kurtki, którą łąta. Mówi niewyraźnie z powodu igieł rozłożonych niczym wachlarz między wargami. — Dobrze spałaś? — Nie czeka na moją odpowiedź. — Na ogniu jest trochę żarcia, więc się najedz, zanim Dani dorwie się do garnka.

Dziewczyna, którą wczoraj ocaliliśmy, już nie śpi i siedzi blisko Raven, niedaleko ogniska, z czerwonym kocem zarzuconym na ramiona. Jest nawet ładniejsza, niż mi się w nocy wydawało. Oczy ma intensywnie zielone, a skórę błyszczącą i delikatną.

— Cześć — odzywam się, przechodząc między nią a ogniskiem. Dziewczyna rzuca mi nieśmiały uśmiech, ale nic nie mówi, a ja nagle odczuwam do niej przyływ sympatii. Przypominam sobie, jaka sama byłam przerażona, gdy

uciekłam do Głuszy i znalazłam się pośród Raven, Tacka i innych. Zastanawiam się, skąd przybyła i jakich strasznych rzeczy musiała być świadkiem.

Na skraju ogniska, do połowy zakopany w popiele, leży sfatygowany garnek. W środku znajduję papkę z owsianki i czarnej fasoli, która została z kolacji z poprzedniego wieczora. Jest twarda, przypalona i właściwie bez smaku. Nakładam łyżką porcję do blaszanego kubka i szybko przełykam.

Gdy kończę, z lasu wychodzi Alex, niosąc plastikowy dzbanek pełen wody. Podnoszę odruchowo wzrok, by sprawdzić, czy zwróci na mnie uwagę, ale jego spojrzenie jak zwykle utkwione jest w przestrzeń ponad moją głową.

Mija mnie i zatrzymuje się przy tamtej dziewczynie.

— Proszę — mówi. Jego głos jest delikatny, to głos dawnego Aleksa, chłopaka z moich wspomnień. — Przyniosłem trochę wody. Nie bój się. Jest czysta.

— Dziękuję, Alex — odpowiada. Jego imię brzmi jakoś dziwnie w jej ustach. Wywołuje u mnie takie samo odczucie jak wtedy, kiedy jako dziecko znalazłam się w gabinecie krzywych luster: jakby wszystko było zniekształcone.

Tack, Pike i kilkoro innych, torując sobie drogę przez splątane gałęzie, wyłaniają się z lasu zaraz za Alekssem. Julian pojawia się jako jeden z ostatnich. Na jego widok wstaję, biegnę i rzucam mu się w ramiona.

— Hola, hola. — Julian śmieje się, cofa się pod wpływem mojego ciężaru, a potem mnie ściska, najwyraźniej zaskoczony i ucieszony. Nigdy nie byłam tak wylewna wobec niego za dnia, na oczach innych. — A to było za co?

— Tęskniłam za tobą — wyznaję, czując, że brak mi tchu. Kładę czoło na jego ramieniu, a jedną rękę na jego piersi.

Jej rytm jest uspokajający: Julian jest prawdziwy i jest teraz przy mnie.

— Przeszukaliśmy cały teren w promieniu kilometra — mówi Tack. — Wszystko wygląda spokojnie. Hieny musiały pójść w innym kierunku.

Ciało Juliana tężeje. Odwracam głowę w stronę Tacka.

— Hieny? — powtarzam.

Tack rzuca mi spojrzenie spode łba i nie odpowiada. Staje przed znaną wczoraj dziewczyną, obok której usiadł Alex. Dzieli ich tylko kilka centymetrów, a mój wzrok przyciąga przestrzeń między ich ramionami i łokciami przypominająca kształtem klepsydrę.

— Nie pamiętasz, ile dni temu to było? — pyta dziewczynę, i widzę, że walczy z sobą, by nie okazać zniecierpliwienia. Na zewnątrz Tack jest agresywny: agresywny i gruboskórny, tak jak Raven. To dlatego tak się dobrze dogadują.

Dziewczyna przygryza wargę. Alex wyciąga rękę i delikatnie dotyka jej dłoni, by dodać jej otuchy, a mnie nagle zaczyna mdlić.

— No dalej, Coral — mówi. No tak, wiadomo, dziewczyna taka jak ona musi mieć na imię Coral. Piękna, delikatna i wyjątkowa. Jak koral.

— Nie... nie pamiętam. — Ma niski głos, niemal chłopięcy.

— Spróbuj sobie coś przypomnieć — naciska Tack. Raven rzuca mu piorunujące spojrzenie: daj jej spokój.

Dziewczyna szczelniej otula się kocem. Przelyka ślinę.

— Przyszli kilka dni temu... Trzy, może cztery. Nie jestem w stanie powiedzieć dokładnie. Wcześniej znaleźliśmy starą stodołę, nienaruszoną, nocowaliśmy tam. Było

nas niewielu. David, Tigg i... i Nan. - Jej głos załamuje się, dziewczyna spazmatycznie wciąga powietrze do płuc. — I kilkoro innych... w sumie było nas osiem osób. Trzymaliśmy się razem, od kiedy przybyłam do Głuszy. Mój dziadek był kapłanem jednej ze starych religii. — Spogląda na nas wyzywająco, jak gdyby spodziewała się od nas słów krytyki. — Odmówił przejścia na Nowy Porządek i został zamordowany. — Wzrasza ramionami, jak gdyby chciała się otrząsnąć ze złych wspomnień. - Od tamtej pory nasza rodzina była pod obserwacją. A kiedy moja ciotka okazała się sympatyczką... nasze nazwiska umieszczono na czarnej liście. Nie mogliśmy znaleźć pracy, nie mogliśmy znaleźć pary, nie było jak dalej żyć. Nikt w Bostonie nie chciał nam wynająć mieszkania... zresztą i tak nie byłoby nas stać na czynsz.

W jej głosie pobrzmiewa gorycz. Zapewne dopiero ostatnie traumatyczne wydarzenia sprawiły, że wydaje się taka krucha i delikatna. W normalnych warunkach jest typem przywódczyni — jak Raven. Jak Hana.

Gdy widzę, jak Alex na nią patrzy, znów czuję ukłucie zazdrości.

— Hieny — przypomina jej Tack.

— Daj jej spokój - wtrąca się Raven. — Nie jest jeszcze gotowa, by o tym rozmawiać.

— Nie, nie. Tu nie chodzi o to. Tylko... niewiele pamięć tam... - Znowu kręci głową, tym razem wygląda na zmieszaną. - Nan miała problemy ze stawami. Gdy musiała się w nocy załatwić, wołała nie chodzić sama do lasu. Bała się, że może się przewrócić. — Dziewczyna przyciska kolana bliżej piersi. — Odprowadzaliśmy ją więc na zmiany. Tamtej nocy była moja kolej. To jedyny powód, że nie jestem... to jedyny powód... — nie kończy.

— A zatem pozostali nie żyją? — pyta Tack głucho. Dziewczyna kiwa głową. Dani mruczy:

— Cholera. — I czubkiem stopy kopie grudkę ziemi.

— Spłonęli — wyjaśnia Coral. — W czasie snu. Widziałyśmy to. Hieny otoczyły stodołę i po prostu... puf. Zajęła się jak zapałka. Nan straciła głowę. Pobiegła prosto w tamtą stronę. A ja za nią... potem niewiele już pamiętam. Myślałam, że Nan się pali... później pamiętam tylko, że obudziłam się w rowie i padało, a potem wy nas znaleźliście...

— Cholera, a niech to jasna cholera! — Dani z każdym przekleństwem posyła w górę kolejną grudkę ziemi.

— Nie pomagasz nam — warczy na nią Raven. Tack pociera czoło i wzdycha.

— Na szczęście już opuścili ten teren - mówi. — Mamy szczęście. Pozostaje nam mieć nadzieję, że nie natkniemy się na nich w drodze.

— Ilu ich było? — zwraca się do Coral Pike. Dziewczyna kręci głową. — Pięciu? Dziesięciu? Więcej? Wysił się trochę. Musisz nam dać jakieś...

— Chciałbym wiedzieć, po co - odzywa się Alex. Chociaż mówi cicho, wszyscy natychmiast milkną i zamieniają się w słuch. Uwielbiałam to w nim: sposób, w jaki zdobywa uwagę słuchaczy bez podnoszenia głosu, i pewność siebie, którą zawsze promieniował.

Teraz niczego nie powinnam wobec niego odczuwać, więc skupiam się na myśli, że Julian stoi tuż za mną. Skupiam się na tym, że kolana Aleksa i Coral się stykają, a on się nie odsuwa i w ogóle sprawia wrażenie, jakby nie miał nic przeciwko temu.

- Po co ten atak? Po co palić stodołę? To nie ma żadnego sensu — kontynuuje Alex, kręcąc głową. — Wszyscy

wiedzą, że Hieny napadają po to, by kraść i rabować, a nie tylko niszczyć. To nie była kradzież: to była zwykła rzeź.

- Hieny współpracują z AWD - wtrąca się Julian. Słowa wydobywają się z jego ust płynnie, chociaż muszą być dla niego trudne. AWD była organizacją stworzoną przez jego ojca, dorobkiem życia jego rodziny, i dopóki los nie zetknął nas z sobą kilka tygodni temu, był to również dorobek życia samego Juliana.

- Tak jest. - Alex podnosi się. Chociaż on i Julian przedstawiają argumenty za tą samą sprawą, a jeden uzupełnia wypowiedź drugiego, Alex nie spogląda w naszym kierunku. Wzrok ma utkwiony w Raven i Tacku. - Tu nie chodzi już o ich przetrwanie, prawda? Chodzi o jakieś wymierne korzyści. Stawka jest większa, a cele inne.

Nikt nie oponuje. Wszyscy wiedzą, że Alex ma rację. Hienom nigdy nie chodziło o remedium. Trafiły do Głuszy, ponieważ nie należały do normalnego społeczeństwa albo zostały wypchnięte poza jego nawias. Do niczego nie przynależą, nikomu nie podlegają i nie wiedzą, co to honor ani ideały. I chociaż zawsze były bezlitosne, ich ataki miały jakiś cel - Hieny plądrowały i rabowały, kradły prowiant i broń, i nie przeszkadzało im zabijanie przy tym ludzi.

Ale morderstwo bez powodu i bez wymiernych korzyści. To coś zupełnie innego. Tak jakby ktoś im to zlecił.

- Odstrzeliwują nas - mówi powoli Raven, jakby ta myśl właśnie klarowała się w jej głowie. Odwraca się do Juliana. - Zamierzają nas dopaść jak... jak zwierzynę. Czy o to chodzi?

Teraz wszyscy spoglądają na niego - jedni z ciekawością, inni z niechęcią.

— Nie wiem — odpowiada z wahaniem. A potem dodaje:
— Nie mogą sobie pozwolić, by pozostawić nas przy życiu.

— Czy teraz wolno mi powiedzieć: cholera? — pyta Dani sarkastycznym tonem.

— Ale jeśli AWD i porządkowi płacą Hienom, by nas zabijały, oznacza to, że ruch oporu jest silny — odzywam się.
— Widzą w nas zagrożenie. To dobra wiadomość.

Przez wiele lat Odmieńcy żyjący w Głuszy byli niejako chronieni przez rząd, którego oficjalne stanowisko było takie, że choroba, *amor deliria nervosa*, została wyeliminowana podczas blitzu, a wszyscy zarażeni zostali wytępieni. Miłość była już tylko przeszłością. Uznanie istnienia Odmieńców oznaczałoby przyznanie się do porażki.

Ale teraz propaganda nie może już dłużej zaprzeczać naszej obecności. Ruch oporu rozrósł się i stał się zbyt widoczny. Nie mogą nas dłużej ignorować ani udawać, że jesteśmy tylko legendą — więc teraz próbują nas powybijać.

— Tak, zobaczymy, jak fajnie jest być usmażonym we śnie przez Hieny — odpowiada Dani.

— Dajcie spokój. — Raven się podnosi. Widzę białą nitkę biegnącą przez jej czarne włosy. Nigdy przedtem jej nie zauważyłam i zastanawiam się, czy zawsze tam była, czy też pojawiła się ostatnio. — Będziemy po prostu musieli być bardziej ostrożni. Trzeba będzie badać tereny wybierane na obozowiska dokładniej, a wieczorami wystawiać straż. Jasne? Jeśli polują na nas, musimy okazać się szybsi i chytrzejsi. I będziemy musieli pracować r a z e m . Jest nas z każdym dniem więcej, prawda? - Spogląda ostentacyjnie na Pike'a i Dani, a potem kieruje wzrok z powrotem na Coral. — Dasz radę iść o własnych siłach?

Coral kiwa głową.

— Chyba tak.

- Zatem dobrze - stwierdza Tack, którego coraz bardziej rozpiera energia. Jest już późno, pewnie po dziesiątej. -Zróbmy ostatni obchód. Trzeba sprawdzić pułapki i zacząć się pakować. Wynosimy się stąd jak najszybciej.

Tack i Raven nie mają już wprawdzie niekwestionowanej kontroli nad grupą, ale nadal są w stanie popchnąć ludzi do działania i tym razem nikt im się nie sprzeciwia. Obozowaliśmy tutaj prawie trzy dni, a teraz, kiedy wyznaczyliśmy już kierunek wędrówki, wszyscy chcą jak najszybciej wyruszyć w drogę.

Ludzie rozchodzą się i znikają między drzewami. Wędrujemy razem od niecałego tygodnia, ale każdy z nas ma już przydzieloną rolę w grupie. Tack i Pike są myśliwymi, Raven, Dani, Alex i ja na zmianę zajmujemy się pułapkami. Lu przynosi i gotuje wodę. Julian pakuje i rozpakowuje nasz dobytek. Inni reperują ubrania i łatają namioty. W Głuszy przetrwanie zależy od porządku.

Co do tego akurat wyleczeni i niewyleczeni są zgodni.

Ruszam parę kroków za Raven, która kieruje się na niewielką górkę, w stronę zbombardowanych fundamentów, gdzie musiało się kiedyś znajdować osiedle mieszkaniowe. Widać tu ślady bytności szopów.

- Czy ona idzie z nami? - wyrzucam z siebie wreszcie.

- Kto? - Raven wydaje się zaskoczona moim widokiem.

- Ta dziewczyna. - Staram się, by mój głos brzmiał obojętnie. — Coral.

Raven unosi brew.

- Chyba nie ma za dużego wyboru, prawda? Albo pójdzie z nami, albo zostanie tu i umrze z głodu.

- Ale... — Nie potrafię wyjaśnić, skąd bierze się we mnie przecucie, że nie wolno jej ufać. — Nic o niej nie wiemy.

Raven przystaje. Odwraca się do mnie.

- Nie wiemy nic o nikim- odpowiada. - Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Guzik wiesz o mnie, a ja guzik wiem o tobie. Ty nawet guzik wiesz o samej sobie.

Myślę w tej chwili o Aleksie - dziwnym, przerażającym chłopaku, którego kiedyś znałam, a przynajmniej tak mi się wydawało. Może wcale się tak bardzo nie zmienił. Może nigdy tak naprawdę go nie znałam.

Raven wzdycha i pociera twarz obiema dłońmi.

— Posłuchaj, to co powiedziałam przed chwilą przy ognisku, mówiłam poważnie. Tkwimy w tym wszyscy razem i razem musimy działać.

- Rozumiem. - Odwracam się w stronę obozowiska. Z tej odległości czerwony koc wokół ramion Coral wygląda niepokojąco jak plama krwi na czystej drewnianej podłodze.

— Nie sądzę — odpowiada Raven. Staje naprzeciwko mnie i zmusza, bym jej spojrzała w oczy. Jej spojrzenie jest ciężkie, a oczy prawie czarne. - Nic nie ma znaczenia oprócz tego, co się teraz dzieje. To nie jest gra. To nie zabawa. To jest wojna. To coś większego niż ty czy ja. To coś większego niż my wszyscy razem wzięci. My już się więcej nie liczymy. - Jej głos mięknie. - Pamiętasz, co ci zawsze powtarzałam? Przeszłość jest martwa.

Dociera do mnie, że mówi teraz o Aleksie. Mam coraz większą gulę w gardle, ale nie chcę, żeby Raven zobaczyła, jak płaczę. Nie będę już nigdy płakać przez Aleksa.

Raven rusza przed siebie.

— Wracaj tam — odwraca się jeszcze i krzyczy do mnie przez ramię. — Pomóż Julianowi pakować namioty.

Oglądam się za siebie. Julian jest już w połowie roboty. Właśnie w tym momencie kolejny z namiotów zapada się w sobie jak składający się parasol.

- Świetnie sobie radzi. Nie potrzebuje mnie. - I już mam ruszyć za nią, kiedy Raven odwraca się, a jej czarne włosy rozwijają się za jej plecami jak wachlarz.

- Uwierz mi — mówi. - Potrzebuje cię.

Przez chwilę stoimy nieruchomo, mierząc się wzrokiem. Coś błyska w jej spojrzeniu, jakiś przekaz, którego nie jestem w stanie rozszyfrować. Możliwe, że ostrzeżenie.

A potem Raven uśmiecha się.

- Wciąż jestem tu szefem - dodaje. — Musisz mnie słuchać. Odwracam się zatem i schodzę w dół, do obozu, do Juliana — chłopaka, który mnie potrzebuje.

HANA

Gdy budzę się rano, przez chwilę nie wiem, co się dzieje: pokój tonie w słonecznym blasku. Najwyraźniej zapomniałam zaciągnąć żaluzje.

Podnoszę się i zsuwam z siebie kołdrę. Z zewnątrz dobiegają krzyki mew, a gdy wstaję z łóżka i spoglądam za okno, widzę, że słońce ożywiło trawę swoimi promieniami.

W biurku znajduję jedną z nielicznych rzeczy, które pofatygowałam się odpakować. Po zabiegu dostałam gruby podręcznik zatytułowany *Po remedium*, zawierający, jak głosi wstęp, „odpowiedzi na wszystkie pytania - zarówno najczęściej zadawane, jak i bardzo nietypowe - dotyczące zabiegu i jego następstw”.

Przerzucam szybko kartki do rozdziału na temat snów, po czym przeglądam kilka stron wyszczególniających, w nudnym naukowym języku, niezamierzony efekt uboczny remedium: brak marzeń sennych. Wtedy mój wzrok pada na zdanie, które sprawia, że mam ochotę przytulić książkę do

piersi: „Jak ciągle podkreślamy, ludzie są różni, i chociaż zabieg minimalizuje rozbieżności w temperamencie i osobowości, siłą rzeczy na każdego działa inaczej. Około pięciu procent wyleczonych wciąż miewa sny”.

Pięć procent. Niezbyt duża liczba, ale też nie jakiś podejrzenie malutki odsetek.

Od razu robi mi się lepiej. Zamykam książkę i podejmuję niespodziewaną decyzję.

Pojadę dziś na rowerze do domu Leny.

Nie byłam na Cumberland Avenue od miesięcy. W ten sposób oddam hołd naszej dawnej przyjaźni i — mam nadzieję — pozbędę się złych przeczuć, które załęgły się we mnie, od kiedy ujrzałam Jenny. Lena może i uległa chorobie, ale w końcu była to po części moja wina.

To pewnie dlatego ciągle o niej myślę. Remedium nie tłumi w końcu wszystkich uczuć, a najwyraźniej poczucie winy nie daje się tak łatwo zepchnąć pod powierzchnię.

Przejadę na rowerze obok jej dawnego domu, sprawdzę, czy wszystko jest w porządku, i od razu poczuję się lepiej. Wina potrzebuje rozgrzeszenia, a ja nie rozgrzeszyłam się za swój udział w jej zbrodni. Może wezmę ze sobą kawę. To ulubiony napój Carol, ciotki Leny.

A potem wrócę do swojego życia.

Ochlapuję twarz wodą, wkładam dzinsy oraz moją ulubioną bluzę z polaru, mięciutką po wielu latach suszenia w suszarce, i zawiązuję włosy w prowizoryczny kok. Lena zawsze robiła zrozpaczoną minę, gdy układałam włosy w ten sposób. To niesprawiedliwe — mówiła. Jeśli ja spróbowałam zrobić coś takiego, wyglądałoby to, jakby ptak uwił sobie gniazdo na mojej głowie.

— Hana? Wszystko w porządku? — woła mnie mama z korytarza. Jej głos jest dziwnie zatroskany. Otwieram drzwi.

— Tak, a co?

Mama patrzy na mnie podejrzliwie.

— Czy ty... czy ty śpiewałaś?

Musiałam nieświadomie mrużyć coś pod nosem. Zalewa mnie gorąca fala wstydu.

— Próbowałam sobie przypomnieć tekst jednej z piosenek, którą puszczał mi Fred - odpowiadam szybko. - Ale pamiętam tylko kilka słów.

Na twarzy mamy maluje się ulga.

— Jestem pewna, że znajdziesz ją w BAMF — mówi. Wyciąga rękę, łapie mnie za podbródek i przez chwilę przygląda mi się badawczo. - Dobrze spałaś?

— Idealnie. — Wyzwalam się z jej uścisku i ruszam w stronę schodów.

Na dole tata chodzi po kuchni, ubrany jak do pracy, brakuje mu tylko krawata. Wystarczy mi rzut oka na jego włosy, by stwierdzić, że oglądał przed chwilą wiadomości. Od ubiegłej jesieni, kiedy rząd wydał pierwsze oświadczenie potwierdzające istnienie Odmieńców, tata puszcza wiadomości niemal na okrągło, nie wyłącza ich nawet wtedy, gdy wychodzimy z domu. A gdy je ogląda, nerwowo bawi się włosami.

W telewizji kobieta z ustami pomalowanymi pomarańczową szminką oświadcza:

— Oburzeni mieszkańcy miasta zaatakowali dziś rano komisariat policji przy State Street, domagając się wyjaśnień, jak to się stało, że Odmieńcy byli w stanie bez przeszkód poruszać się po ulicach i roznosić ulotki z pogrózkami...

Pan Roth, nasz sąsiad, siedzi przy kuchennym stole i obraca w rękach kubek kawy. Jest już stałym bywalcem w naszym domu.

— Dzień dobry, Hana — mówi, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Dzień dobry, panie Roth.

Mimo że Rothowie mieszkają naprzeciwko nas, a pani Roth ciągle mówi o nowych ciuchach, które kupiła dla swojej starszej córki Victorii, wiem, że mają sporo problemów. Żadne z ich dzieci nie dostało dobrej pary, głównie z powodu skandalu związanego z Victorią. Podobno została zmuszona do wcześniejszego zabiegu po tym, jak przyłapano ją poza domem po godzinie policyjnej. Kariera pana Rotha stanęła w martwym punkcie i najwyraźniej dotknęły ich też problemy finansowe: nie używają już swojego samochodu, aczkolwiek wciąż stoi lśniący u nich na podjeździe. Do tego wcześniej gaszą światła — muszą oszczędzać prąd. Podejrzewam, że pan Roth wpada do nas tak często, ponieważ ich telewizor już nie działa.

— Cześć, tato — mówię, mijając stół w kuchni.

Tata odburkuje mi coś w odpowiedzi, bawiąc się kosmykiem włosów. Prezenterka kontynuuje:

— Ulotki znaleziono w kilkunastu różnych rejonach miasta, zostały nawet podrzucone do szkół i na place zabaw.

Materiał filmowy pokazuje teraz tłum ludzi stojących na schodach ratusza. Napisy na ich transparentach głoszą: **ODDAJCIE NAM NASZE MIASTO** oraz **AMERYKA WOLNA OD DELIRII**. AWD zyskała wielu zwolenników po tym, jak przewodniczący organizacji Thomas Fineman został zabity w zeszłym tygodniu. Już teraz jest traktowany jak męczennik, a pomniki poświęcone jego pamięci rosną w całym kraju jak grzyby po deszczu.

— Dlaczego nikt nic nie robi, by zapewnić nam bezpieczeństwo? — mówi jakiś mężczyzna do mikrofonu. Musi przekrzykiwać innych protestujących. — Władze miasta powinny nas chronić przed tymi szaleńcami. Tymczasem oni chodzą po naszych ulicach jak gdyby nigdy nic, drwiąc sobie z policji i porządkowych!

Przypominam sobie, jak gorączkowo próbowałam pozbyć się ulotki ubiegłej nocy, jak gdybym mogła w ten sposób zaprzeczyć jej istnieniu. Ale najwyraźniej Odmieńcy nie obrali sobie za cel tylko nas.

— To oburzające! — wybucha tata. Tylko dwa, może trzy razy w życiu byłam świadkiem, jak podniósł głos, a wściekłego widziałam go tylko raz: kiedy ogłoszono listę ofiar ataków terrorystycznych i znalazło się na niej nazwisko Franka Hargrove'a, ojca Freda. Wszyscy oglądaliśmy wtedy telewizję i nagle tata odwrócił się i cisnął szklanką o ścianę. Był to dla mnie i dla mamy taki szok, że tylko gapiłyśmy się na niego w milczeniu. Nigdy nie zapomnę, co powiedział tamtej nocy: *Amor deliria nervosa* to nie jest choroba miłości. To choroba

egoizmu. — Jaki jest sens w utrzymaniu Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, skoro... Pan Roth przerywa mu:

— Daj spokój, Rich, usiądź sobie. Jesteś w złym humorze.

— Oczywiście, że jestem w złym humorze. Te karaluchy...

W spiżarni w kilku równych rzędach stoją pudełka płatków śniadaniowych i torebki kawy. Wtykam jedno opakowanie kawy pod ramię i przesuwam pozostałe, żeby luka nie była widoczna. A potem łapię kromkę chleba i smaruję ją masłem orzechowym, mimo że wiadomości niemal zupełnie odebrały mi apetyt.

Wracam z powrotem przez kuchnię. Gdy jestem w połowie korytarza, tata odwraca się i krzyczy za mną:

— A ty gdzie się wybierasz?

Ustawiam się w taki sposób, żeby nie widział kawy.

— Pomyślałam, że przejażdżka rowerem dobrze mi zrobi — siłę się na beztroski ton.

— Przejażdżka rowerem? — powtarza.

— Sukienka ślubna robi się trochę za ciasna. - Ekspresyjnie gestykuluję kromką. - Chyba stres wzmacnia mi apetyt. - Przynajmniej moje umiejętności w dziedzinie kłamstwa nie zmieniły się po remedium.

Tata marszczy brwi.

— Tylko trzymaj się z daleka od centrum, dobrze? Ostatniej nocy Odmieńcy znowu zaatakowali...

— To był zwykły akt wandalizmu - mówi pan Roth. - Nic więcej.

Teraz telewizja pokazuje materiał filmowy ze styczniowych zamachów terrorystycznych: ziarnisty obraz zaważenia się wschodniej części Krypt uchwycony przez kamerę, ratusz w płomieniach, ludzie wylewający się z zatrzymanych autobusów i biegający po ulicach w panice i popłochu, kobieta stojąca w morzu, w falującej na wodzie sukience, krzycząca, że nadszedł dzień sądu, masy pyłu unoszone przez wiatr po całym mieście, pokrywające wszystko kredową bielą.

— To dopiero początek - odpowiada tata z zawziętością.

— Najwyraźniej ta wiadomość miała być ostrzeżeniem.

— Nic nie osiągną. Są słabo zorganizowani.

— To samo wszyscy mówili w zeszłym roku, a skończyło się na wyrwie w Kryptach, śmierci burmistrza i psychopatach krążących po mieście. Wiesz, ilu więźniów uciekło tamtego dnia? Trzystu.

— Od tamtego czasu wzmocniono ochronę — upiera się pan Roth.

— Co jednak nie przeszkodziło Odmieńcom w zabawieniu się w listonoszy ubiegłej nocy. Kto wie, co może się zdarzyć? — Wzdycha i przeciera oczy. A potem odwraca się do mnie. — Nie chcę, żeby moją córkę rozerwało na kawałki.

— Nie pojedę do centrum, tato - odpowiadam. - W ogóle będę się trzymać z dala od półwyspu, okej?

Tata kiwa głową i odwraca się z powrotem do telewizora. Zatrzymuję się na ganku i zajadam kanapkę, przytrzymując drugą ręką torebkę kawy wetkniętą pod ramię. Uświadamiam też sobie, zbyt późno, że chce mi się pić. Ale wolę już nie wracać do środka.

Przyklękam, wsadzam kawę do swojego starego plecaka, wciąż lekko pachnącego truskawkową gumą do żucia, i nasuwam baseballówkę na głowę. Zakładam też okulary przeciwsłoneczne. Nie sądzę, żebym miała wpaść na fotografów, ale wolę nie ryzykować natknięcia się na kogoś znajomego.

Wyciągam rower z garażu i wyprowadzam go na ulicę. Mówi się, że jazda na rowerze to umiejętność, której nigdy się nie zapomina, ale ja przez chwilę chwieję się jak dziecko, które dopiero uczy się jeździć. Wreszcie udaje mi się utrzymać równowagę. Kieruję rower w dół wzgórza i zaczynam zjeżdżać Brighton Court, w stronę stróżówki i granicy WoodCove Farms.

Jest coś uspokajającego w tym miarowym dźwięku kół stykających się z chodnikiem i orzeźwiających muśnięciach wiatru. Nie jest to wprawdzie to samo uczucie, jakie dawało mi bieganie, ale przynosi zadowolenie jak ułożenie się w czystej pościeli po długim dniu.

Poranek jest przepiękny, słoneczny, chociaż chłodny. W takie dni jak dziś trudno sobie wyobrazić, że połowa kraju jest nękana przez powstania buntowników, że Odmieńcy niczym ścieki przemieszczają się ulicami Portland i rozprzestrzeniają swoje chore idee pełne namiętności i przemocy. Trudno sobie wyobrazić, żeby gdziekolwiek w świecie mogło dziać się coś złego. Bratki rosnące na rabatce, którą mijam w pędzie, kiwają w moją stronę główkami, jak gdyby się ze mną zgadzały. Pozwalam, by grawitacja niosła mnie w dół wzgórza. Mijam żelazną bramę i stróżówkę bez zatrzymywania się, podnosząc rękę w geście powitania, choć wątpię, by Saul, nasz strażnik, mnie rozpoznał.

Poza granicami WoodCove Farms krajobraz szybko się zmienia. Ziemia należąca do rządu sąsiaduje z zapuszczonymi terenami i oto mijam właśnie trzecie z rzędu osiedle domków kempingowych. Stoją przed nimi grille i paleniska spowite warstwą dymu i popiołu, jako że ich mieszkańcy korzystają z elektryczności tylko sporadycznie.

Brighton Avenue prowadzi mnie na półwysep, do południowej części Portland. Ale ratusz, urzędy miejskie i laboratorium, przed którymi odbywają się protesty, znajdują się wciąż wiele kilometrów stąd. Tutaj, daleko od starego portu, królują niskie budynki między którymi ulokowane są małe sklepiki, tanie pralnie samoobsługowe, zniszczone kościoły i dawno opuszczone stacje benzynowe.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam w domu Leny, ale jedyne, co odnajduję w pamięci, to zlepek zgromadzonych przez lata obrazów, zapach sklepowych pierogów i mleka w proszku. Lena wstydziła się tego ciasnego domu i swojej rodziny. Wiedziała, co mówili ludzie.

Ale ja lubiłam do niej przychodzić. Trudno mi powiedzieć dlaczego. Przypuszczam, że przemawiał do mnie tamtejszy bałagan: łóżka ściśnięte w pokoju na górze, sprzęt domowy, który nigdy nie działał jak trzeba, ciągle wysiadające-bezpieczniki, rdzewiejąca pralka używana tylko do składowania zimowych ubrań.

Mimo że minęło już osiem miesięcy, odnajduję drogę bez problemu, pamiętając nawet o prowadzącym do Cumberland Avenue skrócie przez parking.

Przez całą drogę zdążyłam się spocić, zatrzymuję więc rower kilka metrów przed domem państwa Tiddle'ów, po czym zdejmuję czapkę i przejeżdżam ręką po włosach, żeby doprowadzić się do porządku. W pobliżu rozlega się trzask drzwi i jakaś kobieta ukazuje się na ganku zawalonym uszkodzonymi meblami, wśród których znajduje się, o dziwo, pokryta rdzawymi zaciekami deska klozetowa. Kobieta trzyma w rękach miotłę i zaczyna zamiatać w kółko niewielką powierzchnię ganka, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Okolica wygląda na dużo bardziej zapuszczoną niż dawniej. W połowie budynków okna i drzwi są zabite deskami. Czuję się jak obserwator w łodzi podwodnej przepływający obok wraku zatopionego statku. Zasłony w oknach poruszają się i mam wrażenie, że śledzi mnie wiele par niewidocznych oczu. Wyczuwam też gniew tkwiący wewnątrz wszystkich tych smutnych, niszczących domów.

Zastanawiam się teraz, co mnie podkusiło, żeby tu przyjechać. Co im powiem? Co w ogóle mogę w tej sytuacji powiedzieć?

Ale skoro dojechałam aż tutaj, nie ma sensu zawracać, zresztą wreszcie dostrzegam to, czego szukałam: numer 237,

dawny dom Leny. Gdy doprowadzam rower pod bramę, nie mam wątpliwości, że budynek jest od dawna niezamieszkały. W dachu brakuje dachówek, a okiennice zabito deskami. Ktoś wymalował wielki czerwony „X” na drzwiach wejściowych: znak, że dom był siedliskiem choroby.

- Czego tu szukasz?

Odwracam się. Kobieta na ganku przestała zamiatać. Trzyma miotłę w jednej ręce, a drugą osłania oczy przed słońcem.

- Szukam państwa Tiddle'ów - wyjaśniam. Na pustej ulicy mój głos rozlega się zbyt donośnie. Kobieta nie spuszcza ze mnie wzroku. Wbrew sobie przeprowadzam rower na drugą stronę ulicy, pod jej dom, chociaż coś we mnie się temu sprzeciwia, każe mi zawrócić. To nie jest mój świat.

- Tiddle'owie wyprowadzili się ostatniej jesieni - oznajmia kobieta i wznawia zamiatanie. - Nie byli tu mile widziani. Nie po tym, jak... - Nagle przerywa. - No cóż. Bywa. Nie wiem, co się potem z nimi stało, zresztą niewiele mnie to obchodzi. Jak dla mnie to mogą nawet zgnieć na tych Deering Highlands. Zepsuli nam opinię, utrudnili wszystkim życie...

- To tam się wyprowadzili? - Chwytam się tej informacji jak tonący brzytwy. - Na Deering Highlands?

Kobieta nagle staje się podejrzliwa.

- A ciebie co to w ogóle obchodzi? - pyta. - Jesteś ze straży młodzieżowej czy co? To jest dobra, porządna dzielnica. - Dźga ganek tą swoją miotłą, jak gdyby próbowała wybić niewidzialne insekty. — Czytam *Księgę* każdego dnia i przeszłam weryfikację jak wszyscy. Ale ludzie ciągle węższą, wywlekają stare brudy...

— Nie jestem z AWD — uspokajam ją. — I nie chcę na nikogo sprowadzać kłopotów.

— No to o co ci chodzi? — Przygląda mi się bacznie i widzę w jej oku błysk, jak gdyby coś w jej pamięci zaskoczyło.

— Zaraz, zaraz... Byłaś już kiedyś w okolicy?

— Nie — odpowiadam szybko i zakładam czapkę na głowę. Tutaj niczego więcej się nie dowiem.

— Jestem pewna, że skądś cię znam — ciągnie kobieta, gdy wsiadam na rower. Wiem, że w każdej chwili może jej się zaświecić lampka: to ta dziewczyna, którą sparowano z Fredem Hargrove'em.

— Na pewno nie — odpowiadam i zjeżdżam z powrotem na ulicę.

Powinnam odpuścić. Wiem, że tak będzie najlepiej. Ale mam nieodpartą potrzebę, by jeszcze raz zobaczyć rodzinę Leny. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło, od kiedy Lena odeszła.

Nie byłam w Deering Highlands od ubiegłego lata, kiedy to Alex, Lena i ja spotykaliśmy się przy Brooks Street 37, w jednym z wielu opuszczonych domów znajdujących się w tej dzielnicy. Tam też Lena i Alex zostali schwytani przez porządkowych, co było powodem ich przyspieszonej i naprędce zaplanowanej ucieczki.

Deering Highlands również wygląda na jeszcze bardziej zrujnowane niż wtedy, gdy byłam tu ostatni raz. Tereny te wyludniły się wiele lat temu, po tym, jak seria aresztowań w dzielnicy nadała jej reputację skażonej. Kiedy byłam mała, starsze dzieci opowiadały nam historie o duchach niewyleczonych, którzy zmarli na *amor deliria nervosa*

i teraz błakali się po ulicach. Stawiałyśmy sobie nawzajem wyzwanie, by pójść do Deering Highlands i dotknąć murów opuszczonych budynków. Trzeba było trzymać rękę przez całe dziesięć sekund, tak długo, by choroba miała szansę przesączyć się przez palce.

Lena i ja zrobiłyśmy to wspólnie tylko raz. Ona wymię-kła po czterech sekundach, ale ja odczekałam całe dziesięć, odliczając głośno i powoli, żeby słyszały to obserwujące nas dziewczyny. Dzięki temu byłam bohaterką drugiej klasy przez całe dwa tygodnie.

Ubiegłego lata na Deering Highlands zrobiono nalot na nielegalną imprezę. Byłam tam. Steven Hilt pochylał się i szeptał mi czułe słowa, a jego usta dotykały mojego ucha.

To była jedna z czterech nielegalnych imprez, na które się wybrałam po ukończeniu szkoły. Pamiętam te dreszcze, kiedy przemykałam ulicami długo po godzinie policyjnej i serce podchodziło mi do gardła. Następnego dnia spotykałyśmy się z Angeliką Marston i ze śmiechem dzieliłyśmy się wrażeniami. Rozmawiałyśmy szeptem o całowaniu i twierdziłyśmy, że uciekniemy do Głuszy, jak gdybyśmy były małymi dziewczynkami rozmawiającymi o krainie czarów.

I na tym to właśnie polegało. To były dziecięce zabawy. Jedna wielka zgrywa.

To nigdy nie miało się przytrafić mnie, Angie ani nikomu innemu. A już z całą pewnością nie Lenie.

Po nalocie okolica została oficjalnie przejęta przez władze miasta i wiele domów zburzono. Plany zakładały zbudowanie tutaj tanich mieszkań dla pracowników służb miejskich, ale budowę wstrzymano po atakach terrorystycznych. Gdy więc wjeżdżam teraz na teren Deering

Highlands, widzę jedno wielkie rumowisko: dziury w ziemi, zwalone drzewa z korzeniami zwróconymi w stronę nieba i rdzewiejące metalowe znaki ostrzegające o pracach budowlanych.

Jest tak cicho, że nawet skrzypienie kół roweru wydaje mi się zbyt głośne. Nagle do głowy przychodzą mi dziwne słowa: „w ciszy błędę między grobami, choć jeszcze nie chcę leżeć z wami” — stary wierszyk, który szepczą dzieci, kiedy przechodzą przez cmentarz.

Cmentarz: właśnie tym jest teraz Deering Highlands.

Zsiadam z roweru i opieram go o stary drogowskaz kierujący mnie na Mapie Avenue, kolejną ulicę poznaną dziurami w ziemi i przewróconymi drzewami.

Gdy idę Mapie Avenue, czuję się coraz bardziej jak idiotka. Nikogo tutaj nie ma. To oczywiste. Zresztą Deering Highlands to rozległy teren, płątani na małych uliczek i ślepych zaułków. Nawet jeśli rodzina Leny tu mieszka, niekoniecznie uda mi się ją odnaleźć.

Ale moje stopy stawiają kroki jeden po drugim, jak gdyby kontrolowało je coś innego niż mój mózg. Wiatr przemyka cicho po opustoszałym terenie, a powietrze przesiąknięte jest odorem zgnilizny. Mijam stare fundamenty przywodzące mi na myśl zdjęcie rentgenowskie, jakie pokazał mi kiedyś mój dentysta: te szare, prostokątne bloki wyglądają jak szeroko otwarta szczeka wystająca z ziemi.

A wtedy nagle dolatuje mnie woń dymu, słaba, ale nie do pomylenia z czymś innym, przeplatana innymi zapachami.

Ktoś pali ognisko.

Na kolejnym skrzyżowaniu skręcam w lewo, w Wynnewood Road. Oto Deering Highlands, jakie pamiętam

z ubiegłego lata. Tutaj domy ciągle stoją: majaczą, posepne i zimne, za gęstym szpalerem starych sosen.

Coś mnie łapie za gardło. Muszę być niedaleko Brooks Street 37. Nachodzi mnie nagły lęk, że mogłabym tam przypadkiem trafić.

Wtedy postanawiam: jeśli natknę się na tamten dom, to będzie znak, że powinnam zawrócić i jechać do domu. Zapomnę o swojej absurdalnej misji.

I nagle słyszę śpiewny głos:

- Mamo, powiedz, proszę, jak do domu wrócić... Staję jak wryta i przez chwilę stoję zupełnie nieruchomo, wstrzymując oddech i starając się zlokalizować, skąd dochodzi ten głos.

- Zgubiłam się w lesie, chciałam drogę skrócić... Słowa ze starej rymowanki o potworach, które rzekomo miały mieszkać w Głuszy. Wampiry. Wilkołaki. Odmieńcy.

Tyle że, jak się okazało, Odmieńcy istnieją naprawdę.

Schodzę na trawnik i lawiruję pomiędzy otaczającymi ulicę drzewami. Idę powoli, najpierw staję na palcach, a dopiero potem kładę na ziemi całą stopę - ten głos jest tak cichy, tak wąły, że boję się go zagłuszyć.

Wreszcie za zakrętem dostrzegam dziewczynkę przykucniętą na środku ulicy w wielkiej plamie słońca. Strąkowate ciemne włosy spadają jej na twarz jak zasłona. Mała jest chudziutka, to sama skóra i kości. Wystające rzepki kolanowe przypominają dwa spiczaste żagle.

Dziewczynka trzyma w jednej ręce brudną lalkę, a w drugiej ostro zakończony patyk. Lalka ma włosy z żółtej włóczki, a oczy z czarnych guzików, z których jeden już ledwie się trzyma. Usta wyszyte są czerwoną włóczką, także wystrzępioną.

- Zatrzymał mnie wampir, miał krzaczastą brew...
Zamykam oczy i w pamięci staje mi reszta rymowanki:

Mamo, pomóż, proszę, chciałabym iść spać. Jestem już półżywa, nie mam siły stać. Spotkałam Odmieńca, co urzekł mnie wielce, Pokazał mi uśmiech i skradł moje serce.

Kiedy znowu otwieram oczy, dziewczynka na moment podnosi wzrok, jednocześnie dźga powietrze swoim prowizorycznym kołkiem, jak gdyby chciała zabić wampira. Przez chwilę wszystko we mnie nieruchomieje. To Grace, młodsza kuzynka Leny. Jej najdroższa kuzynka.

To Grace, która nigdy, przenigdy nie wypowiedziała do nikogo ani słowa, ani razu podczas tych sześciu lat, kiedy ją znałam.

- Mamo, pomóż, proszę, chciałabym iść spać... Chociaż w cieniu jest chłodno, czuję, jak między piersiami zbiera mi się kropla potu i spływa w stronę brzucha.

- Spotkałam Odmieńca, co urzekł mnie wielce... Teraz bierze patyk i zaczyna wiercić nim dziurę w szyi lalki, jak gdyby chciała jej zrobić bliznę po zabiegu.

- SZZ to szczęście, zdrowie i zadowolenie... — mruczy pod nosem.

Teraz zmienia ton i mówi do lalki jak do małego dziecka.

- Ciii. Bądź grzeczną dziewczynką. Nie będzie bolało, zobaczysz.

Nie jestem w stanie dłużej na to patrzeć. Mała kłuje lalkę w miękką szyję, przez co głowa zabawki kołysze się w tył i w przód, jak gdyby potakiwała. Zbieram się na odwagę i wychodzę spomiędzy drzew.

- Gracie — przywołuję ją. Bezwiednie wyciągam jedną rękę, jak gdybym zbliżała się do dzikiego zwierzęcia.

Dziewczynka zastyga. Robię kolejny ostrożny krok w jej kierunku. Mała ściska patyk w ręku tak mocno, że knykcie jej bieleją.

- Grace. - Przetykam ślinę. - To ja, Hana. Jestem przyjaciółką. .. byłam przyjaciółką twojej kuzynki, Leny.

Nagle mała skacze na równe nogi i zrywa się do biegu, porzucając lalkę i patyk. Bez zastanowienia ruszam za nią.

- Zaczekaj! - krzyczę. - Proszę! Nie zrobię ci krzywdy! Grace jest niesamowicie szybka. Wysforowała się na

kilkanaście metrów. Znika za rogiem i zanim zza niego wybiegam, mała zdążyła już zniknąć mi z oczu.

Zatrzymuję się. Serce wali mi jak oszalałe, a w ustach mam ohydny smak. Zdejmuję czapkę i ocieram pot z czoła. Czuję się jak kompletna idiotka.

- Głupia — mówię na głos. A ponieważ robi mi się od tego lepiej, powtarzam nieco głośniej: - Głupia.

Za moimi plecami rozlega się chichot. Odwracam się: ani żywej duszy. Włosy stają mi dęba. Mam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, i dociera do mnie, że jeśli mieszka tu rodzina Leny, muszą też mieszkać i inni. Dostrzegam tanie zasłony z tworzywa sztucznego wiszące w oknach domu naprzeciwko. Na trawniku przed nim leżą stare plastikowe zabawki, pojemniki i klocki, ale równo ułożone, jak gdyby ktoś niedawno się nimi bawił.

Zaczynam się czuć coraz bardziej nieswojo, więc wracam pomiędzy drzewa, nie spuszczać oczu z drogi, szukając na niej śladów ruchu.

- Mamy prawo tu być, wiesz o tym — słyszę szept tuż za plecami.

Odwracam się błyskawicznie tak przerażona, że przez chwilę nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa. Spomiędzy drzew wyłania się dziewczyna. Spogląda na mnie szeroko otwartymi brązowymi oczami.

— Willow? — udaje mi się wydusić po chwili. Dziewczyna mruga powiekami. Jeśli mnie rozpoznała,

nie widać tego po niej. Ale to z pewnością ona — Willow Marks, moja dawna koleżanka z klasy, która została wydalona ze szkoły tuż przed jej zakończeniem. Krążyły plotki, że została złapana z chłopakiem, niewyleczonym, w Deering Oaks Park po godzinie policyjnej.

— Mamy prawo — powtarza tym samym nerwowym szeptem. Zapłata długie, chude dłonie. — Ścieżka i wzór dla każdego... taka jest obietnica remedium...

— Willow. — Robię krok w tył i o mało się nie przewracam. — Willow, to ja. Hana Tate. Chodziłyśmy w zeszłym roku na matematykę. Do klasy pana Fillmore'a. Pamiętasz?

Mruga powiekami. Włosy ma długie i rozczochrane. Przypomina mi się teraz, jak farbowała je w różnokolorowe pasemka. Moi rodzice zawsze mówili, że ta dziewczyna aż prosi się o kłopoty. Mówili, żebym trzymała się od niej z daleka.

— Fillmore, Fillmore... — powtarza. Gdy odwraca głowę, widzę potrójną bliznę i przypominam sobie, że gdy niespodziewanie zniknęła ze szkoły, mówiono, że rodzice wysłali ją na wcześniejszy zabieg. Willow marszczy brwi i kręci głowę. — Nie wiem... nie jestem pewna... — Podnosi palce do ust i widzę, że paznokcie ma obgryzione do krwi.

Czuję szarpnięcie w żołądku. Muszę się stąd wydostać. W ogóle nie powinnam była tu przyjeżdżać.

— Miło było cię spotkać, Willow. - Zaczynam powoli ją omijać, starając się nie sprowokować jej zbyt gwałtownym ruchem, chociaż niczego innego nie pragnę, jak wziąć nogi za pas.

Nagle Willow wyciąga rękę, obejmuje moją szyję i przyciąga mnie do siebie, jak gdyby chciała mnie pocałować. Z piersi wyrywa mi się krzyk i staram się uwolnić z jej uścisku, ale Willow jest zaskakująco silna.

Jedną ręką zaczyna wędrować po mojej twarzy, dotykać policzków i podbródka, jak gdyby była niewidoma. Dotyk jej paznokci na mojej skórze przywołuje mi na myśl małe gryzonie z ostrymi pazurkami.

— Błagam. — Z przerażeniem odkrywam, że jestem bliska płaczu. W gardle narasta ucisk. Strach sprawia, że ciężko mi oddychać. - Błagam, puść mnie.

Jej palce natrafiają na moją bliznę po zabiegu. W mgnieniu oka traci cały rezon. Przez chwilę jej wzrok nabiera ostrości, a kiedy na mnie spogląda, widzę dawną Willow: bystrą, wyzywającą, tyle że pokonaną.

— Hana Tate — mówi smutno. - A więc ciebie też dopadli. I wtedy wypuszcza mnie, a ja wreszcie rzucam się do ucieczki.

LENA

Coral spowalnia marsz. Teraz, gdy obmyto i opatrzone jej rany, widać, że nie ma żadnych poważnych urazów poza drobnymi skaleczeniami i zadrapaniami, ale jest wyraźnie osłabiona. Od samego początku zostaje w tyle, a Alex jej towarzyszy. Przez pierwszą część dnia, nawet jeśli próbuję nie zwracać na to uwagi, przez szmer innych głosów docierają do mnie strzępy ich rozmów. Raz słyszę, jak Alex wybucha śmiechem.

Po południu natrafiamy na ogromny dąb, którego pień jest gęsto ponacinany kreskami. Na ten znajomy widok z piersi wyrывa mi się okrzyk radości: trójkąt, a za nim kilka cyfr i prymitywna strzałka. Te znaki żłobił w zeszłym roku Bram podczas naszej wędrówki na południe, by śledzić, ile przeszliśmy, i móc dzięki temu znaleźć drogę powrotną na wiosnę.

Te akurat pamiętam szczególnie. Wskazują drogę do domu, na który natrafiliśmy przez przypadek, nietkniętego

przez blitz, zamieszkałego przez rodzinę Odmieńców. Raven też musiała je rozpoznać.

— Szczęście nam sprzyja — oświadcza, uśmiechając się szeroko. A potem zwraca się głośniejszym głosem do grupy: — Tędy pod dach!

Rozlegają się radosne okrzyki. Wystarczył tydzień poza cywilizacją, a już odczuwamy głód najprostszych rzeczy: dachu nad głową, ścian, wanny pełnej parującej wody. I mydła.

Niecałe półtora kilometra od celu na widok spadzistego dachu pokrytego gąszczem brązowego bluszczu serce mi skacze. Głusza — tak ogromna, zmienna i zdradliwa — budzi pragnienie spotkania czegoś znajomego.

— Zatrzymaliśmy się tutaj ubiegłej jesieni podczas wędrówki na południe — wyjaśniam Julianowi. — Pamiętam to rozbite okno. Widzisz? Zabili je drewnem. A to, co wystaje spod bluszczu, to mały kamienny komin.

Nie uchodzi też mojej uwagi, że dom jest bardziej zaniedbany niż pół roku temu. Kamienna fasada jest ciemniejsza, pokryta śliską warstwą czarnego grzyba, który zagnieździł się w szczelinach między kamieniami. Mała polana, gdzie w zeszłym roku rozbiliśmy namioty, zarosła wysoko brązową trawą i ciernistymi roślinami.

Z kominia nie unosi się dym. Skoro nie palą w środku, w domu musi być zimno. Zeszłej jesieni, gdy wyszliśmy na polanę, wybiegły nam na spotkanie dzieci. Wówczas ciągle przebywały na zewnątrz, bawiły się ze sobą, droczyły, wiecznie roześmiane i rozkrzyczane. Teraz nie słyhać nic z wyjątkiem wiatru szeleszczącego cicho zwojami bluszczu.

Robi mi się jakoś nieswojo. Inni chyba odczuwają to samo. Ostatnie półtora kilometra przeszliśmy szybko,

poruszając się jedną zwartą grupą, napędzani perspektywą prawdziwego posiłku, ciepłego wnętrza i szansy, by poczuć się jak ludzie. Ale teraz wszyscy milkną.

Raven dochodzi do drzwi jako pierwsza. Zatrzymuje się na chwilę z uniesioną pięścią. A potem puka. Głuchy dźwięk potęguje panująca cisza. Nic się nie dzieje.

— Może poszli do lasu nazbierać grzybów i jagód — odzywam się. Staram się stłumić narastającą mi w piersi panikę, podobną do ostrego lęku, który ogarniał mnie za każdym razem, gdy przebiegałam obok cementarza w Portland.

„Lepiej biegnij szybko — mawiała wtedy Hana — bo inaczej umarlaki wyciągną ręce i złapią cię za kostkę”.

Raven nie odpowiada. Kładzie rękę na gałce i przekręca ją. Drzwi otwierają się.

Odwraca się do Tacka, który zdejmuje z ramienia strzelbę i pierwszy wchodzi do środka. Raven najwyraźniej przyjmuje to z ulgą. Sama wyjmuje nóż z za pasa i idzie za Tackiem, a reszta za nimi.

W środku koszmarnie cuchnie. Ciemność rozprasza niewielką ilość światła wpadająca przez otwarte drzwi i szpary między drewnianymi listwami, którymi zabite jest okno. W półmroku dostrzegamy zarys mebli, wiele z nich jest połamanych lub poprzewracanych. Ktoś wydaje z siebie krzyk.

— Co tu się stało? — pytam szeptem.

Julian w ciemności odnajduje moją rękę i ściska ją. Nikt nie odpowiada. Tack i Raven wchodzą głębiej, słysząc chrzęst ich butów na rozbitym szkłe. Tack uderza mocno kolbą karabinu w drewniane listwy w oknie. Poddają się bez trudu, dzięki czemu do środka wpada więcej światła.

Nic dziwnego, że tak paskudnie śmierdzi. Z przewróconego miedzianego garnka wysypuje się zepsute jedzenie.

Gdy stawiam kolejny krok, widzę insekty rozbiegające się po kątach. Robi mi się niedobrze.

— O Boże — wzdycha cicho Julian.

— Sprawdź na górze — odzywa się Tack normalnym głosem, co sprawia, że aż się wzdrygam. Ktoś włączył latarkę, jej promień omiata zaśmieconą podłogę. Wtedy przypominam sobie, że ja również mam latarkę i po omacku odnajduję ją w plecaku.

Kierujemy się z Julianem do kuchni. Trzymam przed sobą latarkę sztywno, jak gdyby jej światło było tarczą, która ma nas chronić. Tutaj jest więcej śladów walki: rozbite słoiki, jeszcze więcej robactwa i gnijącego jedzenia. Zakrywam rękawem nos i oddycham przez tkaninę. Oświetlam promieniem latarki półki kredensu. Są świetnie zaopatrzone: słoiki z marynowanymi warzywami i mięsem stoją w równym rzędzie obok suszonej wołowiny. Zawartość słoików jest opisana starannym pismem, na widok którego zaczyna mi się kręcić w głowie. Staje mi bowiem przed oczami kobieta z ogniście rudymi włosami, pochylona nad słoikiem, z długopisem w ręku, mówiąca z uśmiechem: już kończy nam się papier, wkrótce będziemy musieli zgadywać, co jest gdzie.

— Teren czysty — rozlega się głos Tacka, a zaraz potem, gdy schodzi, słyszymy na schodach jego ciężkie kroki. Julian ciągnie mnie do głównego pokoju, gdzie wciąż jest większość grupy.

— Znowu Hieny? — pyta Gordo ponuro. Tack przejeżdża ręką po włosach.

— Nie szukali prowiantu — odzywam się. — Spizarnia jest pełna.

— Może to w ogóle nie były Hieny — mówi Bram. — Może ta rodzina po prostu się stąd wyniosła.

-1 niby co? Przed odejściem zdemolowali swój dom?
-Tack kopie butem metalowy kubek. -1 zostawili jedzenie?

- Może się spieszyli. - Bram nie daje za wygraną. Ale widać, że nawet on w to nie wierzy. Atmosfera w domu jest dziwna, złowroga. To miejsce, w którym wydarzyło się coś złego i każdy z nas o tym wie.

Wychodzę na ganek, by odetchnąć świeżym powietrzem, zapachem otwartej przestrzeni i lasu. Wolałabym nigdy tutaj nie trafić.

Połowa grupy też już wyszła na zewnątrz. Dani chodzi po podwórku powoli, rozdzielając trawę ręką - nie mam pojęcia, czego szuka - co wygląda, jak gdyby brodziła po kolana w wodzie. Zza domu dobiegają jakieś krzyki. A potem słyszę głos Raven:

- Cofnąć się, cofnąć. Nie wchodźcie tu. Powiedziałam, nie wchodźcie tu.

Czuję ucisk w żołądku. Znalazła coś. Gdy wychodzi z domu, oddech jej się rwie, a oczy błyszczą gniewem.

- Znalazłam ich - mówi.

Nie musi już dodawać, że nie żyją.

- Gdzie? - pytam chrapliwym głosem.

- U stóp pagórka - rzuca i minąwszy mnie, wchodzi z powrotem do domu. Nie chcę wracać do środka, do tego smrodu, ciemności i pokrywającej wszystko grubej warstwy śmierci. Bo właśnie to wisi tam w powietrzu: śmierć. Mimo to wracam.

- Co znalazłaś? - pyta Tack. Wciąż stoi na środku pokoju, a reszta otacza go półkolem, nieruchomo, w ciszy. Przez chwilę przypominają mi posągi zastygłe w szarym świetle.

- Ślady po pożarze - mówi Raven, a potem dodaje nieco ciszej: — Kości.

- Wiedziałałam - odzywa się Coral wysokim głosem, w którym pobrzmiwa histeria. - Byli tutaj. Wiedziałałam.

- Ale już sobie poszli - uspokaja ją Raven. - I nie wrócą.

- To nie były Hieny.

Wszyscy odwracamy się jak na komendę. W drzwiach stoi Alex i trzyma w ręku coś czerwonego - zwiniętą wstęgę albo pasek plastiku.

- Mówiłam ci, żebyś tam nie szedł - warczy na niego Raven i rzuca mu piorunujące spojrzenie, ale pod jej gniewem wyczuwam również strach.

Alex nie zwraca na nią uwagi. Wchodzi do środka, rozwija materiał i przytrzymuje go tak, abyśmy wszyscy mogli zobaczyć - to długi pas czerwonej plastikowej taśmy z nadrukowanymi czaszkami i skrzyżowanymi pieszczelami oraz słowami: UWAGA, ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE.

- Cały teren jest tym otoczony - oznajmia Alex. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji, ale głos jest dziwnie stłumiony, jak gdyby mówił przez zasłonięte usta.

Teraz sama czuję się jak posąg. Chcę coś powiedzieć, ale w głowie mam pustkę.

- Co to oznacza? - pyta Pike. Mieszka w Głuszy od dziecka i niewiele wie o życiu po drugiej stronie granicy: o porządkowych i kampaniach zdrowotnych, kwarantannach i więzieniach, o lęku przed zarażeniem.

- Ludzie zakażeni nie są grzebani w ziemi - odpowiada Alex. - Albo robi się to gdzieś na odludziu, na przykład na więziennych podwórzach, albo pali się ich

ciała. — Przez chwilę oczy Aleksa spotykają się z moimi. Jestem tutaj jedyną osobą, która wie, że ciało jego ojca zostało pochowane na małym więziennym dziedzińcu Krypt, gdzie nawet nie postawiono mu nagrobka. Jestem jedyną osobą, która wie, że przez lata Alex odwiedzał ten prowizoryczny grób i wypisał nazwisko ojca markerem na kamieniu, aby ocalić je przed zapomnieniem. Tak mi przykro — staram się mu przekazać w myślach, ale jego wzrok już powędrował dalej.

— To prawda, Raven? — pyta ostrym tonem Tack. Raven otwiera usta, a potem znowu je zamyka. Przez

chwilę wydaje mi się, że zaprzeczy. Ale wreszcie oświadcza zrezygnowanym tonem:

— Wygląda to na porządkowych.

Słysząc, jak wszyscy naraz biorą głęboki oddech.

— Cholera — mruczy Hunter, a Pike mówi:

— Nie wierzę.

— Porządkowi... — powtarza Julian. — Ale to oznacza...

— Ze Głusza nie jest już bezpieczna — kończę za niego.

W mojej piersi narasta panika. — Głusza nie jest już n a s z a .

— Zadowolony? — pyta Raven, rzucając Aleksowi wściekłe spojrzenie.

— Mają prawo wiedzieć — odpowiada szorstko.

— Okej. — Tack podnosi ręce. — Uspokójcie się. Czy to cokolwiek zmienia? Wiedzieliśmy już przecież, że Hieny wyruszyły na polowanie. Musimy po prostu być bardziej czujni. Pamiętajcie, porządkowi nie znają Głuszy. Nie są przyzwyczajeni do poruszania się wśród dzikiej przyrody i walki na otwartym terenie. To jest n a s z e terytorium.

Wiem, że Tack robi, co może, żeby podnieść nas na duchu, ale myli się co do jednego: coś się jednak zmieniło. Co

innego bombardować nas z wysokości. Teraz porządkowi przedostali się przez granicę, prawdziwą czy mentalną, oddzielającą nasze światy. Przedarli się przez niewidzialną, ukrywającą nas przez lata tkaninę.

Przypomina mi się sytuacja, gdy kiedyś wróciłam do domu i znalazłam szopa, który jakoś przedostał się do wnętrza, poprzegryzał pudełka z płatkami śniadaniowymi i porzucił okruszki w każdym pokoju. Dopadliśmy go wreszcie w łazience. Wujek William zastrzelił go, twierdząc, że pewnie przenosi chorobę. Zwierzę zostawiło też okruszki w mojej pościeli, było zatem w moim łóżku. Prałam pościel aż trzy razy, zanim byłam w stanie w niej spać, ale nawet wtedy śniły mi się małe pazurki wbijające mi się w skórę.

— Ogarnijmy trochę ten bałagan — mówi Tack.
-Upchamy w środku tylu ludzi, ilu się zmieści. Reszta rozbije obóz na zewnątrz.

— Zostajemy tutaj? - pyta Julian z niedowierzaniem. Tack spogląda na niego hardo.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ... — Julian rozgląda się bezradnie po grupie, ale wszyscy unikają jego wzroku. - Ponieważ zginęli tutaj ludzie. To po prostu... niestosowne.

-Niestosowny byłby powrót do Głuszy, kiedy mamy dach nad głową, spiżarnię pełną jedzenia i pułapki lepsze niż ten złom, którego używaliśmy dotychczas - odpowiada ostro Tack. - Porządkowi już tu byli. 1 nie wróca. Zrobili swoje za pierwszym razem.

Julian spogląda na mnie błagalnym wzrokiem, prosząc o wsparcie. Ale znam Tacka zbyt dobrze, zbyt dobrze znam też Głuszę. Kręcę głową. Nie ma sensu się sprzeciwiać.

— Szybciej pozbędziemy się tego smrodu, jeśli wyważymy pozostałe okna — mówi Raven.

— Za domem leży porąbane drewno na opał — dodaje Alex. — Mogę rozpalić ognisko.

— W porządku. — Tack nie zaszczyca Juliana spojrzeniem. — Zatem postanowione. Zostajemy tutaj na noc.

Śmieci wyrzucamy za domem. Staram się nie przyglądać roztrzaskanym talerzom i połamanym krzesłom ani nie myśleć o tym, że pół roku temu siedziałam na nich syta i ogrzana.

Szorujemy podłogę octem znalezionym w kredensie, a Raven zbiera z podwórka trochę wysuszonej trawy i pali ją w kątach, by wygnać mdły zapach zgnilizny.

Raven posyła mnie do lasu z kilkoma małymi pułapkami, a Julian zgłasza się na ochotnika do pomocy. Pewnie szuka wymówki, by oddalić się stąd na chwilę. Wiem, że mimo oczyszczenia domu z niemal wszystkich śladów walki wciąż czuje się tam nieswojo.

Idziemy przez chwilę w milczeniu, przechodzimy przez zapuszczone podwórko, a potem zanurzamy się w gęstą plataninę drzew. Niebo jest naznaczone różowymi i fioletowymi pasmami, cienie są coraz dłuższe, przypominają proste pociągnięcia pędzlem po ziemi. Ale powietrze jest wciąż ciepłe, a kilka drzew zdobią już zielone listki.

Lubię taką Głuszę: chudą, nagą, nieprzystrojoną jeszcze w wiosnę. Ale jednocześnie zachłanną, ekspansywną, spragnioną słońca. Pragnienie to zaspokajane jest z każdym dniem coraz mocniej. Wkrótce wybuchnie całym swoim pięknem, upojona i wibrująca życiem.

Julian pomaga mi ukryć pułapki w miękkiej ściółce. Lubię to doznanie: czuć ciepło ziemi, dotyk palców Juliana.

Po założeniu wszystkich pułapek i zaznaczeniu ich położenia przez zawiązanie sznurka wokół najbliższych drzew Julian odzywa się:

— Chyba nie jestem jeszcze gotów, by tam wrócić. Jeszcze nie teraz.

— W porządku. — Podnoszę się i wycieram ręce o dzinsy. Mnie też tam nie ciągnie. Nie chodzi tylko o dom. Chodzi o Aleksa. Ale i o grupę, o ich ciągle kłótnie i podziały, wzajemną niechęć i przepychanki. To jest tak zupełnie różne od tego, co zastałam w Głuszy na samym początku: tam wszyscy byli jak rodzina.

Julian też się prostuje. Przebiega ręką po włosach.

— Pamiętasz, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy? — pyta mnie nieoczekiwanie.

— Kiedy Hieny...?

— Nie, nie. — Przerzywa mi i kręci głową. — Wcześniej. Na zebraniu AWD.

Potakuję. Wciąż dziwnie mi, gdy pomyślę, że chłopak, którego wtedy widziałam — chłopak z plakatów wzywających do walki z delirią, wcielenie poprawności — ma cokolwiek wspólnego z tym, który idzie teraz obok mnie z potarganymi, przyklejonymi do czoła włosami, przypominającymi poskręcane nitki karmelu, z twarzą rumianą od zimna.

Nie przestaje mnie zdumiewać, że ludzie są nowi każdego dnia. Że nigdy nie są tacy sami. Trzeba ich ciągle wymyślać. Zresztą oni też muszą ciągle wymyślać samych siebie.

— Zostawiłaś rękawiczkę. Weszłaś do sali i przyłapałaś mnie na oglądaniu zdjęć...

— Pamiętam. Zdjęcia z inwigilacji, tak? Powiedziałeś wtedy, że szukacie obozów Odmieńców.

— Kłamałem. — Julian zawstydzony kręci głową. — Chodziło o to, że po prostu... lubiłem patrzeć na tę przestrzeń. Na ten bezmiar, wiesz? Ale nigdy nie wyobrażałem sobie, nawet kiedy marzyłem o Głuszy i miejscach poza murami, że to naprawdę mogłoby tak wyglądać.

Wyciągam rękę i ściskam jego dłoń.

— Wiedziałaś, że kłamiesz.

Oczy Juliana są dzisiaj czystym błękitem, to kolor lata. Czasem stają się szare jak ocean o świcie, innym razem są blade jak poranne niebo. Powoli poznaję wszystkie ich odcienie. Julian przesuwa jednym palcem wzdłuż krawędzi mojej brody.

— Lena...

To intensywne spojrzenie budzi we mnie niepokój.

— Coś się stało? — pytam, starając się, by mój głos dalej brzmiał pogodnie.

— Nic. — Sięga po moją drugą dłoń. — Nic złego. Chcę tylko... chcę ci coś powiedzieć.

Nie — chcę zaprotestować, ale słowo to rozplywa się w histerycznej potrzebie śmiechu, podobnej do tej, która ogarniała mnie tuż przed egzaminami. Julian rozmazał sobie kawałek ziemi na policzku i na widok tego zaczynam chichotać.

— O co chodzi? — pyta zdezorientowany.

Teraz, gdy zaczęłam się śmiać, nie mogę się powstrzymać.

— Ziemia — mówię, wyciągając rękę, by dotknąć jego policzka. — Ubrudziłeś się.

— Lena — mówi to z taką siłą, że wreszcie milknę. — Próbuję ci powiedzieć coś ważnego, okej?

Przez chwilę stoimy w ciszy, spoglądając tylko na siebie. Głusza ten jeden jedyny raz jest zupełnie nieruchoma. Jest tak, jakby nawet drzewa wstrzymywały oddech. Widzę siebie odbijającą się w oczach Juliana — sam cień, kształt, żadnej substancji. Zastanawiam się, jak on mnie widzi.

Julian bierze głęboki oddech. A potem, jednym tchem, oświadcza:

- Kocham cię - dokładnie w tym samym momencie, kiedy ja wyrzucam z siebie:

- Nie mów tego. Kolejna chwila ciszy.

- Co? — odzywa się wreszcie zaskoczony Julian. Chciałabym cofnąć te słowa. Chciałabym powiedzieć

zamiast nich: ja też cię kocham. Ale one trzepoczą tylko w mojej piersi jak ptaki w klatce.

- Julian, musisz wiedzieć, jak wiele dla mnie znaczysz. -Próbuję go dotknąć, ale on odsuwa się gwałtownie.

- Daruj sobie - mówi. Odwraca wzrok. Między nami rozciąga się cisza. Z każdą chwilą robi się ciemniej. Wszystko wokół zmieniło się w różne odcienie szarości jak rozmazujący się rysunek węglem.

- To przez niego, tak? - Wreszcie przerywa milczenie, ponownie spoglądając mi w oczy. - Przez Aleksa.

Chyba pierwszy raz Julian wymawia jego imię.

- Nie — odpowiadam ze zbytnią emfazą. - Nie chodzi tylko o niego. Między nami już wszystko skończone. - Julian kręci głową. Wiem, że mi nie wierzy. - Błagam - mówię. Wyciągam do niego rękę i tym razem pozwala mi przesunąć dłoń wzdłuż swojej brody. Wspinam się na palce i całuję go. Nie odsuwa się, ale też nie oddaje pocałunku. — Po prostu daj mi trochę czasu.

Wreszcie się poddaje. Ujmuję jego ręce i owijam je wokół swojego ciała. Julian całuje mnie w nos, potem w czoło, a potem wędruje ustami do mojego ucha.

- Nie miałem pojęcia, że to będzie tak wyglądało - szepcze. A potem dodaje: — Boję się.

Czuję przez warstwy naszych ubrań, jak bije jego serce. Nie wiem dokładnie, do czego odnosiły się jego słowa — do Głuszy, do ucieczki, do bycia ze mną, miłości - ale ściskam go mocno i kładę głowę na jego piersi.

- Wiem — odpowiadam. — Ja też się boję. A wtedy z oddali dobiega nas głos Raven:

- Podano żarcie! Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi! Spłoszone jej krzykiem stado ptaków podrywa się i z wrzaskiem kołuje po niebie. Wiatr wzmacnia się, a Głusza ożywa na nowo szelestem, tupotem, trzaskami — swym nieustannym dziwnym bełkotem.

- Chodź — mówię i prowadzę Juliana z powrotem do domu umarłych.

HANA

Wybuch: całe niebo zaczyna drżeć. Najpierw jeden, zaraz drugi, a potem już trudno zliczyć, rozlega się cała salwa wystrzałów, którym towarzyszą dym, światło i feeria kolorów na tle bladoniebieskiego wieczornego nieba.

Wszyscy klaszczą, gdy nad tarasem rozkwita ostatnia seria sztucznych ogni. W uszach mi dzwoni, od dymu pali mnie w nozdrzach, ale i ja klaszczę.

Fred został oficjalnie burmistrzem Portland.

— Hana! — Zmierza w moim kierunku, z uśmiechem na twarzy, wszędzie wokół rozbłyskują flesze. Podczas pokazu sztucznych ogni, gdy wszyscy wyszli na taras największego klubu golfowego w mieście, zostaliśmy rozdzieleni. Teraz Fred chwyta mnie za rękę.

— Gratuluję — mówię. Pyk, pyk, pyk: kolejne błyski fleszy wyglądających jak miniaturowa seria sztucznych ogni. Za każdym razem, gdy mrużę oczy, pod powiekami wybuchają mi kolorowe plamki. — Tak się cieszę twoim szczęściem.

— Naszym szczęściem — poprawia mnie. Włosy, starannie uczesane i ułożone na żelu, w trakcie wieczoru nieco wymknęły się spod kontroli i teraz pojedynczy pukiel spada mu na prawe oko. Na ten widok zalewa mnie fala szczęścia. To właśnie moje życie i moje miejsce na ziemi: tutaj, obok Freda Hargrove'a.

— Twoje włosy — szepczę. Fred podnosi rękę i przesuwa niesforny kosmyk na miejsce.

— Dziękuję — mówi. W tym samym momencie kobieta, która, jak kojarzę, pracuje dla redakcji „Portland Daily” przeciska się w stronę Freda.

— Burmistrzu Hargrove — mówi, a mnie, gdy zwraca się do niego tym tytułem, przechodzi dreszcz. — Cały wieczór próbuję pana dopaść. Czy ma pan chwilę...?

I nie czekając na odpowiedź, odciąga go na bok. Fred odwraca głowę i mówi do mnie bezgłośnie: przepraszam. Daję mu ręką znak, że nic nie szkodzi, rozumiem.

Po zakończeniu pokazu sztucznych ogni ludzie wracają do sali balowej, gdzie będzie kontynuowane przyjęcie. Wypełnia ją gwar śmiechów i rozmów. To cudowny wieczór, czas świętowania i nadziei. W przemowie inauguracyjnej Fred obiecał przywrócić porządek w naszym mieście oraz wyplenić sympatyków i buntowników, którzy — jak się wyraził — zagnieździli się pośród nas niczym termyty i powoli próbują podkopywać podstawę struktury naszego społeczeństwa i naszych wartości.

— Koniec z tym — oświadczył i wszyscy zaczęli bić brawo.

Tak właśnie ma wyglądać przyszłość: szczęśliwe pary, życie wśród jasnych światła i przyjemnej muzyki, elegancko udrapowane obrusy i miłe rozmowy. Willow Marks i Grace, rozpadające się domy Deering Highlands, poczucie winy,

które wyгнаło mnie wczoraj z domu i kazało wsiąść na rower — wszystko to wydaje się teraz jak zły sen.

Przypomina mi się spojrzenie Willow, smutek na jej twarzy i słowa: ciebie też dopadli.

Nie dopadli mnie, powinnam była odpowiedzieć. Tylko ocalili.

Ostatnie blade smugi dymu rozproszyły się już zupełnie i zielone pagórki pola golfowego pochłaniają fioletowe cienie.

Przez chwilę stoję jeszcze na tarasie, rozkoszując się porządkiem otaczającego mnie świata: przystrzyżoną równo trawą, starannie zaprojektowanym krajobrazem, tym, że po dniu zawsze przychodzi noc, a po niej znowu dzień, przewidywalną przyszłością, życiem bez cierpienia.

Gdy tłum rzednie, napotykam wzrok chłopaka stojącego po drugiej stronie tarasu. Uśmiecha się do mnie. Wygląda jakoś znajomo, aczkolwiek przez chwilę nie jestem w stanie sobie przypomnieć, skąd go znam. Ale gdy rusza w moją stronę, lampka się zapala.

Steven Hilt. Własnym oczom nie wierzę.

— Hana Täte — odzywa się. — Chyba nie powinienem cię jeszcze nazywać panią Hargrove, prawda?

— Steven. — Ubiegłego lata mówiłam do niego Steve. Teraz wydaje się to niestosowne. Zmienił się, to pewnie dlatego nie poznałam go od razu. Gdy odwraca głowę w stronę kelnerki, by odstawić na tacę kieliszek po winie, widzę bliznę po zabiegu.

Ale nie tylko to się zmieniło: przytył, elegancka koszula opina okrągły brzuch, a jego twarz zlewa się z szyją. Włosy zaczesuje na czoło, tak samo jak mój tata.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy widziałam go ostatnio. To było chyba w pamiętną noc nalotu na Deering

Highlands. Poszłam na tamtą imprezę z nadzieją, że go spotkam. Pamiętam, że stałam w półmroku piwnicy, podczas gdy podłoga dudniła rytmem muzyki, pamiętam pot i wilgoć na ścianach, zapach alkoholu, kremu do opalania i ciał upakowanych w ciasnej przestrzeni. Steven przycisnął wtedy swoje ciało do mojego — był wtedy taki chudy, do tego wysoki i opalony — i pozwoliłam mu objąć się w pasie, włożyć ręce za koszulkę, a wtedy pochylił się, przycisnął swoje usta do moich i rozchylił je swoim językiem.

Myślałam, że go kocham. Myślałam, że on mnie kocha.

A potem rozległ się pierwszy krzyk.

Strzały.

Ujadanie psów.

— Świetnie wyglądasz — odzywa się Steven. Nawet jego głos brzmi inaczej. Znowu mimowolnie przychodzi mi na myśl ojciec i poufały ton, którym zwraca się do wszystkich.

— Ty też — pozwalam sobie na kłamstwo.

Steven kiwa głową i rzuca mi spojrzenie mówiące jednocześnie „dziękuję” i „tak, wiem”. Mimowolnie cofam się o krok. Nie mogę uwierzyć, że zeszłego lata się z nim całowałam. Nie mogę uwierzyć, że ryzykowałam wszystko — zarażenie, chorobę — dla tego chłopaka.

Tyle że wtedy był przecież kimś innym.

— A zatem kiedy nastąpi to radosne wydarzenie? W najbliższą sobotę, nieprawdaż? — Wkłada ręce do kieszeni i zaczyna kołysać się na piętach.

— W następny piątek. — Przełykam ślinę. — A ty? Zostałeś sparowany? — Ubiegłego lata nigdy nie przyszło mi do głowy, by go o to zapytać.

— Jasne. Z Celią Briggs. Znasz ją? Studiuje teraz na University of Portland. Pobierzemy się, gdy tylko skończy studia.

Owszem, znam Celię Briggs. Chodziła do New Friends Academy rywalizującej ze szkołą św. Anny. Miała haczykowany nos i głośny, rżący śmiech, który zawsze brzmiał tak, jakby cierpiała na paskudną infekcję gardła.

Steven, jak gdyby czytał w moich myślach, mówi:

— Może i znałem w życiu ładniejsze kobiety, ale Celia to porządna dziewczyna. A jej ojciec jest szefem Biura Porządkowego, więc będziemy nieźle ustawieni. To dzięki temu udało nam się wkroczyć na tę imprezę. — Wybuchają śmiechem. — W każdym razie nie mogę narzekać.

Chociaż na tarasie oprócz nas nie ma właściwie nikogo, nagle robi się tu dla mnie klaustrofobicznie ciasno.

— Przepraszam. — Zmuszam się, by nie odwracać od niego wzroku. — Powinnam wrócić na przyjęcie. W każdym razie miło cię było znowu zobaczyć.

— Mnie również — mówi i puszcza do mnie oko. — Baw się dobrze.

W odpowiedzi jestem w stanie tylko kiwnąć głową. Gdy wchodzę do środka przez przeszklone drzwi, zaczepiam rąbkami sukienki o drzazgę w progu, nie zatrzymuję się jednak, a wtedy słyszę trzask pękającego materiału. Przeciskam się przez tłum gości. To najbogatsi i najważniejsi ludzie w Portland, wszyscy wyperfumowani i upudrowani, sam szyk i elegancja. Po drodze docierają do mnie strzępy rozmów, przybijające i oddalające się fale dźwięków.

— Wiesz, że burmistrz Hargrove ma powiązania z AWD.

— Nieoficjalnie.

— Na razie.

Spotkanie ze Stevenem Hiltem rozstroiło mnie zupełnie, sama nie wiem dlaczego. Ktoś podtyka mi pod nos kieliszek szampana i wypijam go bez namysłu, jednym haustem.

Bąbelki podchodzą mi do nosa i muszę stłumić kichnięcie. Już od dawna niczego nie piłam.

Ludzie tańczą wokół miejsca dla orkiestry two-stepa i walca. Ze sztywnymi ramionami, powtarzając wyćwiczone kroki, wirują jak w kalejdoskopie, aż kręci mi się w głowie od patrzenia. Gdy mijam dwie wysokie kobiety o królewskiej aparycji, przypominające drapieżne ptaki, taksują mnie wzrokiem.

- Śliczna dziewczyna. I zdrowo wygląda.

- Sama nie wiem. Słyszałam, że podrobiono jej wyniki. Myślę, że Hargrove mógł trafić lepiej...

Kobiety odsuwają się w kierunku tańczących, przez co gubię wątek ich rozmowy. Za to docierają do mnie strzępy innych.

- He dzieci im przypisano?

- Nie wiem, ale wygląda, jakby była w stanie dać sobie radę z całym miotem.

Gorąco oblewa mi dekolt i policzki. O Boże, oni mówią o mnie.

Rozglądam się wokół za rodzicami albo panią Hargrove, ale nie ma ich nigdzie w pobliżu. Nie widzę też Freda i przez moment ogarnia mnie panika — jestem w sali pełnej obcych.

Właśnie wtedy dociera do mnie, że nie mam już przyjaciół. Teraz pewnie zaprzyjaźnię się ze znajomymi Freda -ludźmi z naszej warstwy społecznej, o podobnych zainteresowaniach, z którymi warto się zadawać.

Biorę głęboki oddech i staram się uspokoić. Nie powinnam się tak czuć. Powinnam czuć się swobodnie, pewnie i odważnie.

- Podobno były z nią problemy w zeszłym roku, zanim przeszła zabieg. Zaczęła przejawiać symptomy...

— A czy to mało z nich tak ma? Dlatego nowy burmistrz powinien publicznie poprzeć AWD. Zawsze powtarzam, że jeśli tylko odrośli od ziemi, to mogą iść pod skalpel.

— Mark, błagam, daj już temu spokój.

Wreszcie po drugiej stronie sali dostrzegam Freda, otoczonego ludźmi, w towarzystwie dwóch fotografów. Staram się precyzyjnie do niego, ale drogę zagradza mi gęstniejący tłum. Ktoś uderza mnie w bok łokciem, tracę równowagę i obijam się o kobietę trzymającą kieliszek czerwonego wina.

— Przepraszam — mruczę i przepycham się dalej. Słyszę czyjeś westchnienie i kilka nerwowych chichotów, ale jestem zbyt skoncentrowana na tym, żeby dostać się do Freda, by zastanawiać się, co przyciągnęło ich uwagę.

Wtedy dopada mnie mama i łapie mnie mocno za łokieć.

— Co się stało z twoją sukienką? — syczy. Spoglądam w dół i widzę rozległą czerwoną plamę na

swojej piersi. Nachodzi mnie niestosowna ochota do śmiechu. Wygląda to tak, jakbym została postrzelona. Na szczęście udaje mi się zachować powagę.

— Jakaś kobieta oblała mnie winem — wyjaśniam, uwalniając się z jej uścisku. — Właśnie szłam do łazienki. — Gdy tylko wypowiadam te słowa, od razu robi mi się lepiej: w łazience znajdę trochę wytchnienia od tłumy.

— Dobrze, tylko się pospiesz. — Mama kręci głową, jak gdyby to była moja wina. — Fred wkrótce wzniesie toast.

— To mi zajmie tylko chwilę.

W korytarzu jest dużo chłodniej, a pluszowy dywan tłumi dźwięk moich kroków. Podążam do toalety ze spuszczoną głową, by uniknąć kontaktu wzrokowego z garstką gości, którzy wyszli na korytarz. Jakiś mężczyzna rozmawia

głośno przez telefon komórkowy — tutaj wszystkich stać na taki luksus. W powietrzu unosi się zapach potpourri i dymu z cygar.

Kiedy docieram do łazienki, zatrzymuję się z ręką na drzwiach. Słyszę ze środka pomruk rozmowy, po nim wybuch śmiechu, a zaraz potem wyraźny głos jakiejś kobiety:

— Będzie dla niego dobrą żoną. To dobrze, tym bardziej po tym, co się stało z Cassie.

— Z kim?

— Z Cassie O'Donnell. Jego pierwszą parą. Nie pamiętasz? Zatrzymuję się z ręką na drzwiach. Cassie O'Donnell.

Pierwsza żona Freda. Nie wiem o niej właściwie nic. Wstrzymuję oddech, mając nadzieję, że usłyszę coś więcej.

— Jasne, jasne, pamiętam. Kiedy to było? Ze dwa lata temu?

— Trzy.

— Wiecie co, moja siostra chodziła z nią do szkoły — odzywa się jeszcze ktoś inny. — Posługiwała się wtedy swoim drugim imieniem, Melanea. Głupie imię, co nie? Moja siostra mówi, że niezła z niej była suka. Ale w końcu dostała za swoje.

— Młyny Boże miałą powoli, ale sprawiedliwie...

Słyszę zbliżające się kroki. Cofam się, ale niewystarczająco szybko. Drzwi otwierają się na oścież i staje w nich kobieta. Wygląda na kilka lat starszą ode mnie, jest w zaawansowanej ciąży. Zaskoczona cofa się, by wpuścić mnie do środka.

— Wchodzisz? — pyta uprzejmym tonem. Nie zdradza najmniejszych oznak zażenowania, choć musi się domyślać, że słyszałam ich rozmowę. Jej wzrok na chwilę spoczywa na plamie na mojej sukience.

Za jej plecami stoją przed lustrem dwie kobiety, mierząc mnie wzrokiem z taką samą ciekawością i rozbawieniem na twarzy.

— Nie — wyrzucam z siebie, odwracam się na pięcie i ruszam dalej korytarzem. Już widzę oczyma wyobraźni, jak tamte dwie spoglądają na siebie i uśmiechają się złośliwie.

Za rogiem zanurzam się na oślep w kolejny korytarz, nawet jeszcze cichszy i chłodniejszy niż poprzedni. Nie powinnam pić szampana. Kręci mi się teraz w głowie. Opieram się o ścianę.

Nie myślałam zbyt o Cassie O'Donnell, pierwszej żonie Freda. Wiem tylko tyle, że byli małżeństwem jakieś pięć lat. Musiało się zdarzyć coś strasznego. Ludzie się teraz nie rozwodzą. Nie ma takiej potrzeby. Jest to właściwie nielegalne.

Może nie mogła mieć dzieci. Jeśli miała defekt biologiczny, byłaby to podstawa do rozwodu.

Przypominają mi się słowa Freda: bałem się, że trafiła mi się wybrakowana partia. Przechodzą mnie dreszcze. To pewnie z zimna.

Dostrzegam znak wskazujący drogę do innej toalety, trzeba tylko zejść piętro niżej po schodach wyłożonych dywanem. Tutaj niczego nie słychać, poza cichym brzęczeniem prądu. Muszę się przytrzymywać grubej poręczy, by nie stracić równowagi na obcasach.

Na dole przystaję. Na tym piętrze nie ma już dywanu, a korytarz prawie całkowicie tonie w ciemności. W Harbor Club byłam do tej pory dwukrotnie, za każdym razem z Fredem i jego matką. Moi rodzice nigdy do niego nie należeli, aczkolwiek teraz tata zastanawia się nad członkostwem. Fred twierdzi, że połowę interesów w naszym kraju

załatwia się w klubach golfowych takich jak ten. Nie bez powodu — powiedział - prawie trzydzieści lat temu Konsorcjum uznało golf za sport narodowy.

W idealnej partii golfa nie ma ani jednego zbędnego ruchu. Liczy się doskonała koordynacja, odpowiednia postawa i skuteczność. Dowiedziałam się tego wszystkiego od Freda.

Mijam kilka pustych, ciemnych sal bankietowych, przeznaczonych pewnie na prywatne uroczystości, i rozpoznaję ogromną restaurację klubową, gdzie razem z Fredem jedliśmy kiedyś lunch. Wreszcie znajduję też damską toaletę: różowe pomieszczenie przypominające gigantyczną perfumowaną poduszczkę na igły.

Przytrzymuję włosy i szybko osuszam twarz papierowymi ręcznikami. Z plamą nic się nie da zrobić, więc odpinam szarfę z pasa i zarzuciwszy ją na ramiona, zawiązuję węzeł na piersi. Zdarzało mi się wyglądać lepiej, ale przynajmniej mogę się wreszcie pokazać ludziom.

Teraz, gdy wiem, gdzie jestem, uświadamiam sobie, że mogę wrócić do sali balowej na skróty, skręcając w lewo zamiast w prawo po wyjściu z łazienki i kierując się w stronę wind. Po drodze dobiega mnie cichy pomruk głosów i szum telewizji.

Przez otwarte do połowy drzwi widzę kuchnię. Wokół małego telewizora zebrało się kilku kelnerów: pomzowane krawaty, do połowy rozpięte koszule, fartuchy zdjęte i rzucone niedbale na stół. Jeden z nich siedzi z nogami opartymi o błyszczący metalowy blat.

- Daj głośniej — mówi mu kucharka i mężczyzna pochyla się z ciężkim westchnieniem, by sięgnąć pokrętła. Gdy na nowo sadowi się na krześle, dostrzegam wreszcie

ekran: ukazuje falującą masę zieleni naznaczoną smużkami ciemnego dymu. Przez moje ciało przepływa elektryczny impuls i zastygam.

Głusza. To musi być Głusza.

Prezenter mówi:

— By zdusić ostatnie zarzewia choroby, porządkowi i oddziały rządowe penetrują Głuszę...

Następne ujęcie pokazuje wojska lądowe w maskujących mundurach. Siedzą w samochodzie jadącym autostradą międzystanową, machają i uśmiechają się do kamery.

— Ponieważ Konsorcjum zbiera się, by dyskutować nad przyszłością tych terenów, prezydent niespodziewanie wygłosił przemowę do prasy, w której obiecał pojmać pozostałych przy życiu Odmieńców i doprowadzić do ich ukarania lub wyleczenia.

Kolejne ujęcie: prezydent Sobel pochyla się na mównicy, wygląda przy tym, jak gdyby miał się przewrócić na kamery.

— Wymaga to jednak czasu i zaangażowania wielu sił zbrojnych. Wymaga determinacji i cierpliwości. Ale zwycięstwo będzie nasze...

To samo ujęcie co przedtem: kalejdoskop zieleni i szarości, dymu i roślin oraz małych, rozwidlonych języków ognia. A potem inny obraz: mnóstwo zieleni, wąska rzeczka wijąca się między sosnami i wierzbami. A potem jeszcze kolejny: tym razem miejsce, gdzie drzewa zostały spalone aż do gołej ziemi.

— To, co widzicie państwo teraz, są to zdjęcia z lotu ptaka wykonane w różnych miejscach na terenie całego kraju. Posłano tam nasze oddziały, by wyplenili ostatnie siedliska choroby...

Po raz pierwszy dociera do mnie, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Lena nie żyje. To głupie, że nie pomyślałam o tym aż do teraz. Spoglądam na dym unoszący się ponad drzewami i wyobrażam sobie strzępy ciała Leny lecące razem z nim: paznokcie, włosy, rzęsy, wszystko obrócone w popiół.

— Wyłącznie to — wyrywa mi się.

Kelnerzy odwracają się równocześnie. Natychmiast podrywają się z krzeseł, poprawiają krawaty i zaczynają wkładać koszule do spodni.

— Czy możemy coś dla pani zrobić? — pyta uprzejmie jeden z nich, starszy mężczyzna. Inny sięga i wyłącza telewizor. Cisza, która teraz nastąpiła, aż dzwoni w uszach.

— Nie, ja tylko... — Kręcę głową. — Próbowałam znaleźć drogę do sali balowej.

Starszy kelner mruga oczami, jego twarz jest beznamiętna. Wychodzi na korytarz i wskazuje na windy znajdujące się trzy metry dalej.

— Pojedzie pani jedno piętro wyżej. Sala balowa jest na końcu korytarza. — Pewnie ma mnie za idiotkę, ale cały czas uśmiecha się uprzejmie. — Chce pani, by ją odprowadzić na górę?

— Nie — zaprzeczam pospiesznie. — Dziękuję, dam sobie radę. — Ruszam korytarzem prawie biegiem. Wiem, że mężczyzna odprowadza mnie wzrokiem. Na szczęście winda przyjeżdża szybko i oddycham z ulgą, gdy drzwi zamykają się za mną. Na chwilę opieram czoło o ścianę, która chłodzi moją skórę, i biorę głęboki oddech.

Co się ze mną dzieje?

Kiedy drzwi się rozsuwają, słyszę gwar głosów i ryk aplauzu. Wychodzę za róg i wkraczam w oślepiające światła

sali balowej akurat w chwili, gdy z tysięcy gardeł wyrywa się okrzyk: za pańską przyszłą żonę!

Widzę Freda na podium, jak unosi kieliszek szampana w kolorze płynnego złota. Widzę setki jasnych, okrągłych twarzy zwróconych w moją stronę, niczym nabrzmiące księżyce. Widzę kolejne butelki szampana, który leje się strumieniami.

Unoszę rękę do góry. Macham. Uśmiecham się.

Kolejne brawa.

W samochodzie w drodze powrotnej Fred milczy. Nalegał na to, żeby jechać tylko ze mną, odesłał swoją matkę oraz moich rodziców wcześniej, z innym kierowcą. Przypuszczałam, że ma mi coś do powiedzenia, ale na razie nie odezwał się ani słowem. Siedzi z założonymi na piersi rękoma i opuszczoną głową. Wygląda, jakby spał. Ale ja znam tę pozę: widziałam ją już u jego ojca. Oznacza to, że Fred intensywnie nad czymś myśli.

— To był bardzo udany wieczór — odzywam się, kiedy cisza staje się nie do zniesienia.

— Mhm. — Przeciera oczy.

— Jesteś zmęczony?

— Nic mi nie jest. — Podnosi głowę, po czym nagle pochyła się i puka w szybę oddzielającą nas od kierowcy. — Tom, zatrzymaj się na chwilę, okej?

Tom momentalnie zjeżdża na pobocze jezdni i wyłącza silnik. Jest ciemno i nie widzę dokładnie, gdzie się znajdujemy. Po obu stronach samochodu widzę ścianę ciemnych drzew. Gdy Tom wyłącza reflektory, ciemność staje się prawie nieprzenikniona. Jedyne źródłem

światła jest teraz lampa uliczna kilkanaście metrów przed nami.

— Co my...? — zaczynam, ale Fred nie pozwala mi dokończyć.

— Pamiętasz, jak wyjaśniałem ci zasady gry w golfa? — pyta, odwracając się do mnie.

Jestem tak wystraszona zarówno nerwowością w jego głosie, jak i dziwacznością pytania, że mogę tylko kiwnąć głową.

— Mówiłem ci wtedy, jak ważna jest osoba nosząca za zawodnikiem kije. Jest zawsze krok za graczem: jego niewidzialny sprzymierzeniec, tajna broń. Bez dobrego pomocnika nawet najlepszy goliista może się pogryźć.

— Pamiętam. — W samochodzie robi mi się nagle za ciasno i za gorąco. Oddech Freda śmierdzi kwaśno alkoholem. Staram się po omacku otworzyć okno, ale nie daję rady. Przy wyłączonym silniku szyby automatycznie się blokują.

Fred z podnieceniem przesuwa ręką po włosach.

— No więc chcę, żebyś wiedziała, że jesteś właśnie takim moim pomocnikiem. Rozumiesz? Oczekuję od ciebie, wręcz wymagam, że będziesz stała za mną murem...

— I tak jest. — Odpowiadam, a potem przełykam ślinę i powtarzam: — I tak jest.

— Jesteś pewna? — Pochyliła się bliżej i kładzie mi rękę na nodze. — Będziesz mnie wspierać zawsze, nieważne, co się stanie?

— Tak. — Gdzieś w środku zapala się iskra niepewności, a pod nią strach. Nigdy przedtem nie widziałam u Freda takiej zaciętości. Ścisła moje udo tak mocno, że boję się, iż zostawi ślad. — Właśnie po to dobiera się ludzi w pary. — Spogląda na mnie jeszcze przez chwilę. A potem nagle

mnie piiszcza. - Dobrze - mówi. Ponownie jakby od niechcienia stuka w szybę oddzielającą nas od kierowcy, co Tom bierze za sygnał, by odpalić samochód. Fred opiera się o siedzenie, jak gdyby nigdy nic. - Cieszę się, że się rozumiemy. Cassie nigdy mnie nie rozumiała. Nie słuchała. To był z nią największy problem. — Samochód rusza.

- Cassie? — Serce wali mi mocno w piersi.

- Cassandra. Moja pierwsza żona. - Fred uśmiecha się krzywo.

- Nie rozumiem.

Fred nie odpowiada. Odzywa się dopiero po chwili:

- Wiesz, jaki był największy problem mojego ojca? -Domyślam się, że nie oczekuje ode mnie odpowiedzi, ale i tak kręcę głową. - Wierzył w ludzi. Wierzył, że wystarczy pokazać im właściwą drogę, drogę do zdrowia i porządku, do wolności od nieszczęścia, a dokonają właściwego wyboru. Będą posłuszni. Ale ojciec był naiwny. - Fred znowu się do mnie odwraca. Jego twarz jest pogrążona w ciemności. - Nie rozumiał, że ludzie są uparci i głupi. Postępują irracjonalnie. Mają skłonności do destrukcji. I stąd to wszystko, nieprawdaż? To właśnie powód stworzenia remedium. Dzięki niemu ludzie nie są już w stanie niszczyć własnego życia. Nie są do tego zdolni. Rozumiesz?

- Tak. - Myślę o Lenie i zdjęciach przedstawiających Głuszę w ogniu. Zastanawiam się, co by teraz robiła Lena, gdyby została. Spałaby głębokim snem w porządnym łóżku, obudziłaby się jutro, by ujrzeć słońce wznoszące się nad zatoką.

Fred odwraca się do okna, jego głos staje się surowy.

- Byliśmy zbyt pobłażliwi. Pozwoliliśmy im na zbyt wiele, daliśmy zbyt wiele wolności, zbyt wiele możliwości

do buntu. To się musi skończyć. Ja na to nie pozwolę. Nie będę patrzył z założonymi rękami, jak moje miasto, mój kraj jest pożerany od środka. Koniec z tym.

Chociaż Freda i mnie dzieli teraz niewielka odległość, boję się go tak samo jak przed chwilą, kiedy chwycił mnie za udo. Nigdy go takiego nie widziałam — zawziętego, obcego.

— I co zamierzasz? — pytam.

— Potrzebny nam nowy system — odpowiada. — Będziemy nagradzać ludzi, którzy przestrzegają reguł. To właściwie ta sama zasada, co przy tresowaniu psa.

Nagle staje mi przed oczami kobieta z przyjęcia i przypominają mi się jej słowa: „wygląda, jakby była w stanie dać sobie radę z całym miotem”.

— I ukarzymy ludzi, którzy się nie dostosują. Nie chodzi mi o kary cielesne, rzecz jasna. W końcu to cywilizowany kraj. Planuję mianować Douglasa Fincha nowym szefem Departamentu Energii.

— Departamentu Energii? — powtarzam. Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

Dojeżdżamy do świateł na skrzyżowaniu — jednych z niewielu działających jeszcze w tej części miasta. Fred wskazuje na nie ręką.

— Energia nie bierze się znikąd. Prąd nie jest darmowy. Dlatego nie będziemy go dawać wszystkim. Elektryczność, światło i ogrzewanie będą dostarczane tylko tym, którzy sobie na nie zasłużą.

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć. Kilkogodzinne przerwy w dostawie prądu w nocy zawsze się zdarzały, a w biedniejszych dzielnicach, zwłaszcza teraz, wiele rodzin obywa się bez pralek i zmywarek. Są po prostu zbyt drogie w utrzymaniu.

Każdy jednak zawsze miał prawo do elektryczności.

— Ale jak...? — udaje mi się wydusić z siebie po chwili. Fred bierze moje pytanie dosłownie.

— To właściwie dziecinnie proste. Sieć elektryczna już istnieje, a wszystko jest teraz skomputeryzowane. To tylko kwestia gromadzenia danych i naciśnięcia kilku klawiszy. Jedno kliknięcie włącza prąd, drugie go wyłącza. Właśnie Finch będzie to nadzorował. A weryfikację lojalności możemy robić na przykład co pół roku. Chcemy, by wszystko odbywało się sprawiedliwie. Jak powiedziałem, to w końcu cywilizowany kraj.

— To wywoła zamieszki. Fred wzrusza ramionami.

— Spodziewam się pewnego oporu na samym początku. Dlatego tak ważne jest, żebyś stała u mego boku. Gdy tylko uda nam się przeciągnąć na swoją stronę właściwych ludzi, liczących się ludzi, cała reszta się dostosuje. Nie będą mieli wyjścia. — Fred wyciąga rękę i ujmuje moją dłoń. Ścisną ją. — Nauczą się, że wszczynanie zamieszek i zabawy w bunt tylko pogarszają sprawę. Potrzebna nam polityka „zero tolerancji”.

W głowie mi się kręci. Brak energii oznacza brak światła, brak działających lodówek i kuchenek. I piecyków grzewczych.

— Do czego posuną się ludzie, by zapewnić sobie odrobinę ciepła? — wyrzucam z siebie wstrząśnięta.

Fred śmieje się z zadowoleniem, jak gdybym była psiakiem, który nauczył się nowych sztuczek.

— Lato już wkrótce — mówi. — Nie sądzę, by ogrzewanie było problemem.

— Ale co się stanie, gdy będzie chłodniej? — W naszym stanie zimy często trwają od września do maja. W zeszłym

roku spadł śnieg na dwa metry. Myślę o chudziutkiej Grace z kościstymi łokciami, z łopatkami jak złożone skrzydła. -Co wtedy zrobią?

— Pewnie się dowiedzą, że wolność nie ogrzewa — mówi i po jego głosie słyszę, że się uśmiecha. Pochyliła się i znowu puka w szybę oddzielającą nas od kierowcy. - Włączysz jakąś muzykę? Posłuchałbym sobie czegoś. Czegoś wesołego. Co ty na to, Hana?

LENA

Noc przychodzi szybko, a wraz z nią chłód. Zgubiliśmy się.

Szukamy starej autostrady, która powinna nas zaprowadzić do Waterbury. Pike jest przekonany, że zaszliśmy zbyt daleko na północ. Raven uważa, że zbyt daleko na południe.

Maszerujemy raczej na wyczucie, korzystając tylko z kompasu i kilku starych szkiców przekazywanych z rąk do rąk między ludźmi zamieszkującymi Głuszę, uzupełnianych za każdym razem o kolejne szczegóły: rzeki, zniszczone drogi i stare miasta zbombardowane podczas blitzu, granice oficjalnych miast, które mamy omijać, wąwozy i miejsca nie do przejścia. Kierunek, podobnie jak czas, są wartościami przybliżonymi, mało konkretnymi. To tylko niekończący się proces interpretacji i reinterpretacji, zawracania i korygowania trasy.

Podczas postoju Pike i Raven dalej się sprzeczą. Ramiona mnie bolą. Zdejmuję plecak, siadam na nim i upijam

duży łyk wody z bidonu, który noszę przywiązany do paska. Julian stoi za Raven. Twarz ma czerwoną, zziąjaną, jego włosy są ciemne od potu, a kurtkę zawiązał wokół pasa. Staje się coraz szczuplejszy. Stara się zza pleców Raven spojrzeć na mapę, którą trzyma Pike.

Alex siada z dala od reszty, tak jak ja, na plecaku. Coral robi to samo, przysuwa się blisko niego, ich kolana się stykają. W ciągu tych kilku dni stali się właściwie nierozłączni.

Chciałabym odwrócić od nich wzrok, ale nie potrafię. Nie rozumiem, o czym tyle dyskutują. Rozmawiają w trakcie marszu i podczas rozbijania obozu. Rozmawiają przy jedzeniu, usadowieni gdzieś na uboczu. Alex prawie nie odzywa się do nikogo innego, a ze mną nie zamienił ani słowa od pamiętnej konfrontacji z niedźwiedziem.

Chyba właśnie zadała mu jakieś pytanie, ponieważ widzę, że Alex kręci głową.

Nagle przez moment oboje spoglądają na mnie. Szybko się odwracam, fala gorąca oblewa mi policzki. Rozmawiali o mnie. Wiem na pewno. Zastanawiam się, o co go pytała.

Czy znasz tę dziewczynę? Gapi się na ciebie.

Uważasz, że Lena jest ładna?

Zaciskam pięści, aż paznokcie wbijają mi się w skórę, oddycham głęboko i odpycham od siebie tę myśl. Alex oraz to, co o mnie myśli, jest teraz bez znaczenia.

— Mówię ci, powinniśmy byli skręcić na wschód koło starego kościoła — oświadcza Pike. — Jest zaznaczony na mapie.

— To nie jest kościół — upiera się Raven, wyrywając mu mapę — tylko drzewo rozłupane przez piorun, które minęliśmy wcześniej. A to oznacza, że powinniśmy iść dalej na północ...

— Mówię ci, to jest krzyż...

— Dlaczego nie wyślemy zwiadowców? — przerywa im Julian. Tamci, zaskoczeni, odwracają się do niego. Raven marszczy brwi, a Pike spogląda na Juliana z otwartą wrogością. Żołądek zaczyna mi się wywracać i modlę się w milczeniu: nie angażuj się w to, nie palnij niczego głupiego.

Ale Julian kontynuuje spokojnie:

— Jako grupa poruszamy się wolniej, a jeśli idziemy w złym kierunku, to dla nas wszystkich strata czasu i energii. — Przez chwilę widzę wypływające na wierzch jego dawne ja: Juliana z konferencji i plakatów, młodego, pewnego siebie lidera AWD. — Dlatego, moim zdaniem, powinniśmy wysłać dwie osoby na północ...

— Dlaczego na północ? — przerywa mu gniewnie Pike. Julian nie daje się zbić z tropu.

— Albo na południe, to bez znaczenia. Rędziemy maszerować przez pół dnia w poszukiwaniu autostrady. Jeśli jej nie znajdziemy, pójdziemy w drugą stronę. Przynajmniej zyskamy lepszą orientację w terenie, co przyda się całej grupie.

— My? — pyta Raven.

Julian spogląda na nią spokojnie.

— Chciałbym się zgłosić na ochotnika.

— To nie jest bezpieczne! — wybucham, zrywając się na równe nogi. — W lesie roi się od Hien, a może nawet porządkowych. Musimy się trzymać razem. Inaczej staniemy się łatwym łupem.

— Ona ma rację — zwraca się Raven do Juliana. — To nie jest bezpieczne.

— Miałem już wcześniej do czynienia z Hienami — argumentuje Julian.

— I o mało nie zginąłeś — odparowuję.

Julian się uśmiecha.

— Ale nie zginąłem.

— Ja pójdę z nim. — Tack wypluwa grubą porcję tytoniu na ziemię i wyciera usta wierzchem dłoni. Piorunuję go wzrokiem, on jednak nie zwraca na mnie uwagi. Nigdy nie ukrywał, że uratowanie Juliana uważa za błąd, a zabranie go z nami za obciążenie. — Wiesz, jak korzystać z broni palnej?

— Nie — odpowiadam za niego. — Nie wie. — Teraz wszyscy spoglądają na mnie, ale mam to gdzieś. Nie wiem, co Julian stara się udowodnić, ale to mi się nie podoba.

— Umiem posługiwać się bronią — odpowiada szybko Julian, choć oboje wiemy, że kłamie.

Tack kiwa głową.

— Wobec tego w porządku. — Wyciąga kolejną porcję tytoniu z zawieszanej na szyi sakiewki i wkłada ją do ust. — Wypakuję tylko parę swoich rzeczy. Wyruszamy za pół godziny.

— Okej, moi drodzy. — Raven podnosi ręce w geście rezygnacji. — Możemy zatem rozbić tutaj obóz.

Grupa, jak na komendę, zaczyna zrzucać na ziemię dobytek i prowiant niczym jedno zwierzę pozbywające się skóry. Łapię Juliana za ramię i odciągam go od reszty.

— Co ty wyprawiasz? — Staram się nie podnosić głosu. Widzę, że Alex nas obserwuje. Wygląda na rozbawionego. Żałuję, że nie mam czym w niego rzucić.

Łapię Juliana i obracam nim tak, aby zasłaniał mi Aleksa.

— O czym ty mówisz? — Wsuwa ręce do kieszeni.

— Nie udawaj idioty, Julian. Nie powinieneś się zgłaszać na zwiadowcę. To nie jest zabawa. Jesteśmy w środku wojny.

— Dobrze wiem, że to nie zabawa. — Jego spokój doprowadza mnie do szewskiej pasji. — Wiem lepiej niż ktokolwiek, do czego zdolna jest druga strona, nie pamiętasz?

Odwracam wzrok, przygryzając wargę. Ma rację. Jeśli ktokolwiek z nas może się znać na taktyce zombie, to właśnie Julian Fineman .

— Wciąż nie znasz Głuszy — nie daję za wygraną. — A Tack nie będzie cię bronił. Jeśli coś się stanie, jeśli będzie miał do wyboru ciebie albo nas, zostawi cię. Nie narazi na niebezpieczeństwo reszty grupy.

— Lena. — Julian kładzie ręce na moich ramionach i zmusza mnie, bym na niego spojrzała. — Nic się nie stanie, jasne?

— Tego nie możesz zagwarantować. — Wiem, że reaguję przesadnie, ale nic na to nie poradzę. Chce mi się płakać. Myślę o spokoju w głosie Juliana, gdy mówił: „kocham cię”, o jego mocnej piersi, która unosi się i opada miarowo, gdy śpimy, a on jest przytulony do mnie.

Kocham cię, Julian, mówię w myślach. Ale z moich ust nie wychodzą żadne słowa.

— Ludzie tutaj nie ufają mi — oznajmia. Już mam zaprotestować, on jednak nie dopuszcza mnie do głosu. — Nie próbuj zaprzeczać. Sama wiesz, że to prawda.

Nie zaprzeczam.

— Więc co? Chcesz im coś w ten sposób udowodnić? Julian wzdycha i pociera oczy.

— Postanowiłem, że to będzie moje miejsce, Lena. Ze moje miejsce będzie tam, gdzie ty. Teraz muszę na to zasłużyć. Nie chodzi o udowadnianie czegokolwiek. Ale jak powiedziałaś, jest wojna. Nie chcę siedzieć beczynn timer i przypatrywać się wszystkiemu z boku. — Pochyliła się i całuje

mnie w czoło. Wciąż waha się ułamek sekundy przed każdym pocałunkiem, jak gdyby musiał strząsnąć z siebie tamten dawny strach, lęk przed dotykiem i zarażeniem. — Dlaczego tak się martwisz? Nic złego się nie stanie.

Boję się, chcę powiedzieć. Mam złe przeczucia. Kocham cię i nie chcę, by stała ci się krzywda. Ale słowa wydają się uwięzione, pogrzebane pod dawnymi lękami i tożsamościami jak skamieliny przygniecione warstwami ziemi.

— Będziemy z powrotem za kilka godzin — mówi Julian i ujmuje mnie za podbródek. — Zobaczysz.

Nie wrócili jednak do kolacji i wciąż ich nie ma, kiedy na noc zasypujemy ognisko. To teraz obowiązkowy rytuał. Wprawdzie będzie zimniej, a do tego Julianowi i Tackowi trudniej będzie do nas trafić, lecz Raven się przy tym upiera.

Zgłaszam się na ochotnika do pełnienia straży. Jestem zbyt niespokojna, by zasnąć. Raven daje mi dodatkowy płaszcz ze składu ubrań. Noce nadal dotkliwie kłują zimnem.

Jakieś sto metrów od obozu znajduje się lekkie wzniesienie, a na nim betonowa ściana wciąż pokryta upiornymi pętlami graffiti. Tam będę osłonięta od wiatru. Przykucam i opieram się o mur, w rękach trzymam kubek gorącej wody, którą Raven zagotowała dla mnie wcześniej, bym mogła ogrzać dłonie. Zgubiłam rękawiczki lub mi je skradziono po opuszczeniu azylu w Nowym Jorku, muszę więc radzić sobie bez nich.

Księżyc wschodzi i delikatnym białym blaskiem muska obóz — uśpione kształty, kopulaste namioty i prowizoryczne szałaszy. Mająca w oddali ponad drzewami

nienaruszona wieża ciśnięć wygląda niczym stalowy owad usadowiony na długich, patykowatych nogach. Niebo jest jasne i bezchmurne, tysiące gwiazd migoczą w ciemności. Słysząc pohukiwanie sowy: głuchy, żałobny dźwięk rozchodzący się echem po lesie. Nawet z tej niewielkiej odległości obóz wygląda spokojnie spowity białymi oparami, otoczony ruinami starych domów: zapadnięte dachy, przewrócone elementy placu zabaw, wystająca z ziemi plastikowa zjeżdżalnia.

Po dwóch godzinach boli mnie szczęka od ziewania i mam wrażenie, że moje ciało jest z ołowiu. Opieram głowę o mur, starając się nie zamykać oczu. Gwiazdy nade mną rozmazują się w jedną plamę... stają się wiązką światła, blasku słonecznego... Hana wychodzi z plamy słońca, z liśćmi we włosach, i mówi: czy to nie zabawne? Nigdy nie chciałam zabiegu, przecież wiesz... Patrzy mi prosto w oczy i gdy robi krok do przodu, widzę, że zaraz wdepnie w pułapkę. Staram się ją ostrzec, ale...

Trzask. Otrząsam się ze snu, serce podchodzi mi do gardła, więc szybko zmieniam pozycję i przykucam przyczajona. Wszystko wokół znowu wydaje się nieruchome, ale wiem, że ten dźwięk mi się nie przyśnił ani go sobie nie wymyśliłam: był to odgłos trzaskającej gałązki.

Odgłos czyichś kroków.

Oby to był Julian. Oby to był Tack.

Spoglądam uważnie na obóz i widzę cień przemykający między namiotami. Tężeję i bardzo powoli wyciągam rękę po karabin. Palce mam sztywne, zgrabiałe od zimna. Broń wydaje się cięższa niż przedtem.

Gdy postać wchodzi w plamę księżycowego światła, oddycham z ulgą. To tylko Goral. Jej jasna skóra błyszczy

w świetle księżyca. Ma na sobie za dużą bluzę od dresu, która, jak poznaję, należy do Aleksa. Żołądek mi się ściska. Podnoszę broń do ramienia, kieruję lufę w jej stronę i w myślach słyszę: bang.

Zawstydzona szybko opuszczam broń.

Moi dawni ludzie nie mylili się tak do końca. Miłość to chęć posiadania. To trucizna. I jeśli Alex już mnie nie kocha, nie mogę znieść myśli, że mógłby kochać kogoś innego.

Coral znika w lesie, pewnie poszła się załatwić. Nogi mi zdrętwiały, więc muszę się wyprostować. Jestem zbyt zmęczona, by dalej pełnić straż. Raven zgłosiła się na ochotnika, by mnie zastąpić, zejść więc na dół i ją obudzę.

Trzask. Kolejne kroki, tym razem bliżej i po wschodniej stronie obozu. Coral zniknęła w jego południowej części. W jednej chwili wraca mi czujność.

I wtedy go dostrzegam. Wyłania się z gęstego zagajnika, porusza się powoli, z uniesioną bronią. Od razu poznaję, że to nie Hiena. Jego ruchy są zbyt wyćwiczone, broń zbyt błyszcząca, a ubranie zbyt dobrze dopasowane.

Serce mi zamiera. Porządkowy. To musi być porządkowy. A to oznacza, że naprawdę wdarli się do Głuszy. Mimo wielu dowodów łudziłam się, że to jednak nieprawda.

Na chwilę wszystko cichnie, a potem staje się przerażająco głośnie, gdy krew uderza mi do głowy, dudni w uszach, a noc zdaje się wybuchać mrozącymi krew w żyłach pohukiwaniami i krzykami, obcymi i dzikimi, odgłosami zwierząt skradających się w ciemności. Ręce mam wilgotne od potu, gdy jeszcze raz przykładam broń do ramienia. W gardle mi zaschło. Obserwuję porządkowego, który skrada się w kierunku obozu. Kładę palce na spuście. Panika w mojej piersi narasta. Nie wiem, czy powinnam

strzelać. Nigdy nie próbowałam z takiej odległości. Nigdy nie zastrzeliłam człowieka. Nawet nie wiem, czy byłabym w stanie.

Cholera, jasna cholera! Gdyby był tutaj Tack...

Cholera!

Co zrobiłaby Raven?

Porządkowy jest już na skraju obozu. Opuszcza broń, a ja zdejmuję palec ze spustu. Może jest tylko zwiadowcą. Może ma tylko złożyć raport. To da nam czas na działanie, na zwinięcie obozu, na przygotowania. Może nic złego się nie stanie.

I wtedy z lasu wyłania się Coral.

Przez ułamek sekundy stoi przed porządkowym całkowicie nieruchoma i biała, jak gdyby oświetlona fleszem aparatu. Na ułamek sekundy on także zastyga.

Wtedy Coral wydaje z siebie jęk, on kieruje broń w jej stronę, a mój palec odruchowo odnajduje spust i pociąga go. Kolano ugina się pod porządkowym i mężczyzna z krzykiem pada na ziemię.

A potem już zupełnie tracę orientację.

Wystrzał odrzuca mnie do tyłu, przechylam się i z trudem udaje mi się zachować równowagę. Wystający fragment skały wbija mi się w plecy, ból promieniuje od żeber aż do ramienia. Słysząc kolejne wystrzały - jeden, dwa -a potem nawoływania. Zbiegam szybko do obozu. W niecałą minutę obudził się, ożył, zmienił w kłębowisko ludzi i kakofonię głosów.

Porządkowy leży twarzą do ziemi, z rozłożonymi rękami i nogami, a kałuża krwi rozpościera się wokół niego ciemną plamą. Dani stoi przy nim z pistoletem. To pewnie ona go zabiła.

Coral obejmuje się rękami w pasie, na jej twarzy malują się szok i poczucie winy, jak gdyby to ona w jakiś sposób sprowokowała całą sytuację. Na szczęście nic jej się nie stało. Cieszę się, że instynkt kazał mi ją uratować. Na myśl o tym, że wcześniej miałam ją na celowniku, zalewa mnie fala wstydu. To nie takim człowiekiem chciałam się stać: nienawiść wydrążyła w środku mnie dziurę, w której tak łatwo można zgubić to, co ważne.

Nienawiść — przed tym też ostrzegali mnie zombie.

Pike, Hunter i Lu mówią równocześnie. Reszta grupy gromadzi się wokół nich, wszyscy przerażeni i bladzi w świetle księżyca, z pustymi spojrzeniami, jak duchy.

Tylko Aleksa nie ma wśród nich. Przykuca i szybko, metodycznie przepakowuje swój plecak.

— No dobra — mówi Raven głosem cichym, ale pełnym napięcia, co sprawia, że wszyscy zamieniamy się w słuch. — Przyjrzyjmy się faktom. Mamy tutaj martwego porządkowego.

Ktoś zaczyna łkać.

— Co my tu jeszcze robimy? — wtrąca się Gordo. Na jego twarzy maluje się nieopanowana panika. — Musimy stąd uciekać.

— Niby dokąd? — pyta Raven. — Nie wiemy, gdzie jesteśmy, skąd nadchodzą tamci. Moglibyśmy pójść prosto w pułapkę.

— Ciii — syczy nagle Dani. Na chwilę zapada zupełna cisza zakłócana tylko wiatrem jęczącym między drzewami i pohukiwaniem sowy. A wtedy dociera do nas to, co usłyszała ona: nadbiegające z południa odległe echo głosów.

— Według mnie powinniśmy zostać i walczyć — mówi Pike. — To w końcu nasze terytorium.

— Nie będziemy walczyć, dopóki nie musimy — oznajmia Raven. — Nie wiemy, ilu porządkowych tam jest, jaką mają broń. Są lepiej odżywieni i silniejsi niż my.

— Już mi się rzygać chce tym ciągłym uciekaniem — odparowuje Pike.

— Nigdzie nie uciekamy — odpowiada Raven spokojnie. Odwraca się do reszty grupy: — Rozdzielimy się. Rozproszymy wokół obozu. Ukryjemy. Kilka osób może zejść do koryta rzeki. Ja będę obserwować wszystko z pagórka. Wykorzystajcie każdą nierówność terenu: skały, krzaki, cokolwiek, co wygląda na kryjówkę. Możecie się nawet wspiąć na drzewo. Bylebyście, do cholery, nie byli na widoku. — Spogląda na każdego z nas po kolei. Pike uparcie unika jej wzroku. — Miejcie w pogotowiu pistolety, noże, co tylko może służyć do obrony. Ale pamiętajcie: nie walczymy, dopóki nie musimy. Nie róbcie nic, dopóki nie dam wam znać, okej? Niech nikt się nie rusza. Nie oddycha, nie kaszle, nie kicha, nie puszcza bąków. Czy to jasne?

Pike spluwa na ziemię. Nikt się nie odzywa.

— Zatem w porządku — mówi Raven. — Idziemy.

Grupa rozchodzi się szybko i bez słowa. Ludzie przemykają obok mnie i stają się cieniami, które zaraz rozpływają się w ciemności. Podchodzę do Raven. Klęczy przy ciele porządkowego i przeszukuje je, usiłując znaleźć broń, pieniądze, cokolwiek, co mogłoby się nam przydać.

— Raven. — Jej imię więźnie mi w gardle. — Czy myślisz...?

— Nic im nie będzie — odpowiada, nie podnosząc wzroku. Wie, że miałam zamiar zapytać o Juliana i Tacka. — A teraz zmykaj stąd, i to już.

Ruszam więc w stronę paleniska, na skraju którego leży sterta plecaków, odnajduję wśród nich swój i zarzucam go na prawe ramię, obok karabinu. Pasek wbija mi się boleśnie w skórę. Łapię jeszcze dwa inne plecaki i zarzucam je na lewe ramię.

Raven przebiega obok mnie i rzuca:

— Nie ma czasu, Lena. — Po czym ona również rozpływa się w ciemności.

Podnoszę się, a wtedy dostrzegam, że wieczorem ktoś rozpakował apteczkę. Jeśli cokolwiek się stanie — jeśli będziemy musieli uciekać bez możliwości powrotu do obozu — będzie nam potrzebna.

Zdejmuję jeden z plecaków i przyklękam.

Porządkowi są coraz bliżej. Mogę już odróżnić poszczególne głosy, słowa. Dopiero teraz dociera do mnie, że obóz całkowicie opustoszał. Zostałam tylko ja.

Odpinam plecak. Ręce mi się trzęsą. Wyjmuję z niego bluzę od dresu, a zamiast niej upycham w środku plastry i bacitracin.

Wokół mojego ramienia zaciska się ręka.

— Co ty tu jeszcze robisz, do cholery? — To Alex. Bierze mnie pod ramię i podciąga do góry. Udaje mi się w pośpiechu zapiąć plecak. — Chodź.

Staram się mu wyrwać, lecz trzyma mnie mocno i niemal ciągnie w las. Staje mi przed oczami noc nalotu w Portland, kiedy Alex prowadził mnie w podobny sposób przez czarny labirynt pokoi. Przycupnęliśmy razem na cuchnącej podłodze szopy, a on delikatnie obandażował mi ranną nogę. Jego ręce na mojej skórze wydawały się takie delikatne, silne i dziwne.

Tamtej nocy Alex pocałował mnie po raz pierwszy.

Oddalam od siebie te wspomnienia.

Zsuwam się w dół stromego wału po warstwie wilgotnego iłu i mokrych liści, w stronę skalnej półki tworzącej w ziemi jamę. Alex prowadzi mnie przykucnięty i niemal wpycha mnie do niewielkiej, czarnej dziury.

- Ostrożnie - słyszymy. Jest tam też Pike. Widać jego błyszczące zęby, a jego ciało odznacza się czarną plamą w ciemności. Przesuwa się, by zrobić nam miejsce. Alex wczółguje się obok mnie i przyciąga kolana do piersi.

Namoty znajdują się nie dalej niż piętnaście metrów od nas. Odmawiam w myślach modlitwę, by porządkowi uznali, że wszyscy uciekliśmy, i nie marnowali czasu na przeszukiwanie terenu.

Oczekiwanie jest męczarnią. Głosy w lesie ucichły. Porządkowi zapewne poruszają się teraz powoli, chcą nas podejść, dopaść znienacka. Może nawet są już w obozie i krążą między namiotami jak śmiercionośne, milczące cienie.

Pieczara jest ciasna, a ciemność nieznośna. Nagle nasuwa mi się skojarzenie, że jesteśmy tu ściśnięci jak w trumnie.

Alex poprawia ułożenie ciała. Zewnętrzna część jego dłoni ociera się o moją rękę. W gardle mi zasycha. Jego oddech przyspieszył. Zastygam, kompletnie nieruchoma, dopóki nie cofnie ręki. Pewnie dotknął mnie przez przypadek.

Kolejna męcząca chwila ciszy. Pike mruczy:

— To głupie.

— Ciii — ucisza go ostro Alex.

- Siedzimy tutaj jak szczury w pułapce...

— Pike, przysięgam...

- Obaj macie być cicho - karcę ich szeptem. Znowu zapada cisza. Po kilku chwilach rozlega się krzyk. Alex tężeje.

Pike podnosi karabin do ramienia, kłując mnie w bok łokciem. Tłumię krzyk.

— Zmyli się — dobiega nas głos z obozu. A więc są. Skoro zastali namioty puste, uznali pewnie, że już nie muszą zachowywać milczenia. Zastanawiam się, jaki mieli plan: otoczyć nas, wymordować we śnie?

Zastanawiam się, ilu ich jest.

— Cholera. Nie przesłyszaleś się, to były strzały. To Don.

— Nie żyje? -Mhm.

Słysząc cichy szelest, jak gdyby ktoś kopał w namioty.

— Popatrz, jak żyją. Jeden na drugim. Tarzają się w brudzie jak zwierzęta.

— Uważaj. To zakażone.

Jak na razie doliczyłam się sześciu głosów.

— Śmierdzi tu, co nie? Czuję ten ich smród. Cholera.

— Oddychaj przez usta.

— Bydlaki — mruczy Pike.

— Ciii — uciszam go, chociaż i mnie pochwyił gniew na równi ze strachem. Nienawidzę ich. Nienawidzę ich razem i z osobna za to, że uważają się za lepszych od nas.

— Jak myślisz, w którą stronę poszli?

— Gdziekolwiek poszli, nie mogli odejść za daleko.

W sumie siedem wyraźnych głosów. Może osiem. Trudno stwierdzić. Nas jest ponad dwadzieścia osób. Mimo to, tak jak powiedziała Raven, nie wiemy, jaką mają z sobą broń ani czy w pobliżu nie czekają posiłki.

— No to skończmy z tym. Chris?

— Wszystko gotowe.

Uda zaczynają mi drętwieć. Staram się trochę sobie ulżyć i przerzucić ciężar ciała do przodu, przez co przyciskam się

do Aleksa. Nie odsuwa się. Raz jeszcze jego dłoń ociera się o moje ramię i sama nie wiem, czy to przypadek, czy też chce dodać mi w ten sposób otuchy. Przez chwilę — mimo potworności całej sytuacji — moje wnętrze rozpala się do białości, a Pike, porządkowi i zimno odpływają gdzieś daleko, nie ma już nic oprócz ramienia Aleksa tuż przy moim ramieniu i jego piersi, która podnosi się i opada, dotykając mojej, i szorstkiego ciepła jego palców.

Naraz w powietrzu rozchodzi się zapach benzyny.

I ognia.

Nagle dociera do mnie, co się dzieje. Benzyna. Ogień. Pożar. Palą nasze rzeczy. Noc zaczynają wypełniać trzaski płomieni, które tłumią głosy porządkowych. Smugi dymu płyną w dół, do jaru, przesuwają się nam przed oczami, wijąc się w powietrzu jak wąż.

— Bydlaki — powtarza Pike zduszonym głosem. Zaczyna się wygrzebywać z jamy, ale staram się go wciągnąć z powrotem.

— Nie rób tego. Raven kazała czekać na sygnał.

- Raven tu nie rządzi - odwarkuje, wyrywa mi się i zaczyna czołgać pod górę, trzymając przed sobą strzelbę jak snajper.

— Pike, nie rób tego.

Ale on albo mnie nie słyszy, albo ignoruje, w każdym razie czołga się dalej.

- Alex. — Zalewa mnie fala paniki. Gniew, dym, huk rozprzestrzeniającego się ognia: to wszystko uniemożliwia myślenie.

- Cholera! — Alex przesuwa się i sam próbuje dosięgnąć Pike'a, ale teraz już widać tylko jego buty. - Pike, nie zachowuj się jak idiota...

Bang! Bang!

Dwa strzały. Hałas rozchodzi się głośnym echem w pustej przestrzeni. Zatykam uszy.

A potem: bang, bang, bang, bang! Strzały słycać wszędzie, rozlegają się też krzyki. Grudki ziemi spadają na mnie z góry jak deszcz. W uszach mi dzwoni, a głowę wypełnia mi dym.

Skoncentruj się.

Alex też wyczołgał się z jamy, a ja posuwam się za nim, starając się zdjąć karabin z ramienia. Zrzucam z siebie plecaki. Tylko mnie spowalniają.

Strzały rozlegają się ze wszystkich stron, tak samo jak huk pożaru.

Las jest pełen dymu i ognia. Pomarańczowo-czerwone płomienie wystrzeliwiają spomiędzy czarnych drzew — surowe, nieustępliwe, jak niemi świadkowie zamarli z przerażenia. Pike klęczy, do połowy ukryty za drzewem, i strzela. Jego twarz jest oświetlona pomarańczowym blaskiem, a usta otwarte we wrzasku. Widzę Raven poruszającą się wśród dymu. Powietrze ożyło wystrzałami: są tak liczne, że przypomina mi to Dzień Niepodległości, kiedy siedziałyśmy z Haną na Eastern Promenade i oglądałyśmy pokaz sztucznych ogni, szybkie *staccato* i błyski olśniewających kolorów. Zapach dymu.

— Lena!

Nie mam czasu sprawdzić, kto mnie woła. Kula przelatuje ze świstem, by utkwic w drzewie tuż obok, posyłając deszcz odpryskującej kory. Otrząsam się z szoku, rzucam przed siebie i przylegam płasko do wielkiego pnia. Niedaleko mnie za innym drzewem schronił się Alex. Co kilka sekund wystawia głowę zza pnia, wypala serię z karabinu i chowa się z powrotem.

Oczy mi łzawią. Wystawiam ostrożnie głowę zza drzewa, starając się odróżnić w blasku pożaru walczących. Z tej odległości wyglądają niemal jak tancerze - kołyszące się pary, zwarte w uścisku, wykonujące obroty i skłony.

Nie potrafię stwierdzić, kto jest kim. Mrugam, kaszlę, przecieram pięściami oczy. Pike gdzieś zniknął.

Wreszcie dostrzegam na moment twarz Dani, gdy dziewczyna odwraca się w stronę ognia. Porządkowy wyskakuje zza jej pleców, zaciska ramię wokół jej szyi i zaczyna ją dusić. Oczy Dani wychodzą na wierzch, jej twarz robi się purpurowa. Podnoszę strzelbę, a potem ją opuszczam. Nie mam szans wycelować z takiej odległości, tym bardziej że oboje nie przestają się poruszać. Dani wije się i szarpie jak wierzchowiec próbujący strząsnąć z siebie jeźdźca.

Rozlega się kolejna seria strzałów. Porządkowy cofa rękę, którą dusił Dani, chwytając się za łokieć i zaczyna wrzeszczeć z bólu. Gdy odwraca się do światła, dostrzegam spienioną krew między jego palcami. Nie mam pojęcia, kto wystrzelił ani czy kula była przeznaczona dla niej, czy dla niego, w każdym razie to daje Dani szansę, której potrzebowała. Krztusząc się i kaszląc, szuka za pasem noża. Jest wyraźnie zmęczona, ale nie daje za wygraną.

Jej ręka zmierza do szyi napastnika, błyska w niej metal. Szybki cios: ciałem mężczyzny wstrząsają konwulsje, na jego twarzy maluje się zaskoczenie. Przechyla się, upada na kolana, a potem na twarz. Dani klęka obok i wyciąga nóż z jego szyi.

Gdzieś ponad ścianą dymu rozlega się kobiecy krzyk. Przesuwam bezradnie lufę strzelby z jednego końca płonącego obozu na drugi, ale wszystko jest chaosem

i niewyraźną plamą. Muszę się przybliżyć. Stąd nie pomogę nikomu.

Wybiegam na otwartą przestrzeń, skulona, na zgiętych kolanach, i kieruję się w stronę ognia i kłębowiska ciał, mijając po drodze Aleksa, który śledzi zza drzewa rozwój wydarzeń.

— Lena! — krzyczy na mój widok. Nie reaguję. Muszę się skoncentrować. Powietrze jest gorące i gęste. Ogień skacze teraz po gałęziach drzew, tworząc nad naszymi głowami śmiercionośny baldachim. Płomienie oplatają pnie, zmieniając je w kredową biel. Niebo jest zasnute dymem. Oto, co zostało z naszego obozu, z tak skrzętnie zgromadzonych zapasów, ubrań z odzysku szorowanych w rzece, noszonych aż do zderzenia, i namiotów, które tak zacięcie reperowaliśmy, aż znaczyła je gęsta sieć szwów: tylko ten wygłodniały, pochłaniający wszystko żar.

Kilka metrów ode mnie ogromny mężczyzna przygniata Coral do ziemi. Kiedy ruszam jej na pomoc, dostaję cios od tyłu. Upadając, z całej siły dźgam za siebie kolbą. Napastnik wyrzuca z siebie przekleństwo i odsuwa się, co daje mi możliwość przetoczenia się na plecy, i strzelbą, niczym kijem baseballowym, uderzam go w szczękę. Słychać obrzydliwy trzask i mężczyzna pada na ziemię.

Tack miał rację co do jednego: porządkowi nie potrafią bić się w ten sposób. Niemal wszystkie walki toczyli z powietrza, z kokpitów bombowców, na odległość.

Zrywam się na nogi i rzucam na pomoc Coral. Nie wiem, co jej napastnik zrobił ze swoją bronią, w każdym razie najwyraźniej postanowił dziewczynę udusić.

Podnoszę kolbę karabinu wysoko nad głowę. Wzrok leżącej na plecach Coral kieruje się na mnie. Już mam

wymierzyć cios, kiedy mężczyzna się odwraca. Udaje mi się tylko uderzyć go w ramię, ale siła rozpędu wytrąca mnie z równowagi. Zataczam się, a on łapie mnie za nogi i rozciągam się jak długa. Upadając, przygryzam wargę, usta mam pełne krwi. Próbuję obrócić się na plecy, lecz mężczyzna rzuca się na mnie i przygniata mnie do ziemi. Ucisk wysysa powietrze z moich płuc. Porządkowy wrywa mi z rąk strzelbę.

Nie mogę oddychać. Twarz mam przyciśniętą do ziemi. Coś — kolano, łokieć? — wbija mi się w kark. Eksplozja światła wybucha mi pod powiekami.

Potem słyszę: trach!, stęknienie, i ciężar ustępuje. Obracam się, wciągając powietrze do płuc, i kopniakiem próbuję wydostać się spod porządkowego. Wciąż siedzi na mnie okrakiem, ale powoli osuwa się na bok. Ma zamknięte oczy, a mała strużka krwi spływa mu z czoła, gdzie został postrzelony. Alex stoi nade mną, trzymając w ręku jego karabin.

Pochyla się, łapie mnie za łokieć i stawia na nogi. A potem podnosi moją strzelbę i oddaje mi ją. Za jego plecami wciąż szaleje pożar. Walczący gdzieś zniknęli. Teraz nie widzę nic oprócz wielkiej ściany płomieni i kilku kształtów skulonych na ziemi. Czuję szarpnięcie w żołądku. Nie jestem w stanie stwierdzić, kto tam leży, czy to są nasi ludzie.

Obok nas Gordo podnosi Coral i zarzuca ją sobie na plecy. Dziewczyna jęczy, jej powieki drgają, wciąż jednak nie odzyskuje przytomności.

— Chodźcie! — krzyczy Alex. Huk ognia jest straszliwy, kakofonia trzasków przypomina mlaszczącego potwora.

Alex odciąga nas do niezajętej ogniem części lasu, kolbą karabinu torując drogę. Poznają, że idziemy w stronę

małego strumienia, który odkryliśmy wczoraj. Gordo dyszy ciężko. Ja sama ledwo trzymam się na nogach i kręci mi się w głowie. Wzrok mam utkwiony w plecach Aleksa i nie myślę o niczym, byle tylko iść do przodu, jedna noga za drugą, jak najdalej od ognia.

— Hop, hop!

Okrzyk Raven wraca do nas echem. Po prawej stronie ciemność przecina snop światła latarki. Przedzieramy się przez gęstą plątaninę obumarłych roślin i wychodzimy na łagodne kamieniste zbocze. W dole płynie płytki strumień, jego powierzchnia srebrzy się teraz w świetle księżyca.

Widzę naszą grupę zbitą w ciasną gromadę na drugim brzegu, trzydzieści metrów od nas. Zalewa mnie fala ulgi. Żyjemy, nic nam się nie stało. A Raven będzie wiedziała, co zrobić w sprawie Juliana i Tacka. Rędzie wiedziała, jak ich odnaleźć.

— Hop, hop! — krzyczy znowu Raven, kierując na nas światło latarki.

— Widzimy was! — odkrzykuje Gordo i rusza przez strumień.

Już mamy podążyć za nim, kiedy Alex odwraca się i zbliża się do mnie. Jego twarz, wykrzywiona w gniewie, jest przerażająca.

— Co to w ogóle było, do cholery? — pyta. Wpatruję się w niego w osłupieniu, a on mówi dalej: — Mogłaś zginąć, Lena. Gdyby nie ja, byłabyś już martwa.

— Czy w ten właśnie sposób domagasz się ode mnie podziękowań? — Jestem roztrzęsiona, zmęczona i wciąż w szoku. — Wiesz co, mógłbyś się chociaż nauczyć mówić „proszę”.

— Ja nie żartuję. — Alex kręci głową. - Powinnaś zostać w ukryciu. Nie trzeba było rzucać się do walki niczym jakaś bohaterka.

Zapala się we mnie iskra gniewu. Podsyłam ją i nie pozwalam jej zgasnąć.

— Wybacz, ale jeśli bym się nie rzuciła, twoja nowa... twoja nowa dziewczyna byłaby już martwa. — Rzadko miałam w życiu okazję, by użyć tego słowa w tym znaczeniu, dlatego nie przechodzi mi przez usta tak łatwo.

— Nie musisz się o nią martwić — odpowiada Alex niewzruszonym tonem.

Jego odpowiedź tylko pogarsza moje samopoczucie. Pomimo wszystkich wydarzeń, dopiero teraz zbiera mi się na płacz: Alex nie zaprzeczył, że to jego dziewczyna.

Przełykam w ustach smak gorzkości.

— No cóż, o mnie też nie musisz się martwić, zapomniałeś już? Nie możesz mi mówić, co mam robić. — Znowu odnalazłam w sobie nić gniewu i teraz podążam za nią, podciągając się na niej, jedna ręka za drugą. -A tak w ogóle to czemu się tym przejmujesz? Przecież mnie nienawidzisz.

Alex wpatruje się we mnie intensywnie.

— A więc ty naprawdę nic nie rozumiesz, tak? — pyta twardym głosem.

Krzyżuję ramiona i przyciskam je mocno do piersi, starając się w ten sposób wepchnąć z powrotem ból, wtłoczyć go głębiej pod warstwę gniewu.

— Czego nie rozumiem?

— Niczego. Nieważne. — Alex przesuwając ręką po włosach. - Zapomnij, że w ogóle cokolwiek mówiłem.

— Lena!

Odwracam się. Z lasu po drugiej stronie strumienia wyłaniają się Julian i Tack. Chłopak rusza biegiem w moim kierunku, rozchlapując wodę. Mija Aleksa, bierze mnie w objęcia i podnosi do góry. Wtulam twarz w jego koszulę. Z mojej piersi wydobywa się stłumiony szloch.

— Nic ci nie jest — szepcze. Ścisza mnie tak mocno, że ledwo oddycham. Ale nie przeszkadza mi to. Nie chcę, żeby mnie puścił, przenigdy.

— Tak się o ciebie martwiłam — wyrzucam z siebie. Teraz, gdy ulotnił się gniew na Aleksa, znowu chce mi się płakać, a w gardle rośnie twarda gęła.

Nie wiem, czy Julian mnie rozumie. Jego koszula tłumi mój głos. Ale ścisza mnie mocno raz jeszcze, i dopiero wtedy stawia na ziemię. Odgarnia mi włosy z twarzy.

— Gdy ty i Tack nie wróciliście... myślałam, że coś się stało...

— Postanowiliśmy przenocować w lesie. — Na twarzy Juliana maluje się poczucie winy, jak gdyby jego nieobecność w jakiś sposób przyczyniła się do ataku. — Latarka Tacka się zepsuła i gdy słońce zaszło, nie widzieliśmy zupełnie nic. Baliśmy się, że się zgubimy. Byliśmy pewnie kilkaset metrów stąd. Kiedy usłyszeliśmy strzały, przybiegliśmy tak szybko, jak się dało. — Przyciska swoje czoło do mojego i dodaje nieco ciszej: — Tak się bałam...

— Nic mi nie jest — odpowiadam. Nie przestaję obejmować go w pasie. Jest taki realny, taki prawdziwy. — Przyszli tu porządkowi, było ich siedmiu albo ośmiu, może nawet więcej. Ale pozbyliśmy się ich.

Julian odnajduje moją dłoń i splata palce z moimi.

— Powinienem zostać z wami — mówi łamiącym się głosem.

Przyciskam jego dłoń do ust. Ten prosty fakt — że mogę go całować w taki sposób, bez przeszkód — nagle wydaje mi się cudem. Próbowano nas zniszczyć, wdeptać w przeszłość. My jednak wciąż żyjemy.

I z każdym dniem jest nas więcej.

— Chodźmy — mówię. — Musimy sprawdzić, czy z resztą wszystko w porządku.

Alex musiał już przekroczyć strumień i dołączyć do grupy. Nad brzegiem Julian przykuca i wkłada ręce pod moje kolana, tak że tracę równowagę i wpadam w jego ramiona. Wtedy podnosi mnie, a ja owijam ręce wokół jego szyi i kładę głowę na jego piersi. Jego serce bije równym, uspokajającym rytmem. Po przejściu na drugi brzeg stawia mnie na ziemi.

— Miło, że zaszczyciliście nas swoim towarzystwem — mówi Raven do Tacka, gdy Julian i ja dołączamy do reszty. Mimo sarkazmu w jej głosie słychać ulgę. Chociaż ona i Tack często się kłócą, trudno sobie wyobrazić jedno bez drugiego. Są jak dwie rośliny, które wyrosły obok siebie: duszą się, ściskają, ale jednocześnie są dla siebie wsparciem.

— I co teraz? — pyta Lu. Jest dla mnie tylko niewyraźnym kształtem w ciemności. Większość twarzy to teraz ciemne owale oświetlone bladym księżycowym blaskiem. Tu widzę czyjś nos, tam czyjeś usta, a jeszcze gdzieś indziej lufę broni.

— Idziemy do Waterbury, tak jak planowaliśmy — stwierdza stanowczym tonem Raven.

— Z czym? — odzywa się Dani. — Nie mamy nic. Ani jedzenia, ani koców. Nic.

— Mogło być gorzej — odpowiada Raven. — W końcu wyszliśmy z tego cała, no nie? I pewnie do Waterbury nie jest już tak daleko.

- To prawda — wtrąca się Tack. — Znaleźliśmy z Julianem autostradę, o pół dnia marszu stąd. Zboczyliśmy zbyt daleko na północ, tak jak mówił Pike.

- Wobec tego chyba możemy mu wybaczyć — mówi Raven — że przez niego omal nas nie pozabijali.

Pike, po raz pierwszy w życiu, nie ma nic do powiedzenia.

Raven wzdycha dramatycznie.

- Okej, przyznaję. Myliłam się. Czy to właśnie chcesz usłyszeć?

I znowu odpowiada jej cisza.

- Pike? — przywołuje go Dani.

- Cholera - mruczy Tack i powtarza po chwili: — Cholera. Znowu moment ciszy. Dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa. Julian mnie obejmuje, a ja wtulam się w niego.

Raven mówi cicho:

- Możemy zapalić małe ognisko. Jeśli się zgubił, łatwiej do nas trafi.

To jest jej prezent dla nas. Raven dobrze wie, tak jak i my wszyscy, że Pike nie żyje.

HANA

Boże, wybacz mi, bo zgrzeszyłam. Oczyszczyć mnie z namiętności, gdyż zarażeni zostaną strąceni w otchłań, a tylko czysti dostaną się do nieba.

Ludzie nie powinni się zmieniać. Na tym polega piękno parowania — można złączyć ich ze sobą, sprawić, że ich zainteresowania się spotkają, a różnice między nimi zostaną zminimalizowane.

To właśnie obiecuje remedium.

Ale to kłamstwo.

Fred nie jestem Fredem — a przynajmniej nie jest tym, kim myślałam, że jest. I ja nie jestem Haną, którą powinnam być. Nie jestem Haną, którą — jak wszyscy mówili — miałam się stać po zabiegu.

Uświadomienie sobie tego przynosi rozczarowanie — ale i ulgę.

W poranek po zaprzysiężeniu Freda wstaję i biorę prysznic, a moje zmysły są wyostrzone i wyczulone na wszystko. Dociera do mnie ze zdwojoną mocą jasność światła, dochodzące z dołu pikanie automatu do kawy oraz dudnienie ubrań w suszarce. Energia, energia: jest wszędzie wokół nas, wszystko nią pulsuje.

Pan Roth znowu do nas wpadł obejrząc wiadomości. Jeśli będzie grzeczny, być może szef Departamentu Energii przywróci mu dostęp do prądu, a wtedy nie będę go musiała oglądać co rano. Powinnam porozmawiać o tym z Fredem.

Na samą myśl o tym o mało nie parskam śmiechem.

- Dzień dobry, Hana - wita mnie, nie odrywając wzroku od telewizora.

- Dzień dobry, panie Roth - odpowiadam wesoło. Przeglądam dobrze zaopatrzone półki w kredensie, przebiegam palcami po pudełkach płatków i ryżu, identycznych słoikach masła orzechowego i kilku rodzajów dżemu.

Rzecz jasna, muszę zachować ostrożność i nie kraść zbyt dużo naraz.

Kieruję się prosto na Wynnewood Road, gdzie ostatnio widziałam bawiącą się Grace. Znowu zostawiam swój rower wcześniej i resztę drogi pokonuję na piechotę, trzymając się blisko drzew i nasłuchując. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest spotkanie z Willow Marks.

Ciężki plecak wbija mi się boleśnie w ramiona, a skóra pod paskami jest śliska od potu. Słyszę, jak płyn pluska przy każdym moim ruchu i modlę się, by zakrętka starej szklanej butelki po mleku - do której wlałam tyle benzyny

z garażu, ile się dało bez wzbudzania podejrzeń - była wystarczająco mocno zakręcona.

Znowu czuję w powietrzu słaby zapach dymu. Zastanawiam się, ile z tych domów jest zamieszkałych i jakie rodziny zostały zmuszone do przeprowadzki tutaj, do życia w skrajnej nędzy. Nie wiem, jak przetrwają zimę. Nic dziwnego, że Jenny, Willow i Grace mają takie blade i ściągnięte twarze — to cud, że w ogóle jeszcze żyją.

Myślę o tym, co powiedział Fred: będą musieli się nauczyć, że wolność nie ogrzewa.

Więc nieposłuszeństwo powoli ich zabije.

Jeśli uda mi się znaleźć dom państwa Tiddle'ów, zostawię im jedzenie i butelkę z benzyną. To niewiele, ale zawsze coś.

Gdy tylko skręcam w Wynnewood Road — zaledwie dwie przecznice od Brooks Street — znowu widzę Grace, tym razem przykucniętą na chodniku tuż przed starym zniszczonym domem. Rzuca kamienie w trawę, jak gdyby puszczała kaczki na wodzie.

Biorę głęboki oddech i wychodzę spomiędzy drzew. Grace zastyga momentalnie.

— Nie uciekaj - mówię delikatnie, ponieważ mała wygląda tak, jakby miała zerwać się do biegu. Ostrożnie robię krok, a ona podnosi się, więc przystaję. Nie odrywając wzroku od jej oczu, zdejmuję plecak z ramion. - Pewnie mnie nie pamiętasz. Byłam przyjaciółką Leny. — Jej imię z trudem przechodzi mi przez gardło i muszę przełknąć ślinę. — Nie zrobię ci krzywdy.

Kiedy z brzękiem kładę plecak na ziemi, jej spojrzenie na chwilę biegnie w jego stronę. Biorę to za zachętę i przykucam, nie spuszczając z niej jednak wzroku, żeby nie uciekła. Powoli odpinam plecak.

Teraz jej oczy krążą między nim a mną. Widzę, że trochę rozluźnia ramiona.

- Przyniosłam ci kilka rzeczy. — Powoli sięgam do środka i wyciągam to, co zabrałam z domu: owsiankę, grysik, dwa opakowania makaronu z sosem serowym, kilka puszek zupy, warzywa i tuńczyka w puszcze oraz paczkę ciastek. Wykładam to wszystko po kolei na chodnik. Grace robi mały krok naprzód.

Na końcu wyjmuję butelkę po mleku napełnioną benzyną.

- To także dla ciebie. Dla twojej rodziny. - Z niepokojem dostrzegam poruszenie w oknie na górze. Ale to tylko brudny ręcznik udający zasłonę powiewa na wietrze.

Nagle Grace rzuca się do przodu i wrywa mi z rąk butelkę.

- Ostrożnie. To benzyna. Trzeba z nią bardzo uważać. Pomyślałam, że moglibyście jej użyć do podpałki - kończę mało przekonująco.

Grace nie odpowiada. Próbuje pozbierać całe jedzenie, które przyniosłam. Kiedy przykucam, by jej pomóc, łapie paczkę ciastek i przyciska ją do piersi jak skarb.

- Spokojnie — mówię. - Chcę ci tylko pomóc.

Mała kręci nosem, ale pozwala mi zebrać i ułożyć w stos puszki z warzywami i zupą. Z tej odległości czuję jej oddech, kwaśny i głodny. Pod paznokciami widzę brud, na kolanach źdźbła trawy. Nigdy przedtem nie byłam tak blisko Grace i łapię się na tym, że szukam w jej twarzy podobieństwa do Leny. Nos małej jest ostrzejszy, jak u Jenny, ale dziewczynka ma te same wielkie brązowe oczy i ciemne włosy co Lena.

Nagle coś ściska mnie głęboko w środku, echo powracające z innego życia, uczucia, które do tej pory powinny ucichnąć na zawsze.

Nikt nie może się o tym dowiedzieć, nikt nie może niczego nawet podejrzewać.

- Mam dla ciebie jeszcze więcej - dodaję szybko, gdy mała się podnosi, trzymając w swoich ramionach chybotliwy stos paczek i torebek wraz z plastikową butelką. -Wrócę tu niedługo. Mogę zabrać ze sobą tylko kilka rzeczy na raz.

Grace stoi nieruchomo, wpatrując się we mnie oczyma Leny.

- Jeśli cię tu nie zastanę, zostawię jedzenie w jakimś bezpiecznym miejscu. Gdzieś, gdzie... się nie zniszczy. - W ostatniej chwili powstrzymuję się przed powiedzeniem: gdzie nikt go nie ukradnie. - Znasz jakąś dobrą kryjówkę?

Dziewczynka odwraca się nagle i rusza przez zapuszczony skrawek trawnika obok szarego domu, zarośnięty wysokimi chwastami. Nie wiem, czy mam za nią iść, ale tak właśnie robię. Farba na budynku się łuszczy. Jedna z okiennic na drugim piętrze zwisa krzywo z framugi i postukuje na wietrze.

Mała czeka na mnie na tyłach domu, przy dużych drewnianych drzwiach w ziemi, które muszą prowadzić do piwnicy. Kładzie jedzenie ostrożnie na trawie, a potem chwytając zardzewiałą metalowy uchwyt klapy i podciąga ją. Ukazuje się ziejąca ciemna dziura i drewniane schody wiodące w dół do małego pomieszczenia z ubitą podłogą. W środku jest pusto, nie licząc wypaczonych drewnianych półek, na których leżą latarka, dwie butelki wody i kilka baterii.

— To miejsce jest idealne - oznajmiam. Twarz Grace przez chwilę promienieje dumą.

Pomagam jej znieść na dół jedzenie i poukładać na półkach. Butelkę z benzyną stawiam przy ścianie. Paczkę ciastek Grace przyciska mocno do piersi i nie chce jej oddać. Pomieszczenie wydziela ten sam zapach, co oddech małej: kwaśny i ziemisty. Witam z ulgą chwilę, kiedy wychodzimy z powrotem na słońce. Czuję na piersi ciężar, który nie chce ustąpić.

— Wkrótce tu wrócę - mówię do Grace.

Już prawie jestem za rogiem, kiedy mała się odzywa:

— Pamiętam cię — oświadcza głosem niewiele głośniejszym od szeptu. Odwracam się zaskoczona. Ale ona już biegnie szybko w stronę drzew i znika, zanim mam szansę jej odpowiedzieć.

LENA

Świt wydaje się podwójny, bliźniaczy: zasnuty dymem blask na horyzoncie, a za nami, ponad linią drzew, drugi, gdzie ogień wciąż się tli. Chmury i kłęby czarnego dymu są niemal nie do odróżnienia.

W ciemności, w całym tym zamieszaniu, nie zorientowaliśmy się, że nie ma wśród nas dwóch członków grupy: Pike'a i Henley. Dani chce wrócić i odszukać ich ciała, ale ogień to uniemożliwia. Nie ma szans, byśmy wrócili nawet po puszki z jedzeniem czy rzeczy, które mogły przetrwać pożar.

Więc gdy tylko niebo się rozjaśnia, ruszamy naprzód.

Idziemy w ciszy, jedno za drugim, ze spuszczoneymi głowami. Musimy się dostać do obozu w Waterbury jak najszybciej - nie ma mowy o okrążaniu czegokolwiek, o odpoczynku, o przeszukiwaniu ruin zniszczonych miast, i tak już dawno temu wyczyszczonych z wszystkiego, co mogłoby się przydać. W powietrzu wisi niepokój.

Możemy się uważać za szczęściarzy pod jednym względem: mapę Raven mieli przy sobie Julian i Tack, dzięki czemu nie spłonęła razem z całym naszym dobytkiem.

Obaj maszerują na czele grupy, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, by sprawdzić naniesione na mapie notatki. Mimo tragicznych wydarzeń ubiegłej nocy rozpiera mnie dumą, gdy widzę Tacka konsultującego się z Julianem. Mam też satysfakcję, ponieważ wiem, że Alex również to zauważył.

Alex, rzecz jasna, idzie na samym końcu z Coral.

Dzień jest tak ciepły, że zdjęłam kurtkę i podwinęłam rękawy koszuli aż do łokci. Słoneczny blask zalewa ziemię. Wręcz trudno uwierzyć, że ledwie kilka godzin temu nas zaatakowano - tyle że w pomruku rozmów brakuje głosów Pike'a i Henley.

Julian idzie przede mną. Alex za mną. Więc przyspieszam — wyczerpana, wciąż mając w ustach smak dymu, a w płucach ogień.

Waterbury, jak powiedziała nam Lu, jest załączkiem nowego porządku. Poza murami granicznymi wyrósł ogromny obóz, a wielu mieszkańców miasta uciekło. Niektóre dzielnice zostały zupełnie ewakuowane, inne zabarykadowano z lęku przed buntownikami.

Lu słyszała też, że obóz sam w sobie przypomina miasto: ludzie pracują z zapalem na rzecz wspólnego dobra, pomagają reperować szalasy, polują na zwierzynę i noszą wodę. Na razie nie trzeba się też obawiać odwetu. W Waterbury nie został już nikt, kto mógłby się mścić. Budynki urzędu miasta zostały zniszczone, a burmistrz i jego doradcy — przegnani.

Tam i my zbudujemy szalasy z gałęzi i cegieł pozostałych po zburzonych domach, i wreszcie znajdziemy dla siebie miejsce.

W Waterbury wszystko się ułoży.

Drzewa zaczynają rzednąć, mijamy stare, porysowane ławki, wejścia do podziemi pokryte plamami grzyba, nienaruszony dach leżący na trawie, jak gdyby reszta domu po prostu zapadła się pod ziemię, fragmenty drogi, która prowadzi teraz donikąd i stanowi część jakiejś nonsensownej układanki. To język dawnego świata - świata chaosu, zamętu, szczęścia i rozpacz: zanim blitz zamienił ulice w gruzowiska, miasta w więzienia, a serca w kamienie.

Musimy być już blisko.

Jednak gdy słońce chyli się ku zachodowi, znowu ogarnia nas niepokój. Nikt nie chce spędzić kolejnej nocy w Głuszy, pod gołym niebem, nawet jeśli udało nam się zgubić porządkowych.

Wtem z przodu słyhać czyjś krzyk. Julian zostawił Tacka samego i maszeruje teraz obok mnie, aczkolwiek rzadko się do siebie odzywamy.

- Co się dzieje? - pytam go. Jestem odrętwiała ze zmęczenia. Ludzie przede mną zasłaniają mi cały widok. Stoją w szeregu na skraju czegoś, co wygląda na pozostałości po starym parkingu. Większość chodnika zniknęła. Z ziemi wystają dwie lampy uliczne pozbawione żarówek. Obok jednej z nich przystanęli Tack i Raven.

Julian wspina się na palce.

- Chyba... chyba dotarliśmy na miejsce.

Jeszcze zanim skończył mówić, udaje mi się przepchać między ludźmi i zobaczyć to na własne oczy.

Na drugim końcu parkingu teren gwałtownie się obniża. W dół prowadzi kilka ostrych serpentyn, a na ich końcu znajduje się naga, bezdrzewna połać ziemi.

Obóz w niczym nie przypomina tego, co sobie wyobrażałam. Myślałam, że będą tu prawdziwe domy albo przynajmniej solidne konstrukcje porostawiane między drzewami. A to po prostu rozległe, zatłoczone pole, patchwork koców i odpadków, pomiędzy nimi zaś setki, po prostu setki ludzi: wszystko to wygląda jak fala napierająca na mur okalający miasto, czerwieniejący w świetle gasnącego słońca. Gdzieś na tej wielkiej, czarnej przestrzeni widać płonące, migoczące jak światła odległego miasta ogniska. Niebo, rozpalone tuż nad horyzontem, powyżej jest ciemne i płaskie jak metalowa klapa przykrywająca śmieci.

Przypominają mi się nagle okaleczeni ludzie z podziemia, których spotkaliśmy z Julianem, kiedy próbowaliśmy uciec Hienom, oraz ich brudny, zadymiony świat.

Nigdy nie widziałam tak wielu Odmieńców. Nie, poprawka. Nigdy nie widziałam tak wielu ludzi.

Czuć ich nawet tutaj.

Mam wrażenie, że uszło ze mnie całe powietrze.

— Co to w ogóle jest? — szepcze zduszonym głosem Julian. Chciałabym go jakoś pocieszyć, powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze, ale sama jestem przytłoczona, otępiała z rozczarowania.

— I to ma być to? — Dani wypowiada na głos to, co pewnie myśli każdy z nas. - To jest to nasze wielkie marzenie? Nowy porządek?

— Przynajmniej mamy tutaj przyjaciół — mówi cicho Hunter. Ale nawet on nie jest w stanie wykrzesać z siebie entuzjazmu. Przejeżdża ręką po włosach, które zaczynają

sterczeć na wszystkie strony. Twarz ma bladą. Cały dzień wycinał nam przejście przez las. Widać, że jest wykończony, jego oddech stał się chrapliwy i nierówny. — Zresztą i tak nie mamy wyboru.

— Mogliśmy iść do Kanady, jak mówił Gor do.

— Nie dotarlibyśmy tam bez zapasów — odpowiada Hunter.

— Tyle że nie stracilibyśmy ich, gdybyśmy od razu poszli na północ — odparowuje Dani.

— Ale nie poszliśmy. Co się stało, to się nie odstanie. I nie wiem jak wam, ale mnie się chce pić jak cholera. — Po tych słowach Alex przepycha się do przodu, a potem zaczyna schodzić stromym zejściem, ślizgając się i posyłając w dół kawałki żwiru.

Dociera do ubitej ścieżki, zatrzymuje się i spogląda do góry— No to jak? Idziecie? — Omiata spojrzeniem całą grupę. Gdy jego oczy spoczywają na mnie, czuję przepływający przeze mnie elektryczny impuls i momentalnie spuszczam wzrok. Przez ułamek sekundy wyglądał prawie jak mój Alex.

Raven i Tack ruszają naprzód. Alex ma rację co do jednego — teraz już nie mamy wyboru. Nie przeżyjemy w Głuszy kolejnych dni bez pułapek, zapasów czy naczyń do gotowania wody. Reszta grupy również musi sobie z tego zdawać sprawę, bo podążają za Raven i Tackiem, zsuwają się w stronę ścieżki jeden za drugim. Dani mruczy coś pod nosem, ale wreszcie i ona rusza za pozostałymi.

— Chodź. — Sięgam po rękę Juliana.

Chłopak cofa się. Oczy ma ciągle utkwione w rozległą, zadymioną równinę rozciągającą się w dole, bury patchwork

koców i prowizorycznych namiotów. Przez chwilę wydaje mi się, że nie pójdzie. A potem konwulsyjnym ruchem, jak gdyby przepychał się przez niewidzialną barierę, rusza przede mną w dół.

W ostatniej chwili dostrzegam, że Lu wciąż stoi na górze. Na tle potężnej puszczy, rozciągającej się za jej plecami, sprawia wrażenie drobnej i niepozornej. Jej włosy sięgają teraz niemal do pasa. Nie wpatruje się w obóz, ale w stojący za nim mur: zabarwiony na czerwono kamień, oznaczający wstęp innego świata. Świata zombie.

— Idziesz, Lu? — pytam.

— Co? — Lu wygląda na zaskoczoną, jak gdybym wyrwała ją ze snu. A potem dodaje natychmiast: — Tak, już idę. — Jednak zanim rusza za resztą, rzuca jeszcze jedno spojrzenie na mur. Na jej twarzy maluje się niepokój.

Waterbury, przynajmniej z daleka, wygląda na miasto wymarłe: z kominów fabryk nie unosi się dym, z ciemnych, przeszklonych wież nie biją światła. To pusta skorupa miasta, prawie taka sama jak ruiny, które mijamy w Głuszy. Tyle że tym razem ruiny są po drugiej stronie muru.

Zastanawiam się, co w tym widoku wywołuje w Lu lęk.

Gdy docieramy na sam dół, fetor staje się niemal nie do zniesienia: to odór tysięcy niemytych ciał i wyziewów z głodnych ust, a do tego smród uryny, starego palonego oleju i tytoniu. Julian kaszle i mruczy: „o, Boże”. Ja przykładam rękaw do ust, starając się przezeń oddychać.

Na obrzeżach obozu porozstawiane są wielkie metalowe beczki i stare, zardzewiałe kubły na śmieci, w których palą się ogniska. Wokół nich gromadzą się ludzie, gotując coś

na nich albo ogrzewając ręce. Gdy ich mijamy, spoglądają na nas spode łba. Od razu widać, że nie jesteśmy tu mile widziani.

Nawet Raven nie wygląda zbyt pewnie. Trudno stwierdzić, w którą stronę powinniśmy się udać, z kim porozmawiać, czy obóz w ogóle jest zorganizowany. Gdy słońce wreszcie zostaje zupełnie wessane przez horyzont, tłum przeobraża się w masę cieni: widzimy tylko oświetlone ogniem twarze, groteskowe i wykrzywione w migoczącym blasku. Szałasy zostały skonstruowane naprędce z kawałków blachy falistej i skrawków metalu. Niektórzy zrobili prowizoryczne namioty z brudnych prześcieradeł. A jeszcze inni leżą zbici w gromady na ziemi, pod gołym niebem, przyciskając się jedno do drugiego, by zapewnić sobie odrobinę ciepła.

— No i...? — pyta Dani głośno, wyzywającym tonem. — I co teraz?

Raven już ma odpowiedzieć, kiedy nagle ktoś na nią wpada, omal jej nie przewracając. Tack podtrzymuje ją i warczy:

— Hej, uważaj!

Chłopiec, który wpadł na Raven - chudy, z wystającą szczęką, przypominający buldoga — nawet na nią nie spogląda. Natychmiast wparowuje pod wypłowiały czerwony namiot, gdzie zdążył się już zgromadzić mały tłum. Mężczyzna — starszy, z nagą piersią i narzuconym na resztę ciała długim, powiewającym płaszczem zimowym — stoi z zaciśniętą pięścią i twarzą wykrzywioną wściekłością.

— Ty zawszony kundlu! - drze się, rozbryzgując wokół ślinę. — Zabiję cię!

— Chyba na głowę upadłeś! — Głos małego buldoga jest zaskakująco piskliwy. — Co ty sobie, do cholery...

— Ukradłeś mi tuńczyka! No, przyznaj się! Ukradłeś mi tuńczyka! — W kącikach ust starego zbierają się bąbelki śliny. Oczy ma szeroko otwarte, dzikie. Obraca się dookoła i rozgląda po tłumie. A potem wyjaśnia podniesionym głosem: — Miałem całą puszkę tuńczyka, nieotwartą. Schowałem ją głęboko w swoich rzeczach. A ten bydlak mi ją ukradł.

— Puknij się w głowę. Nawet jej nie tknąłem. — Buldog kieruje się do wyjścia. Mężczyzna w wystrzępionym płaszczu wydaje z siebie ryk furii.

— Kłamca!

I skacze. Przez chwilę wydaje się, że zawisł w powietrzu, płaszcz powiewa za nim jak wielkie skórzane skrzydła nietoperza, a potem ląduje na plecach chłopaka i przygniata go do ziemi. W jednej chwili tłum się ożywia, krzyczy, przepycha, zagrzewa ich do walki. Chłopak przetacza się na wierzch, siada na okrakiem na napastniku i zaczyna okładać go pięściami. Stary zrzuca go z siebie i przyciska twarzą do ziemi. Trudno zrozumieć, co wykrzykuje. Po chwili chłopak przewraca się na plecy i udaje mu się zrzucić starego, który uderza o metalową beczkę i wydaje z siebie okrzyk bólu. Ogień pali się już pewnie od dłuższego czasu, metal musi być rozgrzany.

Ktoś popycha mnie z tyłu i o mało co nie ląduję na ziemi. Julian w samą porę łapie mnie za ramię, dzięki czemu udaje mi się odzyskać równowagę. Tłum kipi teraz ze złości: głosy i ciała zlewają się w jedno, przypominają ciemne odmęty wody, w których panoszy się wielogłowy, wieloreki potwór.

To nie jest wolność. To nie jest nowy świat, jaki sobie wyobrażałam. To jakiś koszmar.

Przeciskam się przez tłum za Julianem, który trzyma mnie mocno za rękę. Mam wrażenie, że brniemy przez gwałtowny przypływ, miotani różnymi prądami. Już stwierdzam z przerażeniem, że zgubiliśmy innych, kiedy dostrzegam Tacka, Raven, Coral i Aleksa. Stoją nieco na uboczu i wzrokiem szukają pozostałych członków grupy. Dani, Bram, Hunter i Lu przeciskają się do nas.

Gromadzimy się w zbitym kręgu i czekamy na innych. Lustruję tłum w poszukiwaniu Gordo, jego długiej do piersi brody, ale wszystko jest rozmazane, twarze co chwila zlewają się i rozdzielają za oparami oleistego dymu. Coral zaczyna kaszleć.

Nikt więcej się nie zjawia. W końcu musimy przyznać, że ich zgubiliśmy. Raven oznajmia bez przekonania, że na pewno nas namierzą. A teraz musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli bezpiecznie się ulokować, i kogoś, kto podzieli się z nami jedzeniem oraz wodą.

Pytamy kilku osób, ale dopiero za piątym razem udaje nam się trafić na osobę skłoną nam pomóc. Dziewczynka — ma pewnie nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat, ubrana jest w rzeczy tak brudne, że zlewają się w jeden szarobury łachman — radzi nam porozmawiać z Pippą i wskazuje na część obozu oświetloną jaśniej niż reszta. Gdy ruszamy we wskazanym kierunku, dziewczynka odprowadza nas wzrokiem. Odwracam się, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Naciągnęła koc na głowę, po jej twarzy przemykają migoczące cienie. Widok jej ogromnych, błyszczących oczu przywodzi mi na myśl Grace i wspomnienie to wywołuje ostry ból w piersi.

Wygląda na to, że obóz podzielony jest na różne strefy wpływów. Gdy przepychamy się w stronę kilku mniejszych

ognisk, zaznaczających najwyraźniej początek terytorium Pippy, jesteśmy świadkami dziesiątków kłótni, których przyczyną jest właśnie podział granic i własności. Nagle Raven wydaje z siebie radosny okrzyk.

— Twiggy! — krzyczy i rzuca się do biegu. Widzę, jak pada w ramiona jakiejś kobiety. Pierwszy raz widzę Raven obejmującą z własnej woli kogoś innego niż Tack. Gdy się odsuwa, obie zaczynają naraz śmiać się i mówić jedna przez drugą.

— Tack — mówi Raven — pamiętasz Twiggy? Była z nami... ile to już minęło? Trzy lata temu?

— Cztery — poprawia ją kobieta ze śmiechem. Ma jakieś trzydzieści lat, a jej pseudonim, Gałązka, jest wyjątkowo ironiczny. Jest zbudowana jak mężczyzna: ogromna, o szerokich ramionach i bez żadnego wcięcia w tali. Włosy ma przycięte tuż przy skórze. Jej śmiech jest również męski, głęboki i gardłowy. Od razu czuję do niej sympatię. — Teraz mam już nowe imię — mówi i puszcza oko. — Tutaj ludzie mówią do mnie Pippa.

Teren, na którym rządzi Pippa, jest większy i lepiej zorganizowany niż wszystko, co do tej pory widziałam w tym obozie. Znajduje się tu prawdziwy szałas: Pippa skonstruowała albo przywłaszczyła sobie wielką drewnianą szopę z dachem, ze ścianami z trzech stron. W środku mieści się kilka prymitywnie zbitych ławek, parę latarenek na baterie, stosy koców i dwie lodówki — jedna wielka, kuchenna, a druga miniaturowa — obie zamknięte na łańcuch i kłódkę. Pippa wyjaśnia nam, że tu właśnie trzyma zgromadzone jedzenie, lekarstwa i środki opatrunkowe. Do tego zwerbowała kilka osób, żeby stale doglądali ognisk, gotowali wodę i odstraszaali złodziei.

— Nie uwierzylibyście, co ja tutaj widziałam — mówi. — W zeszłym tygodniu ktoś został zabity z powodu głupiego papierosa. To jakieś szaleństwo. — Kręci głową z niedowierzaniem. — Nic dziwnego, że zombie nawet nie fatygują się, by nas zbombardować. To tylko strata amunicji. Jak tak dalej pójdzie, sami się pozabijamy. - Gestem zaprasza nas, żebyśmy usiedli na ziemi. - Chyba nigdzie się nie wybieracie. Załatwię wam coś do jedzenia, chociaż nie ma go dużo. Spodziewałam się, że wkrótce zjawi się ktoś z ruchu oporu z dostawą, ale coś musiało pójść nie tak.

— Patrole - odzywa się Alex. — Niedaleko, na południe stąd kręcili się porządkowi. Natknęliśmy się na nich.

Pippa nie wydaje się zaskoczona. Musiała już wiedzieć, że Głusza została naruszona przez drugą stronę.

— Nic dziwnego, że wyglądacie tak mizernie — odzywa się łagodnym tonem. - Chodźcie. Zaraz otwierają kuchnię. Rozgoście się.

Julian się nie odzywa. Jest spięty. Rozgląda się, jak gdyby się spodziewał, że ktoś nagle zaatakuje go z ciemności. Teraz, w pobliżu ognisk, w ciepłe i światło, reszta obozu wygląda jak mroczna, ruchliwa plama, tętniąca nieczłowieckimi odgłosami.

Mogę sobie tylko wyobrazić, co musi myśleć o tym miejscu, co musi myśleć o n a s. To jest wizja świata, przed którą zawsze nas ostrzegano: świat choroby jest światem chaosu i brudu, egoizmu i nieporządku.

Jestem na niego zła, zupełnie bez powodu. Jego obecność i jego niepokój są przypomnieniem, że istnieje różnica między ludźmi jego a moimi.

Tack i Raven zajęli jedną z ławek, Lu, Dani, Hunter i Bram tłoczą się na drugiej. Julian i ja siadamy na ziemi.

Alex stoi. Coral siada przed nim, a ja staram się nie zwracać uwagi na to, że dziewczyna opiera się plecami o jego golenie, a jej głowa dotyka jego kolan.

Pippa ściąga klucz z szyi i otwiera dużą lodówkę. W środku znajdują się całe rzędy puszek z jedzeniem oraz opakowania ryżu. Na dolnych półkach leżą bandaże, pudełka maści anty-bakteryjnej i butelki z ibuprofenem. Pippa, ani na chwilę nie przystając, opowiada nam o obozie i o zamieszkach w Waterbury, które doprowadziły do powstania obozu.

— Zaczęło się na ulicach — wyjaśnia, wrzucając ryż do wielkiego, sfatygowanego garnka. — Głównie od dzieciaków. Niewyleczonych. Część z nich została podpuszczona przez sympatyków, a do tego kilku naszych dbało o podgrzewanie emocji.

Każdy ruch Pippy jest precyzyjny i wyważony: nie marnuje ani odrobiny energii. Z ciemności wyłania się parę osób i zaczyna jej pomagać. Wkrótce Pippa stawia kilka garnków na jednym z ognisk na obrzeżach swojego terytorium. Zalatuje do nas dym niosący z sobą smakowity zapach jedzenia.

W otaczającej nas ciemności natychmiast daje się wyczuć poruszenie: wokół zbiera się krąg ludzi, ściana ciemnych, głodnych oczu. Dwóch ludzi Pippy wyciąga noże i staje na straży garnków.

Ciarki przechodzą mi po plecach. Chciałabym, żeby Julian otoczył mnie ramieniem, ale tego nie robi.

Jemy ryż z fasolą ze wspólnego garnka, rękami. Pippa jest ciągle w ruchu. Ma specyficzny chód, idzie z wyciągniętą szyją, jak gdyby stale spodziewała się natknąć na jakąś przeszkodę i zamierzała przebić się przez nią głową. Do tego ani na chwilę nie przestaje mówić.

- Przysłał mnie tu ruch oporu - odpowiada na pytanie Raven, jak to się stało, że znalazła się w Waterbury. - Po zamieszkach, jakie wybuchły w mieście, pomyśleliśmy, że to dobra okazja, by zorganizować jakiś protest na większą skalę. W obozie jest teraz, plus minus, dwa tysiące osób. To niezły potencjał ludzki.

— I jak idzie? — pyta Raven.

Pippa przykuca przy ognisku i spluwa.

— Nie widać? Jestem tu od miesiąca i znalazłam może z setkę ludzi, którzy przejmują się sprawą i gotowi są walczyć. Reszta jest zbyt przerażona, zbyt zmęczona lub załamana. Albo po prostu ma to gdzieś.

— Więc co zamierzasz zrobić? Pippa rozkłada ręce.

- A co mogę zrobić? Nie mogę ich zmusić, żeby się zaangażowali w sprawę, nie mogę też mówić ludziom, co mają robić. W końcu to nie Zombieland, prawda?

Muszę mieć dziwny wyraz twarzy, bo Pippa rzuca mi nieprzyjemne spojrzenie.

— O co chodzi? — pyta.

Mój wzrok biegnie do Raven, prosząc o wsparcie, ale jej twarz pozostaje niewzruszona. Spoglądam z powrotem na Pippę.

- Musi być jakiś sposób... - zaczynam nieśmiało.

- Tak myślisz? - pyta ostrym tonem. - Niby jaki? Nie mam pieniędzy, więc nie mogę ich przekupić. Nie dysponuję żadną siłą, żeby im zagrozić. Nie jestem w stanie ich przekonać, jeśli mnie nie słuchają. Witamy w wolnym świecie. Dajemy ludziom prawo wyboru. Mogą nawet wybrać źle. Cudowne, nieprawdaż? - Wstaje gwałtownie i oddala się od ognia. Gdy odzywa się znowu, jest już

opanowana. — Nie wiem, co się stanie. Czekam na rozkazy z góry. Może lepiej iść dalej, zostawić to miejsce samemu sobie. Ale przynajmniej na razie jesteśmy tu bezpieczni.

— A nie boicie się ataków? — pyta Tack. — Że władze miasta wezmą odwet?

Pippa kręci głową.

— Większość miasta została ewakuowana po zamieszkach. — Jej usta układają się w dziwny uśmiech. — To ze strachu przed zarażeniem: boją się, że deliria rozprzestrzenia się po ulicach, zamieniając nas wszystkich w zwierzęta. — Jej uśmiech szybko gaśnie. — Powiem wam coś. Po tym, co tu widziałam... boję się, że mogą mieć rację.

Bierze stos koców i podaje je Raven.

— Masz. Będziecie musieli się jakoś podzielić. O koce chyba nawet trudniej, niż o garnki. Przygotujcie sobie posłania, gdzie chcecie, gdzie tylko będzie miejsce. Ale nie oddalajcie się za daleko. Krążą tutaj różne świry. Widziałam już wszystko: ludzi po spartaczonych zabiegach, wariatów, przestępców: do wyboru, do koloru. Słodkich snów, dzieciaki.

Gdy Pippa wspomina o śnie, dociera do mnie, jaka jestem wyczerpana. Nie spałam od ponad półtorej doby i do tej pory napędzał mnie przede wszystkim strach, co się z nami stanie. Teraz moje ciało jest jak z ołowiu. Julian pomaga mi się podnieść z ziemi, a potem idę za nim jak lunatyk, na oślep, ledwo świadoma otoczenia. Wychodzimy z szałas.

Julian przystaje przy wygasłym ognisku. Znajdujemy się u samych stóp klifu. Tutaj stok jest nawet bardziej stromy niż w miejscu, któreśmy zeszli, a w jego zboczach nie wydeptano żadnej ścieżki.

Nie przeszkadza mi ani twardość ziemi, ani ukąszenia zimna, ani ciągłe krzyki i pohukiwania dobiegające ze wszystkich stron, ani ożywiona i groźna ciemność. Gdy Julian kładzie się przy mnie i otula kocem nas oboje, jestem już gdzie indziej: w naszym dawnym azylu, w infirmerii. Jest tam też Grace, mówi do mnie, powtarza ciągle moje imię. Ale jej głos zagłusza trzepotanie czarnych skrzydeł i gdy podnoszę wzrok, widzę, że dach został zniszczony przez bomby porządkowych, a zamiast sufitu widać tylko ciemne nocne niebo i tysiące, tysiące nietoperzy krążących na tle księżyca.

HANA

Budzę się, gdy świt ledwo napływa na horyzont. Gdzieś za oknem pohukuje sowa, a mój pokój wypełniają dryfujące ciemne kształty.

Za piętnaście dni będę mężatką.

Dziś mam z Fredem wziąć udział w uroczystości przecięcia wstęgi przy otwarciu nowego, żelbetowego muru granicznego. Ma on zastąpić stare, podłączone do prądu ogrodzenie, które otaczało Portland od zawsze.

Pierwsza część konstrukcji, ukończona zaledwie dwa dni po tym, jak Fred oficjalnie został burmistrzem, rozciąga się od starego portu do Krypt, zahaczając po drodze o Tukey's Bridge. Druga część będzie gotowa dopiero rok później - wtedy mur dotrze aż do Fore River. Za kolejne dwa lata stanie ostatnia część muru, łącząca tamte dwa odcinki - w ten sposób modernizacja i umocnienie granicy będą skończone w samą porę na reelekcję Freda.

Na uroczystości Fred wychodzi z ogromnymi nożycami i uśmiecha się do zgromadzonych przed murem dziennikarzy i fotografów. Poranek jest przepiękny i słoneczny - to dzień pełen obietnic i nowych możliwości. Fred dramatycznym gestem przykłada nożyce do grubej czerwonej wstęgi rozciągniętej w poprzek betonu, ale w ostatniej chwili zatrzymuje się, odwraca i gestem zaprasza mnie do siebie.

— Chcę, żeby to moja przyszła żona otworzyła ten nowy rozdział w historii miasta! - wykrzykuje. Przy ryku aprobaty zgromadzonego tłumu podchodzę do niego, rumieniąc się i udając zaskoczenie.

Ale oczywiście to wszystko zostało zaplanowane. Fred odgrywa swoją rolę, a ja jak najlepiej staram się odegrać swoją.

Nożyce, wyprodukowane specjalnie na potrzeby tej uroczystości, są tępe, mam więc problem z przecięciem wstęgi. Po chwili ręce zaczynają mi się pocić. Pod uśmiechem Freda wyczuwam zniecierpliwienie, czuję ciężar spojrzeń jego współpracowników i członków rady miasta, obserwujących mnie z małego, wydzielonego stanowiska znajdującego się obok miejsca dla dziennikarzy.

Ciach. Wreszcie przecięta wstęga spada na ziemię i rozlegają się brawa. Drut kolczasty na szczycie wysokiej, gładkiej, betonowej ściany połyskuje w słońcu jak metalowe zęby.

Potem udajemy się do piwnicy pobliskiego kościoła na mały poczęstunek. Goście siadają na składanych krzesłach, niepewnie stawiają plastikowe kubki z napojami na kolanach oraz podjadają brownie i ciasteczka serowe z papierowych serwetek.

To także — ta luźna, przyjacielska atmosfera w podziemiach kościoła o czystych białych ścianach i nikłym zapachu terpentyny — zostało starannie zaaranżowane.

Fred przyjmuje zewsząd gratulacje i odpowiada na pytania dotyczące polityki oraz planowanych zmian. Moja mama promienieje, nigdy w życiu nie widziałam jej szczęśliwszej, a gdy nasze spojrzenia się spotykają, puszcza do mnie oko. Dociera do mnie, że tego właśnie chciała dla mnie — dla nas — przez całe moje życie.

Sunę przez tłum, uśmiechając się do wszystkich i wdając się w uprzejme konwersacje. Pod śmiechem i gwarem rozmów, jak syk węża ściga mnie jeden dźwięk, imię, od którego nie mogę się uwolnić.

Jest ładniejsza niż Cassie...

Nie jest tak szczupła jak Cassie...

Cassie, Cassie, Cassie...

Gdy wracamy do domu, Fred jest w doskonałym nastroju. Poluzowuje krawat, odpina kołnierzyk i podwija rękawy do łokci, po czym otwiera okno. Wiatr wpada do samochodu, wichrząc mu włosy.

Już teraz bardzo przypomina ojca. Jest czerwony na twarzy — w kościele było gorąco — i przez chwilę dopadają mnie myśli, jak to będzie, gdy się pobierzemy i zaczniemy się starać o dzieci. Zamykam oczy i wyobrażam sobie zatokę, tak by wizja Freda leżącego na mnie rozbiła się o jej fale.

— Łyknęli wszystko — mówi podniecony Fred. — Rzuciłem kilka aluzji *a propos* Fincha i Departamentu Energii, i widać było, że o mało się nie posrali z ekscytacji.

Nagle czuję, że nie jestem w stanie dłużej dusić w sobie tego pytania.

- Co się stało z Cassandrą? Jego uśmiech blaknie.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Tak. Łyknęli wszystko. O mało się nie posrali z ekscytacji. — Widzę, że Fred krzywi się, słysząc z moich ust wulgaryzm, chociaż tylko powtarzam jego słowa. - Ale przypomniało mi się... Chciałam cię o to zapytać już wcześniej. Nigdy mi nie powiedziałaś, co się z nią stało.

Uśmiech znika z jego twarzy zupełnie. Fred odwraca się do okna. Popołudniowe słońce rzuca na jego twarz pasma światła i cienia.

- Dlaczego myślisz, że coś się z nią stało? Staram się, by mój głos brzmiał lekko i swobodnie.

- Chodziło mi tylko o to... Chciałam wiedzieć, dlaczego się rozwiedliście.

Fred szybko odwraca się do mnie i mruży oczy, jak gdyby chciał dojrzeć kłamstwo wymalowane na mojej twarzy. Siłę się na obojętną minę. Fred się rozluźnia.

- Różnice nie do pogodzenia. - Na jego twarz powraca uśmiech. - Musieli popełnić błąd podczas jej ewaluacji. Wcale się dla mnie nie nadawała.

Spoglądamy na siebie i oboje uśmiechamy się dla zachowania pozorów.

- Wiesz, co w tobie lubię najbardziej? - pyta, sięgając po moją rękę.

-Co?

Nagle przyciąga mnie do siebie. Zaskoczona, wydaję z siebie krzyk. Fred szczypie mnie w delikatną skórę po wewnętrznej stronie łokcia i po ramieniu przebiega mi ostry ból. Łzy napływają mi do oczu. Muszę wziąć głęboki wdech, żeby je powstrzymać.

— Ze nie zadajesz zbyt wielu pytań — mówi, po czym brutalnie odpycha mnie od siebie. — Cassie zadawała.

Po tych słowach z powrotem opiera się wygodnie i resztę drogi jedziemy w milczeniu.

Późne popołudnie zawsze było moją ulubioną porą dnia — moją i Leny. Czy dalej tak jest?

Sama nie wiem. Moje uczucia, dawne upodobania są teraz odległe, jak gdyby poza zasięgiem: nie usunięte kompletnie, jak powinno się było stać, ale raczej jak cienie blaknące, gdy próbuję się na nich skupić.

Nie zastanawiam się nad tym.

Po prostu idę.

Wyprawa do Deering Highlands teraz wydaje się łatwiejsza. Na szczęście po drodze nikogo nie spotykam. Zostawiam jedzenie i benzynę w piwnicy, którą pokazała mi Grace, a potem jadę w kierunku Preble Street, gdzie wujek Leny prowadził mały sklepik. Tak jak podejrzewałam, jest teraz zamknięty na cztery spusty. W oknach tkwią metalowe kraty. Na szybie pod nimi widać ślady graffiti, ale już nie do odczytania, zatarte przez wiatr i deszcz. Ciemnoniebieska markiza jest podarta i częściowo zdemontowana. Jedna cienka, metalowa podpórka, niczym wygięta noga pająka, wydostała się z materiału i kołysze się na wietrze jak wahadło. Mały plakat przypięty do jednej z metalowych krat głosi: **NOWY SALON FRYZJERSKI - OTWARCIE JUŻ WKRÓTCE!**

To władze zmusiły go do zamknięcia sklepu albo po prostu ludzie przestali przychodzić, bojąc się, że i na nich padnie cień podejrzeń. Matka Leny, wujek, a teraz sama Lena...

Za dużo złej krwi. Za dużo choroby.

Nic dziwnego, że ukrywają się na Deering Highlands. Nic dziwnego, że Willow również się tam ukrywa. Zastanawiam się tylko, czy był to ich własny wybór, czy zostali zmuszeni, zastraszeni albo nawet przekupieni, by opuścić przyzwoitszą okolicę.

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby obejść sklep i podejść boczną uliczką do niebieskich drzwi prowadzących na zaplecze. Spotykałyśmy się tutaj z Leną, kiedy po szkole musiała wykładać towar.

Popołudniowe słońce świeci mocno nad spadzistymi dachami budynków, nie docierając jednak do uliczki, w której jest ciemno i zimno. Wokół kontenera na śmieci brzęczy mucha i uderza co chwila o metal. Schodzę z roweru i opieram go beżową betonową ścianę. Tutaj odgłosy ulicy — pokrzykiwania ludzi, dudnienie przejeżdżającego od czasu do czasu autobusu — wydają się odległe.

Pochodzę do niebieskich drzwi, ubrudzonych gołębimi odchodami. Przez chwilę mam wrażenie, że czas się cofnął, i wyobrażam sobie, że Lena otworzy mi drzwi z rozmachem, tak jak zawsze to robiła. A ja usiądę na skrzyni odżywek dla niemowląt albo puszek fasolki, otworzymy skradzione z magazynu chipsy i napój i będziemy rozmawiać o...

No właśnie: o czym?

O czym wtedy rozmawiałyśmy?

Pewnie o szkole. O dziewczynach z klasy, o zawodach w biegach przełajowych, o koncertach w parku, kto był zaproszony na czyje urodziny i o tym, co chciałyśmy robić razem.

Nigdy o chłopakach. Nie z Leną. Była zbyt ostrożna. Do czasu.

Tamten dzień pamiętam jak dziś. Wciąż byłam w szoku po nalocie poprzedniej nocy: krew i przemoc, kakofonia nieludzkich wrzasków. Rano po tym wydarzeniu zwróciłam śniadanie.

Pamiętam minę Leny, kiedy zapukał do drzwi: dzikie, przerażone spojrzenie, napięcie w całym ciele. I pamiętam, jak Alex na nią spojrzał, kiedy wreszcie wpuściła go do środka. Pamiętam też dokładnie, co miał na sobie, nieład na jego głowie, tenisówki z pomalowanymi na niebiesko sznurówkami. Prawy but nie był zasznurowany. Nie zauważył tego.

Nie zauważał niczego prócz Leny.

Pamiętam ogień, jaki mnie wtedy przeszył. Zazdrość.

Sięgam do klamki, biorę głęboki oddech i naciskam. Zamknięte. No tak. Nie wiem, czego się spodziewałam i skąd to rozczarowanie. Oczywiście, że jest zamknięte. Za drzwiami pewnie kurz osiada na półkach.

Taka jest właśnie przeszłość: unosi się, potem osiada i gromadzi warstwami. Jeśli się straci czujność, pogrzebie cię. Po części po to właśnie stworzono remedium: dla oczyszczenia. Dzięki niemu przeszłość i związany z nią ból stają się odległe jak delikatna impresja na migoczącym szkle.

Tyle że remedium na każdego działa inaczej. I nie zawsze do końca skutecznie.

Muszę pomóc bliskim Leny. Zabrali im sklep i dom, a ja w jakimś stopniu ponoszę za to winę. To ja zachęciłam ją, żeby poszła na swoją pierwszą nielegalną imprezę. To ja zawsze prowokowałam ją rozmowami o Głuszy, o opuszczeniu Portland.

I to ja pomogłam Lenie w ucieczce. Dostarczyłam Aleksowi wiadomość, że ją schwytano i przyspieszono datę jej

zabiegu. Gdyby nie ja, Lena zostałaby wyleczona. Siedziałaby teraz na zajęciach na uniwersytecie albo spacerowała po ulicach Portland ze swoją parą. Stop-N-Save byłby dalej otwarty, a dom przy Cumberland Avenue zamieszkały.

Ale poczucie winy sięga dużo głębiej. Ono także jest jak kurz: jego również zgromadziły się już grube warstwy.

Ponieważ gdyby nie ja, Lena i Alex w ogóle nie zostaliby złapani.

Doniosłam na nich.

Z zazdrości.

Boże, wybacz mi, bo zgrzeszyłam.

LENA

Gdy się budzę, słyszę wokół hałas i poruszenie. Julian gdzieś zniknął.

Słońce stoi już wysoko na bezchmurnym niebie, dzień jest bezwietrzny. Zsuwam z siebie koc i podnoszę się, mrugając oczami. W gardle mi zaschło.

Raven klęczy niedaleko mnie, wrzucając gałązki, jedną po drugiej, do ogniska. Odwraca głowę w moją stronę.

— Witaj w krainie żywych. Dobrze spałaś?

— Która godzina? — pytam.

— Już po południu. — Raven podnosi się. — Mieliśmy właśnie zejść do rzeki.

— Pójdę z wami. — Woda, właśnie tego mi trzeba. Muszę się umyć i napić. Czuję, że całe moje ciało lepi się od brudu.

— No to chodź.

Pippa siedzi na skraju swojej części obozu i rozmawia z jakąś nieznaną kobietą.

— Ruch oporu — wyjaśnia Raven, gdy widzi, w którym kierunku spoglądam, a mnie serce zaczyna dziwnie kołatać w piersi. Moja mama należy do ruchu oporu. Możliwe, że ta kobieta ją zna. — Dotarła tutaj z tygodniowym opóźnieniem. Niosła zapasy z New Haven, ale po drodze natknęła się na patrol.

Przełykam ślinę. Boję się zapytać nieznajomą o mamę. Nie chcę przeżywać kolejnego rozczarowania.

— Myślisz, że Pippa opuści Waterbury? — pytam Raven.

— Zobaczymy. — Wzrusza ramionami.

— Dokąd pójdziemy?

Uśmiecha się do mnie delikatnie, wyciąga rękę i dotyka mojego łokcia.

— Hej. Nie martw się tyle, dobrze? To moje zadanie. Zalewa mnie fala ciepłych uczuć do niej. Od kiedy się

dowiedziałam, że ona i Tack wykorzystali mnie — oraz Juliana — dla swojej sprawy, między nami już nie jest tak samo. Ale bez niej byłabym zgubiona. Wszyscy bylibyśmy zgubieni.

Tack, Hunter, Bram i Julian stoją obok siebie, trzymając w ręku prowizoryczne wiadra i różnych rozmiarów pojemniki. Najwyraźniej czekają na Raven. Nie wiem, gdzie są Coral i Alex. Nie widzę też Lu.

— Cześć, śpiąca królewno — odzywa się Hunter. Widać, że wreszcie się wyspał. Wygląda sto razy lepiej niż wczoraj, a do tego przestał kaszleć.

— Komu w drogę, temu czas — oznajmia Raven.

Opuszczamy względnie bezpieczny obóz Pippy i zaczynamy się przeciskać przez tłum ludzi, przez labirynt skleconych naprędce szałasów i prowizorycznych namiotów. Staram się nie oddychać zbyt głęboko. W powietrzu unosi

się odór niemytych ciał i, co gorsza, smród odchodów. Wszędzie roi się od much i komarów. Nie mogę się doczekać, aż zanurzę się w wodzie, zmyję z siebie ten zapach i brud. W oddali widać ciemną wstęgę rzeki, wijącą się wzdłuż południowej strony obozu. Już niedaleko.

Gęstwina namiotów wreszcie się kończy. Krajobraz przecina pas popękanego starego chodnika. Wielkie kwadraty betonu znaczą fundamenty starych domów.

Gdy zbliżamy się do rzeki, widzimy zebrany wzdłuż brzegów tłum. Ludzie przekrzykują się i przepychają w stronę wody.

— O co chodzi? — mruczy Tack.

Julian podciąga wiadro wyżej na ramię i marszczy brwi, ale się nie odzywa.

— O nic — mówi Raven. — Po prostu wszyscy się cieszą na myśl o kąpieli. — Ale brzmi to mało przekonująco.

Wpychamy się między ludzi. Smród jest przytłaczający. Ogarniają mnie mdłości, ale nawet nie mam się jak ruszyć, by zakryć ręką nos. Nie pierwszy raz w życiu jestem wdzięczna za swój niski wzrost. Pozwala mi to przynajmniej precyzyjnie się między ludźmi, dzięki czemu jako pierwsza przedostaję się na stromy, kamienisty brzeg rzeki. Tymczasem dziki tłum za moimi plecami wciąż gęstnieje.

Coś tu nie gra. Poziom wody jest niepokojąco niski, to zaledwie strużka szeroka na jakieś trzydzieści centymetrów i pewnie nawet nie na tyle głęboka, a do tego tak mętna, że wygląda jak błoto. Rzeka wije się aż do miasta i cały ten odcinek jest wypełniony ruchomą układanką ludzi napierających na brzegi, by napełnić swoje zbiorniki. Z tej odległości wyglądają jak insekty.

— Co jest, do diabła? — Raven wreszcie przepycha się naprzód i staje obok mnie osłupiała.

— Woda się kończy — oznajmiam. Widok tego leniwego strumienia błota budzi we mnie panikę. Nagle wydaje mi się, że nigdy w życiu nie byłam tak spragniona.

— To niemożliwe — odpowiada Raven. — Pippa mówiła, że jeszcze wczoraj rzeka płynęła normalnie.

— Lepiej nabierajmy, póki jest jeszcze co — mówi Tack, który właśnie dołączył do nas wraz z Hunterem i Bramem. Julian dociera chwilę po nich. Twarz ma czerwoną od potu, a włosy przyklejone do czoła. Przez chwilę na jego widok serce mi się ściska. Nigdy nie powinnam mu była proponować, by do nas dołączył. Nigdy nie powinnam była go prosić, by przeszedł na naszą stronę.

Nad rzekę nadciąga coraz więcej ludzi, by walczyć o resztki wody. Nie mamy wyboru — musimy walczyć i my. Gdy wchodzę do rzeki, ktoś mnie popycha do tyłu i ląduje twardo na kamieniach. Przeszywający ból przebiega mi wzdłuż kręgosłupa. Dwa razy próbuję się podnieść, ale zbyt wielu ludzi na mnie napiera. Wreszcie Julian przeciska się przez tłum i pomaga mi wstać.

W końcu udaje nam się nabrać nieco wody, ale zaspokoi to zaledwie niewielki procent naszych potrzeb. Na domiar złego tracimy jej trochę w drodze powrotnej do obozu, kiedy jakiś mężczyzna wpada na Huntera i potrąca jedno z wiader. W tym, co zebraliśmy, osiadła gruba warstwa mułu, a po przegotowaniu wody będzie jeszcze mniej. Gdyby miało się zmarnować coś więcej, chyba bym się rozplakała.

Pippa i kobieta z ruchu oporu stoją otoczone grupką ludzi. Alex i Coral wrócili. Zastanawiam się mimowolnie,

gdzie mogli razem być. To głupie, gdy mamy na głowie tyle innych zmartwień, ale nic na to nie poradzę.

Amor deliria nervosa: zalega się w umyśle tak, że człowiek nie jest w stanie jasno myśleć ani podejmować racjonalnych decyzji dotyczących własnego życia. Symptom numer dwanaście.

— Rzeka... — zaczyna Raven, ale Pippa wchodzi jej w słowo.

— Słyszeliśmy już. — Minę ma ponurą. W świetle dnia widzę, że Pippa jest starsza, niż początkowo myślałam. Wydawało mi się, że może być trochę po trzydziestce, ale teraz dostrzegam, że jej twarz jest głęboko pocięta bruzdami, a włosy na skroniach siwieją. A może to tylko efekt życia w Głuszy i zaangażowania w tę wojnę. — Nie płynie.

— To znaczy co? — pyta Hunter. — Rzeka nie może ot tak sobie przestać płynąć w ciągu nocy.

— Może, jeśli zostanie zatamowana — odzywa się Alex. Na chwilę zapada cisza.

— Co to znaczy: zatamowana? — Julian przełamuje milczenie. Słyszę po jego głosie, że on także próbuje walczyć z paniką.

Alex spogląda na niego z wyższością.

— Zatamowana — powtarza. — Innymi słowy zatrzymana. Zablokowana. Zatarasowana albo zatkana przez...

— Ale kto ją zatamował? — przerywa mu Julian. Nie spogląda na Aleksa, lecz znowu to Alex mu odpowiada.

— To chyba oczywiste, nie? — Odwraca się w stronę Juliana. Powietrze aż iskrzy od napięcia. — Ludzie po drugiej stronie. — Chwila ciszy. — Twoi ludzie.

Julian wciąż nie jest przyzwyczajony do utraty panowania nad sobą. Otwiera usta, a potem je zamyka.

— Co powiedziałaś? — pyta spokojnym głosem.

— Julian. — Kładę mu rękę na ramieniu. Pippa włącza się do rozmowy.

— Większość Waterbury została ewakuowana jeszcze przed moim przybyciem. Myśleliśmy, że to wynik działania ruchu oporu. Uznaliśmy to za sukces. — Śmieje się głucho. — Najwyraźniej oni mieli inne plany. Odcięli źródło wody dla miasta.

— No to ruszmy się stąd - mówi Dani. — W końcu są inne rzeki. W Głuszy jest ich mnóstwo. Pójdziemy gdzie indziej. — Jej propozycja spotyka się z milczeniem. Wzrok Dani wędruje od Pippy do Raven.

Pippa przejeżdża ręką po swojej krótkiej szczecinie.

— Tak, jasne - odzywa się kobieta z ruchu oporu. Ma dziwny akcent, rytmiczny i melodyjny, przywodzący mi na myśl roztopione masło. - Z ludźmi, których da się zmobilizować, możemy pójść. Możemy się rozproszyć, rozdzielić, wrócić do lasu. Ale tam z pewnością czekają już na nas patrole. Pewnie zbierają się nawet teraz. Łatwiej im będzie, gdy będziemy w małych grupach: mniejsza szansa, że uda nam się nawiązać wyrównaną walkę. A do tego lepiej się to prezentuje w mediach. Rzeź na dużą skalę jest cięższa do zatuszowania.

— A ty skąd tyle wiesz na ten temat?

Odwracam się. Lu właśnie dołączyła do grupy. Oddycha ciężko, a jej twarz błyszczy, jak gdyby przed chwilą przebiegła spory dystans. Zastanawiam się, gdzie była przez cały ten czas. Włosy jak zwykle ma rozpuszczone, przyklejone do szyi i czoła.

— To jest Summer - odpowiada spokojnie Pippa. - Należy do ruchu oporu. To dzięki niej będziecie mieli co jeść

dziś wieczorem. — Przekaz tych słów jest jasny: uważaj, co mówisz.

— Ale musimy stąd odejść — mówi Hunter z desperacją w głosie. Mam ochotę ścisnąć go za rękę. On nigdy nie traci panowania nad sobą. — Mamy inny wybór?

Summer nawet nie drgnęła.

— Możemy stawić opór — oznajmia. — Wszyscy czekaliśmy na sposobność, by się zebrać i zrobić coś z tym bałaganem. — Wskazuje na skupisko szalaśców błyszczących w słońcu aż po horyzont, niczym kawałki metalowych szrapneli. — To był dla nas wszystkich cel przybycia do Głuszy, nieprawdaż? Mieliliśmy dość tego, że mówiono nam, co mamy wybierać.

— Ale jak mamy walczyć? — Już dawno przy nikim nie czułam się tak onieśmielona, jak przy tej kobiecie z jej miękkim, melodyjnym głosem i zaciętym spojrzeniem. Mimo to mówię dalej: — Przecież jesteśmy osłabieni. A do tego, jak powiedziała Pippa, zdeorganizowani. Bez wody...

— Nie sugeruję, że mamy dążyć do bezpośredniej konfrontacji — przerywa mi. — Nie wiemy nawet, z czym mamy do czynienia, jak wielu ludzi zostało w mieście, czy w lesie zbierają się oddziały. Sugeruję tylko, że powinniśmy odzyskać rzekę.

— Ale skoro jest zatamowana...

— Tamę można wysadzić — znowu wchodzi mi w słowo. Na chwilę zapada cisza. Raven i Tack wymieniają spojrzenia. Z przyzwyczajenia czekamy, aż odezwie się któreś z nich.

— Jaki jest twój plan? — pyta Tack i nagle okazuje się, że to jest najzupełniej realne, że to się dzieje naprawdę.

Zamykam oczy. Przywołuję w pamięci chwilę, kiedy wraz z Julianem wysiadłam z furgonetki po naszej ucieczce

z Nowego Jorku. Wierzyłam wówczas, że najgorsze już za nami, że życie zacznie się dla nas na nowo.

Tyle że zamiast tego życie stało się cięższe.

Zastanawiam się, czy to się kiedyś skończy. Czuję na ramieniu rękę Juliana i zaraz potem uścisk dodający otuchy. Otwieram oczy.

Pippa przykuca i rysuje kciukiem na ziemi coś na kształt dużej łyzy.

- Powiedzmy, że to jest Waterbury My jesteśmy tutaj. -Zaznacza X na południowo-wschodniej stronie szerszego końca. - I wiemy, że jeśli rozpoczną się walki, wyleczeni wycofają się do zachodniej części miasta. Stawiałabym, że blokada rzeki ma miejsce gdzieś tutaj. - Rysuje X po wschodniej stronie, gdzie łyza zaczyna się zwężać.

- A niby czemu tam? - pyta Raven. Jej twarz jest znowu ożywiona, czujna. Gdy na nią spoglądam, aż się wzdrygam. Dociera do mnie, że ona po to właśnie żyje: dla walki, dla wojny o przetrwanie. Ona się tym wręcz delectuje.

Pippa wzrusza ramionami.

- Strzelałam, ale wszystkie przesłanki wskazują, że właśnie tak może być. Ta część miasta to i tak głównie tereny zielone, pewnie więc po prostu je zalali, zawrócili bieg rzeki. Ręda musieli oczywiście wzmocnić tam obronę, ale jeśli mieliby wystarczająco dużo amunicji, aby nas rozgromić, już dawno by to zrobili. Mówimy o siłach, jakie byli w stanie zgromadzić w tydzień albo dwa.

Podnosi na nas wzrok, żeby się upewnić, czy za nią nadążamy. A potem rysuje strzałkę wokół podstawy łyzy, skierowaną w górę.

- Pewnie się spodziewają, że pójdziemy na północ, w górę rzeki. Albo że się rozproszymy. - Rysuje linie

rozchodzące się w różnych kierunkach od podstawy łązy. Teraz wygląda to jak szalona, brodata uśmiechnięta twarz. - Moim zdaniem zamiast tego moglibyśmy wysłać mały oddział do miasta i rozwalić tamę. - Rysuje zamaszystą linię w poprzek łązy, przecinając ją na pół.

- Wchodzę w to - oznajmia Raven. Tack spluwa. Nie musi mówić, że on też.

Summer zakłada ręce na piersi i spogląda na rysunek Pippy.

- Będą nam potrzebne trzy osobne grupy - mówi powoli. — Dwie dywersyjne, do odwrócenia uwagi, do zrobienia zamętu tu i tu - schyla się i zaznacza X w dwóch oddalonych od siebie miejscach. - I jedna mniejsza, która będzie się musiała dostać do miasta, odwalić robotę i wrócić.

- Wchodzę w to - odzywa się Lu. - Pod warunkiem że będę w składzie głównego oddziału. Jakoś nie kręcą mnie zabawy na boku.

Spoglądam na nią zaskoczona. W naszej starej osadzie Lu nigdy nie wyrażała chęci przystąpienia do ruchu oporu. Nie zrobiła sobie nawet fałszywej blizny po zabiegu. Zawsze chciała trzymać się jak najdalej od walki, wołała udawać, że druga strona w ogóle nie istnieje. Coś musiało się zmienić podczas tych miesięcy, kiedy się nie widziałyśmy.

- Lu może iść z nami. — Raven szczyrzy zęby w uśmiechu. - To chodzący amulet. Właśnie dzięki temu zdobyła swój przydomek. Prawda, Szczęściaro?

Lu nie komentuje.

- Ja też chcę być częścią głównego oddziału - odzywa się nagle Julian.

- Julian - szeptem przywołuję go do porządku, ale on mnie ignoruje.

- Pójdę tam, gdzie uznacie, że jestem potrzebny - oznajmia Alex. Julian rzuca spojrzenie w jego stronę i przez chwilę wyczuwam między nimi niemal namacalną niechęć.

- Ja też — mówi Coral.

- Możecie liczyć i na nas - mówi Hunter za siebie i Brama.

- Chcę być tą, która zapali zapałkę - oświadcza Dam. Inni ludzie też zgłaszają się do różnych zadań. Wreszcie

Raven spogląda na mnie.

- A ty, Lena?

Czuję na sobie wzrok Aleksa. W gardle mi zaschło, a słońce wręcz oślepia. Spoglądam w stronę setek ludzi, którzy zostali wygnani ze swoich domów, ze swojego życia, do tego miejsca, gdzie królują brud i pył. Zrobili to dlatego, że chcieli czuć, myśleć i wybierać to, czego sami pragną. Nie wiedzą, że nawet to jest kłamstwem - że nigdy tak naprawdę sami nie decydujemy, a przynajmniej nie do końca. Zawsze jesteśmy popychani ku jakiejś drodze. Nie mamy wyboru, jak tylko zrobić krok do przodu, a potem kolejny i kolejny. I nagle okazuje się, że znajdujemy się na drodze, której w ogóle nie wybieraliśmy.

Może jednak szczęście wcale nie tkwi w wyborze. Może leży ono w iluzji, w udawaniu: że gdziekolwiek skończyliśmy, tam właśnie chcieliśmy być przez cały czas.

Coral przesuwa się, a jej ręka wędruje do ramienia Aleksa.

- Idę z Julianem - oznajmiam wreszcie. W końcu to właśnie wybrałam.

HANA

Przed powrotem do domu postanawiam pojeździć trochę po ulicach starego portu, próbując wyrzucić z głowy Lenę i poczucie winy, wyrzucić stamtąd słowa Freda: „Cassie zadawała zbyt dużo pytań”.

Wjeżdżam na chodnik i pedałużę ze wszystkich sił, jak gdybym mogła ruchami nóg odepchnąć tamte myśli. Za dwa tygodnie, które miną jak z bicza strzelił, nie będę miała nawet tej wolności. Będę zbyt znana, będę na świeczniku, wszyscy będą mnie obserwować. Pot spływa mi po czole. Nagle tuż przede mną wyłania się ze sklepu starsza kobieta. W ostatniej chwili ostro skręcam, przeskakuję krawężnik i zjeżdżam na ulicę.

— Idiotka! — wrzeszczy za mną.

— Przepraszam! — krzyczę przez ramię, ale moje słowa giną na wietrze.

A wtedy, jakby znikąd, pojawia się niczym wielka plama czarnego futra ujadający pies i rzuca się na mnie.

Gwałtownie skręcam kierownicę w prawo i tracę równowagę. Spadam z roweru, uderzam łokciem o ziemię i ślizgam się kilka metrów. Ból rozdziera mi prawą część ciała. Rower upada tuż obok mnie, zgrzytając o beton, jedna stopa zaplątała mi się w szprychę przedniego koła. Słyszę czyjś krzyk, a do tego pies nie przestaje szczekać zajadle i krąży wokół mnie z wywieszonym ozorem.

- Nic ci się nie stało? - Mężczyzna przechodzi szybkim krokiem przez ulicę. - Niedobry piesek - mówi, uderzając po głowie zwierzę, które oddała się ze skowytym.

Siadam, ostrożnie wydobywając stopę spomiędzy szprych. Prawe ramię i goleń mam obtarte, ale wygląda na to, że jakimś cudem niczego nie zламаłam.

- Nic mi nie jest. — Podnoszę się ostrożnie, po czym powoli obracam stopami i dłońmi, sprawdzając, czy gdzieś pojawi się ból. Ale nie.

- Powinnaś uważać, jak jedziesz - rzuca mężczyzna z irytacją. - Mogłaś się nawet zabić. - A potem rusza dalej i gwizdże na psa podążającego za nim truchtem, ze spuszczonego łbem.

Podnoszę rower i prowadzę go na chodnik. Łańcuch spadł z koła i jedna część kierownicy jest nieco wygięta, ale poza tym wszystko wygląda w porządku. Gdy się pochylam, by poprawić łańcuch, dostrzegam, że znajduję się właśnie przed Centrum Edukacji i Dokumentacji. Musiałam pedałowac przez ponad godzinę.

W CED znajduje się archiwum wszystkich oficjalnych dokumentów w Portland. Oprócz papierów rejestracyjnych firm są tu także nazwiska i adresy wszystkich obywateli miasta, kopie ich aktów urodzenia, ślubu, kartotek medycznych i dentystycznych. Do tego rejestr wykroczeń,

świadczenia szkolne i wyniki corocznych weryfikacji, a także oceny z ewaluacji i sugerowane pary.

Otwarte społeczeństwo to zdrowe społeczeństwo, jawność to podstawa zaufania — tego naucza *Księga SZZ*. Moja mama określa to nieco inaczej: tylko ludzie, którzy mają coś do ukrycia, robią tyle szumu o zachowanie prywatności.

Nie do końca świadoma, co właściwie robię, przypinam rower do lampy ulicznej i wbiegam po schodach. Popycham obrotowe drzwi i wchodzę do wielkiego surowego hallu wyłożonego szarym linoleum. Panującą w środku ciszę zakłóca tylko brzęczenie świateł.

Za biurkiem z plastiku imitującego drewno, przed starym komputerem siedzi kobieta. Za nią w otwartych drzwiach wisi ciężki łańcuch, opatrzony wielkim napisem: WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU I UPOWAŻNIONYCH PRACOWNIKÓW CED.

Gdy podchodzę do biurka, kobieta ledwo zaszczyca mnie spojrzeniem. Mała plastikowa plakietka oznajmia: TANYA BOURNE, RECEPCJONISTKA.

— Mogę w czymś pomóc? — pyta znudzonym głosem. Widać, że mnie nie poznała.

— Mam taką nadzieję — odpowiadam radośnie, kładąc rękę na biurku i zmuszając ją, by skierowała na mnie wzrok. Lena nazywała to spojrzeniem „stwórz więź”. — Wie pani, zbliża się mój ślub, a ja zupełnie straciłam kontakt z Cassie, i właściwie nie mam już czasu, żeby ją odnaleźć...

Kobieta wzdycha i poprawia się na krześle.

— I oczywiście Cassie musi tam być — kontynuuję. — To znaczy: mimo że nie mamy z sobą... wie pani, ona zaprosiła mnie na swój ślub, więc to nie byłoby zbyt uprzejme, prawda? — Chichoczę.

— Proszę pani — przywołuje mnie do porządku zmęczonym głosem.

— Och, przepraszam. — Znowu chichoczę. — Gadulstwo to paskudny nawyk. Pewnie jestem po prostu zdenerwowana, wie pani, przez wesele i to całe zamieszanie. — Przerywam na chwilę i biorę głęboki oddech. — A więc mogłaby mi pani pomóc?

Kobieta mruga oczami koloru szaroburej wody.

— W czym?

— Mogłaby mi pani pomóc odnaleźć Cassie? — pytam, zaciskając dłonie w pięści z nadzieją, że kobieta tego nie zauważy. Błagam, powiedz tak. — Cassandrę O'Donnell.

Obserwuję Tanyę uważnie, ale wygląda na to, że imię to nic jej nie mówi. Wydaje z siebie ciężkie westchnienie, podnosi się z krzesła i podchodzi do półki z papierami posegregowanymi w różnych przegródkach. Wraca do mnie kaczym krokiem i nieomal ciska je na biurko. To plik gruby jak kwestionariusz medyczny: co najmniej dwadzieścia stron.

— Podanie o udostępnienie informacji osobistej trzeba wysłać na adres CED, do Wydziału Spisu Ludności. Zostanie rozpatrzony w ciągu dziewięćdziesięciu dni...

— Dziewięćdziesiąt dni!? — przerywam jej. — Mój ślub jest za dwa tygodnie.

Kobieta ściąga usta. Cała jej twarz jest koloru brudnej wody. Może tak działa na nią ciągłe przebywanie w tym szarym, smutnym pomieszczeniu. Dodaje z naciskiem:

— Do podania o przyspieszone udostępnienie informacji osobistej musi być dołączone oświadczenie...

— Niech pani posłucha. — Rozkładam palce płasko na blacie i rozładowuję swoją frustrację naciskiem

dłoni. — Prawda jest taka, że Cassandra to wredna mała. Ja jej nawet nie lubię.

Tanya momentalnie się ożywia.

Kłamstwo przychodzi płynnie.

— Zawsze mówiła, że skopię swoją ewaluację, wie pani? A gdy dostała ósemkę, gadała o tym bez przerwy. I wie pani co? Dostałam więcej punktów niż ona, moja para jest lepsza niż jej, a moje wesele też będzie lepsze. — Pochyliłam się jeszcze bardziej i obniżam głos do szeptu. — Chcę, żeby tam była. Chcę, żeby to zobaczyła.

Tanya przez chwilę przygląda mi się bacznie. A potem powoli jej usta układają się w uśmiech.

— Też znałam taką jedną — mówi. - Wydawało jej się, że jest pępkiem świata. — Odwraca się w stronę ekranu komputera. — Jeszcze raz, jak się nazywa?

— Cassandra. Cassandra O'Donnell.

Paznokcie Tany i stukają głośno w klawiaturę. A potem kobieta kręci głową i marszczy brwi.

— Przykro mi. Nie mamy w bazie nikogo o tym nazwisku. W żołądku mi się przewraca.

— Jest pani pewna? Może źle pani je wpisała? Kobieta odwraca ekran komputera w moją stronę.

— Wskoczyło ponad czterystu O'Donnellów. Żadnej Cassandry.

— To może spróbuje pani z Cassie? — Staram się zwalczyć złe przeczucia, przeczucia, których nawet nie potrafię nazwać. To niemożliwe. Nawet jeśli nie żyje, pokazałaby się w systemie. CED ma dane wszystkich, żywych czy zmarłych, z ostatnich sześćdziesięciu lat.

Tanya znów przysuwa ekran do siebie, wstukuje imię na nowo i kręci głową.

— Nic z tego. Przykro mi. Może pisze się to jakoś inaczej?

— Możliwe. — Staram się uśmiechnąć, ale moje usta nie wykonują polecenia. To nie ma żadnego sensu. Jak ktoś może tak po prostu zniknąć? Nagle w głowie pojawia się myśl: może jej tożsamość została unieważniona. To jedyne wyjaśnienie, które ma sens. Może remedium na nią nie zadziałało, może złapała delirium, może uciekła do Głuszy.

To by nawet pasowało. Mogłoby być powodem, że Fred się z nią rozwiódł.

— ... jakoś się układa.

Mrugam oczami. Tanya coś do mnie mówi. Spogląda na mnie cierpliwie, najwyraźniej oczekując odpowiedzi albo komentarza.

— Przepraszam... co pani powiedziała?

— Powiedziałam, że zbytnio bym się tym nie martwiła. Wszystko zawsze jakoś się układa. Każdy w końcu dostaje to, na co zasłużył. — Wybuchą głośnym śmiechem. — Koła zębate w Bożej maszynie nie przestają się kręcić, dopóki wszystko nie wpadnie na swoje miejsce. Wie pani, o czym mówię? Pani dostała to, na co zasłużyła, i ona dostanie swoje.

— Dziękuję — odpowiadam. Gdy przechodzę przez obrotowe drzwi, znowu słyszę jej śmiech. Ten dźwięk wędruje za mną aż na ulicę i dzwoni mi cicho w głowie nawet wtedy, gdy jestem już kilka przecznic dalej.

LENA

Słońce nie tyle zachodzi, co rozdziela niebo na pół. Horyzont ma ceglany kolor. Reszta nieba jest poznaczona pasmami krwistej czerwieni.

Rzeka płynie coraz wolniej, teraz ma już postać cieniutkiej strużki. Wybuchają prawdziwe walki o wodę. Pippa ostrzega nas, byśmy nie opuszczali jej części obozu, i wystawia wokół niej strażę. Summer zniknęła. Pippa albo nie wie, gdzie się udała, albo woli nie zdradzać nam swoich planów.

Postanawia też, że im mniej osób będzie zaangażowanych w naszą akcję, tym lepiej: tym mniejsze będzie bowiem ryzyko spartaczenia. Ci z nas, którzy mają doświadczenie w walce — Tack, Raven, Dani i Hunter — zostali przydzieleni do głównej akcji: dotarcia do tamy, gdziekolwiek ona jest, i zburzenia jej. Lu upiera się, żeby iść z nimi, tak samo jak Julian, i chociaż żadne z nich nie brało nigdy udziału w takich przedsięwzięciach, Raven ustępuje.

Mam ochotę ją zabić.

— My też potrzebujemy straży — mówi. — Kogoś, kto będzie stał na czatach. Nie martw się, Lena. Wróci do ciebie cały i zdrowy.

Alex, Coral, Pippa i jeden z jej drużyny zwany Bestią — zapewne zawdzięcza ten przydomek dzikiej plątaninie czarnych włosów i czarnej brodzie zakrywającej mu usta — stworzą jeden z oddziałów dywersyjnych. Sama nie wiem, w jaki sposób zostałam wrobiona w dowodzenie drugą grupą. Bram będzie moim wsparciem.

— Chciałam iść tam, gdzie Julian — żalę się Tackowi. Nie mam odwagi poskarżyć się bezpośrednio Pippie.

— Tak? A ja chciałem zjeść dziś na śniadanie jajka z bekonem — mówi, nawet nie podnosząc wzroku znad skręcanego papierosa.

— Po tym wszystkim, co dla was zrobiłam, wciąż traktujecie mnie jak dziecko!

— Tylko wtedy, kiedy sama zachowujesz się jak dziecko — odpowiada, a mnie nagle wraca w pamięci kłótnia z Alekssem po tym, jak niemal wieki temu dowiedziałam się, że moja mama większość mojego życia spędziła uwięziona w Kryptach. Nie myślałam o tamtej scenie ani o nagłym wybuchu Aleksa od bardzo dawna. To było tuż przed tym, gdy po raz pierwszy powiedział mi, że mnie kocha. Tuż zanim wyznałam mu to samo.

Czuję się nagle przytłoczona, muszę więc zacisnąć pięści i wbić paznokcie w dłonie, aż pojawia się w nich ból. Nie rozumiem, jak to się dzieje, że wszystko się tak gwałtownie zmienia, że kolejne warstwy naszego życia grzęzną pod następnymi. Nie wiem, ile tak można wytrzymać. Kiedyś pewnie wszyscy wybuchniemy.

— Posłuchaj, Lena. — Tym razem Tack podnosi głowę. - Prosimy cię o to, ponieważ ci ufamy. Masz zdolności przywódcze. Jesteś nam potrzebna.

Szczerłość w jego głosie jest tak zaskakująca, że nie wiem, co odpowiedzieć. W moim dawnym życiu nigdy nie byłam przywódczynią. To Hana nią była. Ja musiałam słuchać.

— Kiedy to się skończy? — odzywam się po chwili.

— Nie wiem — odpowiada Tack. Po raz pierwszy od kiedy go znam, przyznaje, że czegoś nie wie. Próbuje skrócić papierosa, ale ręce mu się trzęsą. Na moment daje za wygraną, a potem próbuje od nowa. — Może nigdy. — Wreszcie poddaje się i zde gustowany wyrzuca papierosa. Kilka sekund stoimy w ciszy.

— Bram i ja potrzebujemy jeszcze kogoś — przerywam milczenie. — Na wypadek, gdyby jednemu z nas się nie powiodło, żeby to drugie dalej miało wsparcie.

Tack znowu podnosi głowę. Dociera do mnie wtedy, że przecież on też jest młody — Raven powiedziała mi kiedyś, że ma dwadzieścia cztery lata. I teraz na tyle właśnie wygląda. Przypomina dziecko przepełnione wdzięcznością, że ktoś zaoferował mu pomoc w zadaniu domowym.

Chwila ta jednak szybko mija i jego twarz znowu staje się surowa i nieprzystępna. Wyciąga paczkę tytoniu, kilka bibulek i zaczyna skręcanie od nowa.

— Możecie wziąć z sobą Coral — odpowiada.

Część misji, która przeraża mnie najbardziej, to wędrówka przez obóz. Pippa daje nam jedną z latarenek, niesie ją Bram. W jej migoczącym blasku otaczający nas tłum widzimy tylko fragmentarycznie: tu błysk czyichś zębów,

tam kobieta z obnażoną piersią karmiąca dziecko i rzucająca nam spojrzenie spode łba. Fala ludzi rozstępuje się przed nami niechętnie i tuż za nami zamyka. Wyczuwam ich pragnienie, już teraz słyszeć jęki i szepty: wody, wody. Zewsząd z ciemności dochodzą krzyki, przytłumione wrzaski, odgłos pięści uderzającej w czyjeś ciało.

Wreszcie docieramy na brzeg rzeki, teraz upiornie cichy. Nikt już nie walczy o wodę, nie ma już bowiem o co walczyć: z rzeki została tylko cieniutka strużka, nie szersza niż palec, czarna od mułu.

Do granicy mamy półtora kilometra, potem trzeba będzie iść wzdłuż muru jeszcze sześć kilometrów na północny zachód, do jednego z lepiej umocnionych odcinków. Zakłócenie porządku tutaj przykuje najczęściej uwagi i odciągnie najczęściej posiłków od miejsca, gdzie Raven, Tack i reszta mają zrobić wyłom.

Wcześniej Pippa otworzyła drugą, mniejszą lodówkę, pokazując nam półki wyłożone bronią przyslaną przez ruch oporu. Tack, Raven, Lu, Hunter i Julian dostali po jednej sztuce. My musimy zadowolić się butelką wypełnioną do połowy benzyną i zatkaną starą szmatą — „granatem dla ubogich”, jak to określiła Pippa. Milczącym porozumieniem zostałam wybrana do jej niesienia. Teraz przy każdym ruchu uderza mnie w kręgosłup, a do tego w plecaku wydaje się cięższa. Ciągle mam przed oczami wizję niespodziewanej eksplozji, która rozniesie mnie na strzępy.

Wreszcie dochodzimy do miejsca, gdzie obóz styka się z południową częścią muru granicznego, gdzie fala ludzi i namiotów rozbija się o kamień. Ta część granicy i miasta opustoszała. Ogromne, ciemne reflektory wyciągają nad obozem szyje jak żurawie. Świeci się tylko jedna żarówka:

jej białe światło zarysowuje jasno kształty przedmiotów, ale szczegóły pozostawia w mroku niczym latarnia oświetlająca ciemną taflę wody.

Kierujemy się wzdłuż muru na północ. Obóz wreszcie zostaje za nami. Ziemia jest wysuszona. Z każdym krokiem słysząc trzeszczenie sosnowych igieł pod naszymi stopami. Nie licząc tego — teraz, gdy gwar obozu ucichł — wokół panuje zupełna cisza.

Od środka zżera mnie niepokój. Nie martwię się zbyt o nas — jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie będziemy nawet musieli przedzierać się przez rmir — ale Julian porwał się z motyką na słońce. Nie ma pojęcia, w co się wpakował.

— To szaleństwo — odzywa się nagle Coral cieniem głosem. Cały czas musiała walczyć z paniką. — To nie ma prawa się udać. To samobójstwo.

— Nie musiałaś z nami iść — odpowiadam ostro. — Nikt cię do tego nie zmuszał.

Ale Coral zdaje się w ogóle mnie nie słuchać.

— Powinniśmy byli się spakować i wynieść stąd — mówi.

— I zostawić resztę na pastwę losu? — odparowuję.

Coral nie odpowiada. Najwyraźniej jest tak samo nieszczęśliwa jak ja, że zostałyśmy zmuszone do wspólnej akcji — a pewnie nawet bardziej nieszczęśliwa, ponieważ ja tu dowodzę.

Lawirujemy między drzewami, podążając za migotaniem latarenki Brama, która skacze przed nami niczym ogromny świetlik. Czasami napotykamy wstęgi betonu promieniście rozchodzące się od muru. Niegdyś te drogi prowadziły do innych miast. Teraz urywają się nagle albo opływają pniami młodych drzew jak szare rzeki.

Znaki — oplecione gęsto zeschniętym bluszczem — wskazują drogę do nieistniejących już od dawna miast i restauracji.

Spoglądam na mały plastikowy zegarek, który pożyczył mi Bestia: jest wpół do dwunastej. Wyruszyliśmy półtorej godziny temu. Za trzydzieści minut powinniśmy podpalić szmatę i przerzucić butelkę przez ogrodzenie. W tym samym czasie nastąpi eksplozja po wschodniej stronie, nieco na południe od miejsca, gdzie Raven, Tack, Julian i inni będą przekraczać mur. Te dwie eksplozje powinny odciągnąć uwagę od ich przeprawy.

Tutaj, daleko od obozu, granica jest lepiej utrzymana. Wysoki betonowy mur jest gładki i nieuszkodzony, reflektory działają i jest ich więcej: przypominają ogromne, szeroko otwarte oczy, oślepiają nas co kilka metrów.

Za reflektorami widać czarne sylwetki apartamentowców, oszklonych budynków i kościelnych wież. Wiem, że zbliżamy się do centrum miasta, do obszaru, który w przeciwieństwie do peryferyjnych osiedli mieszkalnych nie został całkowicie ewakuowany.

Adrenalina zaczyna we mnie buzować, zwiększając wrażliwość na bodźce. Nagle dociera do mnie, że noc wcale nie jest cicha. Słyszę przemykające wokół nas zwierzęta, ich szelest wśród liści.

A potem głosy: słabe, zlewające się z dźwiękami lasu.

— Bram — szepczę do niego. — Zgaś latarnię.

Bram wykonuje polecenie. Wszyscy troje przystajemy. Słysząc cykanie świerszczy, które rozbija ciszę na kawałki i odmierza upływające sekundy. Dobiega mnie płytki, rozpaczliwy oddech Coral. Dziewczyna jest przerażona.

Znowu docierają do nas strzępy głosów i śmiechy. Trzymamy się lasu, ukryci w grubym klinie ciemności

między dwoma reflektorami. Gdy moje oczy przystosowują się do mroku, dostrzegam małe światełko, jak pomarańczowy świetlik, unoszące się nad murem. Rozbłyskuje jaśniej, przygasa i znowu rozbłyskuje. Papieros. Strażnik.

Kolejny wybuch śmiechu przerywa ciszę, tym razem głośniejszy. Słysząc męski głos: — Nie ma bata, stary. Strażnicy, liczba mnoga.

A więc tak to wygląda. Wzdłuż muru rozstawione są punkty obserwacyjne. To dobra i zła wiadomość. Więcej strażników to więcej osób, które mogą wszczać alarm, ale zarazem więcej oddziałów, których uwagę będzie można odwrócić od głównej akcji. Przez to trudniej jednak będzie się zbliżyć do muru.

Wskazuję Bramowi, żeby ruszył za mną. Teraz, bez światła, musimy iść powoli. Jeszcze raz spoglądam na zegarek. Zostało dwadzieścia minut.

I wtedy dostrzegam metalową konstrukcję wznoszącą się nad murem jak ogromna klatka dla ptaków. Wieża alarmowa. Manhattan, którego mur graniczny przypominał tutejszy, miał podobne wieże. W środku znajduje się drucziana klatka, a w niej mechanizm włączający alarm w całym mieście, ściągający porządkowych oraz policję ku granicy.

Wieża alarmowa jest na szczęście ulokowana w jednej z ciemnych przerw między reflektorami. Mimo wszystko trzeba założyć, że tej części ogrodzenia też strzegą strażnicy, nawet jeśli stąd ich nie widać. Zwieńczenie muru jest masywne i skryte przed naszym wzrokiem, może się tam więc kryć nie wiadomo ilu porządkowych.

Szeptem nakazuję Bramowi i Coral, żeby się zatrzymali. Wciąż jesteśmy dobre trzydzieści metrów od muru, ukryci w cieniu sosen i dębów.

— Odpalimy butelkę tak blisko wieży alarmowej, jak tylko się da — mówię cicho. — Jeśli eksplozja nie spowoduje włączenia alarmu, zrobią to strażnicy. Bram, zajmiesz się jednym z dalszych reflektorów. Byle nie bardzo odległym. Jeśli na wieży są strażnicy, dobrze by było, gdyby się ruszyli. Chciałabym podejść trochę bliżej, zanim rzucę to cholerstwo. — Pokazuję na plecak.

— A co ja mam robić? — pyta Coral.

— Zostaniesz tutaj. Na straży. Będziesz w pogotowiu, gdyby coś mi nie wyszło.

— To bzdura — oświadcza bez przekonania.

Znowu spoglądam na zegarek. Piętnaście minut. Prawie godzina zero. Wyciągam butelkę z plecaka. Wydaje się większa niż przedtem i niewygodnie się ją niesie. Przez chwilę nie mogę znaleźć pudełka zapalek, które dał mi Tack, i zaczynam panikować, że zgubiłam je gdzieś w ciemności, ale wtedy przypominam sobie, że dla bezpieczeństwa włożyłam je do kieszeni.

„Podpal szmatę i rzuć butelkę — poinstruowała mnie Pippa. — Oto cała filozofia”.

Biorę głęboki oddech i cicho wypuszczam powietrze z płuc. Nie chcę, żeby Coral wiedziała, że się denerwuję.

— Okej, Bram.

— Teraz? — Jego głos jest cichy, ale spokojny.

— Idź teraz. Ale czekaj, aż zagwiżdżę.

Bram, dotychczas przykucnięty, podnosi się i oddala bezszelestnie. Wkrótce pochłania go jeszcze gęstsza ciemność. Coral i ja czekamy w ciszy. Gdy w pewnej chwili nasze

łokcie się stykają, ona gwałtownie się odsuwa. Odchylam się nieco od niej, by przyjrzeć się uważniej murowi i sprawdzić, czy cienie, które widzę, to ludzie, czy też w ciemności zmysły płatają mi figle.

Spoglądam na zegarek, za chwilę znowu. Nagle minuty zaczynają pędzić przed siebie jak oszalałe. 23.50,23.53,

Teraz.

W gardle zaschło mi zupełnie. Z trudem przełykam ślinę i muszę dwa razy polizać wargi, zanim udaje mi się zagwizdać.

Przez kilka chwil, zdających się trwać wieczność, nic się nie dzieje. Nie ma już sensu udawać, że się nie boję. Serce wali mi w piersi jak oszalałe i mam wrażenie, że płuca mi się skurczyły.

I wtedy go dostrzegam. Gdy biegnie w stronę muru, przecina promień reflektora i w jego świetle zastyga jak na fotografii. A potem ciemność pochłania go znowu, rozlega się głośny trzask i reflektor gaśnie.

Podrywam się i ruszam pędem w stronę ogrodzenia. Słyszę krzyki, ale nie potrafię rozróżnić słów ani skupić się na czymkolwiek poza tą kamienną ścianą i górującą nad nią wieżą. Teraz, gdy reflektor zgasł, jej sylwetka odcina się jeszcze wyraźniej oświetlona przez księżyc i światła z głębi miasta. Pięć metrów od muru przyciskam się do pnia młodego drzewa. Wkładam butelkę między uda i próbuję zapalić zapalniczkę. Pierwsza od razu gaśnie.

— No dalej, dalej — mruczę. Ręce mi się trzęsą. Druga i trzecia zapalniczka również gasną.

Ciszę przerywa seria z broni palnej. Strzały rozlegają się chaotycznie, nieregularnie — strzelają na oślep, więc

odmawiam krótką modlitwę, żeby Bram był już z powrotem między drzewami, skąd będzie mógł bezpiecznie obserwować, czy reszta planu przebiega jak trzeba.

Czwarta zapalka wreszcie zajmuje się równym płomieniem. Wyciągam butelkę spomiędzy nóg, przykładam zapalkę do szmaty i obserwuję, jak rozbłyska białym ogniem.

A potem wybiegam spomiędzy drzew, biorę mocny zamach i rzucam.

Butelka leci w stronę muru, tworząc wirujący ognisty krąg. Czekam na eksplozję, ale na próżno: płonąca szmata wypadła z butelki i dryfuje w stronę ziemi. Przez chwilę jak w transie obserwuję tor jej lotu — wygląda jak ognisty ptak, który ranny pikuje w dół i spada w zarośla u podnóża muru. Butelka rozbija się o beton, nie powodując żadnych szkód.

— Co jest, do cholery? A t e r a z to znowu co?

— Wygląda mi to na ogień.

— Pewnie przez twój cholerny papieros.

— Przestań psioczyć, tylko podaj mi gaśnicę.

Wciąż żadnego alarmu. Strażnicy pewnie przywykli do aktów wandalizmu ze strony Odmieńców i ani uszkodzony reflektor, ani mały pożar nie budzą ich większego niepokoju. Możliwe, że to okaże się bez znaczenia — misja Aleksa, Pippy i Bestii jest ważniejsza, bo ulokowana bliżej miejsca głównej akcji — ale kto wie, ich plan też mógł nie wypalić. A wtedy w mieście nadal będzie się roić od strażników, czujnych, zwartych i gotowych.

Co będzie równe posłaniu Raven, Tacka, Juliana i reszty na rzeź.

Bez zastanowienia zrywam się na nogi i rzucam w stronę rosnącego przy murze dębu. Powinien udźwignąć mój ciężar. Wiem tylko jedno: muszę się przedostać

przez mur i sama uruchomić alarm. Opieram stopę o wystający sęk i podciągam się wyżej. Jednak jestem słabsza, niż ubiegłej jesieni, kiedy codziennie wspinałam się do gniazd, szybko i bez problemów. Spadam z drzewa i uderzam głucho o ziemię.

— Co robisz?

Spoglądam za siebie. Coral wyszła zza drzew.

— A ty co robisz? — Odwracam się z powrotem w stronę dębu i próbuję znowu, tym razem z innym uchwytem. Nie mam czasu, nie mam czasu, nie mam czasu.

— Powiedziałaś, że mam być w pogotowiu.

— Ciszej — karczę ją szeptem. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona, że na tyle się mną przejęła, by za mną pójść. — Muszę się przedostać przez mur.

— I co potem?

Próbuję po raz trzeci — udaje mi się musnąć palcami gałęzie nad głową — ale moje nogi nie wytrzymują i muszę zeskoczyć z powrotem na ziemię. Czwarta próba jest nawet gorsza od poprzednich. Tracę nad sobą kontrolę, nie myślę już jasno.

— Lena. Co planujesz zrobić? — powtarza Coral. Spoglądam na nią.

— Podsadź mnie — mówię szeptem. -Co?

— No dalej! — Do mojego głosu zakrada się panika. Jeśli Raven i reszta jeszcze nie przedarli się przez mur, zaczną próby w każdej chwili. Oni liczą na mnie.

Coral musiała usłyszeć zmianę w moim głosie, ponieważ nie zadaje więcej pytań. Zaplata palce i przykuca, a ja kładę stopę na podpórce utworzonej przez jej rękę. Podnosi mnie, nie bez trudu, dzięki czemu udaje mi się podciągnąć

na gałęzie rozchodzące się od pnia szeroko jak druty parasola. Jedna z niech dosięga niemal aż do muru. Kładę się na niej na brzuchu, przyciskam płasko i zaczynam przesuwac się do przodu jak gąsienica.

Gałąź zaczyna się uginać pod moim ciężarem. Kolejne kilkadziesiąt centymetrów i zaczyna się kołysać. Nie mogę się posunąć dalej. Gdy gałąź się ugina, odległość między mną a szczytem muru się powiększa. Teraz z każdym centymetrem moje szanse dostania się na mur maleją.

Biorę głęboki oddech i zmieniam pozycję. Przykucam, kurczowo trzymając się gałęzi, która lekko kołysze się pode mną. Nie mam czasu, by myśleć o tym, co robię. Odbijam się w górę, a gałąź, pozbywszy się mojego ciężaru, odbija się wraz ze mną jak trampolina.

Przez chwilę zawisam w powietrzu lekka jak piórko. A potem betonowa krawędź wbija mi się mocno w brzuch, pozbawiając mnie tchu. Przerzucam ramiona przez mur, by się podciągnąć, po czym przetaczam się na chodnik przeznaczony dla patrolujących strażników. Zatrzymuję się w cieniu, by odzyskać oddech.

Ale nie jest mi dane odpocząć. Wokół nagle eksplodują dźwięki: krzyki strażników, dudnienie kroków w moim kierunku. Za chwilę mnie dorwą i szansa przepadnie.

Podnoszę się i ruszam sprintem w stronę wieży alarmowej.

— Hej! Hej, stój!

Z ciemności materializują się kształty: jeden, dwóch, trzech strażników, sami mężczyźni, błysk metalu w świetle księżyca. Broń.

Pierwsza kula trafia w stalową podporę wieży alarmowej. Wpadam do środka, kiedy rozbrzmiewają kolejne

strzały. Nie rozpraszam się, patrzę wprost przed siebie, wszystkie dźwięki wydają się odległe. W głowie rozbłyskują chaotyczne obrazy, jak klatki z różnych filmów: strzały, petardy, krzyki, dzieci na plaży.

I nagle dostrzegam ją i mój wzrok koncentruje się tylko na niej: małej dźwigni oświetlonej z góry przez gołą żarówkę za drucianą osłoną. Alarm.

Czas zdaje się rozmywać. Mam wrażenie, że moje ręce należą do kogoś innego i suną w stronę dźwigni w przerażająco wolnym tempie. Wreszcie jest, trzymam drążek w dłoni. Metal jest zdumiewająco zimny. Powoli, powoli, powoli, palce zaciskają się wokół. Ręka ciągnie w dół.

Kolejny strzał, brzęk metalu, silna, wysoka wibracja.

A wtedy nagle noc przeszywa przenikliwe wycie i czas z drzeniem wraca do normalnej prędkości. Dźwięk jest tak przeraźliwy, że odczuwam go nawet w zębach. Ogromna żarówka na szczycie wieży alarmowej zapala się i zaczyna obracać, posyłając w miasto fale czerwieni.

Poprzez metalowe rusztowanie sięgają do mnie ramiona: pajęczce odnóża, wielkie i włochate. Jeden ze strażników chwytam mnie za nadgarstek. Wyciągam rękę, łapię go za kark i uderzam jego głową w stalową podpórkę. Mężczyzna puszcza mnie i klnąc, zatacza się do tyłu.

— Dziwka!

Wyskakuję z wieży. Dwa stopnie, przez mur i wszystko będzie dobrze, będę wolna. Bram i Coral będą czekać między drzewami, w ciemności zgubimy strażników. Uda mi się...

W tym momencie przez mur przechodzi Coral. Staję jak wryta. Tego nie było w planie. Zanim zdążę zapytać, co tu robi, czyjaś ręką owija mnie w pasie i ciągnie w tył.

Czuję zapach skórzanego ubrania i gorący oddech na karku. Instykt przejmuje władzę. Uderzam strażnika łokciem w brzuch, ale ten nie puszcza.

— Nie ruszaj się — warczy.

A potem wszystko dzieje się zrywami: ktoś krzyczy, czyjaś ręka ściska moje gardło. Przede mną stoi Coral, śliczna i blada, z włosami spływającymi na plecy, z uniesioną ręką, zjawiskowa.

Trzyma w ręku kamień.

Jej ramię obraca się z wprawą i przez głowę przelatuje mi myśl: zaraz mnie zabije.

Wtedy strażnik stęka, ręka wokół mojego pasa wiotczeje, zacisk na szyi się rozluźnia i mężczyzna pada na ziemię.

Teraz straże wylewają się zewsząd. Alarm wciąż wyje i co chwila wszystko błyska na czerwono: dwóch strażników po naszej lewej, dwóch po prawej. Następnych trzech, stojących ciasno przy murze, blokuje nam drogę z trzeciej strony.

Kolejny błysk ukazuje nam znajdujące się za naszymi plecami metalowe schody prowadzące w dół do wąskiej rozpadliny ulic miasta.

— Tędy — wyrzucam zdyszana. Łapię Coral za rękę i ciągnę w dół schodów. Ten ruch jest tak nieoczekiwany, że strażnicy reagują dopiero po chwili. Zanim docierają do schodów, Coral i ja jesteśmy już na ulicy. W każdej chwili zjawią się oddziały przywołane alarmem. Ale jeśli znajdziemy jakiś ciemny zaułek... gdzieś, gdzie uda się ukryć i przeczekać...

Pali się tylko kilka latarni. Ulice są ciemne. Wciąż rozbrzmiewają wystrzały, ale to oczywiste, że strażnicy strzelają na oślep.

Skręcamy w prawo, potem w lewo, potem znowu w prawo. Słyszymy zbliżające się, dudniące kroki. Kolejne patrole. Zastanawiam się, czy nie lepiej zawrócić, kiedy Coral kładzie mi rękę na ramieniu i ciągnie w stronę jeszcze gęstszej ciemności, która okazuje się bramą śmierdzącą kocim moczem i dymem papierosowym, niewidoczną na pierwszy rzut oka. Przykucamy. Chwilę później mijają nas niewyraźne kształty, brzęczenie krótkofalówek i ciężkie oddechy.

— Alarm wciąż wyje. Na stanowisku dwudziestym czwartym zgłoszono naruszenie granicy.

— Gdy przybędą posiłki, zaczniemy przeczesywać teren. Kiedy ich kroki milkną, odwracam się do Coral.

— Co ty, do diabła, wyprawiasz? — pytam. — Dlaczego mnie śledziłaś?

— Powiedziałaś, że mam cię ochraniać. Wpadłam w panikę, gdy usłyszałam alarm. Pomyślałam, że jesteś w tarapatach.

— A co z Bramem? Coral kręci głową.

— Nie mam pojęcia.

— Nie powinnaś była tak ryzykować - karzę ją ostrym tonem. Po czym zaraz dodaję łagodniej: — Dziękuję.

Zaczynam się podnosić, ale Coral ciągnie mnie w dół.

— Zaczekaj — szepcze i przykłada palec do ust. Wtedy dociera do mnie dźwięk kolejnych kroków zmierzających w przeciwną stronę. Ukazują nam się kontury dwóch postaci.

Jedna z nich, mężczyzna, mówi:

— Nie wiem, jak wytrzymałaś tyle w tym brudzie... Mówię ci, ja bym nie dał rady.

— Nie było łatwo. — Drugi głos należy do kobiety i brzmi jakoś znajomo.

Gdy znikają nam z oczu, Coral mnie szturcha. Musimy się stąd wynieść, zanim zaczną się tu roić od patroli. Pewnie też włączą wszystkie lampy, by ułatwić sobie poszukiwania.

Musimy się kierować na południe. Stamtąd najłatwiej będzie się przedostać do obozu.

Poruszamy się szybko, w ciemności, trzymając się blisko budynków, gdzie można bez problemów zanurkować w boczne uliczki i bramy. Przepęnia mnie ten sam dławiący strach, który mi towarzyszył, gdy uciekaliśmy z Julianem przez tunele.

Nagle włączają się wszystkie lampy. Jest tak, jakby ciemność była oceanem, cofnął się przypływ i zostawił po sobie nagi, surowy krajobraz pustych ulic. Odruchowo dajemy nura w ciemną bramę.

— Cholera — mruczy Coral.

— Właśnie tego się obawiałam — szepczę. — Musimy się teraz trzymać ciemnych zaułków.

Coral kiwa głową.

Poruszamy się jak szczury, przemykamy od cienia do cienia, ukrywamy w bocznych uliczkach i szczelinach między budynkami, w ciemnych bramach i za kontenerami na śmieci. Jeszcze dwa razy słyszymy nadchodzące patrole i musimy nurkować w ciemność, dopóki brzęczenie krótkofalówek i kroki nie ucichną.

Krajobraz się zmienia. Wkrótce budynki rzedną. Wreszcie wycie alarmu staje się odległym jękiem i z ulgą wkraczamy znowu na teren, gdzie lampy są zgaszone. Okrągły księżyc świeci wysoko nad naszymi głowami. Mieszkania

po obu stronach są puste, jak samotne dzieci porzucone przez rodziców. Zastanawiam się, jak daleko od rzeki jesteśmy, czy usłyszałybyśmy, gdyby Raven i reszcie udało się wysadzić tamę. Na myśl o Julianie odczuwam w sercu ukłucie niepokoju, ale i żalu. Byłam dla niego okropna. A przecież on stara się, jak może.

Biegniemy teraz przez park. Nagle Coral zatrzymuje się i wskazuje coś ręką.

— Lena, spójrz. — W środku parku znajduje się zalany amfiteatr, księżyc oświetla gładką czarną powierzchnię. Przez moment mam wrażenie, że między kamiennymi siedzeniami połyskuje ropa naftowa.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to woda.

Połowa amfiteatru jest zalana. Po powierzchni pływają liście, zniekształcając odbicie księżyca, gwiazd i drzew w tafli wody. To osobliwie piękny widok. Mimowolnie robię krok do przodu i wchodzę na mokrą trawę. Pod butami chlupocze błoto.

Pippa miała rację. Tama zmusiła wodę do wyjścia z brzegów i zalała część miasta. To oznacza, że jesteśmy w okolicy, która została ewakuowana po protestach.

— Biegnijmy do granicy — mówię. — Nie powinniśmy mieć problemów z jej przekroczeniem.

Posuwamy się dalej obrzeżami parku. Panująca wokół cisza jest głęboka i kojąca. Czuję lekkość w sercu. Udało nam się. Zrobiliśmy to, co do nas należało, i przy odrobinie szczęścia reszta planu również się powiodła.

Na rogu parku znajduje się mała kamienna rotunda otoczona frędzlami ciemnych drzew. Gdyby nie latarenka świecąca się w rogu, nie zauważyłabym dziewczyny siedzącej na kamiennej ławce. Głowę ma spuszczoną, ukrytą

między kolanami, ale rozpoznaję te długie włosy z kolorowymi pasemkami i pokryte skorupą błota fioletowe tenisówki. Lu.

Coral dostrzega ją w tym samym momencie.

— Czy to nie... — zaczyna, ale ja już biegnę w tamtą stronę.

— Lu! — krzyczę.

Lu podnosi głowę zaskoczona. Chyba nie rozpoznała mnie od razu. Twarz ma potwornie bladą, przerażoną. Przykucam przed nią i kładę jej ręce na ramiona.

— Wszystko w porządku? — pytam zdyszczanym głosem. — Gdzie jest reszta? Czy coś się stało?

— Ja... — Urywa i kręci głową.

— Jesteś ranna? — Prostuję się, nie zdejmując rąk z jej ramion. Nie widzę śladów krwi, ale Lu delikatnie drży. Otwiera usta, a potem zaraz je zamyka. Oczy ma szeroko otwarte i puste. — Lu, powiedz coś. — Obejmuję jej twarz delikatnie i potrząsam lekko, żeby się wzięła w garść. I wtedy moje palce muskają skórę za jej lewym uchem.

Serce mi staje. Lu wydaje z siebie cichy okrzyk i próbuje się ode mnie odsunąć, ale ja mocno trzymam ją za kark. Zaczyna się szarpać i wyrywać.

— Zostaw mnie! — wyrzuca z siebie ze złością.

Nic nie odpowiadam. Nie jestem w stanie. Cała moja energia jest teraz skumulowana w moich rękach, w moich palcach. Lu jest silna, ale wzięłam ją z zaskoczenia, dzięki czemu udaje mi się podnieść ją na nogi i przygwoździć do kamiennej kolumny. Wbijam jej łokieć w szyję, zmuszając, żeby odwróciła twarz w lewo.

Jak przez mgłę słyszę głos Coral:

— Lena, co ty wyprawiasz, do cholery? Odsuwam włosy z twarzy Lu, odsłaniając jej szyję.

Dostrzegam gorączkowe pulsowanie tętnicy — tuż pod równą, potrójną blizną.

Śladem po zabiegu. Prawdziwym. Lu jest wyleczona.

Nagle stają mi przed oczami ostatnie tygodnie: wyciszenie Lu, zmiana w jej zachowaniu. To, że zapuściła włosy i codziennie starannie je zaczesywała.

— Kiedy? — pytam ochryłym głosem, wciąż dusząc ją przedramieniem. Gniew wzbiera we mnie jak gęste, czarne błoto. Zdrajczynie.

— Puść mnie. — Patrzy na mnie jednym okiem.

— Kiedy? — powtarzam pytanie i szturcham ją w gardło. Lu wydaje z siebie krzyk.

— Dobrze już, dobrze — dyszy, więc nieco zmniejszam nacisk. — W grudniu — wyrzuca chrapliwym głosem. — W Baltimore.

W głowie mi się kręci. No tak. To przecież ją słyszałam wcześniej. Słowa porządkowego stają mi w pamięci, odsłaniając swoje nowe, przerażające znaczenie: „nie wiem, jak wytrzymałaś tyle w tym brudzie”. I jej odpowiedź: „nie było łatwo”.

— Dlaczego? — udaje mi się wykrztusić. Nie odpowiada natychmiast, więc przybliżam do niej twarz. — Dlaczego?

Lu zaczyna mówić pośpiesznie:

— Oni mieli rację, Lena. Teraz to wiem. Pomyśl o tych wszystkich ludziach tam, w obozie albo w Głuszy... Żyją jak zwierzęta. To nie jest szczęście.

— To wolność — odpowiadam.

— Doprawdy? — Oko, którym na mnie spogląda, wydaje się ogromne. Jego tęczęwka ginie w ciemności. — Naprawdę jesteś wolna, Lena? Czy to jest życie, o jakim marzyłaś?

Nie potrafię odpowiedzieć. W piersi i gardle wzbiera mi gniew, gęsty i ciemny jak błoto.

Głos Lu obniża się do delikatnego szeptu niczym szmer węża wijącego się w trawie.

— Jeszcze nie jest dla ciebie za późno, Lena. Nie ma znaczenia, co robiłaś po tamtej stronie. Oczyszcimy cię z tego. Na tym to wszystko polega. Możemy to wszystko odjąć... przeszłość, cierpienie, wszystkie zmagania. Możesz zacząć od nowa.

Przez chwilę żadna z nas się nie porusza i tylko mierzymy się wzrokiem. Słyszę jej ciężki oddech.

— Wszystko? — pytam.

Lu próbuje pokiwać głową, ale tylko się krzywi, czując mój łokieć.

— Ból, niepokój. Możemy sprawić, by zniknęły.

Znów lekko zmniejszam nacisk. Lu z ulgą łapie powietrze. Przysuwam się do niej jeszcze bliżej i powtarzam coś, co dawno, dawno temu powiedziała mi Hana:

— Wiesz, że nie możesz być szczęśliwa, jeżeli czasami nie bywasz nieszczęśliwa, prawda?

Twarz Lu tężeje. Mając teraz wystarczająco miejsca, próbuje się na mnie zamachnąć, ale błyskawicznie łapię ją za lewy nadgarstek i wykręcam jej rękę do tyłu, zmuszając Lu do zgięcia się wóół. Przewracam Lu na ziemię, przyciskam płasko i klękam między jej łopatkami.

— Lena! — krzyczy Coral. Nie zwracam na nią uwagi. W mojej głowie ciągle kołacze jedno słowo: zdrada, zdrada, zdrada.

— Co się stało z pozostałymi? - pytam zduszonym głosem.

— Już za późno, Lena. - Połowa twarzy Lu jest przygnieciona do ziemi, ale druga połowa wykrzywia się w straszliwym, wyszczerzonym półuśmiechu.

Dobrze, że nie mam ze sobą noża. Wbiłabym go jej prosto w szyję. Przypomina mi się śmiech Raven: Lu może iść z nami, to chodzący amulet. Przypomina mi się Tack, jak dzielił się z nią swoją porcją chleba i wręczył jej największy kawałek, gdy skarżyła się, że jest głodna. Mam wrażenie, że moje serce rozpada się na tysiące kawałków, mam ochotę krzyczeć i płakać jednocześnie. Zaufaliśmy ci.

— Lena — powtarza Coral. — Wydaje mi się...

— Cicho bądź — rzucam jej ochrypłym głosem, nie spuszczać wzroku z Lu. — Gadaj, co się z nimi stało, albo cię zabiję.

Lu szamoce się, a na jej twarzy ciągle maluje się ten upiorny, wykrzywiony uśmiech.

— Za późno — powtarza. — Rędą tutaj jutro przed zmrokiem.

— O czym ty mówisz? Lu śmieje się chrapliwie.

— Chyba nie myśleliście, że to będzie trwało wiecznie? Nie myśleliście, że pozwolimy wam bez końca bawić się w ten obozisk i tarzać w tym brudzie... — Wykręcam jej ramię jeszcze mocniej. Lu, krzyknawszy, kontynuuje pospiesznie: — Dziesięć tysięcy żołnierzy, Lena. Dziesięć tysięcy wojska przeciwko tysiącu głodnych, spragnionych, opętanych chorobą i zdezorganizowanych Odmieńców. Zmiażdżą was. Zrównają z ziemią. Puf.

Niedobrze mi. W głowie mi się kotłuje. Dociera do mnie jak przez mgłę, że Coral znów coś do mnie mówi. Dopiero po chwili jej słowa przedzierają się przez fale huczące mi pod czaszką.

— Lena, chyba ktoś tu idzie.

Ledwo wypowiada te słowa, kiedy porządkowy - zapewne ten, z którym rozmawiała wcześniej Lu — wyłania się zza rogu, mówiąc:

- Przepraszam, że tyle to zajęło. Szopa była zamknięta. ..

Urywa na nasz widok. Coral rzuca się na niego z krzykiem, ale robi to niepewnie i niezdarnie. Porządkowy odpycha ją i słyszę cichy trzask, kiedy jej głowa zderza się z kamienną kolumną portyku. Mężczyzna rzuca się na nią i bierze zamach latarką, celując w jej twarz. Coral udaje się zrobić unik, latarka roztrzaskuje się o kamienny filar i gaśnie.

Zamach był zbyt mocny, przez co porządkowy traci równowagę. To daje Coral czas, by odsunąć się od filara. Oszołomiona, chwieje się, a potem odwraca w stronę napastnika, trzymając się ciągle kurczowo za tył głowy. Tymczasem porządkowy odzyskuje równowagę i jego ręka wędruje do pasa. Po broń.

Podrywam się na nogi. Nie mam wyboru, muszę puścić Lu. Rzucam się na porządkowego i chwytam go w pasie. Mój ciężar i siła rozpędu zwalają nas oboje z nóg i uderzamy o ziemię, robiąc jeden obrót, ze spletanymi rękami i nogami. Czuję w ustach smak jego munduru i potu oraz ciężar jego broni wbijającej mi się w udo.

Za sobą słyszę krzyk i głucho uderzenie ciała o ziemię. Boże, spraw, żeby to była Lu, nie Coral.

W tym samym momencie porządkowy uwalnia się z mojego uścisku i podrywa na nogi, brutalnie zrzucając mnie z siebie. Dyszy ciężko, cały czerwony na twarzy. Jest wyższy i silniejszy, ale też wolniejszy i w dużo gorszej kondycji. Dotyka ręką pasa, ale zanim udaje mu się

wydobyć broń z kabury, podnoszę się z ziemi. Chwytam go za nadgarstek, a on wydaje z siebie ryk wściekłości. Bang!

Broń wypala. Nieoczekiwany wystrzał wywołuje wstrząs w całym moim ciele, nawet zęby mi dzwonią. Odskakuję. Porządkowy, wyjąc z bólu, zgina się wpół. Na jego prawej nodze rozprzestrzenia się ciemna plama. Mężczyzna przewraca się na plecy, trzymając za udo. Twarz ma wykrzywioną, mokrą od potu. Broń wciąż tkwi w kaburze — sama wypaliła.

Robię krok do przodu i wrywam mu ją. Porządkowy nie stawia oporu. Jęczy tylko, trzęsie się i powtarza: „cholera, cholera”.

— Coś ty, do cholery, zrobiła?

Odwracam się w mgnieniu oka. Przede mną stoi Lu, oddycha ciężko i mierzy mnie wzrokiem. Za jej plecami widzę leżącą na ziemi Coral, na boku, z głową opartą na ramieniu i podkulonymi nogami. Serce mi staje. Boże, błagam, nie pozwól, żeby umarła. Wtedy dostrzegam, że powieki jej drżą i jedna ręka dygocze. Dziewczyna wydaje z siebie jęk. A zatem żyje.

Lu robi krok w moją stronę. Gdy unoszę broń i wymierzam ją w jej kierunku, nieruchomieje.

— Hej, posłuchaj. — Jej głos jest ciepły i przyjazny. — Daj spokój. Nie rób niczego głupiego.

— Dobrze wiem, co robię — odwarkuję.

Jestem zdumiona, jak pewna jest moja ręka. Jestem zdumiona, że nadgarstek, palec, zaciśnięta pięść i broń należą do mnie.

Lu sili się na uśmiech.

— Pamiętasz nasz stary azyl? — mówi tym samym słodkim, przymilnym głosem. — Pamiętasz, jak Blue i ja znalazłyśmy kiedyś polanę z mnóstwem jagód?

— Jak śmiesz wracać do tamtych rzeczy!? — wyrzucam z siebie ze złością. - Nie waż się mówić o Blue! - Podnoszę broń. Widzę, jak się wzdryga. Jej uśmiech zamiera. To byłoby takie proste. Nacisnąć i puścić. Bang!

— Lena... — zaczyna, ale nie pozwalam jej skończyć. Robię krok do przodu, a potem kładę jej rękę na karku, przyciągam do siebie i przysuwam wylot lufy do jej policzka. Oczy Lu wywracają się białkami do góry jak u przerażonego konia. Szamocze się, próbuje mi się wyrwać.

— Nie ruszaj się - mówię głosem, który nie brzmi jak mój. Jej ciało wiotczeje, tylko przerażony wzrok miota się od mojej twarzy do nieba.

Nacisnąć i puścić. Taki prosty ruch. Jedno szarpnięcie. Czuję jej oddech, gorący i kwaśny.

Wreszcie odpycham ją od siebie. Lu upada, dysząc ciężko, jak gdybym ją dusiła.

— Idź - rzucam jej. - Zabierz go - wskazuję na porządkowego, który wciąż jęczy i trzyma się za udo — i idź. — Lu oblizuje nerwowo usta, jej wzrok biegnie w kierunku leżącego na ziemi mężczyzny. — Zanim zmienię zdanie — dodaję.

Po tych słowach nie zastanawia się dłużej. Przykuca, zarzuca sobie na szyję rękę porządkowego i pomaga mu się podnieść. Czarna plama na jego spodniach rozpościera się od połowy uda do kolana. Łapię się na tym, że w myślach życzę mu, by się wykrwawił, zanim znajdą pomoc.

— Chodźmy — szepcze do niego Lu, nie spuszczając ze mnie wzroku. Obserwuję, jak się oddalają. Mężczyzna kuśtyka, jęcząc z bólu. Gdy znikają w ciemności, oddycham z ulgą. Odwracam się i widzę, że Coral siada i masuje sobie głowę.

- Nic mi nie jest - oznajmia, gdy podbiegam, by jej pomóc. Niepewnie wstaje. Kilka razy mruga oczami, jak gdyby miała problemy ze wzrokiem.

- Na pewno możesz iść? - pytam, a ona kiwa głową. -No to chodź - mówię. - Musimy się stąd zmyć jak najszybciej.

Wiem, że Lu i porządkowy wydadzą nas przy pierwszej okazji. Jeśli się nie pospieszymy, w każdej chwili możemy zostać otoczone. Wzbiera we mnie fala głębokiej nienawiści na myśl, że kilka dni temu Tack podzielił się z Lu obiadem i że miała czelność przyjąć go od niego.

Na szczęście udaje nam się dotrzeć do granicy, nie natykając się na żadne patrole, a tam bez trudu odnajdujemy zardzewiałe metalowe schody, prowadzące na szczyt muru, który także jest pusty. Znajdujemy się pewnie na najbardziej wysuniętym na południe krańcu miasta, blisko obozu, a strażę są teraz skupione w bardziej zaludnionych częściach Waterbury.

Coral chwiejnie wspina się po schodach, a ja idę za nią, na wypadek gdyby się przewróciła. Dziewczyna jednak odtrąca moją pomoc i odsuwa się, gdy próbuję ją podeprzeć. W ciągu zaledwie kilku godzin mój szacunek do niej wzrósł dziesięciokrotnie. Gdy docieramy do chodnika, alarm w oddali wreszcie milknie, i ta nagła cisza wydaje się w jakiś sposób bardziej przerażająca, niczym niemy krzyk.

Zejście z drugiej strony jest trudniejsze. Różnica wysokości wynosi jakieś pięć metrów, musimy zejść po stromym, śliskim zboczu utworzonym przez skały i żwir. Idę pierwsza, przytrzymując się wyłączonych reflektorów. Kiedy je puszczam, spadam na ziemię i zsuwam się kilkadziesiąt centymetrów na kolanach. Żwir przebija mi się przez dzinsy.

Coral podąża za mną, twarz ma bladą i skupioną, wreszcie łąduje na dole z cichym okrzykiem bólu.

Nie wiem, czego się spodziewałam, może się bałam, że mogły już nadjechać czołgi, że znajdziemy obóz trawiony ogniem i chaosem, ale rozciąga się pod nami niezmienny: rozległe nierówne pole spiczastych namiotów i szałasów. Ponad nim, po drugiej stronie doliny, rysują się strome zbocza pokryte czarnymi kudłatymi masami drzew.

- Jak myślisz, ile nam zostało czasu? - pyta Coral. Nie musi wyjaśniać, że chodzi jej o to, kiedy pojawi się wojsko.

— Za mało — odpowiadam.

W milczeniu obchodzimy obóz bokiem - to i tak będzie szybsze niż próba przeciskania się przez labirynt ludzi i namiotów. Rzeka jest wciąż sucha. Najwyraźniej plan nie wypalił. Grupie Raven nie udało się zniszczyć tamy - chociaż teraz to i tak już bez znaczenia.

Wszyscy ci ludzie... spragnieni, wykończeni, słabi. Łatwiej ich będzie otoczyć.

I zabić.

Zanim docieramy do obozu Pippy, gardło mam tak wyschnięte, że z trudem przelkam ślinę. Gdy Julian biegnie w moją stronę, przez chwilę nie rozpoznaję jego twarzy, jest dla mnie tylko zbiorem przypadkowych kształtów i cieni.

Za jego plecami widzę, że Alex odwraca się od ognia. Napotyka moje spojrzenie i rusza w moją stronę. Otwiera usta i wyciąga ramiona. Wszystko wokół zastyga i wiem, że mi przebaczył, więc i ja wyciągam do niego ręce...

— Lena! — Julian porywa mnie w ramiona, a ja przyciskam policzek do jego piersi. Alex pewnie szedł przywitać

się z Coral. Słyszę, jak coś do niej mruczy, i gdy odsuwam się od Juliana, widzę, że prowadzi ją do jednego z ognisk. Byłam taka pewna, przez tę jedną chwilę, że chciał objąć mnie.

— Co się stało? — pyta Julian, ujmując w dłonie moją twarz i pochylając się, by móc mi spojrzeć w oczy. — Bram powiedział nam...

— Gdzie jest Raven? — przerywam mu.

— Tu jestem. — Dziewczyna wyłania się z ciemności i nagle zewsząd otaczają mnie nasi: Bram, Hunter, Tack i Pippa, wszyscy mówią naraz, zasypują mnie pytaniami.

Julian podtrzymuje mnie, położywszy mi rękę na plecach. Hunter proponuje mi wodę z plastikowego dzbanka, której zostało tylko trochę na dnie. Przyjmuję ją z wdzięcznością.

— Czy z Coral wszystko w porządku?

— Krwawisz, Lena.

— O Boże. Co się stało?

— Nie mamy czasu. — Woda pomogła, ale i tak każde słowo drapie mnie w gardło. — Musimy się stąd wynosić. Musimy zabrać, kogo się tylko da i...

— Prrr! Zwolnij. — Pippa podnosi obie ręce. Połowa jej twarzy jest oświetlona przez ognisko, druga tonie w ciemności. Ogarnia mnie fala mdłości, bo przypomina mi to Lu: zdrajczynię o dwóch twarzach.

— Zaczynij od początku — mówi Raven.

— Musiałyśmy walczyć — wyjaśniam. — Musiałyśmy przedrzeć się do miasta.

— Myśleliśmy, że już po was — stwierdza Tack. Widzę, że jest nakrecony, niespokojny. Tak jak i wszyscy. Cała grupa wibruje złą energią. — Po zasadzce...

— Zasadzce? — Nie pozwalam mu dokończyć. — Co to znaczy: po zasadzce?

— Nie dotarliśmy do tamy — oznajmia Raven. — Misja Aleksa i Bestii powiodła się. Natomiast gdy my byliśmy dwa metry od muru, zobaczyliśmy oddział porządkowych. Wyglądało to tak, jakby na nas czekali. Byłoby po nas, gdyby Julian ich nie zauważył i w porę nas nie ostrzegł.

Alex dołączył do grupy. Coral niezdarnie wstaje, jej usta tworzą cienką, ciemną linię. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Serce ściska mi się w piersi. Trudno się dziwić, że Alex tak ją lubi.

Może nawet kocha.

— Po wykonaniu zadania szybko wróciliśmy do obozu — dodaje Pippa. - Potem pojawił się Bram. Zastanawialiśmy się, czy mamy po was...

— A gdzie Dani? — Dopiero teraz zauważam, że nie ma jej pośród nich.

— Nie żyje - odpowiada Raven, unikając mojego spojrzenia. — A Lu została schwytana. Szły z przodu, nie mieliśmy jak ich ostrzec. Przykro mi, Lena - kończy miękkim głosem i znowu podnosi na mnie wzrok.

Robi mi się niedobrze. Łapię się za brzuch i ściskam mocno.

— Lu nie została schwytana - wyjaśniam ponuro. -I tak, owszem, czekali na was. Porządkowi. To była pułapka.

Następuje chwila ciszy. Raven i Tack wymieniają spojrzenia. Wreszcie odzywa się Alex:

— O czym ty mówisz?

Pierwszy raz zwraca się bezpośrednio do mnie od tamtej nocy nad strumieniem, po tym, gdy porządkowi spalili nasz obóz.

— Lu nie jest tym, za kogo się podawała — odpowiadam.
— Została wyleczona.

Kolejna chwila ciszy — wszyscy są w szoku. Wreszcie wybucha Raven:

— Skąd wiesz?

— Widziałam bliźnę — odpowiadam. Nagle ogarnia mnie potworne zmęczenie. — I powiedziała mi.

— To niemożliwe — odzywa się Hunter. — Byłem z nią... poszliśmy razem do Marylandu...

— To niczego nie wyklucza — mówi powoli Raven. — Opowiadała mi, że na chwilę oddzieliła się od grupy, spędziła trochę czasu, wędrując między osadami.

— Zniknęła tylko na parę tygodni. — Hunter spogląda na Bramę, szukając u niego potwierdzenia. Bram kiwa głową.

— Więcej nie trzeba — stwierdza Julian cicho. Alex piorunuje go wzrokiem. Ale Julian ma rację: więcej nie trzeba.

— Kontynuuj, Lena — mówi Raven ściśniętym głosem.

— Prowadzą tutaj wojsko. — Gdy wyrzucam to z siebie, czuję się, jak gdybym dostała cios w brzuch.

Znowu chwila ciszy.

— Jak liczne? — pyta Pippa.

— Dziesięć tysięcy. — Ledwo mogę wypowiedzieć te słowa. Słysząc, jak wszyscy wokół gwałtownie biorą oddech.

Pippa nie spuszcza ze mnie wzroku.

— Kiedy?

— Za niecałą dobę.

— Jeśli mówiła prawdę — podkreśla Bram. Pippa przesuwa ręką po włosach.

— Nie wierzę — mówi, ale dodaje niemal natychmiast:
— Bałam się, że może dojść do czegoś takiego.

— Zabiję tę dziwkę — mówi cicho Hunter.

— I co teraz robimy? — Raven zwraca się do Pippy. Pippa milczy przez chwilę, wpatrując się w ogień. A potem otrząsa się z zamyślenia.

— Nic — oznajmia twardo, niespiesznie przebiegając wzrokiem po całej grupie: od Tacka i Raven do Huntera i Brama, dalej do Bestii, Aleksa i Coral, i do Juliana. Gdy jej oczy spotykają się z moimi, cofam się odruchowo. Mam wrażenie, że w jej wnętrzu zamknęły się jakieś drzwi. Po raz pierwszy stoi spokojnie, zamiast chodzić w kółko. — Raven, ty i Tack poprowadzicie swoją grupę do schronu niedaleko Hartford. Summer powiedziała mi, jak się tam dostać. Kilka osób z ruchu oporu ma tam być za parę dni. Przeczekacie wszystko tam.

— A co z tobą? — pyta Bestia.

Pippa przepycha się między nami, wchodzi do stojącego pośrodku obozu szałasów o trzech ścianach, po czym kieruje się w stronę starej lodówki.

— Zrobię tutaj, co będę mogła — odpowiada. Wszyscy zaczynają mówić naraz. Bestia stwierdza:

— Zostaję z tobą. Tack wybuchą:

— Pippa, to samobójstwo! Raven dodaje:

— Nie masz szans z dziesięcioletnim wojskiem. Zmiażdżą was...

Pippa podnosi dłoń.

— Nie zamierzam walczyć — mówi. — Będę próbowała ostrzec ludzi o niebezpieczeństwie, żeby jak najwięcej osób opuściło obóz.

— Nie ma na to czasu — odzywa się Coral piskliwym głosem. — Wojsko już jest w drodze... Nie ma czasu ewakuować wszystkich, nie ma czasu, by ostrzec...

- Powiedziałam, że zrobię, co będę mogła — głos Pippy staje się ostrzejszy. Ściąga klucz z szyi i otwiera kłódkę na lodówce, po czym wyjmuje z niej jedzenie i lekarstwa.

- Nie zostawimy cię — upiera się Bestia. — Zostaniemy tu i pomożemy ci.

- Zrobisz, co ci każę — mówi Pippa, nie odwracając się w jego stronę. Przykuca i zaczyna wyciągać spod ławki koce. — Pójdziecie do schronu i zaczekacie tam na naszych ludzi.

- Nie - odpowiada Bestia. - Nie pójdę. - Ich spojrzenia się spotykają. Toczy się między nimi jakiś niemy dialog i w końcu Pippa kiwa głową. — Okej. Ale reszta ma się zmyć.

- Pippa... — Raven zaczyna protestować. Pippa się prostuje.

- Bez dyskusji — oznajmia ostro. Teraz już wiem, gdzie Raven nauczyła się swojej zaciętości, sposobu przewodzenia ludźmi. — Coral ma rację co do jednego — mówi teraz już cichym głosem. - Właściwie nie mamy czasu. Oczekuję, że wyniesiecie się w ciągu dwudziestu minut. — Znów toczy po wszystkich wzrokiem. - Raven, bierz wszystko, czego ci trzeba. Do schronu jest dzień drogi, może wam to zająć trochę więcej, jeśli będziecie musieli obejść wojska. Tack, chodź ze mną. Przygotuję ci mapę.

Grupa rozdziela się. Może to wyczerpanie, a może strach, ale wszystko wygląda dla mnie jak we śnie: Tack i Pippa, przykucnięci, pochylają się nad czymś i gestykują, Raven zawija jedzenie w koce i zawiązuje tobołki starym sznurkiem, Hunter proponuje mi jeszcze trochę wody, a wtedy nagle Pippa zaczyna nas popędzać: idźcie, idźcie.

Księżyc oświeśla wyżłobione we wzgórzu serpentyny, rdzawe, jak gdyby splamione zaschniętą krwią. Rzucam

spojrzenie za siebie, na obóz, na morze wijących się cieni — ludzi nieświadomych, że ciągną na nich bomby, wojsko i broń.

Raven również musi to wyczuwać: w powietrzu wisi nowy rodzaj strachu, bliskość śmierci. Tak musi się czuć zwierzę złapane w pułapkę. Odwraca się i krzyczy do Pippy:

— Pippa, błagam! — Jej głos toczy się po nagim wzgórzu. Pippa stoi na dole udeptanej ścieżki i odprowadza nas wzrokiem. Trzyma latareнкę, która oświetla od dołu jej twarz, inkrustując ją mozaiką światła i cieni. Bestia stoi za nią.

— Idźcie — mówi Pippa. — Nie martwcie się. Spotkamy się w schronie. — Raven spogląda na nią jeszcze przez chwilę, a gdy już ma ruszyć dalej, Pippa dodaje: — Ale jeśli nie zjawię się w ciągu trzech dni, nie czekajcie na mnie.

Jej głos wciąż brzmi spokojnie. I teraz wiem, co widziałam wcześniej w jej oczach. To nie był tylko spokój. To była rezygnacja.

To było spojrzenie kogoś, kto wie, że wkrótce umrze.

Zostawiamy za sobą stojącą w ciemności Pippę i pulsujące trzewia obozu, podczas gdy niebo zaczyna się żarzyć na horyzoncie i ze wszystkich stron nadciąga wojsko.

HANA

W sobotni ranoek znów składam wizytę w Deering Highlands. Stało się to już niemal tradycją. Cieszę się, że udaje mi się unikać spotkań z Grace — ulice są ciche, nieruchome, otulone wczesnoporaną mgłą — cieszę się też, że wreszcie półki w piwnicy wyglądają pełniej.

Po powrocie do domu biorę gorący prysznic, aż moja skóra różowieje. Szoruję się dokładnie, nawet pod paznokciami, jak gdyby zapach Deering Highlands i jego mieszkańców mógł do mnie w jakiś sposób przylnąć. Ale ostrożności nigdy nie za wiele. Jeśli Cassie została wykreślona z rejestrów, ponieważ złapała chorobę, albo Fred podejrzewał ją o to, mogę sobie tylko wyobrazić, co zrobi mnie i mojej rodzinie, jeśli odkryje, że remedium nie zadziałało na mnie tak jak trzeba.

Muszę się wreszcie dowiedzieć, co się stało z Cassandrą.

Fred umówił się dziś na golfa z kilkudziesięcioma swoimi zwolennikami i ludźmi, którzy wsparli finansowo jego

kampanię, w tym z moim ojcem. Mama zaś spotyka się z panią Hargrove w klubie na lunchu. Radośnie macham rodzicom na pożegnanie, a potem przez pół godziny zabijam czas chodzeniem w kółko po domu, zbyt podenerwowana, żeby oglądać telewizję albo robić cokolwiek bardziej sensownego.

Kiedy już upłynęło wystarczająco dużo czasu, zabieram ostateczną listę gości wraz z planem ich rozmieszczenia przy weselnych stołach i wkładam do teczki. Nie ma sensu ukrywać, dokąd jadę, więc dzwonię po Ricka, brata Tony'ego, i czekam na ganku, aż podjedzie.

— Zawieź mnie do Hargrove'ow — mówię swobodnym tonem, wsuwając się na tylne siedzenie.

Staram się siedzieć spokojnie. Nie chcę, by Rick zauważył moje podenerwowanie. Wolę unikać pytań. Ale on nie zwraca na mnie uwagi, w ogóle nie odrywa oczu od drogi. Jego łysa głowa, osadzona na kołnierzyku koszuli, wygląda jak okrągłe różowe jajko.

Na rozległym, okrągłym podjeździe domu Hargrove'ow brakuje wszystkich trzech samochodów. Jak na razie szczęście mi sprzyja.

— Zaczekaj tutaj — oznajmiam Rickowi. — Nie zajmie mi to długo.

Służąca otwiera mi drzwi. Może być starsza ode mnie najwyżej o kilka lat i ma nieufność wymalowaną na twarzy, jak pies, który często obrywał kopniaki.

— Och! — wzdycha na mój widok i spogląda na mnie z konsternacją. Najwyraźniej nie wie, czy powinna mnie wpuścić.

Od razu zaczynam wylewać z siebie potok słów:

— Przyjechałam tutaj od razu, gdy tylko się zorientowałam. Czy uwierzysz, że moja mama zapomniała zabrać

ze sobą na lunch planu? A przecież pani Hargrove musi zaaprobować rozmieszczenie gości.

— Och! — powtarza znowu dziewczyna. Marszczy brwi.
— Ale pani Hargrove nie ma. Pojechała do klubu.

Wydaję z siebie jęk, udając zaskoczenie.

— Kiedy mama mówiła, że jedzą razem lunch, myślałam.

- Są w klubie — powtarza dziewczyna nerwowo. Uczepiła się tej informacji jak ostatniej deski ratunku.

— Rany, ale jestem głupia — wzdygam. — A oczywiście nie mam teraz czasu, żeby pojechać do klubu. Może po prostu podrzucę je pani Hargrove?

— Mogę je jej przekazać, jeśli pani chce — proponuje.

— Nie, nie, nie musisz — mówię szybko. Oblizuję wargi.
-Gdybym mogła wejść na chwilkę, zostawiłabym jej krótką wiadomość. Stoliki szósty i ósmy mogą zostać zamienione, i myślę, że wiem, co zrobić z państwem Kimble...

Dziewczyna cofa się, by mnie wpuścić.

— Oczywiście — odpowiada i otwiera nieco szerzej drzwi, żebym mogła przejść.

Wchodzę do środka. Chociaż byłam już u Hargrove'ow wiele razy, dom bez jego właścicieli wydaje się inny. W większości pokoi jest ciemno, a do tego tak cicho, że słycać skrzypienie kroków na górze czy szelest materiału w odległym pokoju. Na rękach pojawia mi się gęsia skórka. W korytarzu jest chłodno, ale potęguje to jeszcze atmosfera tego miejsca — jak gdyby cały dom wstrzymywał oddech, czekając na katastrofę.

Teraz, gdy już udało mi się wejść do środka, nie jestem pewna, co dalej. Fred musi gdzieś trzymać dokumenty dotyczące ślubu z Cassie, a pewnie też i rozwodu. Nigdy nie

byłam w jego gabinecie, ale pokazał mi drzwi do niego podczas mojej pierwszej wizyty — jest spora szansa, że dokumenty będą właśnie tam. Ale najpierw muszę się pozbyć dziewczyny.

— Wielkie dzięki — mówię, gdy wprowadza mnie do salonu. Rzucam jej swój najpogodniejszy uśmiech. — Przysiądę sobie tutaj i napiszę wiadomość. Powiesz pani Hargrove, że plany leżą na ławie, okej? — Miała to być aluzja, że ma mnie zostawić samą, ale ona tylko kiwa głową i stoi w miejscu, obserwując mnie w milczeniu.

Teraz improwizuję, czepiając się byle pretekstu.

— Zrobisz coś dla mnie? Skoro już tu jestem, skoczysz na górę i poszukasz próbek kolorów, które pożyczyłyśmy pani Hargrove wieki temu? Kwiaciarka chce je mieć z powrotem. Pani Hargrove powiedziała, że zostawiła je dla mnie w swojej sypialni, pewnie leżą gdzieś na stole.

— Próbkę koloru?

— Cała księga z próbkami — wyjaśniam. A potem, ponieważ dziewczyna dalej stoi, dodaję: — To ja tutaj poczekam.

Wreszcie zostawia mnie samą. Odczekuję, dopóki jej kroki nie ucichną na górze, i wtedy wychodzę na korytarz.

Drzwi do gabinetu Freda na szczęście nie są zamknięte na zamek. Wślizguję się do środka i zamykam je cicho za sobą. W ustach mi zaschło, a serce podchodzi mi do gardła. Powtarzam sobie ciągle, że przecież nie robię niczego złego. Przynajmniej na razie. Teoretycznie to też mój dom — a dokładniej wkrótce nim będzie.

Szukam po omacku kontaktu. To ryzykowne — ktoś mógłby zauważyć światło wydobywające się spod drzwi — ale z drugiej strony poruszanie się po pokoju po ciemku

i przewrócenie czegoś także sprowadziłoby mi wszystkich na kark.

Główne meble w gabinecie to wielkie biurko i skórzany fotel. Mój wzrok pada na puchar zdobyty przez Freda w turnieju golfowym i srebrny przycisk do papieru leżący na pustej biblioteczce. W jednym rogu znajduje się wielka metalowa szafa na dokumenty. Obok niej, na ścianie, wisi ogromny portret mężczyzny, przypuszczalnie myśliwego. Wokół niego piętrzą się ciała zabitych zwierząt. Szybko odwracam wzrok.

Kieruję się do metalowej szafy, która również nie jest zamknięta na klucz. Przetrzęsam stosy dokumentów finansowych — wyciągi bankowe, zwroty podatków, rachunki i dowody wpłaty — z ostatnich niemal dziesięciu lat. W jednej szufladzie znajdują się wszystkie informacje o personelu, w tym kopie ich dowodów osobistych. Dziewczyna, która mnie wpuściła, nazywa się Eleanor Latterly i jest dokładnie w moim wieku.

A wtedy, z tyłu najniższej położonej szuflady, znajduję niepodpisaną teczkę, cienką, zawierającą akt urodzenia Cassie i akt ich ślubu. Nie ma dokumentów rozwodowych, tylko list na grubym papierze, złożony na pół.

Szybko przebiegam wzrokiem pierwszą linijkę:

Oto oświadczenie na temat fizycznego i psychicznego stanu Cassandry Melanei Hargrove, z domu O'Donnell, którą oddano pod moją obserwację...

Słyszę szybkie kroki zmierzające w stronę gabinetu. Wsuwam teczkę z powrotem na miejsce, nogą zamykam szafę i wtykam list do tylnej kieszonki dzinsów,

dziękując Bogu, że właśnie je dziś włożyłam. Łapie leżący na biurku długopis. Kiedy Eleanor otwiera drzwi, pokazuję go jej triumfalnym gestem, zanim ma szansę się odezwać.

— Znalazłam! — oznajmiam radośnie. — Uwierzysz, że nie wzięłam z sobą długopisu? Chyba mam dzisiaj gąbkę zamiast mózgu.

Nie wierzy mi. Czuję to. Ale nie może oskarżyć mnie wprost.

— Nie było tam żadnej książki z próbkami — mówi powoli. — Żadnej książki w całym pokoju.

— Dziwne. — Kropelka potu spływa mi między piersiami. Obserwuję jej oczy krążące po całym pokoju, jak gdyby sprawdzała, czy coś ruszałam. - Wygląda na to, że ze wszystkim się dzisiaj mijamy. Przepraszam. - Muszę się koło niej precyzyjnie przesuwać, odsuwając ją z drogi. Ledwo przypominam sobie, by naskrobać szybką wiadomość dla pani Hargrove: „Do pani aprobaty!”, chociaż tak naprawdę mam gdzieś, co dziewczyna sobie o mnie myśli. Cały czas kręci się koło mnie, jak gdyby myślała, że zamierzam coś ukraść.

Za późno.

Cała operacja zajęła mi tylko dziesięć minut. Rick nawet nie wyłączył silnika. Wślizguję się na tylne siedzenie.

— Do domu - mówię mu. Gdy opuszczamy podjazd, wydaje mi się, że widzę Eleanor obserwującą mnie przez okno.

Bezpieczniej byłoby poczekać z czytaniem listu, aż dojedziemy do domu, ale nie mogę się powstrzymać. Przyglądam się uważniej nagłówkowi: Sean Perlin, lekarz medycyny, szef Oddziału Chirurgii Laboratorium w Portland.

List jest krótki.

Do wszystkich zainteresowanych:

Oto oświadczenie na temat fizycznego i psychicznego stanu Cassandry Melanei Hargrove, z domu ODonnell, którą oddano pod moją obserwację na dziewięć dni.

Pani Hargrove cierpi na ostre urojenia wynikające z niestabilności emocjonalnej, przejawia obsesję na punkcie legendy o Sinobrodym, w której bierze się źródło jej lęku przed prześladowaniem. To osobowość głęboko neurotyczna, nie rokuje żadnych szans na poprawę.

Chociaż nie da się tego stwierdzić z całą pewnością, jej pogarszający się stan może być skutkiem naruszenia równowagi hormonalnej w wyniku nieudanego zabiegu.

Czytam list jeszcze kilka razy. A więc miałam rację — jednak było z nią coś nie tak. Zwariowała. Może to przez zabieg, jak to było z Willow Marks. Dziwne, że nikt niczego nie zauważył, zanim poślubiła Freda, ale domyślam się, że takie rzeczy wychodzą stopniowo.

Mimo to ucisk w moim żołądku nie odpuszcza. Pod oficjalnym stylem lekarza wyczuwam strach.

Pamiętam legendę o Sinobrodym: historię o przystojnym księciu i jego przepięknym zamku, w którym jedna komnata była stale zamknięta. Sinobrody oświadcza swojej nowo poślubionej małżonce, że może wchodzić do każdego pokoju, z wyjątkiem tego jednego. Ale pewnego dnia ciekawość bierze górę, kobieta znajduje klucz i wchodzi do środka, gdzie odkrywa mnóstwo ciał zamordowanych kobiet, powieszonych głową w dół. Kiedy mąż dowiaduje się o jej nieposłuszeństwie, jego żona dołącza do tej okropnej, krwawej kolekcji.

Ta bajka przerażała mnie, kiedy byłam mała, najbardziej działała mi na wyobraźnię wizja ciał zwalonych na stos, trupiobladych, wypatroszonych, z niewidzącymi oczami.

Składałam ostrożnie list i wsuwam go z powrotem do tylnej kieszonki dzinsów. Zachowuję się jak głupia. Cassie miała defekt, tak jak myślałam, i Fred miał tysiące powodów, żeby się z nią rozwieść. To, że nie ma jej w systemie, nie oznacza od razu, że coś strasznego się z nią stało. Może to tylko błąd administracyjny.

Ale całą drogę do domu nie jestem w stanie zapomnieć o dziwnym uśmiechu Freda i jego słowach: „Cassie zadawała zbyt dużo pytań”.

I nie jestem w stanie powstrzymać myśli, która nieproszona pojawia się w mojej głowie: a jeśli Cassie miała powody do obaw?

LENA

Przez pierwszą połowę dnia nie widać ani śladu wojska i przychodzi mi do głowy, że Lu mogła kłamać. Pojawia się promyk nadziei: może jednak obóz nie zostanie zaatakowany i Pippa wyjdzie z tego cała. Oczywiście wciąż jest problem zatamowanej rzeki, ale Pippa jakoś sobie z tym poradzi. Ona jest taka jak Raven — urodzona do walki o przetrwanie.

Ale pod wieczór słyszymy w oddali krzyki. Tack podnosi rękę, żeby nas uciszyć. Wszyscy nieruchomiejemy, a potem, na sygnał Tacka, rozpraszamy się po lesie. Julian szybko nauczył się życia Głuszy, w tym sztuki kamuflażu. W jednej chwili stoi obok mnie, w drugiej zaś znika za kępą drzew. Inni rozpierzchają się równie szybko.

Daję nura za starą betonową ścianę, wyglądającą, jakby dosłownie spadła z nieba. Zastanawiam się, jakiej dawnej konstrukcji może to być fragment. Nieoczekiwanie przypomina mi się historia, którą opowiedział mi Julian,

kiedy byliśmy razem uwięzieni, o dziewczynce o imieniu Dorotka. Jej dom porwało potężne tornado i wylądowała w zaczarowanej krainie.

Krzyki rozlegają się coraz bliżej, a wraz z nimi szczęk broni i ciężki tupot wojskowych butów. Mimowolnie wyobrażam sobie, że my także — my wszyscy, Odmieńcy, ludzie wypchnięci poza nawias społeczeństwa — zostaniemy porwani w górę jak tamta Dorotka, a potem obudzimy się i znajdziemy w zupełnie innym świecie.

Ale to nie jest bajka. To kwiecień w Głuszy, gdzie czarne błoto wsiąka mi w tenisówki, a wokół krążą chmary komarów. Wstrzymuję oddech i czekam.

Oddziały są jakieś sto, dwieście metrów od nas, w dole łagodnie nachylnego jaru, po drugiej stronie małego strumienia. Z wysokości możemy bezpiecznie obserwować ciągnącą pod nami długą kolumnę żołnierzy. Drżące na wietrze liście zlewają się z sunącą naprzód masą mężczyzn i kobiet w wojskowych mundurach, dźwigających karabiny maszynowe i gaz łzawiący. Wydaje się, jakby nie było im końca.

Gdy wreszcie ostatnie oddziały nikną w lesie, jak na komendę wszyscy wychodzimy z ukrycia i wznawiamy marsz. Rozciąga się między nami napięta i pełna niepokoju cisza. Staram się nie myśleć o ludziach stłoczonych w tamtej niecce, dosłownie jak szczury w pułapce.

Droga do schronu zabiera nam nieco ponad dwanaście godzin. Słońce właśnie kończy wędrówkę po niebie i powoli tonie za drzewami, posyłając w górę ostatnie żółto-pomarańczowe promienie. Ten intensywny kolor jaskrawego złota przypomina mi płynne żółtko jajek na miękko, które przygotowywała mi mama, gdy byłam chora. Czuję

nagle ukłucie nostalgii. Nie wiem nawet, czy to tęsknota za mamą, czy za rutyną mojego dawnego życia: życia dzielonego między szkołę i zabawę, pełnego zasad dających mi poczucie bezpieczeństwa. Ograniczenia fizyczne i psychiczne, określone pory kąpieli i godziny policyjne. Proste życie.

Wejście do schronu jest oznaczone małą zadaszoną drewnianą konstrukcją. Wszystko to zostało pewnie zbudowane z odpadków po blitzu. Kiedy Tack otwiera topornie zamontowane drzwi na zardzewiałych zawiasach, również powyginanych i powykręcanych, dostrzegamy tylko kilka stopni wiodących w głąb czarnej dziury.

— Zaczekajcie. — Raven przyklęka, grzebiąc w jednej z paczek, które wzięła od Pippy, i wyciąga z niej latarkę. — Pójdę pierwsza.

Powietrze jest gęste od stęchlizny i jeszcze czegoś — słodko-kwaśnego zapachu, którego nie jestem w stanie zidentyfikować. Schodzimy stromymi schodami. Na dole Raven omiata światłem latarki pomieszczenie. Okazuje się zaskakująco przestronne i czyste: półki, kilka rozklekotanych stolików, kuchenka naftowa. Za stołem znajdują się kolejne skryte w mroku drzwi, prowadzące do innych pomieszczeń. Robi mi się ciepło na sercu. Przypomina mi to stary azyl koło Rochester.

— Gdzieś tutaj powinny być lampki. — Raven robi kilka kroków w głąb pokoju. Światło biegnie zygzakiem po zamiecionej do czysta betonowej podłodze. Dostrzegam parę małych oczu i plamę szarego futra. Myszy.

Raven odnajduje w kącie kilka zakurzonych latarenek na baterie. Trzeba zapalić aż trzy, by odegnać cienie. Raven zwykle każe nam oszczędzać energię, ale wydaje mi się, że tak jak my wszyscy dziś wieczorem potrzebuje dużo

światła. W przeciwnym razie nie da nam spokoju widmo obozu niesione na delikatnych palcach cieni, wizja tych wszystkich ludzi, bezradnych, złapanych w pułapkę. Musimy więc skupić się na tym małym pokoju ukrytym pod ziemią, jego jasnych kątach i drewnianych półkach.

— Czujesz to? — pyta Tack Brama. Bierze jedną z latarenek i niesie ją do następnego pomieszczenia. — Bingo! — krzyczy.

Raven już przetrząsa pakunki i wyjmuje prowiant. Goral znalazła stojące na jednej z niższych półek wielkie metalowe dzbany pełne wody i przykucnąwszy, upija z ulgą łyk. Reszta z nas podąża za Tackiem.

— Co to jest? — pyta Hunter.

Tack stoi z podniesioną lampką, oświetlając ścianę pokrytą ukośną kratką drewnianych półek.

— Piwniczka na wino — odpowiada. — Wydawało mi się właśnie, że czuję alkohol.

Zostały tam dwie butelki wina i jedna whisky. Tack od razu odkręca whisky i bierze łyk, a potem podaje butelkę Julianowi, który przyjmuje ją po sekundzie wahania. Chcę zaprotestować — jestem pewna, mogłabym wręcz przysiąc, że nigdy przedtem nie pił alkoholu - ale zanim z moich ust wydobywa się jakiegokolwiek słowo, Julian już pociąga długi łyk i jakimś cudem udaje mu się go przełknąć bez zakrztuszenia się.

Tack — co rzadko mu się zdarza — uśmiecha się i klepie Juliana po ramieniu.

— W porządku, stary? — pyta. Julian ociera usta wierzchem dłoni.

— Nieźle — odpowiada, biorąc głębszy oddech, a Tack i Hunter wybuchają śmiechem. Alex bez słowa bierze od Juliana butelkę i również pociąga łyk.

Nagle wychodzi ze mnie całe zmęczenie ostatnich dni. Za plecami Tacka, po drugiej stronie piwniczki na wino, znajduje się kilka wąskich łóżek polowych. Ruszam w stronę najbliższego, słaniając się na nogach.

— Chyba... — zaczynam mówić, kładąc się na łóżku i przyciągając kolana do piersi.

Nie ma tu koców ani poduszek, ale odczucie jest takie, jakbym się zatapiała w coś niebiańskiego: chmurę albo pierze. Nie. Sama jestem piórkiem. Odlatuję. Chyba się zdrzemnę na chwilę — miałam powiedzieć, ale nie udaje mi się, bo rzeczywiście zasypiam.

Budzę się, oddychając ciężko, w całkowitej ciemności. Przez chwilę mam wrażenie, że jestem znowu w podziemnej celi z Julianem i ogarnia mnie panika. Podnoszę się, serce wali mi w piersi jak młot i dopiero gdy słyszę jęki Coral na łóżku obok, przypominam sobie, co to za miejsce. W pokoju śmierdzi, a koło łóżka Coral stoi wiadro. Musiała wymiotować.

Przez otwarte drzwi wpada smuga światła. Słyszę przytłumiony śmiech z drugiego pokoju. Ktoś przykrył mnie kocem, gdy spałam. Spycham go do nóg łóżka i wstaję. Nie mam pojęcia, która może być godzina.

W pokoju obok siedzą Hunter i Bram, zgięci w pół, blisko siebie, i śmieją się. Ich ciała lśnią od potu, a oczy dziwnie błyszczą: widać, że nieco za dużo wypili. Między nimi stoi butelka whisky, prawie pusta, wraz z talerzem, na którym leżą resztki jedzenia, zapewne ich kolacji: fasolka, ryż, orzechy.

Milkną, gdy wchodzę do pokoju, i domyślam się, że śmiali się z czegoś, czego nie miałam usłyszeć.

— Która godzina? — pytam, zmierzając w stronę dzbanków z wodą. Przykucam i podnoszę jeden z nich prosto do ust, nie zwracając sobie głowy szukaniem kubka. Bola mnie kolana, ręce i plecy, moje ciało jest wciąż sztywne z wyczerpania.

— Pewnie koło północy — odpowiada Hunter. Zatem spałam niecałe kilka godzin.

— Gdzie są pozostali?

Wymieniają ukradkowe spojrzenia. Bram stara się stłumić uśmiech.

— Raven i Tack poszli na nocne zakładanie pułapek — mówi, unosząc znacząco brew. To stary dowcip, hasło, które wymyśliliśmy podczas pobytu w naszej starej osadzie. Raven i Tackowi udawało się ukrywać swój związek przez blisko rok. Ale pewnego razu, gdy Bram nie mógł w nocy spać, wybrał się na spacer i przyłapał ich, jak wykradali się z osady. Kiedy spytał, co robią, Tack wypalił: „idziemy zakładać pułapki”, chociaż była prawie druga w nocy i wszystkie pułapki zostały sprawdzone oraz założone na nowo za dnia.

— A gdzie jest Julian? I Alex?

Kolejna chwila ciszy. Teraz Hunter z trudem powstrzymuje śmiech. Jest z pewnością pijany — widzę to po czerwonych plamach na jego policzkach przypominających wysypkę.

— Na zewnątrz — odpowiada Bram i głośno parska śmiechem. Hunter również zaczyna się śmiać.

— Na zewnątrz? Razem? — Podnoszę się, zdezorientowana. Zaczynam się irytować. Gdy żaden z nich nie odpowiada, pytam dalej: — I co tam robią?

Bram stara się zachować panowanie nad sobą.

— Julian chciał się nauczyć, jak się bić... Hunter kończy za niego:

— Alex zaofiarował się, że go nauczy. — I znowu wybuchają śmiechem.

Moje ciało zalewa najpierw fala gorąca, a potem zimna.

— Co jest, u diabła? - wybucham i wściekłość w moim głosie wreszcie sprawia, że milkną. — Dlaczego mnie nie obudziliście? — Pytanie kieruję głównie do Huntera. Nie oczekuję od Brama zrozumienia, ale Hunter to mój przyjaciel, do tego jest na tyle wrażliwy, że musiał zauważyć napięcie między Alekssem i Julianem.

Przez chwilę na twarzy Huntera maluje się poczucie winy.

— Daj spokój Lena. Nic się nie stało...

Jestem zbyt wściekła, żeby odpowiedzieć. Łapię z półki latarkę i ruszam w stronę schodów.

— Lena, nie złość się...

Zagłuszam resztę słów Huntera, tupiąc ze wszystkich sił. Co za idioci.

Na zewnątrz bezchmurne niebo migocze diamencikami gwiazd. Ściskam mocno latarkę, starając się skumulować w dłoniach cały swój gniew. Nie wiem, w jaką grę bawi się Alex, w każdym razie mam tego po dziurki w nosie.

Las jest nieruchomy — ani śladu Tacka, Raven, kogokolwiek. Gdy stoję w ciemności, nasłuchując, dociera do mnie, jak jest ciepło. To pewnie połowa kwietnia, wkrótce nadejdzie lato. Przez chwilę wraz z tym powietrzem i zapachem wiciokrzewu nadciąga fala wspomnień: Hana i ja wyciskamy sobie na włosy sok z cytryny, żeby je rozjaśnić, a potem wykradamy napoje z chłodziarki w sklepie wujka Williama, by zabrać je do Back Cove. Kolacje na starym

drewnianym ganku, gdy było za gorąco, by jeść w środku. Powolna jazda za trójkołowym rowerkiem Gracie, by jej nie wyprzedzić.

Wspomnienia jak zawsze wywołują głęboki ból gdzieś w środku. Ale już się do niego przyzwyczałam i czekam, aż przejdzie — i wkrótce mija.

Włączam latarkę i omiatam jej promieniem las. W bla-dożółtym świetle płatanina drzew i krzaków robi wrażenie wyblakłej, surrealistycznej. Wyłączam ją. Jeśli Julian i Alex poszli gdzieś razem, mam niewielką szansę ich odnaleźć.

Już mam zawrócić, kiedy słyszę krzyk. Zalewa mnie fala strachu. To głos Juliana.

Zanurzam się w płataninę roślinności i zaczynam przedzierać w stronę, skąd doszedł mnie tamten dźwięk, wymachuję przy tym latarką jak maczetą, by oczyścić sobie ścieżkę z gęstych pnączy i sosnowych gałęzi.

Po chwili wychodzę na dużą polanę. Przez moment stoję tam dezorientowana — mam wrażenie, że znalazłam się na brzegu wielkiego srebrnego jeziora. A wtedy dociera do mnie, że to ogromny parking. Stermata gruzu na jednym końcu musi być pozostałością jakiegoś budynku.

Alex i Julian stoją kilka kroków ode mnie, oddychają ciężko i mierzą się wzrokiem. Julian trzyma jedną rękę przy nosie, spomiędzy jego palców cieknie krew.

— Julian! — Ruszam w jego stronę. Ale on nie odrywa wzroku od Aleksa.

— Nic mi nie jest, Lena — mówi tylko. Jego głos jest dziwnie przytłumiony. Kiedy kładę rękę na jego piersi, delikatnie ją odsuwa. Wyczuwam od niego słaby zapach alkoholu.

Odwracam się błyskawicznie do Aleksa.

— Coś ty zrobił, do cholery? Przez chwilę spogląda na mnie.

— To był wypadek — odpowiada obojętnym głosem. — Zamachnąłem się za wysoko.

— Bzdura — wyrzucam z siebie ze złością. Odwracam się do Juliana. — Chodź — mówię do niego cicho. — Wracamy do środka. Pomogę ci się doprowadzić do porządku.

Julian odsuwa rękę od nosa i przyciąga do twarzy podkoszulek, by otrzeć z ust resztki krwi. Teraz jego T-shirt pokrywają ciemne smugi, błyszczące w ciemności niemal na czarno.

— Nie ma mowy — odpowiada, nawet na mnie nie spoglądając. — Dopiero zaczynamy. Prawda, Alex?

— Julian... — zaczynam błagalnym tonem. Alex mi przerywa:

— Lena ma rację — sili się na swobodny ton. — Jest późno. Ledwo coś widać. Możemy wrócić do sprawy jutro.

Julian odpowiada tym samym tonem, ale wyczuwam pod nim twardą nutę gniewu i gorycz, których nigdy wcześniej u niego nie słyszałam.

— Nie ma co tego odwlekać.

Między nimi rozciąga się cisza: naelektryzowana, niebezpieczna.

— Błagam, Julian. — Łapię go za nadgarstek, ale on strząsa moją rękę. Odwracam się znowu do Aleksa, pragnąc przywołać go spojrzeniem, by zerwał kontakt wzrokowy z Julianem. Napięcie między nimi osiąga maksimum, atmosfera jest gęsta i mordercza. — Alex.

Wreszcie na mnie spogląda i widzę malujące się na jego twarzy zaskoczenie — jak gdyby do tej pory nie był świadom

mojej obecności albo dopiero teraz mnie zauważył. Zaraz potem pojawia się na jego twarzy żal i, ot tak, napięcie odpływa, znowu mogę oddychać.

— Nie dzisiaj — mówi Alex krótko. A potem się odwraca i zaczyna przedzierać się przez las.

W jednej chwili, zanim mam szansę zareagować albo krzyknąć, Julian rzuca się na Aleksa od tyłu. Przewraca go i obaj zaczynają się toczyć po ziemi, mocować ze sobą, ja zaś na przemian wykrzykuję ich imiona i błagam, by przestali.

Julian siedzi okrakiem na Aleksie i unosi pięść, która spada z łomotem na jego policzek. Alex pluje na niego, łapie za brodę, odchyła mu głowę do tyłu, a potem popycha i zrzuca z siebie. Wydaje mi się, że w oddali słyszę jakieś krzyki, ale nie potrafię się na nich skupić. Jedyne, co jestem w stanie, to krzyczeć aż do bólu gardła. Kątem oka dostrzegam też błyski światła, jak gdybym to ja była bita, a pod powiekami eksplodowały mi jasne plamki.

Alex odzyskuje przewagę i przyciska Juliana do ziemi. Wymierza dwa silne ciosy, słyszę paskudny trzask. Krew po twarzy Juliana płynie teraz ciurkiem.

— Alex, błagam! — zaczynam krzyczeć. Chciałabym go ściągnąć z Juliana, ale strach unieruchomił mnie, przygwoździł do ziemi.

Chłopak jednak albo mnie nie słyszy, albo woli mnie ignorować. Nigdy nie widziałam go w takim stanie: jego twarz płonie gniewem, surowa, szorstka i przerażająca w świetle księżyca. Nie mam siły już na nic, tylko szlocham histerycznie. W gardle wzbierają mi mdłości. Wszystko jest takie surrealistyczne, jak gdyby działo się w zwolnionym tempie.

Nagle między drzewami błyska światło i na polanę wyskakują Tack i Raven — spoceni, zdyszani, z latarkami w rękach. Raven krzyczy i chwyta mnie za ramiona, Tack w tej samej chwili ściąga Aleksa z Juliana, drąc się: „co ty, do cholery, wyprawiasz!”, po czym wszystko wraca do normalnej prędkości. Julian odkasłuje. Wyrrywam się Raven, podbiegam do niego i padam na kolana. Od razu widzę, że ma złamany nos. Próbuje się podnieść. Twarz ma ciemną od krwi, a jego oczy to dwie małe szparki.

— Hej. — Kładę rękę na jego piersi, tłumiąc szloch. — Hej, spokojnie.

Julian znowu się odpręża. Czuję pod dłonią, jak bije jego serce.

— Co tu się stało? — pyta Tack.

Alex stoi niedaleko nas. Cały jego gniew wyparował. Teraz na jego twarzy maluje się szok, a ręce zwisają mu bezradnie po bokach. Spogląda zdezorientowany, jak gdyby nie wiedział, skąd Julian się tam wziął.

Wstaję i idę w jego stronę, czując, jak gniew wpełza mi do palców. Chciałabym zacisnąć je wokół jego szyi, udusić go.

— Co się z tobą dzieje, do cholery? — pytam cichym głosem. Muszę przeciskać słowa przez twardą kulę gniewu tkwiącą mi w gardle.

— Prze... przepraszam — szepcze Alex. Kręci głową. — Nie chciałem... Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przepraszam, Lena.

Jeśli dalej będzie patrzył na mnie tym błagalnym wzrokiem, proszącym o zrozumienie, wiem, że będę w stanie mu przebaczyć.

— Lena. — Robi krok w moją stronę. Cofam się. Przez chwilę stoimy tak nieruchomo. Czuję na sobie presję jego spojrzenia i jego wyrzutów sumienia. Ale nie spojrzę na niego. Nie mogę. — Przepraszam — powtarza znowu, zbyt cicho, by usłyszeli go Raven i Tack. — Przepraszam za wszystko.

A potem odwraca się, zaczyna przedzierać się przez las i znika.

HANA

Z drżącej mgły mojego snu krystalizuje się znajomy kształt.

Zarys twarzy Leny.

Twarz Leny wydobywa się z cienia. Nie. Nie z cienia. Wynurza się z popiołów, sponad głębokiej warstwy węgla i spalenizny. Usta ma otwarte. Oczy zamknięte.

Krzyczy.

„Hana!” — krzyczy moje imię. Popiół wpada jak piasek do jej otwartych ust i wiem, że wkrótce znowu ją pogrzebie, zmusi do milczenia, zakopie z powrotem w ciemności. I wiem też, że nie mam szansy jej dosięgnąć — nie mam szansy jej uratować.

„Hana!” — krzyczy, podczas gdy ja stoję nieruchomo.

Wybacz mi — mówię.

„Hana, pomóż mi”.

Wybacz mi, Lena. — Hana!

W drzwiach stoi mama. Podnoszę się na łóżku, oszołomiona i przerażona, głos Leny odbija się echem w mojej głowie. Śniłam. A nie powinnam śnić.

— Co się dzieje? — Mama stoi w drzwiach, dostrzegam tylko zarys jej sylwetki. Za jej plecami widzę małą lampkę nocną przed moją łazienką. — Jesteś chora?

— Nic mi nie jest. — Przesuwam ręką po czole. Jest mokre. Cała jestem spocona.

— Jesteś pewna? — Przez chwilę widać, że chce wejść do środka, ale w ostatniej chwili postanawia pozostać w drzwiach. — Krzyczałaś coś.

— Naprawdę, nic mi nie jest — odpowiadam. A potem, ponieważ najwyraźniej oczekuje czegoś więcej, dodaję: — To pewnie nerwy przed weselem.

— Przecież nie ma się czym denerwować — stwierdza poirytowanym głosem. - Wszystko jest pod kontrolą. Nic nie ma prawa nie wyjść.

Wiem, że nie mówi tylko o ceremonii. Mówi ogólnie o małżeństwie: zrobiono wszystko, by była to stabilna, bezpieczna konstrukcja, starannie zaprojektowana i zbudowana z solidnych materiałów.

Mama wzdycha.

— Spróbuj się jeszcze przespać — mówi. — O dziewiątej trzydzieści jedziemy z Hargrove'ami do laboratorium. Ostatnia przymiarka sukni jest o jedenastej. A potem jeszcze wywiad dla „Twojego Domu”.

— Dobranoc, mamó — odpowiadam, a ona wycofuje się bez zamykania drzwi. Prywatność ma dla nas teraz mniejsze znaczenie niż dawniej: kolejna korzyść albo efekt uboczny remedium. Mniej sekretów.

Przynajmniej w większości przypadków.

Idę do łazienki i ochlapuję twarz wodą. Choć wentylator jest włączony, wciąż jest mi za gorąco. Przez chwilę, kiedy spoglądam w lustro, wydaje mi się, że widzę w nim twarz Leny — wspomnienie, wizja pogrzebanej przeszłości.

Mrugam oczami.

Zniknęła.

LENA

Kiedy Raven, Tack, Julian i ja wracamy do schronu, Aleksa jeszcze tam nie ma. Julian stwierdził, że czuje się już lepiej i nalegał, że wróci o własnych siłach. Mimo to Tack podtrzymuje go za ramiona. Julian idzie niepewnym krokiem i wciąż krwawi. Gdy docieramy na miejsce, Bram i Hunter, podekscytowani, pytają bełkotliwie, co się stało, dopóki nie rzucam im najpaskudniejszego spojrzenia, na jakie mnie stać. Coral podchodzi do drzwi i mruga zaspana, trzymając się ręką za brzuch.

Alex nie wrócił też do czasu, gdy opatrzyliśmy Juliana - „złamany”, stwierdza zbolalym głosem, krzywiąc się, kiedy Raven przejeżdża palcem po nasadzie jego nosa - nie ma go również wtedy, gdy wszyscy wreszcie kładziemy się do łóżek i przykrywamy cienkimi kocami. Nawet Julianowi udaje się usnąć, choć oddycha chrapliwie przez usta.

Gdy się budzimy, okazuje się, że Alex zdążył już wrócić i znowu się ulotnić. Jego rzeczy zniknęły wraz z jednym dzbankiem wody i nożem.

Nie zostawił nic oprócz wiadomości, którą znalazłam, równo złożoną, pod jedną z moich tenisówek:

Historia o Salomonie jest jedynym sposobem, w jaki mogę to wyjaśnić.

A poniżej, mniejszymi literami:

Wybacz mi.

HANA

Trzydzieście dni do ślubu. Zaczynają już napływać prezenty: miseczki, szczypce do sałaty, kryształowe wazony, stosy białych obrusów, ręczniki z monogramami i rzeczy, o których istnieniu nawet nie wiedziałam albo wcześniej nie znałam ich nazwy: kokilki, skrobaczki do skórki cytrynowej, tłuczki do moździerza. To język małżeńskiego, dorosłego życia, dla mnie wciąż zupełnie obcy.

Dwanaście dni.

Siedzę przed telewizorem i wypisuję karteczki z podziękowaniami. Tata przez cały czas zostawia przynajmniej jeden włączony telewizor. Zastanawiam się, czy chce w ten sposób pokazać, że możemy sobie pozwolić na marnowanie prądu.

Na ekranie — chyba po raz dziesiąty tego dnia — pojawia się Fred. Twarz ma pomarańczową od podkładu. Dźwięk jest wyciszony, ale ja i tak wiem, co mówi. Wiadomości

powtarzają oświadczenie w sprawie Departamentu Energii i mówią o planach Freda na Czarną Noc.

W noc naszego wesela jedna trzecia rodzin w Portland — każdy, kto jest podejrzany o współpracę z ruchem oporu albo nawet o sympatyzowanie z nim — pogrąży się w ciemności.

„Światła płoną jasno dla wszystkich posłusznych, reszta żyć będzie w ciemności aż po kres dni swoich" (*Księga SZZ*, Psalm 17). Fred użył tego cytatu w swoim oświadczeniu.

Dziękuję Państwu za koronkowe serwetki. Sama nie wybrałabym piękniejszych.

Dziękuję Państwu za kryształową cukiernicę. Będzie się cudownie prezentować na stole w jadalni.

Dzwonek do drzwi. Słyszę kroki mamy, a zaraz potem pomruk przytłumionych głosów. Chwilę później wchodzi do pokoju z czerwoną twarzą, wzburzona.

— To Fred — oznajmia, i zaraz za nią wchodzi do pokoju on sam.

— Dziękuję, Evelyn — mówi szorstkim głosem, a mama szybko pojmuje, że ma nas zostawić samych. Zamyka za sobą drzwi.

— Cześć. — Podnoszę się, marząc o tym, by mieć na sobie coś innego niż stary podkoszulek i zniszczone szorty. Fred jest ubrany w ciemne dżinsy i białą koszulę, rękawy ma podwinięte do łokci. Omiata mnie wzrokiem, patrząc na moje włosy w nieładzie, prujący się brzeg szortów, na twarz bez makijażu. — Nie spodziewałam się ciebie.

Fred nie odpowiada. Teraz patrzy na mnie dwóch Fredów — ten z ekranu i ten prawdziwy. Fred z ekranu uśmiecha się, pochyla, jest odprężony i zrelaksowany. Prawdziwy Fred stoi sztywno i piorunuje mnie spojrzeniem.

- Czy... czy coś się stało? - pytam, gdy cisza się przedłuża. Podchodzę do telewizora i wyłączam go, by nie patrzeć na Freda, który nie spuszcza ze mnie wzroku, ale też dlatego, że widok dwóch Fredów to jednak za dużo.

Kiedy się odwracam, nie jestem w stanie złapać tchu. Fred zbliżył się do mnie bezszelestnie i teraz dzieli nas zaledwie kilkanaście centymetrów. Twarz ma bladą i wściekłą. Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

- O co... — zaczynam, ale mi przerywa.

- Co to jest, do cholery? - Sięga do marynarki, wyciąga z niej złożoną na pół szarą kopertę i rzuca ją na szklaną ławę. Z koperty wysuwa się kilka zdjęć.

A na nich ja, schwytana przez obiektyw aparatu. Pierwsze ujęcie: przechodzę, ze spuszczoną głową, obok podniszczonego domu - domu państwa Tiddle'ów na Deering Highlands - z pustym plecakiem przewieszonym przez ramię. Ujęcie drugie, tym razem od tyłu: przeciskam się przez plamę zielonej roślinności i sięgam ręką w górę, by odsunąć nisko wiszącą gałąź. Kolejne: odwracam się, zaskoczona, i wpatruję w las za moimi plecami, szukając źródła tego dźwięku, miękkiego szmeru, pstryknięcia.

- Czy zechcesz mi wyjaśnić - odzywa się Fred zimnym tonem - co robiłaś w sobotę na Deering Highlands?

Zapala się we mnie iskra gniewu, ale też i strachu. O n wie.

- Kazałeś mnie śledzić?

- Nie pochlebiaj sobie, Hano - odpowiada tym samym zimnym tonem. - Hugo Bradley jest moim przyjacielem. Pracuje dla „Portland Daily”. Wybierał się w teren i akurat zobaczył cię, jak jechałaś do Deering Highlands.

Zaciekawiło go to, rzecz jasna. — Jego oczy ciemnieją. Mają teraz kolor mokrego betonu. — Co tam robiłaś?

— Nic — odpowiadam szybko. — Zwiedzałam.

— Zwiedzałaś — powtarza Fred jadowicie. — Czy ty rozumiesz, Hana, że Deering Highlands jest potępioną dzielnicą? Czy masz pojęcie, jacy ludzie tam żyją? Przestępcy. Zarażeni. Sympatycy i buntownicy. Gnieźdzą się tam jak karaluchy.

— Nic złego nie robiłam — bronię się. Wolałabym, żeby stał trochę dalej. Ogarnia mnie paranoiczny lęk, że mógłby wyczuć mój strach, moje kłamstwa, tak jak to robią psy.

— Byłaś tam — odpowiada Fred. — A to już wystarczy. — Chociaż dzieli nas naprawdę niewielka przestrzeń, Fred zbliża się jeszcze bardziej. Mimowolnie robię krok w tył, zderzając się z szafką telewizyjną. — Właśnie oświadczyłem publicznie, że nie będziemy dłużej tolerować obywatelskiego nieposłuszeństwa. Czy wiesz, jak by to wyglądało, gdyby ludzie dowiedzieli się, że moja przyszła żona kręci się po Deering Highlands? — Nie mam już miejsca, by się cofnąć, i zmuszam się, żeby stać nieruchomo. — Ale może właśnie o to ci chodzi. Próbujesz postawić mnie w złym świetle. Pokrzyżować mi plany. Ośmieszyć mnie.

Krawędź szafki wbija mi się w uda.

— Przykro mi, że muszę ci to uświadomić, Fred, ale nie wszystko, co robię, jest związane z tobą. W rzeczywistości większość tego ma związek ze mną.

— Urocze — stwierdza z przekąsem.

Przez chwilę stoimy nieruchomo i mierzymy się wzrokiem. Zastanawiam się teraz, dlaczego nikt nie wymienił tego twardego, zimnego charakteru na liście jego cech, gdy nas ze sobą parowano.

Fred cofa się o kilka centymetrów, a ja wreszcie oddycham.

— Jeśli tam wrócisz, źle się to dla ciebie skończy — oświadcza.

Zmuszam się, by spojrzeć mu w oczy.

— To ostrzeżenie czy groźba?

— To obietnica. — Jego usta układają się w dziwny ni to grymas, ni to uśmiech. — Jeśli nie jesteś ze mną, jesteś przeciwko mnie. A wyrozumiałość nie należy do moich zalet. Cassie mogłaby ci co nieco o tym opowiedzieć, ale obawiam się, że obecnie nie ma zbyt wielu słuchaczy. — Wybucho złowrogim śmiechem.

— Co... co masz na myśli? — Staram się zwalczyć drżenie głosu, ale na próżno.

Fred patrzy na mnie przez przymrużone powieki. Wstrzymuję oddech. Przez chwilę mam wrażenie, że się przyzna, że powie, co jej zrobił, gdzie ona teraz jest.

Ale on mówi tylko:

— Nie pozwolę ci zrujnować tego, na co tak ciężko pracowałem. Będziesz mnie słuchać.

— Jestem twoją narzeczoną — odpowiadam. — Nie twoim psem.

W mgnieniu oka przyskakuje do mnie i chwyta mnie za gardło. Nagle brak mi tchu. Pierś dławi mi ciężka, czarna panika. W gardle gromadzi się ślina. Nie mogę oddychać.

Tuż przed sobą widzę oczy Freda, zimne i nieprzeniknione.

— Masz rację — odpowiada. Teraz, gdy zaciska palce wokół mojego gardła, jest zupełnie spokojny. Nie ma nic oprócz tych dwóch punktów: jego oczu. Gdy zamykam powieki, na

chwilę wszystko staje się ciemnością, ale potem znowu pojawia się on, wbijając we mnie wzrok, i mówi dalej sztucznym słodkim głosem: — Nie jesteś moim psem. Ale i tak nauczysz się siadać na mój rozkaz. Nauczysz się posłuszeństwa.

— Halo? Jest tam kto?

Głos dobiega z hallu. Fred natychmiast mnie puszcza. Biorę głęboki wdech, zaczynam kaszleć. Oczy mnie pieką, a płuca drżą, próbując zassać powietrze.

— Halo? — Drzwi się otwierają i do pokoju wparowuje Debbie Sayer, fryzjerka mamy. — Och! — wykrzykuje i zatrzymuje się na nasz widok. Jej twarz czerwienieje. — Panie burmistrzu — mówi. — Nie chciałam przeszkadzać...

— Nie przeszkodziła pani — odpowiada Fred. — Właśnie wychodziłem.

— Mamy umówione spotkanie — dodaje niepewnie Debbie. Spogląda na mnie. Przejeżdżam ręką po oczach. Są wilgotne. — Mamy wybrać fryzurę na ślub... Chyba nie pomyliłam godzin?

Ślub: teraz wydaje się to absurdalne jak kiepski dowcip. To ma być ta moja wymarzona przyszłość: życie z potworem, który w jednej chwili się uśmiecha, a w następnej mnie dusi. Łzy napływają mi do oczu i przyciskam ręce do powiek, żeby je powstrzymać.

— Nie. — Gardło mnie piecze. — Przyszła pani o dobrej porze.

— Wszystko w porządku? — pyta Debbie.

— Hana cierpi na alergię — oznajmia Fred, zanim sama mam szansę odpowiedzieć. — Mówiłem jej tysiąc razy, żeby wybrała się po receptę... — Wyciąga rękę, chwyta moją dłoń i ściska palce zbyt mocno, jednak nie na tyle, by zauważyła to Debbie. — Ale jest bardzo uparta.

Cofam rękę i kryję obolałe palce za plecami, poruszając nimi, wciąż powstrzymując łzy.

— Do zobaczenia jutro — mówi Fred, posyłając mi uśmiech. — Nie zapomniałaś o cocktail party, prawda?

— Nie zapomniałam — odpowiadam, nie patrząc na niego.

— To dobrze. - Wychodzi z pokoju. W korytarzu słyszę, jak zaczyna gwizdać.

Gdy tylko jego gwizd cichnie, Debbie zaczyna paplać.

— Ależ pani ma szczęście. Henry, mój mąż, kojarzy pani, wygląda, jakby mu ktoś rozpląszczył twarz kamieniem. — Wybuchu śmiechem. - Mimo to jest dla mnie dobrą parą. Jesteśmy gorącymi zwolennikami pani męża, czy też raczej pani przyszłego męża. Gorącymi zwolennikami.

Kładzie suszarkę, dwie szczotki i przezroczystą torbę ze spinkami w równym rzędzie, na kartkach z podziękowaniami i zdjęciach, na które nawet nie zwróciła uwagi.

— Wie pani, Henry niedawno spotkał pana burmistrza na zbiórce pieniędzy. A gdzie się podział mój lakier do włosów?

Zamykam oczy. Może to wszystko jest snem: Debbie, ślub, Fred. Może obudzę się i zobaczę, że wciąż trwa ubiegłe lato albo jeszcze wcześniejsze, zanim to wszystko stało się faktem.

— Wiedziałam, że będzie fantastycznym burmistrzem. Nie, żebym miała coś przeciwko jego ojcu, jestem pewna, że starał się jak mógł, ale jeśli chce pani znać moją opinię, to był trochę za miękki. Moim zdaniem sam jest winien tego, że wysadzono Krypty... — Kręci głową z oburzeniem. — Zawsze powtarzałam, że powinno się zostawić ich wszystkich na pastwę losu, niech tam sobie zgniją.

Nagle wyostrza mi się uwaga.

— Co pani powiedziała?

Pochyliła się nade mną ze szczotką, po czym zaczyna szarpać moje włosy.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć: naprawdę lubiłam starego pana Hargrove'a. Ale moim zdaniem miał złe pojęcie o pewnym typie ludzi.

— Nie, nie. — Przełykam ślinę. — Co powiedziała pani później?

Przekrzywia mocno mój podbródek w stronę światła i przygląda mi się bacznie.

— No cóż, uważam, że powinno im się pozwolić zgnić w Kryptach, to znaczy tym wszystkim kryminalistom i wariatom. — Zaczyna zakręcać mi włosy i układać na różne sposoby.

Głupia. Byłam taka głupia.

— A gdy pomyśli człowiek o tym, jak pan Hargrove zginął... — Ojciec Freda został zabity dwunastego stycznia, w dzień Incydentów, po zdetonowaniu bomb w Kryptach. Cała wschodnia część została wysadzona. Więźniowie nagle znaleźli się w celach bez ścian, na podwórkach bez murów. Wybuchło masowe powstanie. Burmistrz przyjechał z policją i zginął, próbując przywrócić porządek.

Myśli napływają mi do głowy z prędkością i mocą błyskawicy, tworząc, jak gęsty śnieg, białą ścianę, której nie jestem w stanie obejść ani przeskoczyć.

Sinobrody miał zamkniętą komnatę, sekretne miejsce, gdzie ukrywał swoje żony... zaryglowane drzwi, ciężkie zamki, kobiety gnijące w kamiennych celach...

Możliwe. To możliwe. Wszystko pasuje. To by wyjaśniało tamten list oraz dlaczego nie było jej w systemie CED. Mogła zostać wykasowana z rejestrów. Tak się dzieje

z niektórymi więźniami. Ich tożsamości oraz życiorysy zostają wymazane. Puf. Jedno uderzenie w klawiaturę, zatrzasną się metalowe drzwi i jest tak, jak gdyby nigdy nie istnieli.

Debbie trąkocze dalej:

— No i dobrze, mówię, powinni jeszcze być wdzięczni, że nie zabijamy ich na miejscu. Słyszała pani, co się stało w Waterbury? — Wybuch śmiechem, który w ciszy pokoju wydaje się zbyt głośny. W mojej głowie eksplodują punkciki bólu.

W sobotni poranek, w zaledwie godzinę, ogromny obóz buntowników pod murami Waterbury został zmieciony z powierzchni ziemi. Tylko kilku naszych żołnierzy zostało przy tym rannych.

Debbie znowu poważnieje.

— Wie pani co? Wydaje mi się, że światło jest lepsze na górze, w pokoju pani mamy. Nie uważa pani?

Potakuję odruchowo i jak w transie ruszam w stronę schodów. Płynę na górę i prowadzę ją do sypialni mamy, jak gdybym dryfowała, śniła albo była duchem.

LENA

Po zniknięciu Aleksa dopada nas jakiś dziwny marazm, jakaś pustka. Owszem, czasem sprawiał problemy, ale mimo to był jednym z nas i chyba wszyscy — z wyjątkiem Juliana — dotkliwie odczuwają jego brak.

Włóczę się po okolicy odrętwiała. Mimo wszystko dobrze mi robiła jego obecność, świadomość, że jest bezpieczny. Teraz, gdy wyruszył sam w nieznanym kierunku, kto wie, co go spotka? Nie jest już mój, więc to nie ja go straciłam, ale i tak tkwi we mnie smutek i ciężko mi się z tym pogodzić.

Coral chodzi blada, milcząca, w szoku. Nie płacze. Mało co je.

Tack i Hunter chcieli pójść za nim, ale Raven szybko uświadomiła im głupotę tego pomysłu. Alex musiał wyruszyć kilka godzin wcześniej, a jedna osoba, poruszająca się szybko na piechotę, jest jeszcze trudniejsza do wytropienia niż grupa. Zmarnują w ten sposób czas, wspólne zasoby i energię.

- Nie pozostaje nam nic innego — powiedziała, omijając mnie wzrokiem — jak zostawić go w spokoju.

Tak więc robimy. Nagle okazuje się, że nie wystarcza latarenek, by odgonić cienie, które dopadają nas jeszcze częściej, cienie innych ludzi i dawnych tożsamości utraconych na rzecz Głuszy, na rzecz tej walki, tego świata rozdartego na pół. Trudno mi nie myśleć o obozie, o Pippie czy o kolumnie żołnierzy, którą widzieliśmy w lesie.

Pippa powiedziała, że możemy się spodziewać kogoś z ruchu oporu w ciągu najbliższych trzech dni, ale już trzeci dzień dobiega końca, a wciąż ani śladu nikogo.

Z każdym dniem dziczejemy coraz bardziej. To nie jest tylko niepokój. Mamy pod dostatkiem jedzenia, a teraz, gdy Tack i Hunter znaleźli niedaleko strumień, także wody. Przyszła wiosna: zwierzęta wychodzą ze swoich kryjówek i nasze pułapki coraz częściej są pełne.

Ale jesteśmy zupełnie odcięci od informacji na temat tego, co się zdarzyło w Waterbury i co się dzieje w pozostałej części kraju. Gdy kolejny poranek obmywa stare, potężne dęby jak delikatna fala, łatwo sobie wyobrazić, że jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie.

Nie mogę dłużej znieść tego zamknięcia, przebywania pod ziemią. Każdego dnia po obiedzie wybieram jakiś kierunek i zaczynam iść przed siebie, starając się nie myśleć o Aleksie ani o jego wiadomości, choć zwykle okazuje się, że nie jestem w stanie skupić się na niczym innym.

Dzisiaj idę na wschód. Późne popołudnie to chyba moja ulubiona pora dnia: ta doskonała chwila na krawędzi, kiedy światło wydaje się czymś płynnym jak powoli nalewany syrop. Mimo to nie jestem w stanie pozbyć się ciężaru z piersi. Nie daje mi spokoju myśl, że reszta mojego życia

może wyglądać właśnie tak: ciągła ucieczka, ukrywanie się, utrata tego, co się kocha, chowanie się pod ziemią i walka o jedzenie oraz wodę.

Ta fala się nie cofnie. Nigdy nie odzyskamy miasta nie wkroczymy do nich z triumfem, by wznosić na ulicach okrzyki zwycięstwa. Jesteśmy skazani na życie w Głuszy, na wieczną tułaczkę i walkę o przetrwanie.

Historia Salomona. To dziwne, że Alex wybrał właśnie tę historię ze wszystkich opowieści z *Księgi SZZ*, bo to właśnie ona nie dawała mi spokoju, gdy się dowiedziałam, że on żyje. Czy w jakiś sposób się tego domyślił? Czy mógł wiedzieć, że czułam się jak biedne, rozdarte dziecko z tej opowieści?

Czy chciał mi powiedzieć, że on czuł się tak samo?

Nie. Przecież powiedział mi wyraźnie, że nasza wspólna przeszłość, to, co nas łączyło, jest martwe. Powiedział, że nigdy mnie nie kochał.

Przedzieram się dalej przez las, nie patrząc, dokąd idę. Pytania w mojej głowie kłębią się niczym wielka fala, która wyrzuca mnie wciąż w to samo miejsce.

Historia Salomona. Królewski wyrok. Dziecko rozcięte na pół i plama krwi na posadzce...

W pewnym momencie uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, jak długo już maszeruję i jak daleko odeszłam od schronu. Nie zwracałam też uwagi na mijany krajobraz — błąd nowicjusza. Dziadek, jeden z najstarszych mieszkańców osady koło Rochester, opowiadał historie o duchach, które rzekomo żyją w Głuszy i przestawiają drzewa, kamienie, a nawet bieg rzeki, by wprowadzać ludzi w błąd. Nikt z nas nie wierzył w te bajki, ale ich przekaz był prawdziwy: Głusza to chaos, nieustannie zmieniający się labirynt, gdzie możesz błądzić w kółko.

Zaczynam wracać po własnych śladach, wypatrując odcisków moich podeszew w błocie, szukając zdeptanego podszycia. Wyrzucam z głowy wszystkie myśli o Aleksie. Zbyt łatwo zgubić się w lesie. Jeśli się nie uważa, może człowieka pochłonąć na wieki.

Mój wzrok przykuwają refleksy promieni słonecznych między drzewami: to musi być strumień. Wczoraj przypadła moja kolej na noszenie wody, a więc powinnam bez trudu trafić stąd do schronu. Najpierw się jednak umyję. Podczas wędrówki mocno się spociłam.

Przedzieram się przez ostatnią zaporę zarośli i wychodzę na szeroki brzeg pokryty jasnozieloną trawą i płaskimi kamieniami.

Przystaję.

Ktoś tam jest: na drugim brzegu, kilkanaście metrów ode mnie, dostrzegam przykucniętą kobietę z rękami zanurzonymi w wodzie. Głowę ma spuszczoną, widzę więc tylko płataninę siwych włosów. Przez chwilę myślę, że może należy do porządkowych albo do armii, ale nawet stąd widać, że jej ubranie nie jest nowe: leżący obok plecak jest stary i połatany, a podkoszulek znaczą żółte plamy od potu.

Mężczyzna, skryty przed moim wzrokiem, krzyczy coś niezrozumiałego, a ona odpowiada, nie podnosząc wzroku:

— Jeszcze chwila.

Całe moje ciało nieruchomieje. Znam ten głos.

Kobieta wyciąga z wody ubranie, które prała, i prostuje się. A wtedy serce mi staje. Rozciąga tkaninę między dłońmi i zakręca ją szybko wokół siebie, a potem równie szybko odkręca, rozsyłając wokół siebie deszcz kropel.

I nagle czas się cofa, znowu mam pięć lat i stoję w suszarni naszego domu w Portland, wsłuchując się w gardłowe

bulgotanie mydlin spływających powoli do urny walki — robiła wtedy to samo z naszymi koszulkami czy bielizną. Patrzyłam na wodę rozchlapaną na podłodze. Patrzyłam, jak przypinała nasze ubrania do sznurków zawieszonych, pod sufitem, a potem odwracała się do mnie i uśmiechała się, nucąc coś pod nosem...

Mydło lawendowe. Wybielacz. Woda kapiąca z podkoszulków. To się dzieje teraz. Jestem tam.

Ona jest tu.

Dostrzega mnie i nieruchomieje. Przez chwilę nie mówi nic, a ja mam czas, by zauważyć, jak różni się od moich wspomnień. Jest w niej teraz więcej szorstkości, jej twarz jest ostra od bruzd. Ale pod tym wszystkim wyczuwam inną twarz jak obraz unoszący się tuż pod powierzchnią wody: roześmiane usta, okrągłe policzki i błyszczące oczy.

Wreszcie odzywa się:

— Magdalena.

Biorę wdech. Otwieram usta.

— Mama.

Przez chwilę, która zdaje się nie mieć końca, stoimy tak tylko i spoglądamy na siebie, a przeszłość i teraźniejszość dalej łączą się i rozdzielają: moja mama teraz, moja mama wtedy.

Już chce coś powiedzieć, kiedy z lasu wychodzi dwóch zajętych rozmową mężczyzn. Na mój widok obaj podnoszą strzelby.

— Stójcie — mówi ostro mama, podnosząc rękę. — Ona jest z nami.

Wstrzymuję oddech i wypuszczam powietrze z płuc dopiero wtedy, gdy mężczyźni opuszczają broń. Mama nie przestaje na mnie patrzeć - w milczeniu, zdumieniu, ale jest w tym spojrzeniu jeszcze coś. Strach?

- Kim jesteś? - pyta jeden z mężczyzn. Ma jasnorude włosy przetykane pasmami siwizny. Wygląda jak ogromny pręgowany kot. — I z kim jesteś?

- Mam na imię Lena. - Jakimś cudem głos mi nie drży. Mama krzywi się. Zawsze nazywała mnie Magdaleną i nie przepadała za tym zdrobnieniem. Zastanawiam się, czy po takim czasie wciąż robi to dla niej jakąś różnicę. - Razem z kilkoma innymi przyszliśmy z Waterbury.

Czekam, aż mama powie, że się znamy - że jestem j e j c ó r k ą - ale nic z tego. Wymienia tylko spojrzenia ze swoimi towarzyszami.

- Jesteś z Pippą? - pyta rudowłosa mężczyzna. Kręć głową.

- Pippa została. Skierowała nas tutaj, do schronu. Powiedziała, że zjawią się jacyś ludzie z ruchu oporu.

Drugi mężczyzna, ciemnoskóry i żyłasty, wybucha śmiechem i zakłada strzelbę na ramię.

- Właśnie na nich patrzysz - mówi. - Jestem Cap. To jest Max - wskazuje kciukiem na mężczyznę przypominającego pręgowanego kota. - A to Bee. - Przechyla głowę w stronę mojej mamy.

Bee. Moja mama ma na imię Annabel. Ta kobieta nazywa się Bee. Pszczoła. Moja mama zawsze była w ruchu. Miała delikatne, pachnące mydłem dłonie i uśmiech jak pierwsze promienie słońca pełzające po przystrzyżonym trawniku.

Ale nie wiem, kim jest ta kobieta.

— I wracasz teraz do schronu? — pyta Cap.

— Tak — udaje mi się z siebie wydusić.

— Pójdziemy z tobą — oświadcza, kłaniając się nonszalancko. Czuję, że mama znowu mnie obserwuje, ale gdy tylko spoglądam na nią, odwraca wzrok.

Idziemy w stronę schronu w niemal całkowitym milczeniu, tylko Max i Cap rzucają do siebie kilka słów w większości jakimś dziwnym, niezrozumiałym dla mnie slangiem. Moja matka — Annabel, Bee — milczy. Gdy jesteśmy blisko schronu, łapię się na tym, że mimowolnie zwalniam, pragnąc wydłużyć tę wędrówkę, chcąc, by powiedziała coś, by się do mnie przyznała.

Ale zbyt szybko docieramy do podniszczonej nadbudówki i schodów wiodących pod ziemię. Ociągam się, pozwalając by Max i Cap zeszli pierwsi. Mam nadzieję, że mama zrozumie aluzję i zostanie na chwilę na górze. Niestety — od razu rusza za Capem.

— Dzięki — mówi delikatnie, gdy mnie mija. Dzięki.

Nawet nie potrafię być na nią zła. Jestem zbyt zszokowana, zbyt oszołomiona tym, że tak nagle się pojawiła: ta kobieta-zjawa z twarzą mojej matki. Mam wrażenie, że moje ciało jest wydrażone w środku, a ręce i stopy o wiele za duże, jak gdyby należały do kogoś innego. Obserwuję dłonie, jak badają drogę w dół, i stopy, jak tupią po schodach.

Na dole stoję przez chwilę zdezorientowana. Podczas mojej nieobecności wszyscy wrócili. Tack i Hunter gadają jeden przez drugiego, zasypując naszych gości pytaniami. Julian na mój widok od razu podnosi się z krzesła. Raven krząta się po pokoju, próbując ogarnąć wszystko, przestawiając ludzi z miejsca na miejsce.

A pośrodku tego wszystkiego znajduje się moja matka — ściga plecak, siada na krześle, porusza się z bezwiedną gracją. W ruchach wszystkich innych jest nerwowość, przypominająćmy krążące wokół płomienia, rozmyte plamy na tle światła. Nawet to pomieszczenie wygląda teraz inaczej, gdy ona jest w środku.

To musi być sen. Nie może być inaczej. Sen o mojej matce, która nie jest naprawdę moją matką, ale kimś innym.

— Hej, Lena. — Julian ujmuję w dłonie mój podbródek i pochyla się, by mnie pocałować. Jego oczy są wciąż opuchnięte i otoczone fioletowymi sińcami. Bezwolnie oddaję mu pocałunek. — Wszystko w porządku? — Odsuwa się ode mnie, a ja odwracam wzrok.

— Tak, w porządku — odpowiadam. — Wyjaśnię ci później. — Mam wrażenie, że w mojej piersi tkwi bańka powietrza sprawiająca, że ciężko mi oddychać czy mówić.

On nie wie. Nikt nie wie oprócz Raven i może Tacka, którzy już wcześniej pracowali z Bee.

Teraz mama nie spogląda na mnie wcale. Przyjmuje kubek wody od Raven i zaczyna pić. I to — ten zwykły gest — wystarczy, by obudzić we mnie gniew.

— Zastrzeliłem dziś jelenia — mówi Julian. — Tack zauważył go, gdy przechodził przez polanę. Nie sądziłem, że trafię...

— Twoje szczęście — przerywam mu. — Pociągnąłeś za spust.

Julian wygląda na zranionego moimi słowami. Zrobiłam się dla niego okropna. W tym właśnie tkwi problem: zabierzcie remedium, elementarze i kodeksy, a człowiek zostaje bez żadnych zasad postępowania. Miłość pojawia się tylko w przebłyskach.

— To jedzenie, Lena — mówi cicho. — Czy nie powtarzałaś mi ciągle, że to nie zabawa? Teraz angażuję się w to całym sobą. — Milknie na chwilę. — Chcę tu zostać. — Podkreśla ostatnie zdanie, a ja wiem, że myśli o Aleksie, i sama również nie potrafię o nim nie pomyśleć.

Muszę iść dalej, odnaleźć równowagę, wydostać się z tego dusznego pokoju.

— Lena. — Raven stoi obok mnie. — Pomożesz mi przygotować jedzenie?

To metoda Raven: zająć się czymś. Pracować. Wytrzymać.

Otworzyć bańkę. Nabrać wody. Zrobić coś.

Podchodzę za nią bezwiednie do zlewu.

— Jakieś wieści z obozu w Waterbury? — pyta Tack. Przez chwilę panuje cisza. Wreszcie odzywa się moja mama.

— Przepadł — mówi tylko.

Raven zacina się nożem przy krojeniu suszonego mięsa, odsuwa palec z jękiem i wkłada go do ust.

— Co to znaczy: przepadł? — pyta ostrym tonem Tack.

— Starty na proch. — Tym razem odzywa się Cap. — Zmieciony z powierzchni ziemi.

— O mój Boże. — Hunter opada ciężko na krzesło. Julian stoi zupełnie sztywno, z zaciśniętymi dłońmi. Twarz Tacka przypomina kamienną maskę. Moja matka, a raczej kobieta, która była moją matką, siedzi z rękami założonymi na kolanach, bez ruchu, bez wyrazu. Tylko Raven nie przestaje się ruszać i owinąwszy ścierkę wokół skaleczonego palca, piłuje zawzięcie suszone mięso.

— I co teraz? — pyta Julian przytłumionym głosem.

Moja matka podnosi na niego wzrok. A we mnie napina się jakaś głęboko ukryta, dawno zapomniana struna. Jej oczy się nie zmieniły, są dalej tak intensywnie błękitne jak pamiętam, jak letnie niebo. Jak oczy Juliana.

- Musimy iść dalej - odpowiada. — Zapewnić wsparcie tam, gdzie jest potrzebne. Ruch oporu wciąż rośnie w siłę, rośnie w ludzi...

- A co z Pippą? - wybucha Hunter. - Powiedziała, żeby na nią poczekać. Powiedziała...

- Hunter — przerywa mu Tack. — Słyszałeś, co powiedział Cap. — Ścisza głos. — Starty na proch.

Następuje kolejna ciężka chwila ciszy. Widzę, że mojej mamie drży szczeka — tik, którego dawniej nie miała — i odwraca się, dzięki czemu dostrzegam wyblakły zielony numer wytatuowany na jej szyi, tuż poniżej paskudnych blizn, wyniku nieudanych zabiegów. Myślę o tych latach, które spędziła w swojej ciasnej, ciemnej celi w Kryptach, gdy małym wisiorkiem w kształcie sztyletu otrzymanym od taty drażyła w kamiennych ścianach słowo „kocham”. I w jakiś sposób teraz, w niecały rok od ucieczki, należy do ruchu oporu. Więcej nawet. Jest w nim kimś.

W ogóle nie znam tej kobiety. Nie wiem, jak stała się tym, kim jest, nie wiem, kiedy zaczęła jej drzeć szczeka, a włosy siwieć, kiedy zaczęła spuszczać wzrok i unikać spojrzenia swojej córki.

- A więc dokąd idziemy? — pyta Raven. Max i Cap wymieniają spojrzenia.

- Na północy coś się dzieje - odzywa się Max. - W Portland.

- W Portland? - powtarzam, choć wcale nie zamierzałam się odezwać. Mama patrzy na mnie, wygląda na przestraszoną. A potem znowu spuszcza wzrok.

— To właśnie stamtąd pochodzisz, tak? — pyta mnie Raven.

Opieram się o zlew, zamykam oczy na chwilę i widzę mamę na plaży, biegnącą przede mną w szerokiej zielonej tunice szeleszczącej wokół kostek, roześmianą, kopiącą ciemny piasek. Otwieram szybko oczy i udaje mi się skinąć głową.

— Nie mogę tam wrócić.

Słowa wychodzą z moich ust z większą mocą, niż zamierzałam, i wszystkie spojrzenia kierują się na mnie.

— Gdziekolwiek pójdziemy, pójdziemy tam wszyscy razem — oznajmia Raven.

— W Portland jest duże podziemie — wyjaśnia Max. — Od Incydentów organizacja stale się rozrasta. Tamto to był dopiero początek. To, co zdarzy się w najbliższym czasie... — Kręci głową podekscytowany, a oczy mu błyszczą. — To będzie coś naprawdę poważnego.

— Nie mogę — powtarzam. — I nie pójdę tam. — Wspomnienia napływają szybkim strumieniem: Hana biegnie koło mnie wzdłuż Rack Cove, nasze tenisówki grzęzną w mokrym piasku. Sztuczne ognie nad zatoką w Święto Niepodległości rozciągające nad wodą macki światła. Alex i ja leżący na kocu w domu przy Brooks Street 37, roześmiani. Roztrzęsiona Grace w sypialni w domu ciotki Carol, wtulona we mnie, zapach jej winogronowej gumy do żucia. Grube warstwy wspomnień, całe tamto życie, które próbowałam pogrzebać i stłamsić — przeszłość, która miała być martwa, jak powtarzała wciąż Raven — nagle wzbiera, grożąc, że pociągnie mnie z sobą na dno.

A z tymi wspomnieniami przychodzi poczucie winy, kolejne uczucie, które tak bardzo starałam się pogrzebać.

Zostawiłam ich wszystkich: Hanę i Grace, a także Aleksa. Zostawiłam ich i pobiegłam, nie oglądając się za siebie.

— To nie ty o tym decydujesz — mówi Tack. A Raven dodaje:

— Nie zachowuj się jak dziecko, Lena.

Zwykle wycofuję się, gdy Raven i Tack zmawiają się przeciwko mnie. Ale nie dzisiaj. Zgniatam poczucie winy w ciężkiej pięści gniewu. Wszyscy się na mnie gapią, ale oczy matki wręcz mnie parzą — jej beznamiętna ciekawość, jak gdybym była okazem w muzeum, jakimś starym narzędziem z obcej kultury, którego przeznaczenie stara się odgadnąć.

— Nie pójdę tam. — Rzucam otwieracz do puszek z impetem na ławę.

— Co się z tobą dzieje? — pyta Raven, obniżając głos. Ale w pokoju zrobiło się tak cicho, że z pewnością wszyscy to słyszeli.

Moje gardło jest tak ściśnięte, że z trudem przełykam ślinę. Uświadamiam sobie, że jestem bliska łez.

— Zapytaj ją — udaje mi się wyrzucić z siebie, wskazując podbródkiem w kierunku kobiety, która każe mówić na siebie Bee.

Następuje kolejna chwila ciszy. Wszystkie oczy zwracają się teraz w stronę mojej matki. Na jej twarzy maluje się poczucie winy. Wie, że jest oszustką: chce przeprowadzić rewolucji w imię miłości, a nie potrafi nawet przyznać się do własnej córki.

I właśnie w tym momencie Bram zbiega szybko po schodach, pogwizdując, i wpada do pokoju. Trzyma w ręku wielki nóż, mokry od krwi — pewnie oprawiał jelenia. Jego podkoszulek jest również poplamiony krwią.

Przystaje, gdy widzi nas wszystkich stojących w milczeniu.

- Co się dzieje? - pyta. - Coś straciłem? - A zaraz potem, gdy dostrzega moją mamę, Capa i Maksa: — A to kto?

Widok krwi sprawia, że robi mi się niedobrze. Dociera do mnie, że jesteśmy mordercami: zabijamy swoje życie, swoje dawne ja, wszystko, co ma znaczenie. Grzebiemy je pod sloganami i wymówkami. Zanim zacznę płakać, podrywam się z miejsca i przepycham obok Brama tak brutalnie, że chłopak wydaje z siebie okrzyk zaskoczenia. Wybiegam z tupotem po schodach na zewnątrz, na świeże powietrze, na ciepło popołudnia i trzeszczenie lasu otwierającego się na wiosnę.

Ale nawet na zewnątrz odczuwam klaustrofobię. Nie mam dokąd pójść. Nie mogę uciec od tego przytłaczającego poczucia straty, bezkresnego wyczerpania czasem odcinającym od ludzi i rzeczy, które kochaliśmy.

Hana, Grace, Alex, moja mama, przesiąknięte morzem i solą poranki w Portland oraz odległe krzyki kołujących mew — wszystko to złamane, rozłupane, tkwiące gdzieś głęboko niczym niedająca się usunąć drzazga.

Może tamci mieli mimo wszystko rację co do remedium. Nie jestem szczęśliwsza niż wtedy, gdy wierzyłam, że miłość jest chorobą. Pod wieloma względami jestem nawet bardziej nieszczęśliwa.

Oddalwszy się od schronu, przestaję walczyć z łzami cisnącymi mi się do oczu. Wybucham konwulsyjnym szlochom, który przynosi smak żółci. Odpuszczam sobie zupełnie. Zanurzam się w płataninę poszycia i miękkiego mchu, chowam głowę między kolana i zaczynam płakać tak, aż rwie mi się oddech, a łzy zmieszane ze śliną kapią na liście.

Płacę po wszystkim, co opuściłam, płacę, ponieważ ja także zostałam opuszczona — przez Aleksa, mamę, przez czas, który przeciął nasze światy i nas rozdzielił.

Słyszę za sobą kroki i nie muszę się odwracać, by wiedzieć, że to Raven.

— Idź sobie — mówię zapłakanym głosem. Przecieram wierzchem dłoni policzki i nos.

Ale osobą, która mi odpowiada, nie jest Raven, tylko moja mama.

— Jesteś na mnie zła — stwierdza.

Natychmiast przestaję płakać. Całe moje ciało staje się zimne i nieruchome. Mama przykuca obok mnie i chociaż staram się nie podnosić wzroku, w ogóle na nią nie patrzeć, czuję ją, czuję zapach jej potu i słyszę jej nierówny oddech.

— Jesteś na mnie zła — powtarza rwącym się głosem. — Myślisz, że mnie nie obchodzisz.

Jego barwa się nie zmieniła. Przez lata wyobrażałam sobie ten głos melodyjnie wymawiający tamte zakazane słowa: „Kocham cię. Pamiętaj. Tego nam nie odbiorą”. Jej ostatnie słowa wypowiedziane do mnie, zanim odeszła.

Podsuwa się bliżej i siada. Po chwili wahania wyciąga rękę, kładzie dłoń na moim policzku i odwraca moją głowę w swoją stronę, tak że jestem zmuszona na nią spojrzeć. Czuję zgrubienia na jej palcach.

W jej oczach widzę miniaturowe odbicie siebie i wracam do czasów, zanim odeszła, zanim uwierzyłam, że zniknęła na zawsze, kiedy jej oczy witały mnie co dnia i co wieczór wprowadzały mnie do krainy snu.

— Jesteś jeszcze piękniejsza, niż to sobie wyobrażałam — szepcze. Ona także płacze.

Twardy mur w moim sercu rozpada się na kawałki.

— Dlaczego? — To jedyne słowo, które się ze mnie wydobywa. Bezwiednie pozwalam jej przyciągnąć się do piersi i płacząc wtulona w przestrzeń między jej obojczykami, wdychając wciąż znajomy zapach jej skóry.

Jest tyle pytań, które chcę jej zadać: Co cię spotkało w Kryptach? Jak mogłaś pozwolić, by cię zabrali? Dokąd poszłaś? Ale jestem w stanie powiedzieć tylko:

— Dlaczego po mnie nie przyszłaś? Po tych wszystkich latach, dlaczego się nie zjawiłaś?

Nie mogę dłużej mówić. Zaczynam się trząść.

— Ciii. — Przyciska usta do mojego czoła i głaszcze mnie po włosach, tak jak robiła to, kiedy byłam mała. Jestem znowu dzieckiem w jej ramionach, bezradnym i potrzebującym. — Jestem z tobą teraz.

Płaczę, a ona głaszcze mnie po plecach. Powoli odpływa ze mnie mrok, jakby odpędzał go ruch jej ręki. Wreszcie znowu mogę spokojnie oddychać. Oczy mnie pieką, a w gardle drapie. Odsuwam się od niej i ocieram oczy nadgarstkiem, nie przejmując się tym, że cieknie mi z nosa. Nagle ogarnia mnie wyczerpanie — jestem zbyt zmęczona, by czuć się zraniona, zbyt zmęczona, by czuć wściekłość. Chciałabym spać i spać.

— Nigdy nie przestałam o tobie myśleć — mówi mama. — Myślałam o was każdego dnia, o tobie i o Rachel.

— Rachel została wyleczona — odpowiadam. Zmęczenie jest tak ogromne, że tłumi wszelkie uczucia. — Została sparowana i odeszła. A ty pozwoliłaś mi myśleć, że nie żyjesz. Wciąż myślałabym, że nie żyjesz, gdyby nie... — Gdyby nie Alex, kończę w myślach, ale tego nie mówię. Ona, rzecz jasna, nie zna historii o Aleksie. Nie zna żadnej z moich historii.

Odwraca wzrok. Przez chwilę myślę, że znowu zacznę płakać. Ale nie robi tego.

— Kiedy mnie tam zamknęli, myśl o was, o moich dwóch ślicznych dziewczynkach, była jedyną rzeczą, która pozwalała mi pozostać przy zdrowych zmysłach. — Jej głos znowu staje się twardy, czuć pod nim gniew, a mnie przypomina się wizyta w Kryptach z Aleksem: tamta duszna ciemność, rozchodzące się echem nieludzkie krzyki, smród Oddziału Szóstego i cele niczym klatki.

— Mnie też było ciężko — licytuję się uparcie. — Nikogo nie miałam. A ty mogłaś przyjść po mnie po tym, jak uciekłaś. Mogłaś mi powiedzieć... — Głos mi się łamie i przetykam ślinę. — Po tym, jak znalazłaś mnie w Ocaleniu... byłyśmy tak blisko siebie, mogłaś mi pokazać swoją twarz, mogłaś coś powiedzieć...

— Lena. — Mama wyciąga rękę i znowu dotyka mojej twarzy, ale tym razem widzi, że stawiam opór i z westchnieniem opuszcza dłoń. — Czytałaś kiedyś *Księgę Marii z Lamentacji*? Czytałaś o Marii Magdalenie i Józefie? Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, dlaczego właśnie tak dałam ci na imię?

— Czytałam ją. — Czytałam całą *Księgę Marii* kilkanaście razy. To rozdział z *Księgi SZZ*, który znam niemal na pamięć. Szukałam w niej wskazówek, ukrytych znaków od mojej matki, szeptów z krainy umarłych.

Księga Marii z Lamentacji to historia miłości. Nawet więcej: to historia poświęcenia.

— Po prostu chciałam, żebyś była bezpieczna — mówi mama. — Rozumiesz mnie? Bezpieczna i szczęśliwa. Musiałam zrobić wszystko w tym celu... nawet jeśli oznaczało to, że nie mogę być z tobą...

Głos jej więźnie w gardle i muszę odwrócić od niej wzrok, by powstrzymać wzbierający we mnie smutek. Gdy pomyślę o tym, że tyle lat jej życia upłynęło w ciasnej celi, że podtrzymywał je zaledwie cień nadziei, słowa wydrapywane na ścianach dzień po dniu...

— Jeślibym nie wierzyła, jeśli nie miałabym nadziei, że...
Wiele razy myślałam o... - Urywa.

Nie musi kończyć zdania. Wiem, co ma na myśli: były chwile, kiedy chciała umrzeć.

Pamiętam senne koszmary, w których stałam na krawędzi osuwającego się klifu, a ona kołysała się na falach morza, jakby czekała, by wziąć mnie w objęcia. Zastanawiam się, czy w te noce nie wyciągała do mnie ręki poprzez echa przestrzeni, czy nie wyczuwałam tego w jakiś sposób.

Przez chwilę panuje między nami cisza. Wycieram rękawem mokrą twarz. Podnoszę się, a ona ze mną. Zdumiewa mnie, podobnie jak wtedy, gdy okazało się, że to ona uratowała mnie w Ocaleniu, że jesteśmy niemal tego samego wzrostu.

— A więc co teraz? — pytam. — Znowu znikniesz?

— Pójdę tam, gdzie mnie pośle ruch oporu — odpowiada.
Odwracam od niej wzrok.

— A więc jednak odchodzisz - stwierdzam. Dziwny ciężar osiada mi na piersi. No jasne. To właśnie robią ludzie w tym chaotycznym świecie, świecie wolności i wyboru: odchodzą, kiedy chcą. Znikają, wracają, potem znowu znikają. A ty zostajesz z tym sam i musisz się jakoś pozbierać.

Wolny świat jest także światem pęknięcia, jak ostrzegła nas *Księga SZZ*. Okazuje się, że w Zombielandzie jest więcej prawdy, niż chciałam wierzyć.

Wiatr zawiewa jej włosy na czoło. Zakłada je za ucho gestem, który pamiętam sprzed wielu lat.

— Pragnę, żeby to, co spotkało mnie, to, z czego musiałam zrezygnować, nie spotkało już nigdy nikogo innego. — Odnajduje mój wzrok, zmuszając mnie, bym na nią spojrzała. — Ale nie chcę odchodzić — mówi cicho. — Chciałabym... chciałabym cię poznać, Magdaleno.

Krzyżuję ramiona na piersi i wzruszam nimi, próbując odnaleźć w sobie część tej twardości, którą zbudowałam podczas pobytu w Głuszy.

— Nawet nie wiem, od czego miałabym zacząć — odpowiadam.

Mama bezradnie rozkłada ręce.

— Ja też nie. Ale myślę, że możemy spróbować. J a mogę spróbować, jeśli dasz mi szansę. - Na jej twarzy pojawia się delikatny uśmiech. — Ty też należysz teraz do ruchu oporu. A my właśnie to robimy: walczymy o to, co jest dla nas ważne. Prawda?

Nasze oczy spotykają się. Jej mają intensywnie błękitny kolor czystego nieba rozciągającego się wysoko ponad drzewami. Pamiętam wszystko: plaże w Portland, szybujące latawce, sałatki z makaronem, letnie pikniki, ręce mamy, kołysanki śpiewane przed snem.

— Prawda — odpowiadam.

I wracamy razem do schronu.

HANA

Krypty wyglądają inaczej, niż je zapamiętałam.

Byłam tu wcześniej tylko raz, na szkolnej wycieczce w czwartej klasie. Dziwne, nie pamiętam nic z samego zwiedzania, tylko to, że Jen Finnegan wymiotowała później i cały autobus śmierdział tuńczykiem, chociaż kierowca otworzył wszystkie okna.

Krypty znajdują się przy północnej granicy i stykają z Głuszą oraz Presumpscot River. To dlatego tak wielu więźniom udało się zbiec podczas Incydentów. Wybuchy zniszczyły sporą część murów granicznych. Więźniowie, którzy zdołali wydostać się z cel, uciekli prosto do Głuszy.

Po Incydentach Krypty zostały przebudowane i dodano do nich nowe skrzydło. To miejsce zawsze wyglądało koszmarne, ale teraz jest jeszcze gorzej: stalowo-betonowa dobudowa tworzy dziwaczne połączenie ze starym gmachem z poczerńiałego kamienia z jego mnóstwem małych zakratowanych okienek. Dzień jest słoneczny, a niebo ponad

wysokim dachem intensywnie niebieskie. Cała ta sceneria wydaje mi się niestosowna: mam poczucie, że to miejsce nigdy nie powinno oglądać światła słonecznego.

Przez chwilę stoję przed bramą, zastanawiając się, czy nie zawrócić. Przybyłam tutaj autobusem, który jechał z centrum i pustoszał po drodze, zbliżając się do tego miejsca, swojego końcowego przystanku. Wreszcie zostaliśmy w nim tylko ja, kierowca i wielka kobieta w ciężkim makijażu i uniformie pielęgniarki. Gdy autobus odjechał, posyłając wiązkę spalin i błota spod kół, przez jedną chwilę paniki miałam zamiar za nim pobiec.

Ale muszę się dowiedzieć. Po prostu muszę.

Podążam więc za pielęgniarką, która kieruje się w stronę budki strażniczej przed bramą i pokazuje swój dowód. Wzrok strażnika spoczywa na mnie, a ja bez słowa podaję mu kawałek papieru.

— Eleanor Latterly?

Kiwam głową. Nie ufam swojemu głosowi. Z kserokopii nie da się rozpoznać zbyt wielu rysów jej twarzy ani szarego koloru włosów. Jeśli jednak strażnik przyjrzy się dokładniej, dostrzeże szczegóły, które nie pasują: wzrost, kolor oczu.

Na szczęście tego nie robi.

— Co się stało z oryginałem?

— Wylądował w suszarce - odpowiadam szybko. - Musiałam napisać podanie do SWD o nowy.

Z powrotem kieruje wzrok na ksero. Mam nadzieję, że nie słyszy mojego serca, które bije teraz jak oszalałe.

Zdobycie kserokopii nie było problemem. Wystarczył szybki telefon do pani Hargrove z propozycją umówienia się na herbatę, dwudziestominutowa pogawędka, chęć skorzystania z toalety, a zamiast tego krótki wypad do

gabinetu Freda. Nie mogłam ryzykować, że zostanę rozpoznana jako jego przyszła żona. Jeśli Cassie rzeczywiście tam jest, możliwe, że jakiś strażnik zna też Freda. A gdyby się dowiedział, że weszłam w Kryptach...

Już raz mi powiedział, że nie powinnam zadawać pytań.

— Sprawy służbowe?

— Nie... odwiedziny.

Strażnik mruży coś pod nosem. Oddaje mi kartkę i macha na mnie, gdy bramy zaczynają się otwierać z drzeniem.

— Proszę się skierować do kontroli przy punkcie dla odwiedzających — oznajmia burkliwie. Pielęgniarka, która idzie przede mną, rzuca mi zaciekawione spojrzenie. Nie sądzę, żeby tu było wielu odwiedzających.

W końcu taki jest cel tego wszystkiego. Zamknąć ich i zostawić. Niech zgniją.

Przechodzę przez dziedziniec oraz ciężkie, zaopatrzone w rygle stalowe drzwi i oto znajduję się w klaustrofobicznym hallu. Spostrzegam tu wykrywacz metali i kilku roślących strażników. Gdy wchodzę do środka, pielęgniarka zdążyła już wyłożyć zawartość swojego portfela na taśmę i stoi teraz z rozłożonymi rękami i nogami, podczas gdy strażnik przejeżdża detektorem po jej ciele, sprawdzając, czy nie ma broni. Kobieta nie zwraca na to uwagi, zajęta jest rozmową ze strażniczką przy recepcji znajdującej się po prawej stronie, za kuloodporną szybą.

— To samo co zawsze — mówi. — Dziecko nie dawało mi spać całą noc. Mówię ci, jeśli 2426 będzie mi dzisiaj znowu sprawiać problemy, nie będę się patyczkować.

— Amen — odpowiada kobieta za biurkiem. A potem kieruje wzrok w moją stronę. — Poproszę o dowód.

Powtarzamy cały rytuał: wsuwam kartkę do okienka i wyjaśniam, że oryginał się zniszczył.

- W czym mogę pomóc? - pyta.

Dopracowywałam swoją historię starannie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, ale słowa i tak wydobywają się z moich ust niepewnie.

- Przyszłam... przyszłam odwiedzić ciotkę.

- Wie pani, na którym przebywa oddziale? Kręcę głową.

- Nie... nawet nie wiedziałam, że tu jest. To znaczy dopiero się dowiedziałam. Przez większość życia myślałam, że nie żyje. - Kobieta nie reaguje na to oświadczenie.

- Jak się nazywa?

- Cassandra. Cassandra O'Donnell. - Zaciskam dłonie w pięści i skupiam się na bólu przepływającym mi przez ręce, gdy kobieta wstukuje jej imię do komputera. Nawet nie jestem pewna, czy wolałabym, żeby je znalazła, czy me.

Strażniczka kręci głową. Ma wodniste niebieskie oczy i szopę blond włosów, które w tym świetle wydają się tak samo szare jak ściany.

- Nic nie ma. Wie pani, kiedy została do nas przyjęta? Jak dawno temu zniknęła Cassie? Na zaprzysiężeniu

Freda usłyszałam, że nie ma żony od trzech lat. Postanawiam strzelać.

- Styczeń albo luty. Trzy lata temu. Kobieta wzdycha i wstaje z krzesła.

- Skomputeryzowaliśmy się dopiero w zeszłym roku. -Znika mi z oczu, a potem wraca z wielką, oprawioną w skórę księgą. Kładzie ją z hukiem po swojej stronie lady, przerzuca kilka kartek, a potem otwiera okienko i przesuwa księgę w moją stronę.

— Styczeń i luty — mówi krótko. — Wszystko jest ułożone według daty. Jeśli się u nas pojawiła, na pewno będzie tutaj.

Księga jest naprawdę ogromna, jej strony poprzecinane są pajęczynowatym pismem, datami przyjęcia, nazwiskami więźniów i przypisanymi im numerami. Okres od stycznia do lutego zajmuje kilka stron. Czuję na sobie zniecierpliwiony wzrok kobiety, gdy powoli przebiegam palcem po kolumnie z nazwiskami.

Żołądek mi się ściska. Nie ma jej tu. Oczywiście mogłam podać złe daty, albo w ogóle się pomylić. Może nigdy nie było jej w Kryptach.

Przypomina mi się śmiech Freda, gdy mówił: obecnie nie ma zbyt wielu słuchaczy.

— Znalazła pani? — pyta kobieta obojętnym tonem.

— Jeszcze chwila. — Kropla potu spływa mi wzdłuż kręgosłupa. Przerzucam kartki do kwietnia i szukam dalej.

A wtedy widzę imię, które przykuwa mój wzrok: Me-lanea O.

Melanea. Tak miała na drugie Cassandra. Dowiedziałam się tego z rozmowy podsłuchanej na zaprzysiężeniu Freda i widziałam na liście skradzionym z jego gabinetu.

— O, tutaj — mówię. To by miało sens. Fred nie wpisał jej pod prawdziwym imieniem, w końcu chodziło w tym wszystkim o to, by zniknęła.

Zwracam jej księgę przez okienko. Wzrok kobiety przesuwa się od imienia do przypisanego jej numeru: 2225. Wstukuje go do komputera, powtarzając numer po cichu.

— Oddział B — oznajmia. — Nowe skrzydło. - Wpisuje do komputera kilka dodatkowych poleceń i drukarka za jej

plecami z drzeniem budzi się do życia, po czym wypluwa małą białą naklejkę z napisem: ODWIEDZAJĄCY - ODDZIAŁ B. Podaje mi ją przez okienko wraz z inną, cieńszą, oprawioną w skórę książką. — Proszę wpisać w rejestrze swoje nazwisko i dzisiejszą datę oraz zaznaczyć nazwisko osoby, którą pani odwiedza. Plakietkę przykleja się na piersi. Musi być cały czas widoczna. Musi też pani poczekać na eskortę. Proszę iść do kontroli bezpieczeństwa, a ja zaraz wezwę kogoś, kto panią odbierze.

Odbębni swoją przemowę szybko i jednostajnym głosem. Wyciągam z torby długopis i wpisuję do rubryczki „Eleanor Latterly”, modląc się, by kobieta nie porównała podpisu z dowodem. Książka wizyt jest bardzo cienka. Tylko trzech odwiedzających pojawiło się tutaj w zeszłym tygodniu.

Ręce zaczynają mi się trząść. Mam problem ze zdjęciem kurtki, gdy strażnicy każą mi ją położyć na taśmę. Moja torba i buty także ładują na tacce i wędrują do kontroli, a ja sama muszę stanąć z rozłożonymi rękami i nogami, tak jak pielęgniarka, podczas gdy jeden z mężczyzn przesuwając detektorem między moimi nogami i po piersiach.

— W porządku — mówi i schodzi na bok, bym mogła przejść dalej. Tuż za kontrolą bezpieczeństwa znajduje się niewielka poczekalnia, a w niej kilka plastikowych krzeseł i stolik. Za nią widzę rozgałęziające się korytarze i znaki wskazujące drogę do różnych oddziałów i części kompleksu. W rogu stoi telewizor z wyłączonym dźwiękiem: audycja polityczna. Odwracam szybko wzrok na wypadek, gdyby na ekranie pojawił się Fred.

W moją stronę zmierza korytarzem pielęgniarka z rzadkimi czarnymi włosami i tłustą, świecąca cerą. Ma na sobie

niebieskie szpitalne chodaki i kwiecisty uniform. Na wizytówce widnieje jej imię: JEN.

— Pani na oddział B? — wysapuje, zbliżywszy się do mnie. Kiwam głową. Jej perfumy pachną wanilią, są słodkie, mdłe, zbyt mocne, ale i tak nie są w stanie zupełnie zamaskować innych woni tego miejsca: wybielacza, odoru ciała.

— Tędy. — Prowadzi mnie do ciężkich podwójnych drzwi i otwiera je biodrem.

Za drzwiami wystrój się zmienia. Korytarz, którym idziemy, jest lśniąco biały. To musi być nowe skrzydło. Podłogi, ściany, a nawet sufit wyłożone są takimi samymi nieskazitelnymi panelami. Nawet powietrze pachnie inaczej: bardziej świeżo i czysto. Panuje tu cisza, ale gdy idziemy korytarzem, słyszę od czasu do czasu dźwięki przytłumionych głosów, pikanie aparatury medycznej, stukot chodaków innej pielęgniarki w innym korytarzu.

— Była tu już pani? — dyszy Jen. Kręcę głową, a ona rzuca mi ukradkowe pojrzenie. — Tak myślałam. Nie mamy tutaj wielu odwiedzających. Bo niby po co, nie?

— Właśnie się dowiedziałam, że moja ciotka... Kobieta przerywa mi.

— Będzie pani musiała zostawić torebkę przed wejściem na oddział. — Znowu sapie. — Nawet pilniczek może się okazać niebezpieczny. I trzeba będzie dać pani pantofle. Na oddziale nie można nosić sznurowanych butów. W zeszłym roku jeden z naszych pacjentów powiesił się na rurze, kiedy dorwał się do sznurówek. Gdy do niego dotarliśmy, nie było już czego reanimować. Do kogo pani przyszła?

Mówi to wszystko tak szybko, że ledwo nadążam za potokiem jej słów. Przed oczami migają mi obrazy: człowiek

zwisający z sufitu, sznurówki zaciśnięte na jego gardle. W mojej wyobraźni człowiek ten kołysze się i odwraca w moją stronę. Co dziwne, widzę wtedy twarz Freda, wielką, nabrzmiałą i czerwoną.

— Przyszłam odwiedzić Melanę. — Spoglądam na twarz pielęgniarki, by sprawdzić, czy to imię coś jej mówi. — Numer 2225 — dodaję.

Najwyraźniej ludzie funkcjonują w Kryptach tylko jako numery, ponieważ widać, że teraz pielęgniarka wie, o kim mowa.

— Nie sprawi pani kłopotów - mówi konspiracyjnym szeptem, jakby zdradzała mi wielki sekret. — Jest cichutka jak myszka. No, może nie zawsze. Pamiętam jej pierwsze miesiące, ciągle krzyczała i krzyczała: „Nie powinno mnie tu być! Wcale nie oszalałam!”. — Kobieta śmieje się. — Jasne, wszyscy tak mówią. A kiedy zaczniesz ich słuchać, zaleją cię historiami o pajakach i zielonych ludzikach.

— Czy to znaczy... to znaczy, że ona jest chora psychicznie? — pytam.

— Nie byłoby jej tutaj, gdyby było inaczej, co nie? - odpowiada Jen. Najwyraźniej nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. Dochodzimy do kolejnych podwójnych drzwi, oznaczonych napisem: ODDZIAŁ B: PSYCHOZY, NEUROZY, HISTERIA.

— Proszę sobie wziąć pantofle — kontynuuje pogodnym tonem, wskazując ręką.

Przed wejściem znajduje się ławka i mała drewniana półka, na której leży kilka par szpitalnych pantofli. Meble są wyraźnie stare, co wygląda dosyć dziwnie pośrodku tej całej lśniącej bieli.

— Proszę zostawić tutaj buty i torbę. Niech się pani nie martwi, nikt ich stąd nie weźmie. Przestępcy siedzą w starych oddziałach. — Znowu wybucha śmiechem.

Siadam na ławce i męcę się ze sznurówkami, załując, że nie włożyłam trzewików albo balerinek. Palce mam niezdarne.

— A więc krzyczała? — wpytuję ją. — To znaczy na początku, gdy się tu znalazła.

Pielęgniarka przewraca oczami.

— Twierdziła, że mąż chciał ją wykończyć. Wmawiała każdemu, kto chciał jej słuchać, że to spisek.

Moje ciało sztywnieje. Przełykam ślinę.

— Wykończyć? To znaczy?

— Proszę się nie martwić. — Jen macha ręką. — Szybko się uspokoiła. Tak jak większość z nich. Zażywa regularnie lekarstwa, nie sprawia nikomu problemu. — Klepie mnie po ramieniu. — Gotowa?

Jestem w stanie tylko kiwnąć głową, aczkolwiek ostatnią rzeczą, którą mogę o sobie teraz powiedzieć, to właśnie, że jestem gotowa. Całe moje ciało aż pali się do tego, by się odwrócić i uciec. Ale odważnie ruszam za Jen przez podwójne drzwi do kolejnego korytarza, podobnie nieskazitelnie białego jak ten, przez który właśnie przeszłyśmy. Po jego obu stronach znajdują się białe drzwi bez szyb. Każdy krok wydaje się cięższy od poprzedniego. Czuję przez cienkie pantofle chłód podłogi i za każdym razem, gdy stawiam na niej stopę, zimno przebiega aż po mój kręgosłup.

Zbyt szybko dochodzimy do sali oznaczonej numerem 2225. Jen dwa razy stuka do drzwi, mocno, ale nie wydaje się czekać na odpowiedź. Zdejmuje kartę wejściową z szyi i przykłada ją do czytnika po lewej stronie.

— Po Incydentach wprowadzili nowy system. Pomysłowe, nie? — I kiedy zamek rozsuwa się z kliknięciem, mocno popycha drzwi.

— Masz gościa — woła radośnie, wchodząc do pokoju. Ostatni krok jest najtrudniejszy. Przez chwilę wydaje mi się, że nie będę w stanie go wykonać. Zmuszam się do wejścia. A gdy wreszcie znajduję się w środku, całe powietrze opuszcza moje płuca.

Siedzi w kącie na plastikowym krześle z zaokrąglonymi brzegami, wyglądając przez małe okno, w którym tkwią grube żelazne kraty. Nie odwraca się, gdy wchodzimy, ale widzę jej profil podkreślony wpadającym z zewnątrz światłem: mały zadarty nosek, drobne, foremne usta, długie rzęsy, kształtne różowe ucho i czystą bliznę po zabiegu tuż pod nim. Włosy ma jasne, długie, rozpuszczone, sięgają niemal pasa. Ma pewnie jakieś trzydzieści lat.

Jest piękna.

I podobna do mnie.

Czuję szarpnięcie w żołądku.

— Dzień dobry — mówi głośno Jen, jak gdyby bez tego Cassandra nie była w stanie nas usłyszeć, chociaż pokój jest niewielki. Jest za mały, żeby swobodnie pomieścić nas trzy, i chociaż w środku nie ma niczego poza łóżkiem, krzesłem, umywalką i ubikacją, wydaje się zatłoczony. — Przyprowaździłam ci kogoś. Co za niespodzianka, prawda?

Cassandra nie odzywa się. W ogóle nie zwraca na nas uwagi.

Jen ostentacyjnie przewraca oczami i mówi do mnie bezgłośnie: „przepraszam”. A na głos:

— No co ty. Nie bądź niemiała. Odwróć się i przywitaj jak grzeczna dziewczynka.

Wtedy Cassie rzeczywiście się odwraca, tyle że jej oczy mnie tylko omiatają i zatrzymują się dopiero na Jen.

— Czy mogę prosić o tacę? Nie jadłam dzisiaj śniadania. Jen kładzie ręce na biodrach i mówi z przesadnym wyrzutem, jak gdyby zwracała się do dziecka:

— To było głupie z twojej strony, co nie?

— Rano nie byłam głodna — odpowiada Cassie. Jen wzdycha.

— Masz szczęście, że jestem dzisiaj w dobrym humorze. — Puszcza oko. — Mogę panią zostawić na chwilę? — To pytanie skierowane jest do mnie.

-Ja...

— Proszę się nie martwić — wyjaśnia mi. — Jest nieszkodliwa. — Podnosi głos i zaczyna szczebiotać jak do dziecka: — Zaraz będę z powrotem. Bądź grzeczną dziewczynką. Nie sprawiaj problemów swojemu gościowi. — Znowu odwraca się do mnie. - Gdyby były jakieś kłopoty, proszę po prostu nacisnąć alarm przy drzwiach.

Zanim mam szansę odpowiedzieć, kobieta wychodzi na korytarz i zamyka za sobą drzwi. Słyszę kliknięcie blokady zamka. Mimo tłumiącego efektu remedium czuję ostre ukłucie strachu.

Przez chwilę panuje cisza. Staram się przypomnieć sobie, co chciałam jej powiedzieć. Fakt, że ją odnalazłam — tę tajemniczą kobietę — jest tak poruszający, że nagle nie mam pojęcia, o co mogłabym ją zapytać.

Spogląda na mnie. Jej oczy są piwne, bardzo jasne. Inteligentne.

To nie są oczy wariatki.

— Kim jesteś? — Teraz, gdy Jen wyszła z pokoju, jej głos przybiera oskarżycielski ton. — I co tu w ogóle robisz?

— Nazywam się Hana Tate — odpowiadam. Biorę głęboki oddech. — W przyszłą sobotę wychodzę za Freda Hargrove'a.

Między nami rozciąga się cisza. Mierzy mnie wzrokiem i zmuszam się, by stać nieruchomo.

— Gust mu się nie zmienił — stwierdza obojętnym tonem, po czym znowu odwraca się do okna.

— Błagam. — Głos zaczyna mi się łamać. W gardle mi zaschło. — Chciałabym wiedzieć, co się wydarzyło.

Jej ręce ciągle spoczywają na kolanach. Musiała doskonalić tę sztukę przez lata: siedzenie bez ruchu.

— Jestem wariatką — mówi bezbarwnym głosem. — Nie powiedzieli ci tego?

— Nie wierzę w to — odpowiadam, i taka jest prawda, nie wierzę. Teraz, kiedy z nią rozmawiam, wiem na pewno, że jest zupełnie zdrowa psychicznie. — Chcę poznać prawdę.

— Po co? — Odwraca się do mnie znowu. — Dlaczego tak ci na tym zależy?

Żeby nie przytrafiło się to i mnie, żebym mogła temu zapobiec. To jest prawdziwy, egoistyczny powód. Ale nie mogę tego powiedzieć na głos. Ona nie ma żadnego interesu, żeby mi pomóc. Nie jesteśmy stworzeni do pomagania obcym.

Zanim przychodzi mi do głowy jakaś odpowiedź, Cassie wybucha śmiechem: suchym dźwiękiem, jak gdyby długo nie używała krtani.

— Chcesz wiedzieć, co takiego zrobiłam, tak? Chcesz się upewnić, że nie popełnisz tego samego błędu?

— Nie — odpowiadam, aczkolwiek Cassie ma rację. — To nie to, co...

— Nie martw się — mówi. — Rozumiem. — Przez jej twarz przebiega uśmiech. Spogląda na swoje ręce. — Zostałam

sparowana z Fredem, gdy miałam osiemnaście lat — zaczyna. — Nie poszłam na studia. Był ode mnie starszy. Mieli problem ze znalezieniem dla niego pary. Był wybredny. Pozwolono mu na to ze względu na pozycję jego ojca. Wszyscy mówili, że mam szczęście. — Wzrusza ramionami. — Byliśmy małżeństwem przez pięć lat.

Zatem Cassie musi być młodsza, niż myślałam.

— Co poszło nie tak? — pytam.

— Znudził się mną — oznajmia twardo. Patrzy mi w oczy. — I byłam dla niego ciężarem. Wiedziałam za dużo.

— Co masz na myśli? — Mam ochotę usiąść na łóżku. Moja głowa wydaje się dziwnie lekka, a nogi niemożliwie odległe. Ale boję się poruszyć. Boję się nawet oddychać. W każdej chwili może mnie wyprosić. Nic mi nie jest winna.

Nie odpowiada mi bezpośrednio.

— Wiesz, co lubił robić, gdy był mały? Wabił okoliczne koty na swoje podwórko: dawał im mleko, karmił rybami, zdobywał ich zaufanie. A potem je truł. Lubiał obserwować, jak umierają.

Pokój wydaje się jeszcze mniejszy niż przedtem, ciasny i duszny.

Cassie odwraca się, by znowu na mnie popatrzeć. Jej spokojne, pewne spojrzenie zbija mnie z tropu. Zmuszam się, by nie odwrócić wzroku.

— Mnie też truł — mówi. — Chorowałam przez długie miesiące. Wreszcie mi o tym powiedział. Dodawał mi rycyny do kawy. Tylko tyle, żebym była chora, leżała w łóżku, była od niego zależna. Powiedział mi to, bym wiedziała, do czego jest zdolny. — Chwila milczenia. — Zresztą zabił też swojego ojca.

Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że może jednak rzeczywiście jest szalona. Może pielęgniarka miała rację: może to rzeczywiście miejsce dla niej. Chwytam się tej myśli jak deski ratunku.

— Ojciec Freda zginął podczas Incydentów. Został zabity przez Odmieńców.

Cassie spogląda na mnie z politowaniem.

— Wiem o tym. — Jak gdyby czytała w moich myślach, dodaje: — Mam oczy i uszy. A pielęgniarce gadają. I oczywiście byłam w starym skrzydle, kiedy wybuchły bomby. — Znowu spogląda na swoje ręce. — Uciekło wtedy trzystu więźniów. Kolejnych kilkunastu zostało zabitych. Nie miałam tyle szczęścia, żeby znaleźć się w którejś z tych grup.

— Ale co to ma wspólnego z Fredem? — pytam jękliwie.

— Wszystko — odpowiada ostro. — Fred chciał, żeby doszło do Incydentów. Chciał, żeby wybuchły bomby. Współpracował z Odmieńcami, pomógł im to zaplanować.

To nie może być prawda. Nie chcę jej wierzyć. I nie uwierzę.

— To nie ma żadnego sensu.

— Ależ ma, wszystko to zostało starannie przemyślane. Fred musiał to planować od lat. Współpracował z AWD, oni mieli taki sam pomysł. Fred chciał udowodnić, że jego ojciec mylił się co do Odmieńców, pragnął też jego śmierci. Wtedy okazałoby się, że Fred ma rację, a do tego zostałby burmistrzem.

Na wspomnienie AWD przechodzą mnie ciarki. W marcu podczas ogromnego wiecu w Nowym Jorku tłum zaatakowali Odmieńcy, zabijając dwustu uczestników i dużo więcej raniąc. Wszyscy porównywali to do Incydentów i przez wiele tygodni ochrona wszędzie była zaostrzona:

skanowanie dowodów, przeszukiwanie samochodów, naloty na domy i podwojone patrole na ulicach.

Ale pojawiły się też inne głosy. Niektórzy twierdzili, że Thomas Fineman, przewodniczący AWD, wiedział, co ma się wydarzyć, i pozwolił na to. A potem, dwa tygodnie później, został zamordowany.

Nie wiem, w co mam wierzyć. Uczucie, którego nazwy zdążyłam już zapomnieć, przyprawia mnie o ból w piersi.

— Lubiłam pana Hargrove'a — mówi Cassandra. — Było mu mnie żal. Wiedział, jaki jest jego syn. Odwiedzał mnie czasami po tym, gdy Fred mnie tu zamknął. Mąż miał ludzi, którzy zaświadczyli, że jestem obłąkana. Przyjaciół. Lekarzy. Skazali mnie na życie w tym miejscu. — Wskazuje na ten mały biały pokój, swój grób za życia. — Ale pan Hargrove wiedział, że nie jestem wariatką. Opowiadał mi, co się dzieje za tymi murami. Znalazł moim rodzicom dom na Deering Highlands. Fred ich także chciał uciszyć. Myślał pewnie, że im powiedziałam... Myślał pewnie, że wiedzą to, co ja. — Kręci głową. — Ale nie powiedziałam im. Nie wiedzą.

A więc rodzice Cassie zostali zmuszeni do przeprowadzki na Deering Highlands, tak jak rodzina Leny.

— Tak mi przykro. — To jedyne, co przychodzi mi do głowy, choć wiem, jak banalnie brzmi.

Cassie zdaje się mnie nie słyszeć.

— Tamtego dnia, kiedy wybuchły bomby, pan Hargrove był tu z wizytą. Przyniósł mi czekoladę. — Odwraca się do okna. Zastanawiam się, o czym teraz myśli. Jest znowu zupełnie nieruchoma, jej profil okala przyćmione światło słońca. — Słyszałam, że próbował zaprowadzić porządek. A wtedy mnie było żal j e g o. Zabawne, prawda? Jak widać, Fred w końcu dopadł nas oboje.

— No, wróciłam! Lepiej późno niż wcale! Podskakuję na dźwięk głosu Jen. Odwracam się. Kobieta

wchodzi do celi z plastikową tacą, na której stoi plastikowy kubek z wodą i mała plastikowa miska grudkowatej owsianki. Schodzę jej z drogi, gdy niedbale kładzie tacę na łóżku. Dostrzegam, że sztucce też są plastikowe. Oczywiście, nie dają im metalu. Ani noży.

Przypomina mi się mężczyzna powieszony na sznurówkach, zamykam powieki i zamiast tego myślę o zatoce. Obraz rozbija się o fale. Znowu otwieram oczy.

— To co? - pyta Jen radosnym tonem. - Apetycik wrócił?

— Może zjem trochę później — odpowiada Cassie miękko. Jej spojrzenie wciąż utkwione jest w przestrzeni za oknem. -Już nie jestem głodna.

Jen spogląda na mnie i przewraca oczami, jak gdyby chciała westchnąć: ech, ci wariaci.

LENA

Opuszczamy schron zaraz po podjęciu decyzji, że całą grupą idziemy do Portland, by wzmocnić szeregi tamtejszego ruchu oporu. Szykuje się tam jakaś poważna akcja, ale Cap i Max nie chcą pisać na ten temat ani słowa, a mama twierdzi, że i tak nie znają szczegółów. Teraz, gdy mur między nami runął, nie opieram się już tak bardzo przed powrotem do Portland. Co więcej, gdzieś głęboko w środku wyczekuję go z niecierpliwością.

Mama i ja rozmawiamy przy ognisku podczas jedzenia, rozmawiamy do późna w nocy, dopóki Julian nie wystawi zaspanej głowy z namiotu, by powiedzieć, że naprawdę powinnam choć trochę się przespać, albo Raven nie wydrze się na nas, że powinniśmy zamknąć jadaczki.

Rozmawiamy ze sobą o poranku. Rozmawiamy podczas marszu.

Rozmawiamy o tym, jak wyglądało nasze życie w Głuszy. Okazuje się, że zaangażowała się w ruch oporu jeszcze gdy była w Kryptach, uwięziona na Oddziale Szóstym. Tamtejszy strażnik, mimo że wyleczony, sympatyzował ze sprawą. Później obarczono go winą za jej ucieczkę i sam został więźniem.

Pamiętam go: widziałam go zwiniętego w pozycji płodowej w małej kamiennej celi. Jednak nie mówię o tym mamie. Nie mówię też, że Aleksowi i mnie udało się dostać do Krypt, ponieważ to oznaczałoby mówienie o Aleksie. A nie potrafię się zmusić do rozmowy o nim — ani z nią, ani z kimkolwiek innym.

— Biedny Thomas. — Mama kręci głową. — Tak bardzo się starał, żeby go przydzielili do Oddziału Szóstego. Celowo mnie odszukał. - Spogląda na mnie z ukosa. — Znał Rachel, wiesz... dawno temu. Myślę, że zawsze miał do siebie żal, że z niej zrezygnował. Pozostał w nim gniew, nawet po remedium.

Słońce świeci mi prosto w oczy. Zamykam je. Pod powiekami błyskają dawno pogrzebane obrazy: Rachel zamknięta w swoim pokoju, odmawiająca wyjścia z niego i jedzenia. Błada, piegowata twarz Thomasa za oknem, chłopak wskazujący mi na migi, żeby go wpuściła. Pamiętam, jak siedział skulony w kącie tamtego dnia i obserwował z przerażeniem, jak wloką Rachel do laboratorium, a ona wierzga nogami, krzyczy i obnaża zęby jak dzikie zwierzę. Musiałam mieć osiem lat — było to zaledwie rok po tym, gdy mama zmarła, czy raczej gdy tak mi powiedziano.

— Thomas Dale — wyrywa mi się. Jego nazwisko tkwiło mi w głowie przez wszystkie te lata.

Mama w zamyśleniu przejeżdża ręką po falującej trawie. W słońcu zmarszczki na jej twarzy i jej wiek nie pozostawiają złudzeń.

- Ledwo go pamiętałam. I oczywiście bardzo się zmienił od czasu, kiedy ostatni raz go widziałam. Minęły przecież jakieś trzy, cztery lata... Pamiętam, jak raz wróciłam wcześniej z pracy i przyłapałam go, gdy kręcił się koło domu. Był przerażony. Myślał, że go wydam. - Wybuchła śmiechem. - To było tuż przed tym, kiedy mnie.. zabrano.

— I pomógł ci - kończę za nią. Staram się przywołać w pamięci jego twarz, ale mam przed oczami tylko brudną postać skuloną w kącie śmierdzącej celi.

Mama kiwa głową.

— Nie był w stanie zapomnieć o tym, co stracił. To wciąż w nim tkwiło. Wiesz, tak się dzieje z wieloma ludźmi. Zawsze uważałam, że podobnie było też w przypadku twojego taty.

- A więc tata był wyleczony?- pytam zdumiona. Nie wiem, skąd we mnie ten zawód. Nawet go nie pamiętam. Zmarł na raka, gdy miałam roczek.

- Tak, był. - Szczeka mamy drży. - Ale były chwile, kiedy miałam wrażenie... Były chwile, kiedy wydawało mi się, że dalej to czuje, choć to szybko mijało. Może tylko to sobie wyobrażałam. Zresztą to bez znaczenia. I tak go kochałam. Był dla mnie bardzo dobry. - Nieświadomie podnosi rękę do szyi, jak gdyby szukała naszyjnika: wisiorka w kształcie sztyletu, który dostała od taty. To dzięki niemu udało jej się wydostać z Krypt.

— Twój naszyjnik. Wciąż nie możesz się przyzwycząić, że już go nie masz.

Odwraca się do mnie i mruży oczy. Uśmiecha się delikatnie.

— Są straty, po których nigdy się nie otrząśniemy.

Ja również opowiadam mamie o swoim życiu, zwłaszcza o tym, co się działo po mojej ucieczce z Portland, jak poznałam Raven, Tacka i zaangażowałam się w ruch oporu. Od czasu do czasu przywołujemy też wspomnienia z czasów „sprzed” — utracone chwile z okresu, nim odeszła, nim moja siostra została wyleczona, nim zamieszkałam z ciotką Carol. Jednak rozmawiamy o tym rzadko.

Jak powiedziała mama, są straty, po których nigdy się nie otrząśniemy.

Niektórych tematów nie poruszamy zupełnie. Mama nie pyta, co zmusiło mnie do ucieczki z Portland, a ja nie widzę potrzeby, by jej o tym opowiadać. Trzymam liścik od Aleksa w małej skórzanej sakiewce zawieszanej na szyi — prezent od mamy, zdobyty przez nią od wędrownego kupca — ale to pamiątka z przeszłego życia, jak noszenie zdjęcia kogoś, kto już nie żyje.

Mama oczywiście wie, że odnalazłam swoją drogę do miłości. Od czasu do czasu przyłapuję ją na tym, że obserwuje nas z Julianem. Wyraz jej twarzy — mieszanina dumy, smutku, zazdrości i miłości — przypomina mi, że jest nie tylko moją matką, ale i kobietą walczącą całe swoje życie o coś, czego tak naprawdę nigdy w pełni nie zaznała.

Mój tata był wyleczony. A nigdy nie można kochać, nie w pełni, jeśli miłość nie jest odwzajemniona.

Na myśl o tym robi mi się jej żal, ale nienawidzę tego uczucia i w jakiś sposób się go wstydzę.

Julian i ja znowu odnaleźliśmy siebie nawzajem. Jest tak, jak gdyby kilka ostatnich tygodni było złym snem i wreszcie widmo Aleksa przestało rzucać cień na nasze szczęście. Nie możemy się sobą nasycić. Znowu zdumiewa mnie w nim wszystko: jego ręce, sposób mówienia, cichy i delikatny, wszystkie odcienie jego śmiechu.

W nocy, w ciemności, sięgamy po siebie nawzajem. Zatracamy się w odwiecznym rytmie, wśród pohukiwań, krzyków i pisków zwierząt w lesie. Pomimo niebezpieczeństw Głuszy oraz ciągłego zagrożenia atakiem porządkowych i Hien po raz pierwszy od wieków czuję się naprawdę wolna.

Gdy pewnego ranka wychodzę z namiotu, okazuje się, że Raven zasnęła, a zamiast niej to Julian i mama rozpalają ognisko. Są odwróceni do mnie plecami i śmieją się z czegoś. Wątle smugi dymu wirują w górę i rozplývają się w delikatnym wiosennym powietrzu. Przez moment stoję nieruchomo. Boję się, że ta chwila jest jak motyl: wystarczy nieznaczne poruszenie i uleci z wiatrem, a oni znikną.

Julian odwraca się i dostrzega mnie.

— Dzień dobry, ślicznotko — wita mnie. Jego twarz wciąż jest posiniaczona i opuchnięta, ale oczy mają kolor nieba o poranku. Kiedy się uśmiecha, wydaje mi się, że nigdy w życiu nie widziałam niczego piękniejszego.

Mama chwyta za wiadro i podnosi się.

— Właśnie się wybierałam na poranną toaletę — mówi.

— Ja też — odpowiadam.

Gdy wchodzę do zimnego strumienia, wiatr powoduje, że dostaję gęziej skórki. Chmara jaskółek przemyka po niebie. Woda niesie ze sobą delikatny posmak piasku, mama

nuci coś pod nosem. To nie jest rodzaj szczęścia, jaki sobie wyobrażałam. To nie to wybrałam.

Jednak to wystarcza. Nawet więcej, niż wystarcza.

Na granicy z Rhode Island spotykamy grupę około dwudziestu osadników, również zdążających do Portland. Wszyscy z wyjątkiem dwóch osób, które po prostu boją się zostać same, chcą dołączyć do ruchu oporu. Zbliżamy się do wybrzeża, pozostałości dawnego życia można zauważyć wszędzie. Natykamy się na ogromną, przypominającą plastry miodu betonową konstrukcję. Tack rozpoznaje w niej stary piętrowy parking.

Jest w niej coś niepokojącego. Wygląda jak strzelisty kamienny insekt z setką oczu. Cała grupa milknie, gdy przechodzimy w jej cieniu. Dostaję gęsiej skórki i chociaż wiem, że to głupie, nie mogę się pozbyć wrażenia, że ktoś nas obserwuje.

Tack, który nam przewodzi, podnosi rękę. Wszyscy natychmiast zatrzymujemy się. Wystawia głowę, najwyraźniej czegoś nasłuchuje. Wstrzymuję oddech. Nie słychać nic oprócz zwykłego szelestu zwierząt pośród drzew i delikatnego tchnienia wiatru.

A potem spada na nas z góry deszcz żwiru, jak gdyby ktoś przez przypadek strącił go stopą z jednego z górnych pięter.

W jednej chwili wszystko staje się plamą i ruchem.

- Na ziemię, na ziemię! - krzyczy Max. Błyskawicznie sięgamy po broń, zdejmujemy strzelby z ramion i padamy na trawę.

— Hop, hop!

Ten głos wprawia nas wszystkich w osłupienie. Podnoszę głowę, osłaniając oczy przed słońcem. Przez chwilę wydaje mi się, że śnię.

Pippa, wyłoniwszy się z ciemnej otchłani parkingu, stoi na zalanym słońcem betonowym występie, szczerząc zęby w uśmiechu, i macha do nas czerwoną chusteczką.

— Pippa! — wykrzykuje Raven zduszonym głosem. Dopiero wtedy dociera do mnie, że to prawda.

— Hej, wy tam! — krzyczy Pippa. I powoli zza jej pleców wyłania się coraz więcej osób: całe masy chudych, obszarpanych ludzi, ukrytych na różnych poziomach garażu.

Kiedy Pippa wreszcie schodzi na ziemię, natychmiast otaczają ją Tack, Raven i Max. Bestia również żyje. Ukazuje się nam zaraz za Pippą i to wydaje się zbyt piękne, by było prawdziwe. Przez kwadrans tylko się śmiejemy i przekrzykujemy nawzajem, i trudno kogokolwiek zrozumieć.

Wreszcie ponad chaosem krzyków i śmiechów przebija się głos Maksa.

— Co się stało? Słyszeliśmy, że nikomu nie udało się uciec. Ze to była masakra.

W jednej chwili Pippa poważnieje.

— Bo to była masakra — mówi. — Zginęły setki ludzi. Przyjechały czołgi i otoczyły obóz. Użyli gazów łzawiących, karabinów maszynowych, pocisków artyleryjskich. To była rzeź. Te krzyki... — urywa. — To było straszne.

— Jak udało się wam wydostać? — pyta ją Raven. Wszyscy zamilkli. Teraz wydaje się okropne, że jeszcze przed chwilą śmialiśmy się, ciesząc się z ocalenia Pippy.

— Prawie nie mieliśmy czasu — odpowiada. — Staraliśmy się ostrzec wszystkich. Ale sami wiecie, co tam było: jeden wielki chaos. Mało kto chciał słuchać.

Zza jej pleców powoli wyłaniają się ludzie i wychodzą niepewnie na słońce: zdumieni, milczący, niespokojni, jak ocaleni, którzy przetrwali huragan i nie mogą się nadziwić, że świat wciąż istnieje. Mogę sobie tylko wyobrazić, co widzieli w Waterbury.

- Jak ominęliście czołgi? - pyta Bee. Wciąż ciężko mi myśleć o niej jako o swojej matce, kiedy odzywa się w niej ta nieustępliwa bojowniczką. Na razie pozwalam jej egzystować podwójnie: czasami jest moją matką, a czasami buntowniczką i przywódczynią.

- Nie uciekliśmy - mówi Pippa. - Nie było na to szans. Wojsko było wszędzie. Ukryliśmy się. - Przez jej twarz przemyka spazm bólu. Otwiera usta, jak gdyby chciała powiedzieć coś więcej, ale zaraz znowu je zamyka.

- Gdzie się ukryliście? - Max draży temat.

Pippa i Bestia wymieniają zagadkowe spojrzenia. Przez chwilę mam wrażenie, że Pippa mu nie odpowie. W obozie wydarzyło się coś, o czym najwyraźniej nie chce mówić.

A wtedy odkasłuje i z powrotem spogląda na Maksa.

- Najpierw, zanim zaczęła się strzelanina, w korycie rzeki - mówi. - Wkrótce zaczęły na nas spadać ciała. I to one nas ukryły.

- O Boże. - Hunter zwija rękę w pięść i przykłada do ust. Wygląda, jakby miał zwymiotować. Julian odwraca się plecami.

- Nie mieliśmy wyboru - tłumaczy Pippa ostro. - Poza tym oni już nie żyli. Przynajmniej ich ciała na coś się przydały.

- Cieszymy się, że ci się udało, Pippa - odzywa się łagodnie Raven i kładzie rękę na jej ramieniu. Pippa

odwraca się do niej z wdzięcznością, na jej twarzy malują się teraz serdeczność i ufność jak u szczeniaka.

— Chciałam się z wami spotkać w schronie, ale wyliczyłam, że musieliście już wyjść — mówi. — Nie chciałam ryzykować, gdy w okolicy było wojsko. Zbyt rzucaliśmy się w oczy. Więc poszliśmy na północ. Wpadliśmy na ten ul przez przypadek. — Wskazuje podbródkiem na rozległą konstrukcję parkingu. Rzeczywiście teraz, gdy widać ludzi, częściowo ukrytych w cieniu, zerkających na nas w dół z różnych poziomów, przemykających przez plamy światła, a potem kryjących się z powrotem w cieniu, wygląda niczym gigantyczny ul. — Stwierdziłam, że to dobre miejsce do ukrycia się na jakiś czas i przeczekania, aż wszystko się uspokoi.

— Ilu was jest? — pyta Tack. Dziesiątki i dziesiątki ludzi zeszły na dół i stoją teraz zbici w ciasnej gromadzie za plecami Pippy jak stado psów zastraszone biciem i głodzeniem. Ich milczenie działa rozstrajająco.

— Ponad trzysta osób — odpowiada Pippa. — Może nawet czterysta.

To ogromna liczba, chociaż stanowią tylko niewielki procent tych, którzy byli w obozie koło Waterbury. Przez chwilę wypełnia mnie ślepa, rozpalona do białości nienawiść. Chcieliśmy wolności, by móc kochać, a zamiast tego staliśmy się wojownikami, dzikusami. Julian, jak gdyby wyczuł, co myślę, podchodzi do mnie i obejmuje mnie ramieniem, pozwalając mi oprzeć się o niego.

— Nie widzieliśmy po drodze żadnych śladów wojska — mówi Raven. — Stawiam, że przyszli z Nowego Jorku. Jeśli mieli czołgi, musieli skorzystać z którejś z dróg dojazdowych

wzdłuż Hudsonu. Jest duża szansa, że teraz wrócili na południe.

— Misja zakończona — stwierdza gorzko Pippa.

— Niczego nie zakończyli — odzywa się znowu moja mama, jednak jej głos jest teraz delikatniejszy. — Walka nie jest skończona. To dopiero początek.

— Idziemy do Portland — mówi Max. — Mamy tam przyjaciół, mnóstwo przyjaciół. Przyjdzie czas na zemstę — dorzucą z nagłą zaciętością. — Oko za oko.

— I cały świat oślepnie — dodaje cicho Coral. Wszyscy odwracają się w jej stronę. Od kiedy Alex

zniknął, niewiele się odzywa, a ja staram się jej unikać. Jej ból jest niemal namacalny. Jakby w jej środku tkwiła czarna dziura, która pochłania ją samą i oddziałuje na wszystko wokół, co sprawia, że równocześnie czuję w stosunku do niej litość i złość. Przypomina mi o tym, że to nie ja go straciłam.

— Co powiedziałaś? — pyta Max z ledwo skrywaną agresją.

Coral odwraca wzrok.

— Nic — odpowiada. — To tylko zdanie, które kiedyś usłyszałam.

— Nie mamy wyboru — oznajmia twardo moja mama. — Jeśli nie będziemy walczyć, zniszczą nas. Nie chodzi tutaj o zemstę. — Spogląda karcąco na Maksa, który mruczy coś pod nosem i krzyżuje ręce na piersi. — Tu chodzi o przetrwanie.

Pippa przejeżdża ręką po głowie.

— Moi ludzie są słabi — mówi wreszcie. — Żywiliśmy się resztkami, szczurami i tym, co udało się znaleźć w lesie.

— Na północy będzie jedzenie — oświadcza Max. — Zaopatrzenie. Jak powiedziałem, ruch oporu ma w Portland przyjaciół.

— Nie wiem, czy uda im się tam dotrzeć — odpowiada Pippa, obniżając głos.

— Ale tu też nie możecie zostać — stwierdza Tack. Pippa przygryza wargę i spogląda na Bestię. Mężczyzna kiwa głową.

— On ma rację, Pip — mówi.

Nagle odzywa się stojąca za plecami Pippy kobieta. Jest przeraźliwie chuda, zaszuszone.

— Pójdziemy. — Jej głos jest zaskakująco mocny i głęboki. Oczy osadzone w zapadniętej, zniszczonej twarzy płoną jak dwa rozżarzone węgle. - Będziemy walczyć.

Pippa powoli wypuszcza powietrze z płuc. A potem kiwa głową.

— Zatem dobrze - mówi. — Niech będzie Portland.

Gdy zbliżamy się do miasta, krajobraz staje się bardziej znajomy, a powietrze przynosi zapachy z mojego dzieciństwa, z moich najdawniejszych wspomnień, zaczynam snuć w myślach plany.

Dziewięć dni po opuszczeniu schronu, gdy nasze szeregi zostały potężnie zasilone, ukazuje się wreszcie granica Portland. Tyle że teraz to już nie jest zwykłe ogrodzenie. To wielka betonowa ściana, jednolita powierzchnia zabarwiona w blasku jutrzynki na różowo.

Z zaskoczenia stają jak wryta.

— Co jest, u diabła?

Max, który idzie tuż za mną, o mało na mnie nie wpada.

— Nowa konstrukcja - wyjaśnia. — Zaostrzona kontrola graniczna. Zaostrzona kontrola na każdym kroku. Portland ma być wzorem dla innych miast. — Kręci głową i mruczy coś pod nosem.

Widok nowo wzniesionego muru sprawia, że serce zaczyna tłuc mi się w piersi. Opuściłam Portland niecały rok temu, a ono już zdążyło się zmienić. Chwyta mnie strach, że wszystko będzie inne również po drugiej stronie granicy. Może nie rozpoznam żadnej z ulic. Może nie będę w stanie odnaleźć drogi do domu ciotki Carol.

Może nie będę w stanie odnaleźć Grace.

A do tego martwię się też o Hanę. Zastanawiam się, gdzie będzie, gdy przedrzemy się do Portland, my, synowie marnotrawni, dzieci wypędzone ze swego domu na podobieństwo aniołów opisanych w *Księdze SZZ*, strąconych z nieba za rozsiewanie choroby, wygnanych przez rozgniewanego Boga.

Ale przypominam sobie, że moja Hana — Hana, którą znałam i kochałam — już odeszła.

— Nie podoba mi się to — oświadczam.

Max spogląda na mnie, a kącik jego ust unosi się w uśmiechu.

— Nie przejmuj się — mówi. — Długo już nie postoi. — Puszczą do mnie oko.

A zatem będą kolejne bomby. To ma sens. Musimy przecież w jakiś sposób przedostać się do Portland większą liczbą ludzi.

Wysoki, ostry gwizd zakłóca ciszę poranka. To Bestia. Razem z Pippą wysforowali się rano naprzód, na zwiady, by odnaleźć innych Odmieńców, jakiś obóz albo osadę. Kierujemy się w stronę, z której dochodzi dźwięk. Maszerujemy

od wielu godzin i siły zaczynają nas powoli opuszczać, teraz jednak odnajdujemy w sobie nowe pokłady energii i ruszamy znowu.

Las wyrzuca nas na skraju wielkiej polany. Długa, dobrze utrzymana zielona aleja ciągnie się jakieś pół kilometra. Całą jej długość zajmują przyczepy ustawione na pustakach i kawałkach betonu, a także zardzewiałe ciężarówki, namioty i koce zawieszane na gałęziach drzew, by stworzyć prowizoryczny dach. W osadzie, mimo wczesnej pory, już krzątają się ludzie, a w powietrzu czuć zapach dymu z ognisk.

Bestia i Pippa stoją z boku przed jedną z przyczep i rozmawiają z wysokim mężczyzną o ciemnoblond włosach.

Raven i mama wyprowadzają grupę na polanę. Ja natomiast stoję, jakbym wrosła w ziemię. Julian, uświadamiając sobie, że nie ma mnie wśród wszystkich, wraca po mnie.

— O co chodzi? — pyta. Oczy ma zaczerwienione. Chyba nikt wśród nas nie pracuje tyle co on: chodzi na zwiady, szuka jedzenia i stoi na warcie, gdy reszta śpi.

— Znam... znam to miejsce — odpowiadam. — Już tu kiedyś byłam.

Nie dopowiadam, że z Alekssem. Nie muszę. Błysk w oczach Juliana mówi sam za siebie.

— Chodź — mówi zduszonym głosem. Wyciąga rękę i bierze moją dłoń. Na jego skórze powstały zgrubienia, ale jego dotyk wciąż jest delikatny.

Idąc, mimowolnie przypatruję się stojącym w rzędzie przyczepom i staram się odnaleźć tę, która należała do Aleksa. Wtedy było lato, środek nocy, a ja byłam przerażona.

Jedyne, co pamiętam, to zwijany brezentowy dach. I tak bym go nie rozpoznała z tej odległości.

W sercu rozbłyska płomyk nadziei. Może Alex tu jest. Może wrócił w rodzinne strony.

Nieznajomy mężczyzna mówi do Pippy:

— Dotarliście do nas w samą porę. — Jest dużo starszy, niż wydawał się z daleka, musi być dobrze po czterdziestce, aczkolwiek szyję ma wolną od blizn. Najwyraźniej nie spędził dużo czasu w Zombielandzie. — Zabawa zaczyna się jutro w samo południe.

— Jutro? — powtarza Pippa z niedowierzaniem. Wymieniają z Tackiem spojrzenia. Julian ściska moją rękę, a mnie ogarnia niepokój. — Dlaczego tak szybko? Jeśli będziemy mieć więcej czasu na zaplanowanie...

— I więcej czasu, żeby się najeść — wtrąca Raven. — Połowa naszych ludzi właściwie umiera z głodu. Trudno się spodziewać, by byli w stanie nawiązać wyrównaną walkę.

Mężczyzna rozkłada ręce.

— To nie zależało ode mnie. Wszystko ustalili nasi ludzie z Portland. Jutro mamy największą szansę, by wdrzeć się do miasta. W laboratorium odbywa się jakaś ważna uroczystość i służby porządkowe zostaną ściągnięte z granicy do jej ochrony.

Pippa pociera oczy i wzdycha.

— Kto wchodzi jako pierwszy? — pyta mama.

— Wciąż dopracowujemy szczegóły — odpowiada tamten. — Nie wiedzieliśmy, czy ta wiadomość rozeszła się szerzej wśród naszych i czy możemy liczyć na jakieś wsparcie. — Gdy zwraca się do mamy, jego sposób zachowania zmienia się diametralnie: staje się bardziej formalny, pełen szacunku. Widzę, że jego oczy prześlizgują się po tatuażu

na jej szyi, oznaczającym, że była więźniem Krypt. Najwyraźniej wie, co to znaczy, chociaż nie mieszkał w Portland.

— Teraz macie wsparcie — mówi mama. Nieznajomy przebiega wzrokiem po grupie. Z lasu na

polanę wylewa się coraz więcej ludzi i stoją tak zbici w gromadę w bladym świetle poranka. Mężczyzna wzdryga się, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z naszej liczebności.

— Jak dużo was jest? — pyta. Raven uśmiecha się, szczerząc zęby.

— Dużo. Oj, dużo.

HANA

Dom Hargrove'ów wręcz oślepia swoim blaskiem. Gdy nasz samochód zajeżdża na podjazd, wydaje mi się, że spoglądam na ogromną białą łódź, która osiadła na mieliźnie. W każdym oknie pali się lampka. Drzewa w ogrodzie zostały obwieszane miniaturowymi światełkami, również dach jest nimi zwieńczony.

Oczywiście palą się nie tylko po to, by uczcić ten wieczór. Są demonstracją siły. Przekaz jest oczywisty: możemy energię kontrolować, korzystać z niej, a nawet ją marnować, podczas gdy reszta może usychać w ciemności, mdleć od upału w lecie i zamarzać, gdy tylko się ochłodzi.

- Prześlicznie to wygląda, prawda, Hana? - pyta mama, gdy służba w czarnych garniturach wyłania się z ciemności i otwiera drzwi do samochodu. Cofają się i czekają na nas ze splecionymi dłońmi: w milczeniu, pełni szacunku i pokory. To pewnie robota Freda. Przypominają mi się palce zaciśnięte na moim gardle. Nauczysz się siadać na mój rozkaz...

Obojętny głos Cassandry, pustka i rezygnacja w jej oczach. Truł swoje koty, gdy był mały. Lubił patrzeć, jak umierają.

— Tak, prześlicznie — powtarzam.

Choć wystawiła już nogi na zewnątrz, odwraca się do mnie i lekko marszczy brwi.

— Jesteś dziś bardzo milcząca.

— Jestem po prostu zmęczona — odpowiadam.

Ostatnie półtora tygodnia minęło tak szybko, że nie pamiętam poszczególnych dni: wszystko zlewa się w jedno, zmienia w błotnistą szarość ulotnego snu.

Jutro poślubię Freda Hargrove'a.

Cały dzień czułam się jak we śnie, jakbym widziała swoje ciało, które się porusza, uśmiecha i mówi, ubiera, maluje i perfumuje, schodzi po schodach do czekającego już samochodu, a teraz podjeżdża brukowaną alejką pod dom Freda.

Hana idzie. Widzę, jak wchodzi do hallu i mruga na widok oślepiających świateł: zyrandol rozrzuca po ścianach tęczowe refleksy, lampy tłoczą się na stole i na półkach, w srebrnych świecznikach palą się świece. Hana kieruje się do zatłoczonego salonu, a setka uśmiechniętych okrągłych twarzy odwraca się w jej stronę.

— A oto i ona!

— Idzie panna młoda...

— I pani Tate.

Hana wita się, kłania i macha na powitanie, ściska dłonie i uśmiecha się.

— Hana! W samą porę. Właśnie śpiewałem peany na twoją część. — Fred zmierza w moją stronę z uśmiechem na twarzy, jego buty zanurzają się bezszelestnie w grubym dywanie.

Hana podaje rękę swojemu przyszłemu mężowi.

— Wyglądasz przepięknie — szepcze mi Fred do ucha, po czym dodaje: — Mam nadzieję, że wzięłaś sobie naszą rozmowę do serca. — Przy tych słowach szczypie mnie mocno w rękę, po wewnętrznej stronie, we wrażliwe miejsce tuż powyżej łokcia. Drugie ramię podaje mojej mamie i wchodzimy do pokoju, a wszyscy rozstępują się przed nami przy szeleście szyfonu i jedwabiu. Fred prowadzi mnie, przystając co jakiś czas, by porozmawiać z co ważniejszymi członkami rady miasta i największymi wspomożycielami swojej kampanii wyborczej. Słucham i śmieję się we właściwych momentach, ale cały czas mam poczucie, jakbym śniła.

— Znakomity pomysł, panie burmistrzu. Właśnie mówiłem Ginny...

— A dlaczego niby mieliby mieć światło? Dlaczego mają dostawać od nas cokolwiek?

— ... wkrótce położy kres problemowi.

Mój tata już tam jest. Rozmawia właśnie z Patrickiem Rileyem, który zastąpił na stanowisku przewodniczącego AWD zamordowanego w zeszłym miesiącu Thomasa Finemana. Riley przybył do Portland z Nowego Jorku, gdzie znajduje się siedziba organizacji.

Myślę o tym, co powiedziała mi Cassandra — że AWD współpracowało z Odmieńcami, że Fred również z nimi współpracuje, że oba ataki były zaplanowane - i mam wrażenie, że jestem bliska szaleństwa. Nie wiem już, w co mam wierzyć. Może zamkną mnie w Kryptach razem z Cassandrą i zabiorą mi sznurówki.

Na tę myśl o mało nie wybucham śmiechem.

— Przepraszam - mówię, gdy zacisk Freda na moim ramieniu słabnie i pojawia się możliwość ucieczki. — Muszę się czegoś napić.

Fred uśmiecha się do mnie, aczkolwiek jego spojrzenie pozostaje zimne. Przekaz jest jasny: zachowuj się.

— Oczywiście — odpowiada lekkim tonem. Gdy odchodzę, tłum zamyka się wokół niego i Fred szybko znika mi z oczu.

Przed wielkimi wykuszowymi oknami wychodzącymi na równo przystrzyżony trawnik Hargrove'ow i nieskazitelne rabatki, gdzie kwiaty zostały pogrupowane według wysokości, gatunku i koloru, stoi nakryty obrusem stół. Proszę o wodę i staram się jak najmniej rzucać w oczy, mając nadzieję, że uda mi się uniknąć rozmów chociaż przez kilka minut.

— O! Hana! Pamiętasz mnie? — Celia Briggs, stojąca po drugiej stronie pokoju obok Stevena Hilta, ubrana w sukienkę, w której wygląda tak, jak gdyby wpadła przez przypadek na ogromną stertę niebieskiego szyfonu, próbuje gorączkowo przykuć moją uwagę. Odwracam wzrok, udając, że jej nie zauważyłam. Gdy rusza w moją stronę, ciągnąc Stevena za rękaw, wymykam się na korytarz i ruszam szybko na tył domu.

Zastanawiam się, czy Celia wie, co się wydarzyło ubiegłego lata: że Steven i ja oddychaliśmy sobie nawzajem w usta, a nasze pocałunki iskrzyły od emocji. Może Steven jej powiedział. Może nawet śmieją się z tego teraz, gdy te pełne niepokoju noce należą do przeszłości.

Kieruję się w stronę osłoniętej moskitierą werandy, ale ona również jest zatłoczona. Mam już minąć kuchnię, kiedy słyszę dobiegający stamtąd głos pani Hargrove:

— Weź wiadro z lodem. Przy barze prawie się skończył. Aby uniknąć z nią spotkania, chowam się w gabinecie

Freda i szybko zamykam za sobą drzwi. Pani Hargrove od razu zaprowadziłaby mnie z powrotem na przyjęcie,

do Celi Briggs i reszty sztucznie uśmiechniętych twarzy. Opieram się o drzwi i oddycham głęboko.

Mój wzrok spoczywa na jedynym wiszącym w pokoju obrazie, tym przedstawiającym myśliwego i ciała zabitych zwierząt.

Tyle że tym razem nie odwracam wzroku.

Coś jest nie tak z tym myśliwym: jest za elegancko ubrany, ma na sobie staromodny frak i lśniące buty. Mimowolnie zbliżam się o dwa kroki, przerażona, wpatrzona w obraz hipnotycznie. Bo zwierzęta wiszące z haków to wcale nie są zwierzęta.

To kobiety.

To ciała, ludzkie ciała zawieszane u sufitu albo rzucone na stos na marmurowej posadzce.

Obok sygnatury artysty małymi literami namalowany jest tytuł: „Legenda o Sinobrodym albo skutki nieposłuszeństwa”.

Wzbiera we mnie potrzeba, której nie potrafię dokładnie nazwać: by coś powiedzieć, krzyczeć albo uciekać. Zamiast tego siadam w skórzanym fotelu za biurkiem, pochylam się, opieram głowę na ramionach i staram się przypomnieć sobie, jak się płacze, lecz na próżno. Jedyne, co przychodzi, to lekkie drapanie w gardle i ból głowy.

Nie wiem, jak długo siedziałam w ten sposób, kiedy dociera do mnie sygnał syreny, z każdą chwilą bliższy. Nagle pokój zalewają wpadające z zewnątrz światła, na przemian białe i czerwone. Syreny nie przestają wyć i wtedy uświadamiam sobie, że są wszędzie, blisko i daleko, niektóre wyją przenikliwie tuż na ulicy, a inne napływają echem z oddali.

Coś tu nie gra.

Wychodzę z gabinetu akurat w momencie, gdy jednocześnie trzaska kilka drzwi. Rozmowy i muzyka ucichły. Zamiast tego słyszę przekrzykujących się ludzi. Fred wypada na korytarz i idzie w moją stronę wielkimi krokami, tuż po tym, gdy zamknęłam za sobą drzwi.

Na mój widok przystaje.

— Gdzie byłaś? — pyta.

— Na werandzie — odpowiadam szybko. Serce mocno wali mi w piersi. — Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem.

Fred otwiera usta, by coś powiedzieć, ale w tym momencie na korytarzu pojawia się mama, blada jak ściana.

— Hana. Tu jesteś.

— Co się stało? — pytam.

Coraz więcej osób wylewa się z salonu: porządkowi w swoich wyprasowanych mundurach, ochroniarze Freda, dwóch policjantów o poważnych minach oraz Patrick Riley zakładający właśnie marynarkę. Wszędzie dzwonią telefony komórkowe, korytarz wypełnia szum krótkofalówek.

— Problemy na granicy — mówi mama, spoglądając nerwowo w stronę Freda.

— Buntownicy. — Widzę z wyrazu twarzy mojej mamy, że dobrze zgadłam.

— Oczywiście już nie żyją — mówi głośno Fred, żeby wszyscy słyszeli.

— Ilu ich było? — pytam.

Fred odwraca się do mnie, wkładając marynarkę, którą właśnie podał mu porządkowy o szarej twarzy.

— A jakie to ma znaczenie? Już się tym zajęliśmy. Mama rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie i nieznacznie kiwa głową.

Za plecami Freda policjant mruczy do krótkofalówki:

— Dziesięć-cztery, dziesięć-cztery, zaraz jedziemy.

— Jesteś gotowy? — pyta Freda Patrick Riley.

Fred kiwa głową. W tej samej chwili zaczyna dzwonić jego telefon komórkowy. Wyciąga go z kieszeni i szybko ucisza.

— Cholera! Pośpieszmy się lepiej. Telefony w biurze pewnie się urywają.

Mama otacza mnie ramieniem, wprawiając mnie tym w osłupienie. Bardzo rzadko dotykamy się w ten sposób. Musi być bardziej zaniepokojona, niż to pokazuje.

— Chodź — mówi. — Tata na nas czeka.

— Dokąd jedziemy? — pytam. Mama prowadzi mnie w stronę frontowego wyjścia.

— Do domu — odpowiada.

Na zewnątrz gromadzą się już goście. Dołączamy do kolejki czekających na swoje samochody. Widzimy siedem osób pakujących się do jednego sedana, do kolejnego osiem, kobiety w długich sukniach upchnięte jedna na drugiej na tylnych siedzeniach. Nikt nie chce spacerować po ulicach rozbrzmiewających odległym wyciem syren.

Mój tata jedzie na przednim siedzeniu obok Tony'ego. Mama i ja gnieciemy się z tyłu z państwem Brande, którzy pracują w Wydziale Cenzury. Zazwyczaj pani Brande nie potrafi zamknąć buzi — mama twierdzi, że remedium pozbawiło ją werbalnej samokontroli — ale teraz siedzimy w ciszy. Tony jedzie szybciej niż zwykle.

Zaczyna padać. Światło z lamp ulicznych załamuje się na kroplach osiadających na szybach. Teraz, owładnięta strachem, nie mogę uwierzyć w swoją głupotę. Postanawiam w tym momencie: żadnych więcej wypraw do

Deering Highlands. To zbyt niebezpieczne. Rodzina Leny to nie mój problem. Zrobiłam, co mogłam.

Rośnie we mnie poczucie winy, ale udaje mi się je stłumić.

Mijamy kolejną lampę i strugi deszczu na szybach przypominają rozpostarte długie palce, a potem samochód znowu wjeżdża w ciemność. Wyobrażam sobie, że widzę różne postaci poruszające się w mroku, mijające nas, twarze wynurzające się z cienia i znowu w nim ginące. Przez chwilę, gdy mijamy kolejną lampę, widzę kogoś w kapturze wyłaniającego się z lasu przy drodze. Nasze oczy się spotykają i z mojej piersi wyrywa się cichy okrzyk.

Alex! To Alex.

— Co się stało? — pyta mama z niepokojem.

— Nic, ja tylko... — Zanim zdążyłam się odwrócić, chłopak już zniknął, i teraz jestem pewna, że tylko go sobie wyobraziłam. Alex nie żyje. Został schwytany na granicy i nie udało mu się przedostać do Głuszy. Przełykam ślinę. — Wydawało mi się, że coś zobaczyłam.

— Nie martw się, Hana — pociesza mnie mama. — W samochodzie nic nam nie grozi. — Nachyla się jednak do Tony'ego i mówi ostrym tonem: — Nie mógłbyś jechać szybciej?

Myślę o nowym murze oświetlonym blaskiem policyjnych świateł, splamionym krwią.

A jeśli jest ich więcej? Jeśli po nas idą?

Staje mi przed oczami wizja Leny przemykającej ulicami Portland, między cieniami, z nożem w ręku. Przez chwilę serce przestaje mi bić.

Ale nie. Lena nie wie, że to ja wydałam ją i Aleksa. Nikt tego nie wie.

Poza tym pewnie ona też już nie żyje.

Zresztą nawet jeśli jest inaczej - nawet jeśli jakimś cudem przeżyła ucieczkę i udało jej się przetrwać w Głuszy -nigdy nie dołączyłaby do buntowników. Nie byłaby zdolna do przemocy czy zemsty. Nie Lena, mdlejąca, gdy ukłuła się w palec, nieumiejąca znaleźć wymówki, gdy spóźniła się na lekcję. Nie miałyby siły na coś takiego.

A może się mylę...?

LENA

Narada trwa do późna w nocy. Colin, ów mężczyzna o ciemnoblond włosach, zamknął się w jednej z przyczep z Bestią, Pippą, Raven, Tackiem, Makssem, Capem, moją mamą i kilkoma osobami ze swojego otoczenia, które wyznaczył osobiście. Przed drzwiami stoi straż. Spotkanie jest tylko dla wybranych. Wiem, że szykuje się coś poważnego, równie poważnego — o ile nie bardziej — jak Incydenty, kiedy wysadzono w powietrze część Krypt i komisariat policji. Z półsłówek Maksa wywnioskowałam, że rebelia nie ograniczy się tylko do Portland. Podobnie jak w czasie Incydentów, sympatycy i Odmieńcy zbierają się w miastach w całym kraju i w buncie przeciw władzom dają upust swojemu gniewowi.

W pewnym momencie Max i Raven wychodzą z przyczepy, by się załatwić. Twarze mają ściągnięte i poważne, lecz gdy błagam Raven, by pozwoliła mi dołączyć do spotkania, ucina rozmowę.

— Idź spać, Lena — mówi. — Wszystko jest pod kontrolą. Jest pewnie koło północy. Julian zasnął wiele godzin temu. Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym się teraz położyć. Mam wrażenie, że w mojej krwi znajdują się tysiące mrówek — ręce i nogi mnie świerzbią, nosi mnie, by gdzieś pójść, coś zrobić. Chodzę w kółko, starając się pozbyć tego uczucia, i kipiąc ze złości — jestem zła na Juliana, wściekła na Raven — myślę o tym wszystkim, co chciałabym jej rzucić w twarz.

To ja wydostałam Juliana z podziemi. To ja ryzykowałam życiem, by dostać się do Nowego Jorku i go uratować. To ja przedarłam się do Waterbury i to ja dowiedziałam się, że Lu nas zdradziła. A teraz Raven każe mi iść spać jak niesfornej pięciolatce.

Wymierzam kopniaka w blaszany kubek leżący na skraju wygasłego ogniska, do połowy zagrzebany w popiele, i obserwuję, jak leci kilka metrów i z brzękiem odbija się od przyczepy. Jakiś człowiek krzyczy: „spokój tam!”, ale mam gdzieś, czy go obudziłam. Mam gdzieś, czy obudzę cały ten cholerny obóz.

— Nie możesz spać?

Odwracam się przestraszona. Obok drugiego dogasającego ogniska, z kolanami przyciągniętymi do piersi, siedzi Coral, apatycznie rozgrzebując żar patykiem.

— Cześć — mówię ostrożnie. Od kiedy Alex zniknął, niemal zupełnie zamilkła. — Nie zauważyłam cię.

Spogląda na mnie. Uśmiecha się blado.

— Ja też nie mogę spać.

Chociaż wciąż mnie nosi, dziwnie jest tak stać nad nią, więc przysiadam na jednym z przyczernionych od dymu pieńków ustawionych wokół ogniska.

— Boisz się tego, co ma się wydarzyć jutro?

— Nie bardzo. — Dźga znowu patykiem w ognisko i obserwuje, jak rozbłyskuje na chwilę. - To w końcu nie ma dla mnie specjalnego znaczenia, prawda?

— Co masz na myśli? — Przyglądam się jej uważniej po raz pierwszy od tygodnia. Nieświadomie unikałam jej. Jest w niej teraz jakiś tragiczny rys: jej kremowobiała skóra przypomina pustą i wysuszoną łupinę.

Cor al wzrusza ramionami i ciągle wpatruje się w rozżarzone węgielki.

— To, że nikt mi już nie pozostał.

Przełykam ślinę. Zamierzałam porozmawiać z nią o Aleksie, w jakiś sposób przeprosić, jednak słowa nie chciały przyjść. Nawet teraz puchną i więzną mi w gardle.

— Posłuchaj, Coral... - Biorę głęboki oddech. Powiedz to. Po prostu to powiedz. — Bardzo mi przykro, że Alex odszedł. Wiem... wiem, że to musiało być dla ciebie trudne.

I oto stało się: przyznałam na głos, że to ona go straciła, a nie ja. Gdy tylko te słowa wydobywają się z moich ust, czuję się nagle dziwnie Avypompowana, jak gdyby przez cały ten czas tkwiły w mojej piersi jak balon, który wreszcie został przekłuty.

Po raz pierwszy, od kiedy usiadłam, Carol patrzy na mnie. Nie jestem w stanie odczytać wyrazu jej twarzy.

— W porządku — mówi wreszcie, kierując znowu wzrok w stronę ognia. — I tak wciąż był w tobie zakochany.

Nagle brakuje mi tchu.

— O czym... o czym ty mówisz?

Jej usta wykrzywiają się w czymś w rodzaju uśmiechu.

— Jasne, że był. To było oczywiste. Ale to dla mnie nie problem. Lubił mnie, ja jego też. W każdym razie nie chodziło mi o Aleksa, gdy mówiłam, że już nikt mi nie został. Chodziło mi o Nan i resztę grupy. O moich ludzi. — Odrzuca patyk i przyciąga kolana ciaśniej do piersi. — Dziwne, że dopiero teraz tak mnie to uderza, prawda?

Choć wciąż jestem w szoku po tym, co przed chwilą powiedziała, próbuję się opanować. Wyciągam rękę i dotykam jej łokcia.

— Hej — mówię. — Masz przecież nas. Teraz my jesteśmy twoimi ludźmi.

— Dzięki. — Znowu kieruje na mnie spojrzenie. Sili się na uśmiech. Przechyla głowę i przez chwilę wpatruje się we mnie uważnie. — Teraz już rozumiem, dlaczego cię kochał.

— Coral, mylisz się... — zaczynam.

Ale w tym momencie słysząc za nami czyjeś kroki, a potem głos mojej matki:

— Myślałam, że położyłaś się spać już kilka godzin temu.

Coral wstaje i otrzepuje tył dzinsów — nerwowy odruch, zupełnie bezużyteczny, ponieważ wszyscy jesteśmy pokryci skorupą brudu od stóp do głów.

— Właśnie się zbierałam — oświadcza. — Dobrej nocy, Lena. I... dziękuję.

Zanim mam szansę odpowiedzieć, odwraca się i rusza w kierunku południowego skraju polany, gdzie rozłożyła się większość naszej grupy.

— Sprawia wrażenie delikatnej dziewczyny — mówi mama, siadając na pieńku zwolnionym przez Coral. — Zbyt delikatnej na Głuszę.

— Mieszka tu niemal całe życie — odpowiadam opryskliwie. — I potrafi walczyć.

Mama wpatruje się we mnie uważnie.

— Czy coś jest nie tak?

— Owszem, to, że nie lubię być trzymana w nieświadomości. Chcę wiedzieć, jaki jest plan na jutro. — Moje serce zamienia się w kamień. Wiem, że zachowuję się nie w porządku wobec mamy, w końcu to nie jej wina, że nie dopuszczono mnie do narady. Chce mi się krzyczeć. Słowa Coral coś we mnie poluzowały, to coś grzechocze mi w piersi i wbija mi się w płuca. „Wciąż był w tobie zakochany”.

Nie. To niemożliwe. Źle to odebrała. On mnie nigdy nie kochał. Sam mi to przecież powiedział. Twarz mamy poważnieje.

— Lena, musisz mi obiecać, że jutro zostaniesz tutaj, w obozie. Musisz mi obiecać, że nie będziesz walczyć.

Wpatruję się w nią osłupiała. -Co?

Mama przesuwa ręką po włosach, które zaczynają sterczeć naelektryzowane.

— Nikt nie wie dokładnie, czego możemy się spodziewać po drugiej stronie muru. Znamy tylko szacunkową liczbę broniących go oddziałów i nie jesteśmy pewni, jak wiele osób zdołał zwerbować ruch oporu w Portland. Zalecałam przełożenie całej akcji na później, ale zostałam przegłosowana. — Kręci głową ze smutkiem. — To niebezpieczne, Lena. Nie chcę, żebyś brała w tym udział.

To coś, co grzechocze w mojej piersi, gniew i smutek po stracie Aleksa oraz po życiu, które układamy ze strzępów

i odłamków, niewybrzmiałych słów i niespełnionych obietnic sprawia, że nagle wszystko we mnie eksploduje.

— Wciąż tego nie rozumiesz, prawda? — wyrzucam z siebie, roztrzęsiona. — Nie jestem już dzieckiem. Dorosłam. Dorosłam bez ciebie. I nie możesz mi mówić, co mam robić.

Oczekiwałam, że odpowie mi takim samym tonem, ale ona tylko wzdycha i wpatruje się w pomarańczowy blask dogasającego ogniska, wyglądający na tle szarego popiołu niczym zachód słońca. A potem odzywa się nagle:

— Pamiętasz historię o Salomonie?

Jej pytanie jest tak zaskakujące, że nie jestem w stanie odpowiedzieć i tylko kiwam głową.

— To mi opowiedz. Powiedz mi, co pamiętasz. Liścik od Aleksa, schowany w sakiewce na mojej szyi, wydaje się również żarzyć, paląc mi skórę.

— Dwie matki kłócą się o dziecko — zaczynam niepewnie. — Król postanawia przeciąć je na pół, a one się zgadzają.

Mama kręci głową.

— Nie. To wersja zmieniona, zapisana w *Księdze SZZ*. W prawdziwej opowieści matki nie przecinają dziecka na pół.

Nagle nieruchomieję, niemal boję się wziąć oddech. Jak gdybym chwiała się nad przepaścią, na granicy zrozumienia, i nie była jeszcze pewna, czy chcę ją przekroczyć.

Mama kontynuuje:

— W prawdziwej wersji król Salomon postanawia, że dziecko zostanie przecięte na pół. Ale to tylko próba. Jedna z kobiet się zgadza. Druga natomiast oznajmia, że

zrzeknie się całkowicie swoich roszczeń do dziecka, byle tylko nie stała mu się krzywda. - Mama kieruje wzrok w moją stronę. Nawet w ciemności widzę w jej oczach iskry, blask, które nigdy nie zagasł. - To właśnie dzięki temu król rozpoznaje prawdziwą matkę. Jest gotowa zrzec się swoich praw, poświęcić swoje szczęście, by jej dziecku nic się nie stało.

Zamykam oczy i widzę pod powiekami żarzące się węgle: krwawoczerwony świt, dym i ogień, Alex za warstwą popiołu. I nagle dociera do mnie znaczenie jego wiadomości.

— Nie staram się ciebie kontrolować, Lena — mówi mama cichym głosem. - Chcę tylko, żebyś była bezpieczna. Nigdy niczego innego nie pragnęłam.

Otwieram oczy. Wspomnienie Aleksa stojącego za ogrodzeniem, kiedy zalewa go czarna chmara żołnierzy, rozplywa się.

— Za późno. — Mój głos brzmi pusto, jak nie mój. — Widziałam różne rzeczy... Straciłam rzeczy, których nie możesz zrozumieć.

Nie potrafię rozmawiać o Aleksie, te słowa to najwięcej, na co mnie stać. Na szczęście mama nie draży tematu. Kiwa tylko głową.

— Jestem zmęczona. — Podnoszę się. Moje ciało również wydaje mi się obce, jak gdybym była szmacianą, rozłazącą się w szwach lalką. Alex już raz się poświęcił, bym mogła żyć i być szczęśliwa. I właśnie zrobił to ponownie.

Byłam taka głupia. A teraz zniknął. Nie mogę do niego dotrzeć, by powiedzieć mu, że wiem i rozumiem. Nie mogę mu powiedzieć, że wciąż go kocham.

— Idę się trochę przespać - mówię, unikając jej wzroku.

— To dobry pomysł — odpowiada.

Kiedy odeszłam już kilka kroków od paleniska, mama mnie przywołuje. Odwracam się. Ogień zgasł już zupełnie i jej twarz pogrążona jest w ciemności.

— Wyruszamy na mur o świcie — oświadcza.

HANA

Nie mogę spać.

Jutro przestanę być sobą. Przejdę po białym dywanie, stanę pod białym baldachimem i wypowiem przysięgę lojalności i dobrych intencji. A potem spadnie na mnie deszcz białych płatków rzuconych przez księży, gości oraz moich rodziców.

Odrodzę się: nieskazitelna, czysta, złana z otoczeniem jak świat po śnieżnej zawiei.

Nie śpię przez całą noc, a potem obserwuję, jak świt wstaje powoli nad horyzontem i dotyka świat bielą.

LENA

Stoję w tłumie i obserwuję dwójkę dzieci bijących się o niemowlę. Bawią się nim jak w przeciąganie liny, ciągną brutalnie w przeciwne strony, a dziecko jest już sine, i wiem, że zaraz zamęczą je na śmierć. Staram się precyzyjnie przemieszczać przez gęstniejący z każdą chwilą i blokujący mi drogę tłum. Nie mam szans się ruszyć. A wtedy, tak jak się obawiałam, dziecko upada na chodnik i roztrzaskuje się na tysiące kawałków jak laleczka z porcelany.

Nagle wszyscy znikają. Jestem na drodze sama, a przede mną dziewczynka z długimi, splątanymi włosami pochyla się nad roztrzaskaną lalką i skrupulatnie składa ją w całość, nucąc coś pod nosem. Dzień jest jasny i bezwietrzny. Każdy mój krok rozlega się echem niczym wystrzał z broni palnej, lecz ona nie podnosi wzroku, aż stoję tuż przy niej.

A gdy wreszcie spogląda na mnie, okazuje się, że to Grace.

— Widzisz? — mówi, wyciągając lalkę w moją stronę. — Naprawiłam ją.

I wtedy dostrzegam, że lalka ma moją twarz pokrytą gęstą siatką małych pęknięć.

Grace kołysze lalkę w ramionach.

— Obudź się, obudź — mruczy.

— Obudź się.

Otwieram oczy: nade mną stoi mama. Podnoszę się na posłaniu, ciało mam zeszywniałe, staram się przywrócić czucie w palcach, zginając je i prostując. W powietrzu wisi mgła, a niebo dopiero zaczyna się rozjaśniać. Ziemię pokrywa szron, który w nocy przesączył się na mój koc, poranny wiatr zacina przenikliwie. W obozie roi się jak w ulu: ludzie krzątają się, stoją, poruszają się jak cienie w półmroku. Ogniska zaczynają płonąć, od czasu do czasu dobiegają mnie strzępy głośniejszych rozmów i wydawane krzykiem komendy.

Mama wyciąga rękę i pomaga mi się podnieść. To niewiarygodne, ale nie widać po niej ani śladu zmęczenia. Zaczynam tupać nogami, by pozbyć się z nich odrętwienia.

— Po kawie krew zacznie ci szybciej krążyć — mówi mama. Nie jestem zaskoczona, że Raven, Tack, Pippa i Bestia są

już na nogach. Stoją z Colinem i kilkunastoma innymi blisko jednego z większych palenisk, rozmawiają cicho, a z ich ust bucha para. Na ogniu stoi naczynie z kawą: gorzką i ziarnistą, ale przynajmniej gorącą. Robi mi się lepiej już po kilku łykach, nie jestem jednak w stanie zmusić się do zjedzenia czegokolwiek.

Raven podnosi brwi na mój widok. Mama bezradnie rozkłada ręce i dziewczyna odwraca się z powrotem do Colina. Docierają do mnie jego słowa:

- Tak jak rozmawialiśmy ubiegłej nocy, wędzemy się do miasta trzema grupami. Pierwsza wyruszy za godzinę na zwiady i skontaktuje się z naszymi ludźmi po drugiej stronie. Główna siła będzie czekać na wystrzał w samo południe. Trzecia grupa pójdzie zaraz po nich i skieruje się prosto na swoje cele...

- Cześć. - Julian pojawia się za moimi plecami. Oczy ma wciąż zapuchnięte, zaspane, a jego włosy są straszliwie splątane. - Brakowało mi cię w nocy.

Nie byłem w stanie wczoraj położyć się obok niego. Znalazłam więc wolny koc i zrobiłam sobie posłanie pod gołym niebem, obok setki innych kobiet. Długi czas wpatrywałam się w gwiazdy, wspominając pierwszy raz, kiedy przybyłam do Głuszy z Alekssem - zaprowadził mnie do jednej z przyczep i odwinął płachtę z brezentu służącą za dach, żebyśmy mogli oglądać niebo.

Tak wiele rzeczy między nami zostało niedopowiedzianych. To jest ryzyko, ale zarazem piękno życia bez remedium. Ścieżka, którą idziemy, jest dzika i splątana, nic nigdy nie jest proste.

Julian wyciąga do mnie rękę, ale cofam się o krok.

- Ciężko mi było zasnąć - mówię. - Nie chciałam cię obudzić.

Julian marszczy brwi. Nie potrafię się zmusić, by mu spojrzeć w oczy. Przez ostatni tydzień pogodziłam się z tym, że nigdy nie pokocham go tak, jak kochałam Aleksa. Ale teraz ta myśl materializuje się, wyrasta między nami niczym mur: nigdy nie pokocham Juliana tak, jak kocham Aleksa.

- Co się z tobą dzieje? - Julian patrzy na mnie podejrzliwie.

— Nic — odpowiadam i zaraz powtarzam: — Nic.

— Czy coś... — zaczyna Julian, kiedy Raven obraca się i piorunuje go wzrokiem.

— Hej, skarbie — warczy. Tak nazywa Juliana, kiedy jest wkurzona. — To nie czas na pogaduszki, jasne? Albo pomagacie, albo stąd zmykacie.

Julian milknie. Odwracam oczy w stronę Colina, a Julian nie próbuje już mnie dotknąć ani podejść bliżej. Niebo jest teraz poznaczone długimi pasmami oranżu i czerwieni jak odnóża wielkiej meduzy pływającej w mlecznobiałym oceanie. Mgła się podnosi. Ziemia zaczyna się otrząsać ze snu. Portland też pewnie już się budzi.

Colin zdradza nam szczegóły planu.

HANA

W ostatni poranek, który spędzam jako Hana Tate, siedzę samotnie na ganku i piję kawę.

Chciałam po raz ostatni przejechać się na rowerze, lecz teraz nie ma na to nadziei, nie po wydarzeniach ostatniej nocy. Ulice będą pełne policji i porządkowych. Będę musiała pokazywać dokumenty i odpowiadać na pytania, na które odpowiedzieć nie umiem.

Siedzę więc tylko na wiszącej ławce na ganku i znajduję ukojenie w jej rytmicznym skrzypieniu. Powietrze jest nieruchome, jak to o poranku, chłodne, szare i przesycone solą. Dzień zapowiada się przepiękny, jasny i bezchmurny. Czasami rozlega się ostry krzyk mewy. Poza tym panuje cisza. Żadnych alarmów, żadnych syren, żadnych śladów zająć ubiegłej nocy.

W centrum będzie jednak inaczej. Będą zapory i kontrola bezpieczeństwa, wzmocniona ochrona nowego muru. Przypomina mi się nagle, co powiedział mi kiedyś o nim

Fred — że ma być jak ręka Boga, która zawsze będzie nas chronić, oddzielać nas od chorych i niewiernych.

A może nigdy nie będziemy zupełnie bezpieczni.

Zastanawiam się, czy w Deering Highlands będą nowe naloty, czy zamieszkujące je rodziny znów zostaną przesiedlone, lecz szybko odsuwam od siebie te zmartwienia. Rodzina Leny to nie mój problem. Teraz to widzę. Dziwne, że nie widziałam tego wcześniej. Co się z nimi stanie — czy umrą z głodu, czy z zimna — to nie moja sprawa.

Wszyscy w jakiś sposób ponosimy karę za życie, które wybraliśmy. Ja do końca życia będę dźwigać brzemie swojej winy, i to winy podwójnej: wobec Leny za to, że ją zdradziłam, i wobec jej rodziny za to, że Lenie pomogłam.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie stary port: brukowane ulice, przystań, słońce nad wodą i uderzające o nabrzeże fale.

Żeg-naj, żeg-naj, żeg-naj.

W myślach przemierzam drogę z Eastern Promenadę na szczyt Munjoy Hill. Widzę całe Portland rozciągające się przede mną, połyskujące w świetle poranka.

— Hana?

Otwieram oczy. Mama wyszła na ganek. Przyciska koszulę nocną ciasno do ciała i mruży oczy. Jej skóra bez makijażu wygląda niemal na szarą.

— Powinnaś wziąć prysznic — mówi. Wstaję więc i wchodzę za nią do domu.

LENA

Jesteśmy blisko muru. Między drzewami ukrywa się pewnie ze czterysta osób. Ubiegłej nocy mała jednostka specjalna przekroczyła mur, by umożliwić pozostałym masowe wdarcie się do miasta. A wcześniej tego ranka druga mała grupa - wybrani ludzie Colina - przedostali się przez ogrodzenie w zachodniej części Portland, blisko Krypt, gdzie mur nie został jeszcze zbudowany, a ochrona została zinfiltrowana przez naszych sprzymierzeńców z drugiej strony.

To było kilka godzin temu, a teraz nie pozostało nam nic, tylko czekać na sygnał.

Główna grupa przedostanie się przez mur równocześnie. Większość ochrony Portland będzie zajęta w laboratorium. Wywnioskowałam, że odbędzie się tam dzisiaj jakaś ważna uroczystość. Do powstrzymania nas zostanie tylko niewielka liczba policjantów, chociaż Colin martwi się, że akcja dywersyjna z ostatniej nocy nie poszła tak, jak

planowano. Możliwe, że za murem jest więcej porządkowych, więcej broni, niż nam się wydaje. To się okaże.

Z miejsca, gdzie siedzę przykucnięta wśród zarośli, co jakiś czas dostrzegam Pippę, ukrytą za krzakiem jałowca jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, jak zmienia niewygodną pozycję. Zastanawiam się, czy się denerwuje. W końcu zostało jej przydzielone jedno z najważniejszych zadań.

Pippa jest odpowiedzialna za jedną z bomb. Główna grupa, która weźmie szturmem mur, ma za zadanie umożliwić ludziom od bomb — trzem osobom — wślizgnięcie się niepostrzeżenie do Portland. Celem Pippy jest Essex Street 88. Ten adres nic mi nie mówi, pewnie to jakiś budynek rządowy, podobnie jak i reszta.

Słońce powoli wznosi się na niebie. Dziesiąta. Dziesiąta trzydzieści. Południe.

Teraz sygnał może nadejść w każdej chwili.

Czekamy.

HANA

— Samochód przyjechał. — Mama kładzie mi rękę na ramieniu. — Jesteś gotowa?

Nie ufam własnemu głosowi, więc tylko kiwam głową. Dziewczyna w lustrze — jasne włosy spięte i zaczesane do tyłu, skóra bez skazy, usta podkreślone — także kiwa głową.

— Jestem z ciebie taka dumna — mówi mama półszepcetem. Wokół krzątają się ludzie — fotografowie, makijażyści

oraz Debbie, fryzjerka — i wyobrażam sobie, ile musiały ją kosztować te słowa. W całym swoim życiu nigdy nie przyznała, że jest ze mnie dumna.

Pomaga mi się wślizgnąć w delikatną bawełnianą sukienkę, aby moja suknia ślubna — powłóczysta, długa, spięta na ramieniu złotą klamrą w kształcie orła, do którego Fred jest najczęściej porównywany — nie doznała uszczerbku podczas krótkiej drogi do laboratorium.

Przed bramą zebrała się grupa dziennikarzy i gdy wychodzę na ganek, od progu atakuje mnie oślepiający blask

mnóstwa obiektów zwróconych w moją stronę i szybkie pstrykanie migawek. Słońce unosi się na bezchmurnym niebie niczym białe oko. Musi być tuż przed południem. Z ulgą wchodzę do samochodu. Jego wnętrze jest ciemne, chłodne i wiem, że nikt mnie nie widzi zza przyciemnianych szyb.

— Nie mogę w to uwierzyć. — Mama bawi się bransoletką. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak podekscytowanej. — Naprawdę myślałam, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. Czy to nie śmieszne?

— Owszem — przytakuje bezwiednie. Gdy wyjeżdżamy z naszego osiedla, widzę, że siły policyjne zostały podwojone. Połowa ulic wiodących do centrum została zabarykadowana, patrolują je porządkowi i policja, a nawet kilku mężczyzn noszących srebrne odznaki straży wojskowej. Gdy naszym oczom ukazują się pochyłe białe dachy kompleksu laboratoryjnego — gdzie Fred i ja weźmiemy ślub w jednej z największych medycznych sal konferencyjnych, na tyle dużej, by pomieścić tysiąc gości — tłum na ulicach jest tak gęsty, że Tony ledwo może przejechać samochodem.

Mam wrażenie, że całe Portland zjawilo się, by oglądać mój ślub. Ludzie wyciągają ręce i stukają w maskę samochodu na szczęście. Gdy ręce uderzają o dach i szyby, podskakuję przestraszona. Policja tymczasem brnie przez tłum i odsuwa ludzi, by zrobili nam miejsce, powtarzając przy tym monotonnie:

— Proszę przepuścić samochód, proszę przepuścić samochód.

Tuż za bramami laboratorium wzniesiono policyjne zapory. Kilku porządkowych odsunęło je na bok, żebyśmy mogli wjechać na mały parking tuż przed głównym

wejsciem do budynku. Rozpoznaję samochód Hargrove'ów. Fred musi być już w środku.

Czuję skręt w żołądku. Nie byłam w laboratorium od dnia zabiegu, gdy weszłam do środka jako nieszczęśliwa, zalękniona dziewczyna, pełna poczucia winy, bólu i gniewu, a wyszłam odmieniona, czystsza i spokojniejsza. To był dzień, który odciął ode mnie Lenę, a także Stevena Hilda oraz te złane potem, ciemne noce, kiedy nie byłam pewna niczego.

Ale tamto to był dopiero początek uzdrawiania mojego życia. To zaś — parowanie, ślub i Fred — jest jego zwieńczeniem.

Bramy za nami się zamknęły, a zapory powróciły na miejsce. Mimo to gdy wysiadam z samochodu, wciąż czuję tłum napierający coraz bardziej i bardziej — wszyscy chcą wejść do środka, by obserwować z bliska, jak kieruję swoje życie i przyszłość na wybraną dla mnie ścieżkę. Ceremonia zacznie się dopiero za piętnaście minut, a bramy pozostaną zamknięte aż do tego czasu.

Za szklanymi obrotowymi drzwiami widzę czekającego na mnie Freda — stoi bez uśmiechu, ze skrzyżowanymi ramionami. Jego twarz jest zniekształcona przez światło i szybę. Z tej odległości wygląda, jak gdyby jego skóra była pełna dziur.

— Już czas — mówi mama.

— Wiem — odpowiadam i wchodzę do środka.

LENA

Już czas. W oddali rozlega się salwa z karabinów — co najmniej kilkunastu — i jak na komendę wszyscy ruszamy. Wybiegamy z za drzew, są nas setki, nasze stopy dudnią o błoto i ziemię, wybijany przez nie rytm brzmi jak jedno spotęgowane bicie serca. Dwie drabiny sznurowe pojawiają się na murze, a potem kolejne dwie, a potem jeszcze trzy: jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Pierwsi z nas docierają pod drabinę, wskakują na nią i zaczynają się wspinać.

W oddali słychać dźwięki marsza weselnego.

HANA

Na zewnątrz laboratorium ponad dwudziestu strażników stojących w szeregu w nieskazitelnych mundurach wystrzela salwę na wiwat, dając sygnał do rozpoczęcia ceremonii. Wielkie okna sali konferencyjnej są otwarte i słychać przez nie, jak orkiestra zaczyna grać marsza weselnego. Większość gapiów nie była w stanie wcisnąć się do laboratorium, będą więc tłoczyć się na zewnątrz i słuchać albo próbować zobaczyć coś przez okna. Ksiądz trzyma w ręku mikrofon, żeby jego słowa opiewające doskonałość i honor, obowiązek i bezpieczeństwo, dotarły do wszystkich zgromadzonych.

Na środku sali, tuż przed amboną, z której ksiądz odprawi ceremonię, ustawiono podest. Dwóch asystentów, ubranych symbolicznie w fartuchy laboratoryjne, pomaga mi na niego wejść.

Kiedy Fred bierze moją rękę i kładzie ją na *Księdze SZZ*, po sali rozchodzi się ciche westchnienie ulgi.

Właśnie do tego zostaliśmy stworzeni: do składania obietnic, przysięg i ślubów posłuszeństwa.

LENA

Jestem w połowie drabiny, kiedy rozlega się alarm. Chwilę później dobiega nas kolejna salwa z karabinów. Ale te strzały, w odróżnieniu od poprzednich, nie są skoordynowane: są chaotyczne, ogłuszająco bliskie i nagle powietrze wypełnia się kakofonią krzyków i wystrzałów. Kobieta wchodząca właśnie na mur przewraca się do tyłu i spada na ziemię z głuchym, przyprawiającym o mdłości łomotem, a po chwili wokół niej pojawia się plama krwi.

Na razie na mur dostała się tylko jedna dziesiąta z nas. Powietrze robi się gęste od dymu. Słychać krzyki: idź, zatrzymaj się, ruszaj się, stój, bo będę strzelał! Przez chwilę zawisam nieruchomo na kołyszącej się drabinie, skamieniała ze strachu. Ręce ślizgają mi się po sznurze, tak że ledwo udaje mi się na niej utrzymać. Zapomniałam, jak się poruszać. Gdy zadzieram głowę do góry, widzę, że na szczycie muru porządkowy tnie linę nożem.

— Idź, Lena, idź! — krzyczy Julian, który jest tuż za mną. Popycha mnie do przodu, co pozwala mi otrząsnąć się z odrętwienia. Kontynuuję więc wspinaczkę, nie zważając na piekący ból w rękach. Znacznie łatwiej walczyć z porządkowymi na ziemi, gdzie szanse są bardziej wyrównane: wszystko jest lepsze niż to kołysanie się jak ryba na wędce, niczym ruchoma tarcza.

Drabina się trzęsie. Porządkowy wciąż zawzięcie próbuje przeciąć sznur. Jest młody, pot przykleja mu jasne włosy do czoła. Wygląda jakoś znajomo. Bestia właśnie dostał się na szczyt i wali chłopaka łokciem w nos. Słyszymy trzask i cichy skowyt.

Wszystko potem dzieje się w mgnieniu oka: Bestia żelaznym uściskiem chwytą rękę porządkowego trzymającą nóż i popycha go. Chłopak osuwa się z niewidzącym wzrokiem, po czym Bestia podnosi go do góry jak worek śmieci i zrzuca w dół. Dopiero wtedy przypominam sobie, skąd go znam: to chłopak z Joffrey's Academy, z którym Hana rozmawiała kiedyś na plaży. Był w moim wieku — mieliśmy ewaluację tego samego dnia.

Nie mam jednak czasu teraz o tym myśleć.

Dwa silne podciągnięcia wynoszą mnie na szczyt. Wślizguję się tam na brzuchu, przyciskając płasko do kamienia, by nie rzucać się w oczy. Z drugiej strony mur wciąż poprzecinany jest prętami rusztowania. Ukończono dopiero kilka fragmentów chodnika przeznaczonego dla patroli. Na całej jego długości kłębią się zwarte w walce ciała.

Pippa wspina się po drabinie po mojej prawej. Tack przyskakuje do rusztowania i żeby zapewnić jej ochronę, kieruje broń od lewej do prawej i strzela do strażników,

k którzy zagrażają nam z ziemi. Za Pippą idzie Raven, z pistoletem przywiązany do biodra i nożem w zębach, z twarzą napiętą i skupioną.

Wszystko ukazuje się w wybuchach, błyskach: porządkowi wylaniają się z budek strażniczych i magazynów, biegną w stronę muru.

Wyją syreny: policja. Szybko zareagowali na alarm. A poniżej widok, który wywołuje skurcz w moim sercu: szachownica dachów i dróg, ponury szary strumień chodników, migocząca Back Cove, parki rozrzucone w oddali, pasmo zatoki za odległym białym kleksem - kompleksem laboratoryjnym. Portland. Mój dom.

Przez chwilę boję się, że zemdleję. Przytłacza mnie ten rój zmagających się ciał, wykrzywione i groteskowe twarze, przeraża mnie ten hałas. Drapie mnie w gardle od dymu. Część rusztowania zajęła się ogniem. I wciąż zaledwie jedna czwarta z nas dostała się na szczyt. Nigdzie nie widzę mamy, nie wiem, co się z nią stało.

Wtedy na murze pojawia się Julian, obejmuje mnie w pasie i ściąga w dół.

- Na ziemię! Na ziemię! - krzyczy. Padamy ciężko na kolana i zaraz potem seria kul wbija się w ścianę nad naszymi głowami, obsypując nas deszczem pyłu i betonowych odłamków. Rusztowanie zaczyna skrzypieć i się chwiać. To strażnicy stojący na dole próbują je przewrócić.

Julian coś do mnie krzyczy i choć jego słowa giną we wrzawie, wiem, że każe mi się ruszyć: musimy się dostać na ziemię. Obok mnie Tack wyciąga rękę, by pomóc wejść na mur dźwigającej ciężki plecak Pippie. Przez chwilę wyobrażam sobie, co będzie, jeśli bomba wybuchnie tutaj - widzę oczyma wyobraźni krew i ogień, dławiący dym i deszcz

kamieni — ale wtedy Pippa bezpiecznie osiąga górną krawędź muru i staje na niej.

W tej samej chwili strażnik kieruje karabin w jej stronę. Chcę krzyknąć, ostrzec ją, ale nie potrafię wydobyć z siebie dźwięku.

— Na ziemię, Pippa! — krzyczy Raven i zasłania ją w chwili, gdy strażnik pociąga za spust.

Pyk. Cichutki dźwięk. Jak mała petarda. Jak korek od szampana.

Jeden konwulsyjny ruch i dziewczyna nieruchomieje. Przez chwilę, z szeroko otwartymi ustami i oczami, wygląda tak, jakby po prostu była zaskoczona.

A potem przechyla się do tyłu i wiem, że strzał był śmiertelny. Upada coraz niżej, niżej i niżej...

— Nie! — Jack rzuca się naprzód i zanim Raven stoczy się z muru, łapie ją i przyciąga do siebie, na kolana. Siedzi pośrodku kłębowiska ludzi, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje wokół, i kołysze się nad nią pogrążony w bólu. Raven spogląda na niego niewidzącym wzrokiem. Usta ma wilgotne i rozchylone, oczy szeroko otwarte. Jej czarny warkocz spoczywa zwinięty na udzie Tacka, który szepcze jej coś, ociera jej czoło i odgarnia włosy z twarzy.

Niemy krzyk narasta we mnie i drąży w środku czarny tunel. Nie mogę się ruszyć, stoję jak sparaliżowana i wpatruję się w tę scenę. Raven nie może tak umrzeć — nie tutaj, nie w ten sposób, nie bez walki.

Pyk — jak odgłos petardy i sztucznych ogni w Święto Niepodległości. Jakby wszystko było zabawą.

Może właśnie tak jest. Bawimy się błyszczącymi, robiącymi dużo hałasu blaszanymi zabawkami, podzieleni na dwie drużyny, podobnie jak to było w dzieciństwie.

Pyk. Przechodzi przeze mnie piekący ból. Odruchowo przykładam rękę do twarzy i szukam rany. Dotykam ucha i odejmuję palce mokre od krwi. Drasnęła mnie kula.

Szok bardziej nawet niż ból wybija mnie z odrętwienia i popycha do działania. Broni palnej nie starczyło dla wszystkich, ale na szczęście mam nóż - stary i tępy, ale lepsze to niż nic. Wyciągam go ze skórzanej pochewki przywiązanej do pasa. Julian schodzi w dół po rusztowaniu, kołysząc się zwinnie na żelaznych prętach. Jakiś strażnik próbuje złapać go za nogę, wtedy Julian obraca się i z całej siły kopie go w twarz. Mężczyzna puszcza go i cofa się, a Julian zeskakuje na ziemię, w sam środek kłębowiska ciał: buntownicy i mundurowi, my i oni - przypominający jedno wielkie, wijące się, krwawe zwierzę.

Przypadam szybko do krawędzi chodnika dla strażników i skaczę. Ten moment, kiedy lecę w powietrzu i jestem zupełnie bezbronna, jest najbardziej przerażający. Jestem ruchomą tarczą, łatwym celem. To tylko dwie, może trzy sekundy, ale zdają się wiecznością.

Spadam na jakiegoś porządkowego i powalam go swoim ciężarem, ale gdy ląduję na żwirze, czuję szarpnięcie w kostce. Mężczyzna rzuca się na mnie, próbuje wycelować we mnie pistolet, łapię go jednak za nadgarstek i odginam mocno do tyłu. Porządkowy z wrzaskiem upuszcza broń, która wykopana przez kogoś sunie poza zasięg moich rąk.

Gdy wreszcie kurz nieco opada, dostrzegam pistolet znowu, jakieś trzydzieści centymetrów ode mnie. Porządkowy zauważa go w tym samym momencie i rzucamy się na niego równocześnie. Mężczyzna jest roślejszy, lecz ja jestem szybsza. Łapię za rękojeść, a jego ręka trafia w próżnię. Rzuca się na mnie z wściekłym rykiem. Unoszę pistolet

i z całej siły uderzam go nim w skroń. Słyszę trzask. Mężczyzna traci przytomność, a ja natychmiast podrywam się na nogi, by uniknąć stratowania.

W ustach mam smak metalu i kurzu, a w głowie zaczyna mi pulsować. Nie widzę Juliana. Nie widzę mamy, Colina ani Huntera.

Potem wstrząs jak po wystrzale z moździerza, deszcz kamieni i białego pyłu. Eksplozja nieomal zwała mnie z nóg. Pierwsza myśl: któraś z bomb wybuchła przez przypadek. Mimo dławiącego dymu, dzwonienia pod czaszką i pieczenia w oczach rozglądam się w panice w poszukiwaniu Pippy i dostrzegam ją akurat w chwili, gdy wślizguje się, niezauważona, między dwie budki strażnicze i kieruje w stronę centrum miasta.

Rusztowanie za moimi plecami jęczy i zaczyna się przewracać. Wszyscy przepychają się z krzykiem, by uciec jak najdalej, czyjeś ręce wbijają mi się w plecy. Konstrukcja najpierw przechyla się powoli, a potem nagle przyspiesza i z hukiem rozbija się o ziemię, więżąc pod swoim ciężarem nieszczęśników, którym się nie udało.

W dole muru zionie teraz wielka dziura. To pewnie dzieło jakiejś bomby domowej roboty. Ta, którą ma Pippa, rozwaliliby mur w drobny mak.

To jednak wystarcza: przez wyrwę przedziera się reszta naszych ludzi. Fala tych, których wypchano poza margines społeczeństwa, wywłaszczono lub którzy po prostu zachorowali na delirium, wlewa się z powrotem do Portland. Zalewa strażników w biało-niebieskich mundurach stojących w nierównym rzędzie, spycha ich do tyłu i zmusza do ucieczki.

Zgubiłam Juliana. Nie ma sensu go teraz szukać. Pozostaje mi się tylko modlić, by wyszedł z tego piekła bez

szwanku. Nie wiem też, co się stało z Tackiem. Mam skrytą nadzieję, że wycofał się za mur razem z Raven, przez chwilę nawet wyobrażam sobie, że gdy tylko znajdą się z powrotem w Głuszy, Raven się obudzi, otworzy oczy i okaże się, że świat wreszcie wygląda tak, jak tego pragnęła.

A może się nie obudzi. Może jest już w trakcie innej pielgrzymki i odnalazła Blue.

Przedzieram się tam, gdzie zniknęła Pippa, z trudem oddychając gęstym od dymu powietrzem. Jedna z budek strażniczych płonie. Nagle staje mi w pamięci stara tablica rejestracyjna, którą znaleźliśmy w błocie podczas naszej migracji na południe ubiegłej zimy. „Wolność albo śmierć”.

Potykam się o czyjeś ciało i żołądek podchodzi mi do gardła. Przez ułamek sekundy robi mi się ciemno przed oczami, strach zaciska się w środku mnie, zwinięty niczym warkocz Raven na kolanach Tacka. Biedna Raven... Otrząsam się, biorę głęboki oddech i dalej przeciskam się przez tłum. Chcieliśmy móc kochać bez przeszkód. Chcieliśmy mieć wolność wyboru. Teraz więc musimy o to walczyć.

Wreszcie udaje mi się wydostać z kłębowiska ciał. Nurkuję między budki strażnicze, wbiegam na oddzielającą je żwirową ścieżkę i kieruję się w stronę rzadkiej grupy drzew otaczającej Back Cove. Ciągłe czuję ból w kostce, ale nie zatrzymuję się. Gdy ocieram ucho rękawem, widzę, że krwawienie osłabło.

Ruch oporu ma w Portland swoją misję, ale ja mam swoją.

HANA

Alarm włącza się tuż przed tym, gdy ksiądz ma nas ogłosić mężem i żoną. W jednej chwili wszystko jest spokojne. Muzyka ucichła, tłum zamilkł, słysząc tylko głos księdza rozchodzący się donośnie po całej sali oraz pojedyncze trzaśnięcia migawki: otwarcie, zamknięcie, otwarcie, zamknięcie, jak oddech metalowych płuc.

W następnej zaś wszystko staje się ruchem i dźwiękiem, wrzaskiem i chaosem, wyciem syren. I wiem od razu, o co chodzi: Odmieńcy tu są. Przyszli po nas.

Ze wszystkich stron łapią mnie brutalnie czyjeś ręce.

- Idziemy, idziemy. - Ochroniarze prowadzą mnie do wyjścia. Ktoś nadepnął mi na rąbek sukni i słyszę trzask pękającego materiału. Oczy mnie pieką, a do tego dusi zapach nadmiernej ilości płynu po goleniu, mnóstwa kotłujących się ciał.

— Chodźmy, szybciej, szybciej.

Krótkofalówki wybuchają szumem. Rozgorączkowane głosy krzyczą coś w żargonie, którego nie rozumiem.

Próbuję się odwrócić, odszukać mamę wzrokiem, ale strażnicy niemal niosą mnie w stronę wyjścia. Przez chwilę dostrzegam Freda w otoczeniu swoich ochroniarzy. Twarz ma bladą, krzyczy coś do telefonu. Chcę, by na mnie spojrział. W tej chwili zapominam o Cassie, zapominam o wszystkim, chcę tylko, by wyjaśnił mi, co się dzieje, i uspokoił mnie, że wszystko będzie dobrze.

Ale on nawet nie spogląda w moim kierunku.

Słońce na zewnątrz oślepia. Zamykam oczy. Dziennikarze przepychają się ku drzwiom, blokując wejście do samochodu. Długie metalowe obiektywy przypominają mi przez chwilę wymierzone we mnie lufy broni palnej.

Oni pozabijają nas wszystkich.

Ochroniarze próbują zrobić dla mnie miejsce, odpychają napierającą falę ludzi. Wreszcie docieramy do samochodu. Raz jeszcze szukam wzrokiem Freda. Nasze spojrzenia spotykają się na chwilę. Widzę, że zmierza w stronę radiowozu.

— Zabierz ją do mojego domu! — krzyczy do Tony'ego, a potem odwraca się i znika na tylnym siedzeniu auta. I tyle. Ani słowa skierowanego do mnie.

Tony kładzie mi rękę na głowie i brutalnie wpycha na tylne siedzenie. Dwóch ochroniarzy Freda siada obok mnie z bronią na wierzchu. Chciałabym ich poprosić, by ją schowali, ale mój mózg pracuje na zwolnionych obrotach. Nie potrafię sobie nawet przypomnieć ich imion.

Tony włącza silnik, lecz tłum na parkingu nie pozwala nam się ruszyć. Tony naciska na klakson. Zatykam uszy i przypominam sobie, że muszę oddychać. Jesteśmy w samochodzie, nic nam tu nie grozi, wszystko będzie dobrze. Policja zajmie się wszystkim.

Wreszcie zaczynamy powoli jechać przez rozstępujący się tłum. Wydostanie się z długiego podjazdu wiodącego do laboratorium zajmuje nam prawie dwadzieścia minut. Skracamy w prawo w Commercial Street, także zatarasowaną ludźmi, a potem wjeżdżamy pod prąd w wąską jednokierunkową drogę. W samochodzie wszyscy siedzą cicho wpatrzni w ludzi biegnących w popłochu w różnych kierunkach. Chociaż widzę ich usta otwarte w krzyku, przez grube szyby przebija się tylko dźwięk alarmu. Co dziwne, właśnie ten ich niemy krzyk przeraża mnie najbardziej.

Posuwamy się powoli uliczką tak wąską, że obawiam się, iż lada chwila utkniemy między wznoszącymi się po obu stronach ceglanymi murami. A potem skręcamy w kolejną jednokierunkową drogę, tę akurat względnie pustą. Mijamy znak stopu i skręcamy w lewo w kolejną uliczkę. Wreszcie naprawdę jedziemy.

Przychodzi mi do głowy, by zadzwonić do mamy na telefon komórkowy, lecz gdy wykręcam jej numer, system telefoniczny wyrzuca błąd. Linie muszą być przeciążone. Nagle czuję się mała i bezbronna. Wiecznie obserwujący system zapewnia bezpieczeństwo, jest wszystkim.

Wygląda na to, że system został teraz oślepiiony.

— Włącz radio — mówię do Tony'ego i po chwili w samochodzie rozbrzmiewa Krajowy Serwis Informacyjny. Spiker absolutnie spokojnym, wręcz obojętnym głosem czyta przerażający komunikat:

— ... przedarli się przez mur. Wszystkim zaleca się zachowanie spokoju... dopóki policja nie zaprowadzi porządku, zamknąć drzwi i okna, nie wychodzić z domu... porządkowi i siły rządowe wspólnie próbują...

Głos spikera urywa się niespodziewanie. Przez chwilę nie słychać nic oprócz radiowego szumu. Tony szuka innej stacji, ale głośniki dalej brzęczą i trzeszczą, nie wydając z siebie żadnych konkretnych dźwięków. Nagle włącza się nieznany głos, wyraźny i pełen emocji:

— Przyszliśmy odzyskać nasze miasto. Przyszliśmy odzyskać swoje prawa i wolność. Dołączcie do nas. Zburzcie mury. Zburzcie...

Tony ze złością wyłącza radio. Ta nagła cisza aż dzwoni w uszach. Wracam pamięcią do ranka pierwszych ataków terrorystycznych: był spokojny, zwyczajny wtorek, kiedy o dziesiątej rano trzy równoczesne eksplozje wstrząsnęły Portland. Pamiętam, że byłam wtedy w samochodzie z mamą. Kiedy usłyszałyśmy w radiu tę wiadomość, na początku nie mogłyśmy w to uwierzyć. A potem ujrzaliśmy dym zasnuwający niebo i ludzi, którzy mijali nas w biegu, bladzi i przerażeni, oraz popiół unoszący się jak śnieg.

Cassandra powiedziała, że Fred dopuścił do tych ataków, by udowodnić, że Odmieńcy istnieją, i pokazać, że są potworami. Ale teraz, gdy te potwory są tu, po naszej stronie muru, na naszych ulicach, nie wierzę, że mógłby na coś takiego pozwolić.

Muszę wierzyć, że to naprawi, nawet jeśli będzie musiał pozabijać ich wszystkich.

Wreszcie uwolniliśmy się od chaosu i tłumów. Jesteśmy teraz blisko Cumberland Avenue, gdzie mieszkała Lena, w podupadłej, mieszkalnej dzielnicy. W oddali odzywa się róg mgłowy w starej strażnicy na Munjoy Hill, jego żałobne dźwięki przebijają się ponad wyciem syren. Wolałabym jechać do swojego domu, zamiast do Freda. Mam ochotę zwinąć się w kłębek w swoim łóżku i zasnąć. Chciałabym się

potem obudzić i stwierdzić, że to, co się dziś zdarzyło, było tylko koszmarem, który przyśnił mi się mimo remedium.

Ale mój dom nie jest już moim domem. Nawet jeśli ksiądz nie ogłosił nas mężem i żoną, jestem już oficjalnie małżonką Freda Hargrove'a. Nic już nigdy nie będzie takie samo.

Skręcamy w lewo w Sherman Street, a potem w prawo, w uliczkę prowadzącą do Deering Oaks Park. Gdy dojeżdżamy do jej końca, ktoś wybiega przed samochód.

Tony z krzykiem naciska na hamulec, ale za późno. Udaje mi się dojrzeć tylko poszarpane ubranie i długie splątane włosy — dziewczyna, Odmieniec — zanim siła uderzenia wyrzuca ją na maskę, a potem z powrotem na ziemię.

Narasta we mnie, przedzierając się przez strach, nagły i niepoahamowany gniew. Pochylam się i krzyczę:

— To jedna z nich, to jedna z nich! Łapcie ją!

Żadnemu z ochroniarzy nie trzeba dwa razy powtarzać. Wszyscy w jednej chwili wyskakują z samochodu z wyciągniętą bronią, zostawiając otwarte drzwi. Ręce mi się trzęsą. Zaciskam je w pięści i opieram się o siedzenie. Oddycham głęboko, staram się uspokoić. Przy otwartych drzwiach słyszę wyraźniej wycie syren oraz odległe krzyki, jak huk oceanu w tle.

To jest Portland, moje Portland. W tej chwili nic innego się nie liczy — ani kłamstwa, ani błędy, ani obietnice, których nie zdołaliśmy dotrzymać. To moje miasto, które zostało zaatakowane. Gniew narasta.

Tony brutalnie podnosi dziewczynę na nogi. Tamta próbuje się wyrwać, chociaż nie ma z nim szans. Włosy opadają jej na twarz, kopie i drapie jak zwierzę.

Może zabiję ją własnymi rękami.

LENA

Gdy docieram do Forest Avenue, odgłosy walki cichną i giną pod przenikliwym wyciem alarmu. Co jakiś czas łowię kątem oka rękę poruszającą zasłoną i wścibskie spojrzenia, które momentalnie znikają. Wszyscy siedzą w domach.

Idę ze spuszczoną głową, poruszam się na tyle szybko, na ile pozwala mi pulsujący ból w kostce, i nasłuchuję odgłosów oddziałów wojska i patroli policyjnych. Nie ma szans, żeby nie wzięto mnie za Odmieńca - jestem brudna, mam na sobie stare, ubłocone ubrania, a moje ucho pokryte jest skorupą zaschniętej krwi. Na szczęście na ulicach jest zupełnie pusto. Wszystkie siły porządkowe skierowano pewnie gdzie indziej. To w końcu najbiedniejsza dzielnica w Portland, nie ma wątpliwości, że miasto nie troszczy się o tych ludzi.

System wyznacza ścieżkę dla każdego, ale dla niektórych to tylko ślepy zaułek.

Do Cumberland Avenue docieram bez problemu. Gdy wkraczam do swojej dawnej dzielnicy, przez chwilę mam poczucie, że znajduję się na starej fotografii. Wydaje się, że minęły wieki od czasu, gdy skręcałam w tę przecnicę w drodze powrotnej ze szkoły, gdy rozciągałam się tutaj po biegu, kładąc nogę na ławce przy przystanku autobusowym, gdy obserwowałam Jenny i inne dzieciaki grające puszką w piłkę nożną i odkręcałam dla nich hydranty przeciwpożarowe, gdy latem doskwierał upał.

To było w innym życiu. Teraz jestem już inną Leną.

Ulica także wygląda inaczej — na bardziej zapuszczoną, jak gdyby niewidzialna czarna dziura powoli zasysała całą okolicę do swojego wnętrza. Jeszcze przed dotarciem do bramy z numerem 237 wiem, że dom będzie pusty. Ta pewność zagnieżdża się niczym ciężar w mojej piersi. Mimo to stoję oniemiała na środku chodnika i wpatruję się w opuszczony budynek — mój stary dom z małą sypialnią na górze, pachnący mydłem, praniem oraz gotowanymi pomidorami. Patrzą na łuszczącą się farbę i butwiejące schody na ganku, zabite deskami okna, wyblakły czerwony X wymalowany na drzwiach: znak, że dom był siedliskiem choroby.

Czuję się jak po ciosie pięścią w brzuch. Ciotka Carol zawsze była taka dumna z tego domu. Odmalowywała go co roku, przeczyszczala rynny, szorowała ganek.

Smutek zastępuje panika. Gdzie się wynieśli?

Co się stało z Grace?

W oddali jak pieśń pogrzebowa rozbrzmiewa róg mgłowy. Nagle przypominam sobie, gdzie jestem: w obcym, wrogim mieście. To już nie jest moje miejsce, nie jestem tu mile widziana. Róg ryczy po raz drugi, a potem po

raz trzeci. Oznacza to, że udało się podłożyć wszystkie trzy bomby w wyznaczonych miejscach. Za godzinę wybuchną i rozpęta się piekło.

A zatem mam tylko godzinę na odnalezienie Grace — i nie mam pojęcia, od czego zacząć.

Za plecami słyszę trzask zamykanej okiennicy. Odwracam się w samą porę, żeby zobaczyć przez sekundę bladą, okrągłą, smutną twarz — to chyba pani Hendrickson. Jedno jest pewne: muszę stąd uciekać.

Spuszczam głowę, pośpiesznie ruszam dalej i skręcam w pierwszą lepszą uliczkę między budynkami. Poruszam się teraz na oślep, z nadzieją, że stopy same poprowadzą mnie w dobrym kierunku. Grace, Grace, Grace. Modłę się, by mnie jakoś usłyszała.

Na oślep: przez Mellen Street, w stronę kolejnej uliczki, czarnych rozdziawionych ust, miejsc skrytych przed ludzkim wzrokiem, gdzie nikt mi nie zagrozi. Grace, gdzie jesteś? — krzyczę w głowie tak głośno, że słowa te zagłuszają wszystko inne, w tym dźwięk nadjeżdżającego samochodu.

Pojawia się znikąd: dyszący silnik, oślepiające światło odbijające się od szyby, pisk opon. A potem ból, wyrzuca mnie w górę i myślę: to już koniec. Widzę niebo wirujące nad moją głową, uśmiechniętą twarz Aleksa — i nagle zderzam się z twardym chodnikiem. Powietrze ze mnie uchodzi, przewracam się na plecy, a moje płuca z drzeniem walczą o oddech.

Przez chwilę, gdy spoglądam na błękitne niebo nad moją głową, rozciągnięte wysoko między dachami budynków, zapominam, gdzie jestem. Jakbym płynęła, dryfowała po powierzchni błękitnej wody. Wiem jedynie, że

wciąż żyję, a moje ciało wciąż należy do mnie. Dla pewności poruszam rękami i nogami. To cud, że nie uderzyłam się w głowę.

Rozlega się trzaśnięcie drzwi, potem krzyki. Muszę się ruszyć, muszę się podnieść. Grace. Ale zanim mam szansę zrobić cokolwiek, czyjeś ręce łapią mnie bratalnie pod pachy i podnoszą do góry. Wszystko pojawia się błyskami. Czarne garnitury. Broń. Okrutne twarze.

Nie jest dobrze.

Instykt bierze górę, zaczynam się wyrywać i kopać. Gryzę rękę przytrzymującego mnie mężczyzny, który mimo to nie puszcza mnie, za to podchodzi kolejny i uderza mnie w twarz. Uderzenie pali jak ogień, przed oczami eksplodują kolorowe plamki. Pluję na niego na oślep. Jeszcze inny napastnik — jest ich w sumie trzech — mierzy w moją głowę z pistoletu. Jego oczy są czarne i zimne jak kamień, pełne nie nienawiści — w końcu wyleczeni nie nienawidzą — ale obrzydzenia, jak gdybym była wyjątkowo wstrętnym okazem insekta, i wiem już, że umrę.

Wybacz mi, Alex. I ty też, Julianie. Przepraszam.

Wybacz mi, Grace.

Zamykam oczy.

— Stójcie!

Otwieram oczy. Z samochodu wychodzi dziewczyna.

Ubrana jest w białą muślinową suknię ślubną. Włosy ma starannie zaczesane w kok, a bliznę po zabiegu podkreślono makijażem, dzięki czemu wygląda nieco jak kolorowa gwiazda tuż pod jej lewym uchem. Dziewczyna jest piękna. Przypomina anioły na malowidłach, które wisiały w kościele.

A potem jej wzrok spoczywa na mnie i czuję szarpnięcie w żołądku. Ziemia się pode mną otwiera. Ledwo mogę ustać na nogach.

- Lena - mówi spokojnie. To raczej stwierdzenie, niż powitanie.

Nie mogę wydusić z siebie słowa. Nie jestem w stanie wypowiedzieć jej imienia, mimo że rozlega się krzykiem w mojej głowie.

H a n a.

- Dokąd jedziemy?

Hana odwraca się w moją stronę. To pierwsze słowa, jakie udało mi się do niej wypowiedzieć. Przez chwilę jej mina wyraża zaskoczenie, ale i coś jeszcze. Zadowolenie? Trudno powiedzieć. Jej mimika jest inna niż dawniej, nie jestem już w stanie odczytać jej twarzy.

- Do mojego domu - odpowiada po chwili.

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Jest tak absurdalnie spokojna. Równie dobrze mogłybyśmy jechać do niej teraz, by posłuchać muzyki z BAMF albo pooglądać filmy.

- Nie zamierzasz mnie wydać? - pytam wyzywającym tonem. Wiem, że mnie wyda. Wiem to od chwili, gdy zobaczyłam bliznę, gdy zobaczyłam pustkę w jej oczach przypominających jezioro, które straciło swoją głębię.

Tymczasem ona albo nie wyczuła ironii, albo postanowiła ją zignorować.

- Zamierzam - odpowiada spokojnym tonem. - Ale jeszcze nie teraz.

Na jej twarzy pojawia się lekkie wahanie, jak gdyby chciała dodać coś jeszcze, lecz odwraca się do szyby i przygryza wargę.

Ten odruch mnie zastanawia. To zmarszczka na tafli jej spokoju, wyrwa w jego powierzchni, której się nie spodziewałam. Jakby dawna Hana wyglądała spod tej lśniącej nowej maski. To znowu wywołuje u mnie skurcz żołądka. Nagle ogarnia mnie chęć, by zarzucić jej ręce na szyję, wdychać jej zapach — dwa muśnięcia wanilią na łokciach oraz jaśminu na szyi — i wyznać, jak bardzo za nią tęskniłam.

Akurat wtedy dostrzega, że się w nią wpatruję i zaciska usta w sztywną linię, ja zaś przypominam sobie, że dawna Hana odeszła. Pewnie nawet pachnie inaczej. Nie zapytała ani razu, co się ze mną działo, gdzie byłam przez cały ten czas, jak to się stało, że znowu jestem w Portland, umazana krwią i w ubraniu pokrytym błotem. Ledwie na mnie spogląda, a jeśli już, to z obojętną ciekawością, jak na dziwny okaz zwierzęcia w zoo.

Spodziewam się, że skręcimy w stronę West Endu, ale zamiast tego wyjeżdżamy z półwyspu. Hana musiała się przeprowadzić. Domy tutaj są nawet większe i okazalsze niż w jej dawnej dzielnicy. W sumie nie powinnam być zaskoczona. Tego nauczyłam się w ruchu oporu. W remedium chodzi o kontrolę. Chodzi o utrzymanie *status quo*. Bogaci stają się jeszcze bogatsi, podczas gdy biedni gnieźdzą się w ciasnych mieszkaniach przy wąskich uliczkach i wmawia im się, że są chronieni, a za posłuszeństwo obiecuje się nagrodę w niebie. Niewola przybiera pozory bezpieczeństwa.

Skręcamy w ulicę wysadzaną rozłożystymi klonami, których gałęzie splatają się nad naszymi głowami, tworząc zielony baldachim. Miga mi przed oczami znak uliczny: Essex Street. Mój żołądek skręca się gwałtownie. Essex Street 88 to miejsce, gdzie Pippa podłożyła bombę. Ile minęło od ryku syreny? Dziesięć minut? Piętnaście?

Pot zaczyna mi spływać po plecach. Wpatruję się w mijane skrzynki pocztowe. Jeden z tych domów — jedna z tych wspaniałych białych willi, zwieńczonych jak tort misternym okratowaniem i kopułami, otoczonych rozległymi białymi gankami i oddzielonych od ulicy intensywnie zielonymi trawnikami — wyleci w powietrze za niecałą godzinę.

Samochód zwalnia i zatrzymuje się przed bogato zdobioną bramą. Kierowca opuszcza szybę, by wstukać na klawiaturze kod, a brama otwiera się z brzękiem. To mi przypomina dom Juliana w Nowym Jorku. Znów zdumiewa mnie fakt, że cała ta energia jest do dyspozycji tylko garstki ludzi.

Hana wciąż spogląda niewzruszenie za okno, a mnie ogarnia nagła chęć, by wałnąć pięścią w jej odbicie w szybie. Ta dziewczyna nie ma pojęcia, jaki naprawdę jest świat. Nigdy nie zaznała głodu ani niedostatku, chłodu czy najdrobniejszych niewygód. Nie mogę się nadziwić, że kiedykolwiek była moją najlepszą przyjaciółką. Przecież zawsze żyłyśmy w dwóch różnych światach. Byłam po prostu na tyle naiwna, by myśleć, że to nie ma znaczenia.

Za szybą widzę wysoki żywopłot po obu stronach krótkiego podjazdu prowadzącego do ogromnej willi, większej niż wszystkie, które widziałam do tej pory. Nad frontowymi drzwiami wisi numer.

Na chwilę ciemnieje mi w oczach. Mrugam powiekami, lecz numer nie znika.

Essex Street 88. Bomba jest właśnie tu. Spływający pot łaskocze mnie w plecy. To przecież bez sensu. Inne bomby zostały podłożone w centrum miasta, w strategicznych miejscach, tak jak to było parę miesięcy temu.

— Mieszkasz tutaj? — pytam Hanę. Wysiada z samochodu z tym samym irytującym spokojem, jak gdybyśmy udawały się na spotkanie towarzyskie.

Znowu przez chwilę dostrzegam na jej twarzy wahanie.

— To dom Freda — mówi. — Chyba mogę powiedzieć, że teraz i mój. — Kiedy dalej wpatruję się w nią pytająco, wyjaśnia: — Freda Hargrove'a. Jest teraz burmistrzem.

Zupełnie zapomniałam, że Hana została sparowana z Fredem Hargrove'em. Dotarły do nas informacje, że jego ojciec zginął podczas Incydentów. Najwyraźniej Fred zajął miejsce ojca. Teraz już wiem, dlaczego bombę podłożono w jego domu. Nie ma nic bardziej symbolicznego niż uderzenie w samego przywódcę. Jednak przeliczyliśmy się: to nie Fred będzie wtedy w domu, tylko Hana.

Zaschło mi w gardle. Jeden z jej zbirów próbuje mnie złapać i wyciągnąć z samochodu, lecz udaje mi się wyszarpnąć.

— Nie ucieknę wam — wyrzucam z siebie ze złością, po czym wychodzę z samochodu o własnych siłach. Wiem, że uciekłabym najwyżej kilka metrów, zanim otworzyliby ogień. Muszę uważnie obserwować otoczenie i szukać możliwości ucieczki. Nie ma mowy, żebym była w promieniu trzech przecznic od tego miejsca, kiedy wybuchnie bomba.

Hana pierwsza wchodzi na ganek. Czeka, zwrócona do mnie plecami, aż jeden z ochroniarzy otworzy drzwi. Zalewa mnie fala nienawiści do tej zepsutej, rozpieszczonej dziewczyny, do tych jej nieskazitelnych białych obrusów i ogromnych pokoi.

W środku jest zaskakująco ciemno. W wystroju dominują błyszczący, ciemny dąb i skóra. Większość okien jest zasłonięta starannie ułożonymi draperiami i aksamitnymi zasłonami. Hana najpierw prowadzi mnie do salonu, potem najwyraźniej zmienia zdanie, bo mija go i idzie dalej korytarzem, nie włączając nawet światła, odwracając się raz tylko, by spojrzeć na mnie z nieodgadnioną miną, aż wreszcie wprowadza mnie przez wahadłowe drzwi do kuchni.

Tutaj, w przeciwieństwie do pozostałej części domu, jest bardzo jasno. Wielkie okna wychodzą na rozległy trawnik. Meble zrobione są z surowej sosny i jasnego jesionu, a blaty z nieskazitelnie białego marmuru.

Ochroniarze wchodzą za nami. Hana odwraca się w ich stronę.

- Zostawcie nas - mówi. W świetle popołudniowego słońca wygląda, jak gdyby lekko błyszczała, i znowu przypomina mi anioła. Uderzają mnie jej spokój i cisza panująca w domu, jego czystość i piękno.

A gdzieś w jego trzewiach, głęboko pogrzebany, rośnie wrzód, który wkrótce pęknie i zabije nas wszystkich.

Ochroniarz prowadzący samochód - ten, który trzymał mnie wcześniej za szyję - próbuje protestować, ale Hana ucisza go szybko.

- Powiedziałam, że macie nas zostawić. - Przez chwilę brzmi jak dawna Hana. Ma po królewsku uniesioną

głowę, a w jej oczach widzę hardość. — I zamknijcie za sobą drzwi.

Ochroniarze wychodzą niechętnie. Czuję ciężar ich spojrzeń i wiem, że gdyby nie Hana, byłabym już martwą. Ale nie będę czuć wobec niej wdzięczności. Nie ma mowy.

Gdy już znikają, Hana przez chwilę spogląda na mnie w milczeniu. Nie jestem w stanie rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Wreszcie odzywa się:

— Strasznie wychudłaś.

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem.

— Wyobraź sobie, że większość restauracji w Głuszy jest zamknięta. A dokładniej mówiąc, zbombardowana. — Nie przejmuję się tym, że mój głos kipi od złości.

Hana nie reaguje, wpatrując się we mnie dalej. Mija kolejna chwila ciszy. A potem wskazuje na krzesło.

— Usiądź.

— Dziękuję, postoję. Hana marszczy brwi.

— Potraktuj to jako rozkaz.

Nie sądzę, by rzeczywiście zawołała ochroniarzy, jeśli nie wykonałabym jej polecenia, ale wolę nie ryzykować. Siadam na krześle, przez cały czas wpatrując się w nią piorunującym wzrokiem. Nerwy powoli mi puszczają. Minęło co najmniej dwadzieścia minut od ryku syreny. To znaczy, że mam niecałe czterdzieści, by się stąd wydostać.

Gdy siadam, Hana odwraca się i znika na tyłach kuchni, gdzie ciemna jama za lodówką wskazuje na spiżarnię. Zanim jestem w stanie pomyśleć o ucieczce, Hana wyłania się z powrotem, niosąc w ręku bochenek chleba owinięty w ściereczkę. Staje przy ladzie i kroi go na grube pajdy, po

czym smaruje go obficie masłem i układa w stos na talerzu. A potem podchodzi do zlewu i moczy ścierkę.

Gdy obserwuję ją, jak się odwraca w stronę kranu, z którego płynie parująca woda, odczuwam zazdrość. Już wieki nie brałam porządnego prysznica i nie myłam się w czymś innym niż zimne rzeki.

- Masz. - Podaje mi gorącą ścierkę. - Nie wyglądasz za dobrze.

- Nie miałam czasu na makijaż - odpowiadam sarkastycznie. Mimo to biorę od niej tę ścierkę i dotykam nią ostrożnie ucha. Przynamniej przestało krwawić, aczkolwiek zostawia na ręczniku ślady zaschniętej krwi. Gdy wycieram twarz i ręce, nie odrywam od niej oczu. Zastanawiam się, co sobie myśli.

Po tej mojej prowizorycznej toalecie Hana przesuwa talerz z chlebem w moją stronę i napełnia szklankę wodą, do której wrzuca grzechoczące kostki lodu.

- Jedz — mówi. — Pij.

- Nie jestem głodna - kłamię.

Przewraca oczami i raz jeszcze widzę dawną Hanę wyglądającą spod maski tej nowej oszustki.

- Nie wygłupiaj się. Wiem, że jesteś głodna. Umierasz z głodu. I pewnie też z pragnienia.

- Dlaczego to robisz? — pytam ją.

Hana otwiera usta, po czym znowu je zamyka.

- Ponieważ byliśmy przyjaciółkami - odpowiada wreszcie.

- Byłyśmy — powtarzam z naciskiem. — Teraz jesteśmy wrogami.

- Naprawdę? - Hana wygląda na zaskoczoną moimi słowami, jak gdyby taka myśl nigdy nie przyszła jej do

głowy. Kolejny raz czuję zażenowanie i świdrujące poczucie winy. Coś tu nie gra. Szybko jednak tłumię te uczucia.

— Oczywiście — odpowiadam.

Hana spogląda na mnie jeszcze przez chwilę. A potem nagle wstaje i podchodzi do okna. Gdy staje do mnie plecami, szybko łapię kromkę chleba i wpycham ją sobie do ust. Jem tak szybko, jak tylko się da bez udławienia. Popijam ją długim łykiem wody, tak zimnym, że wywołuje rozkoszny ból głowy.

Przez długi czas Hana się nie odzywa. Ja tymczasem pałaszuję kolejną kromkę. Bez wątpienia słyszy, jak jem, ale nie komentuje tego ani się nie odwraca. Pozwala mi zachować twarz i na chwilę czuję do niej za to przyływ wdzięczności.

— Przykro mi z powodu Aleksa — odzywa się wreszcie, wciąż odwrócona do mnie plecami.

Żołądek skręca mi się nieprzyjemnie. Za dużo zjadłam i za szybko.

— Nie zginął — mój głos rozlega się w kuchni zbyt donośnie. Nie wiem, dlaczego chcę jej o tym powiedzieć. Pragnę jednak, by wiedziała, że jej strona, jej ludzie, nie wygrali, nie w tym przypadku. A przynajmniej nie do końca.

Odwraca się w moją stronę. -Co?

— Nie zginął — powtarzam. — Został wtrącony do Krypt. Hana krzywi się, jak gdybym ją spoliczkowała. Znowu zaczyna przygryzać wargę.

— Ja... — zaczyna, ale nie kończy, tylko lekko marszczy brwi.

- Co? - Znam tę minę. Hana coś ukrywa. - O co chodzi?
- Nic, tylko... - Kręci głową, jak gdyby chciała odpędzić od siebie tamtą myśl. - Wydawało mi się, że niedawno go widziałam.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

- Gdzie?

- Tutaj. - Rzuca mi kolejne nieprzeniknione spojrzenie. Ta nowa Hana jest dużo trudniejsza do rozszyfrowania niż dawna.
- Ubiegłej nocy. Ale skoro jest w Kryptach. ..

- Nie, nie jest. Uciekł. - Hana, to światło, ta kuchnia, nawet bomba tykająca cicho pod nami, kierująca nas powoli w stronę nicości, nagle wydają się odległe. Gdy tylko Hana sugeruje tę myśl, widzę, że to ma sens. Alex był sam. Mógł wrócić na znajomy teren.

Alex może tu być - gdzieś w Portland. Blisko. Może jest mimo wszystko jakaś nadzieja.

Gdybym tylko mogła się stąd wydostać...

- I co teraz? - Podnoszę się z krzesła. - Zadzwońisz po porządkowych?

Mówiąc to, zaczynam w myślach układać plan. Pewnie udałoby mi się ją powalić, jeśli zaszłaby taka potrzeba, choć na myśl o zaatakowaniu jej robi mi się nieswojo. A ona bez wątpienia podejmie walkę. Zanim uzyskałabym nad nią przewagę, ochroniarze już by tu byli.

Jeśli jednak uda mi się wywabić ją z kuchni chociaż na kilka sekund, wybije krzesłem okno, przebiegnę przez trawnik i może zgubię ochroniarzy między drzewami. Ogród pewnie wychodzi na inną ulicę. Jeśli nie, zrobię pętlę i wrócę na Essex Street. To długa trasa, ale nie mam wyboru.

Hana obserwuje mnie bacznie. Zegar nad kuchenką wydaje się poruszać z rekordową prędkością i wyobrażam sobie, że czasomierz na bombie także przyspieszył.

— Muszę cię przeprosić — mówi spokojnie.

— Tak? A za co? — Nie mam na to czasu. Ona też nie. Odsuwam od siebie myśli, co się stanie z Haną, jeśli ucieknę. Zostanie tutaj, w tym domu...

Mój żołądek zaciska się i rozluźnia. Boję się, że zaraz zwrócę to, co zjadłam. Nie mogę się rozpraszać. To, co się stanie z Haną, to już nie mój problem ani też nie moja wina.

— Za doniesienie porządkowym o Brooks Street 37 — odpowiada. — Za doniesienie im o tobie i Aleksie.

Jest tak, jakby mnie ktoś ogłuszył. -Co?

— Powiedziałam im. — Wydaje z siebie ciche westchnienie, jak gdyby to, co powiedziała, przyniosło jej ulgę. — Przepraszam. Byłam zazdrosna.

Nie mogę wykszusić słowa. Czuję, jakbym przedzierała się przez mgłę.

— Zazdrosna? — udaje mi się wyrzucić z siebie po chwili.

— Pragnęłam... pragnęłam tego, co miałaś z Alekssem. Czułam się zagubiona. Nie wiedziałam właściwie, co robię. — Znowu kręci głową.

Odczuwam mdłości, jak gdyby mną kołysało. To nie ma żadnego sensu. Hana — złotowłosa Hana, moja najlepsza przyjaciółka, odważna i nieustraszona. Ufałam jej. Kochałam ją.

— Byłaś moją najlepszą przyjaciółką — mówię z niedowierzaniem.

- Wiem. - Znowu wygląda na zakłopotaną, jak gdyby próbowała sobie przypomnieć znaczenie tych słów.

- Przecież miałaś wszystko. - Mój głos unosi się mimowolnie. Gniew kotłuje się we mnie, przedziera się na powierzchnię jak lawa. — Wspaniałe życie. Najlepsze stopnie w szkole. Wszystko. - Wskazuję na nieskazitelną kuchnię, na słońce rozlewające się po marmurowych blatach jak roztopione masło. - A ja nie miałam nic. On był dla mnie wszystkim. Moją jedyną... - Ogarniają mnie mdłości i robię krok do przodu, zaciskając pięści, oślepiona gniewem. - Dlaczego nie pozwoliłaś mi się tym cieszyć? Dlaczego musiałaś mi to odebrać? Dlaczego zawsze bierzesz wszystko?

- Powiedziałam ci już, że przepraszam - powtarza Hana mechanicznie. Mam ochotę roześmiać się jej w twarz. Mam ochotę płakać albo wydrapać jej oczy.

Ale tylko wyciągam rękę i wymierzam jej policzek. Dzieje się to odruchowo, zanim zdążę pomyśleć, co robię. Odgłos ten rozchodzi się po kuchni donośnie i przez chwilę jestem pewna, że zaraz do środka wpadną ochroniarze. Nikt się jednak nie pojawia.

Jej twarz natychmiast czerwienieje. Ale Hana nie krzyczy. Nie wydaje z siebie żadnego dźwięku.

W tej ciszy słyszę własny oddech — rwący i rozpaczliwy. Do oczu napływają mi łzy. Jestem wściekła, jest mi wstyd i mdli mnie jednocześnie.

Hana odwraca się powoli, by na mnie spojrzeć. Wygląda niemal na smutną.

- Zasłużyłam na to — mówi.

Nagle czuję się straszliwie wyczerpana. Ciężko mi się utrzymać na nogach. Jestem zmęczona całą tą agresją zarówno z mojej strony, jak i ze strony innych. Co to za dziwny

świat, w którym ludzie pragnący po prostu kochać zostają zmuszani do walki. Co za przewrotna natura życia.

— Czułam się po tym okropnie — tłumaczy Hana głosem niewiele głośniejszym od szeptu. — Powinnaś to wiedzieć. To dlatego pomogłam ci w ucieczce. Czułam... — Hana szuka odpowiedniego słowa — wyrzuty sumienia.

— A teraz to co? — pytam. Hana wzrusza ramionami.

— Teraz jestem wyleczona — odpowiada. — Jest inaczej.

— Jak bardzo inaczej?

Przez ułamek sekundy pragnę — bardziej niż czegokolwiek innego, bardziej niż powietrza — cofnąć czas i zostać tu z nią, żeby laser zatopił się i w mój mózg.

— Czuję się bardziej wolna — wyjaśnia. Nie wiem, jakiej spodziewałam się odpowiedzi, ale na pewno nie takiej. Musiała wyczuć moje zaskoczenie, ponieważ kontynuuje: — Wszystko jest w jakiś sposób... przytłumione. Jak dźwięki pod wodą. Nie czuję zbyt wiele do innych ludzi. — Kącik jej ust unosi się w uśmiechu. — Może zresztą, jak sama powiedziałaś, nigdy nie czułam.

Głowa zaczyna mnie boleć. Po wszystkim. Już po wszystkim. Chciałabym tylko zwinąć się w kulkę i zasnąć.

— Nie chodziło mi o to. To ty to powiedziałaś. To znaczy o odczuwaniu czegoś do innych ludzi. Kiedyś byłaś inna.

Nie jestem pewna, czy mnie słyszy. Kontynuuje niemal mechanicznie:

— Już nie muszę nikogo słuchać. — W jej głosie pobrzmiwa coś dziwnego, niemal triumfalnego. Gdy na nią spoglądam, uśmiecha się. Zastanawiam się, czy myśli o kimś konkretnym.

Rozlega się dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, a potem warkliwy męski głos. Twarz Hany się zmienia. W jednej chwili znowu poważnieje.

- To Fred - stwierdza. Podchodzi szybko do drzwi, niepewnie wystawia głowę na korytarz, a potem odwraca się w moją stronę. - Chodź - mówi niespokojnym głosem. - Szybko, dopóki jest w gabinecie.

- Gdzie mam iść? — pytam.

Hana wygląda przez chwilę na zirytowaną.

- Tylne drzwi prowadzą na werandę. Stamtąd przez ogród wyjdiesz na Dennett Street. A ona zaprowadzi cię z powrotem do Brighton Avenue. Szybko - dodaje. - Jeśli cię zobaczy, zabije cię.

Jestem w takim szoku, że przez chwilę stoję nieruchomo i tylko gapię się na nią.

- Dlaczego? - pytam. - Dlaczego mi pomagasz? Hana znowu się uśmiecha, ale jej oczy pozostają mętne i nie do odczytania.

- Sama to powiedziałaś. Byłam twoją najlepszą przyjaciółką.

Nagle wraca mi cała energia. Hana mnie wypuści. Ruszam w jej stronę, zanim zmieni zdanie. Przyciska plecy do jednego skrzydła drzwi, żeby się nie zamknęły, i wystawia co chwila głowę na korytarz, by się upewnić, że teren jest czysty. Już mam ją minąć, kiedy się zatrzymuję.

Jaśmin i wanilia. Wciąż używa tych perfum. A więc jednak pachnie tak samo.

- Hana - odzywam się. Stoję tak blisko niej, że widzę złoto przetykające błękit jej oczu. Oblizuję nerwowo usta. - Tu jest bomba.

Wzdryga się. -Co?

Nie mam czasu, by się zastanowić, czy będę żałować tego, co mówię.

— Tutaj. Gdzieś w domu. Wynieś się stąd jak najszybciej, okej? Uciekaj stąd. — Wiem, że weźmie też ze sobą Freda i cały nasz wysiłek pójdzie na marne, ale mam to gdzieś. Kochałam kiedyś Hanę, a do tego teraz mi pomaga. Jestem jej coś winna.

Znowu wyraz jej twarzy jest nieodgadniony.

— Ile zostało czasu? — pyta nagle.

— Dziesięć, najwyżej piętnaście minut.

Kiwa głową na znak, że rozumie. Mijam ją i wchodzę w mrok korytarza. Hana stoi tam, gdzie stała, przyciśnięta do skrzydła wahadłowych drzwi, nieruchoma jak posąg. Unosi podbródek w stronę tylnego wyjścia.

Już kładę rękę na klamce, kiedy przywołuje mnie szeptem.

— O mało nie zapomniałam. — Kieruje się w moją stronę, szeleszcząc suknią, i przez chwilę wygląda jak duch. — Grace mieszka na Deering Highlands. Wynnewood Road 31. Tam się przeprowadzili.

Wpatruję się w nią oniemiała. Gdzieś tam głęboko, w środku tej obcej dziewczyny, jest pogrzebana moja najlepsza przyjaciółka.

— Hana... Przerzywa mi.

— Nie dziękuj mi — mówi cicho. — Po prostu idź.

Impulsywnie wyciągam rękę i chwytam jej dłoń. Ściskam ją dwa razy szybko, dwa razy przeciągle. Nasz stary sygnał.

Hana wygląda na zaskoczoną, a potem powoli jej twarz się rozluźnia. Przez jedną chwilę błyszczy, jak gdyby była rozświetlona jakimś wewnętrznym blaskiem.

— Pamiętam... — szepcze.

Gdzieś w domu trzaskają drzwi. Hana wyrywa mi się przestraszona. Obraca mnie i popycha w stronę drzwi.

— Idź — mówi, więc idę. I nie odwracam się za siebie.

HANA

Minęło dokładnie trzydzieści sekund, kiedy Fred wpada do kuchni, cały czerwony na twarzy.

— Gdzie ona jest? — Pod jego pachami widnieją plamy potu, a włosy, tak starannie ułożone na żelu na ceremonię, są w nieładzie.

Kusi mnie, by zapytać, kogo ma na myśli, ale wiem, że tylko bym go rozwścieczyła.

— Uciekła — odpowiadam.

— To znaczy? Marcus powiedział mi...

— Uderzyła mnie — wyjaśniam. Mam nadzieję, że policzek wymierzony przez Lenę pozostawił ślad. — I... uderzyłam głową o ścianę. A ona uciekła.

— Cholera. — Fred przeczesuje ręką włosy, wychodzi na korytarz i przywołuje ochroniarzy. A potem odwraca się do mnie.

— Dlaczego, do cholery, nie pozwoliłaś Marcusowi, żeby się tym zajął? I w ogóle dlaczego zostałaś z nią sama?

- Chciałam wyciągnąć od niej informacje. Pomyślałam, że powie mi więcej na osobności.

- Cholera - powtarza Fred. Co dziwne, im bardziej się denerwuje, tym robię się spokojniejsza.

— Co się dzieje?

Fred nagle kopie w krzesło, które sunie po posadzce.

- Wszystko się wymknęło spod kontroli, oto, co się dzieje. - Nie może ani chwili ustać spokojnie. Zaciska dłonie w pięści i przez chwilę wydaje mi się, że mnie zaatakuje, tylko po to, by móc się na kimś wyżyć. - Chyba jakieś tysiąc osób bierze udział w zamieszkach. Część z nich to Odmieńcy. A część to tylko dzieciaki. Głupie dzieciaki... Gdyby wiedziały...

Przerywa, gdy w korytarzu słychać kroki biegnących ochroniarzy.

— Pozwoliła jej uciec - oznajmia im od razu Fred. Nawet nie próbuje ukryć pogardy w swoim głosie.

— Uderzyła mnie — powtarzam znowu.

Marcus patrzy na mnie. Celowo unikam jego wzroku. Nie może wiedzieć, że pozwoliłam Lenie uciec. Nie pokazałam po sobie, że ją znam. Uważałam, by nie patrzeć na nią w samochodzie.

Kiedy Marcus odwraca wzrok i spogląda ponownie na Freda, pozwalam sobie odetchnąć.

— Co mamy zrobić? — pyta Marcus.

- Sam nie wiem. - Fred pociera czoło. — Muszę pomyśleć. Cholera! Muszę pomyśleć.

- Dziewczyna chełpiła się, że mają na Essex Street posiłki - wtrącam. - Mówiła, że w każdym domu na naszej ulicy są ulokowani ich ludzie.

— Cholera! — Fred stoi chwilę nieruchomo, wpatrując się w ogród na tyłach domu. A potem podejmuje

decyzję. — Okej, już wiem. Zadzwońię zaraz na 111 po wsparcie, a wy tymczasem zabierzecie się do patrolowania ulic. Obserwujcie wszystko uważnie, czy gdzieś się nie kryją. Zgnieciemy te małe gnidy. Zaraz ruszę za wami.

— Tak jest, szefie. — Marcus i Bill znikają w korytarzu. Fred łapie za słuchawkę. Kładę rękę na jego ramieniu.

Odwraca się, poirytowany, i odwiesza telefon.

— Czego chcesz? — pyta ze złością.

— Nie wychodź na zewnątrz, Fred. Błagam. Ona powiedziała... ona powiedziała, że tamci są uzbrojeni. Powiedziała, że otworzą ogień, jeśli tylko wychylisz głowę za drzwi...

— Nic mi nie będzie. — Odsuwa się ode mnie.

— Błagam — powtarzam. Zamykam oczy i w myślach proszę Boga o przebaczenie. — To nie jest tego warte, Fred. Potrzebujemy cię. Zostań w domu. Niech policja się tym zajmie. Obiecuj mi, że nie wyjdiesz na zewnątrz.

Widzę, jak napina szczękę. Mija długa chwila. Lada moment może nastąpić eksplozja: tornado odłamków drewna, tunel ryczącego ognia. Zastanawiam się, czy będzie bolało.

Boże, wybac mi, bo zgrzeszyłam.

— W porządku — mówi wreszcie Fred. — Obiecuję. — Znowu podnosi słuchawkę. — Tylko trzymaj się od tego z daleka. Jeszcze byś coś schrzaniła.

— Będę na górze — odpowiadam, ale Fred już się ode mnie odwrócił.

Przechodzę przez korytarz, drzwi zamykają się za mną. Słyszę przez drewno przytłumiony dźwięk jego głosu. Teraz w każdej chwili może rozpętać się piekło.

Myślę o tym, żeby pójść na górę, tam, gdzie miał być mój pokój. Mam ochotę się położyć i zamknąć oczy. Jestem taka zmęczona, że pewnie usnęłabym od razu.

Zamiast tego otwieram tylne drzwi, przemykam przez werandę i wychodzę do ogrodu, tak by nikt nie zobaczył mnie przez wielkie kuchenne okna. Powietrze pachnie wiosną, mokrą ziemią i młodą roślinnością. W gałęziach drzew śpiewają ptaki. Wilgotna trawa przykleja mi się do kostek i brudzi rąbek sukni.

Gdy wchodzę między drzewa, dom znika mi z oczu.

Nie zostanę tu, by patrzeć, jak płonie.

LENA

Deering Highlands płonie.

Czuję swąd pożaru znacznie wcześniej, nim tam docieram, a jakieś pół kilometra od celu dostrzegam smugę dymu nad drzewami i płomienie tańczące na starych, zniszczonych dachach.

Na Harmon Road mój wzrok przykuwa otwarty garaż, a w nim zardzewiały rower zawieszony na ścianie jak myśliwskie trofeum. Właściwie to złom, a przerzutki jęczą w proteście przy każdej próbie zmiany, ale lepsze to niż nic. W gruncie rzeczy nie przeszkadza mi ani grzechotanie łańcucha, ani dzwonienie wiatru w uszach. Pomagają mi nie myśleć o Hanie i nie próbować zrozumieć, co się stało. Zagłuszają w mojej głowie jej głos mówiący: „Idź”.

Nie zagłuszają jednak huku eksplozji ani syren, które zaczynają wyć zaraz po nich. Słyszę ich zawodzący jęk nawet tuż przed Deering Highlands.

Mam nadzieję, że udało się jej wydostać. Odmawiam za to modlitwę, chociaż nie wiem już, do kogo się modłę.

Gdy docieram na Deering Highlands, mogę myśleć tylko o Grace.

Pierwsze, na co zwracam uwagę, to ogień przeskakujący z domu na dom, z drzewa na dachy i na mury. Ktokolwiek go podłożył, zrobił to celowo, działał systematycznie. Pierwsza grupa naszych przedarła się przez mur niedaleko stąd, musi to więc być robota porządkowych.

Drugie, to widok ludzi: biegają w popłochu, ich kształty rozmazują się w kłębach dymu. Widok tyłu ludzi tutaj to dla mnie szok. Gdy mieszkałam w Portland, Deering Highlands było dzielnicą opustoszałą. Stało się to po wykryciu tutaj siedliska buntowników. Nie mam jednak czasu pomyśleć, co to znaczy, że Grace i ciotka mieszkają teraz w tym miejscu, ani zastanawiać się, co tu robią inni.

Wśród mijających mnie z krzykiem lub przemykających między drzewami ludzi staram się wyszukać jakieś znajome twarze. Nie widzę jednak żadnych szczegółów, tylko kolory i kształty, ludzi trzymających w ramionach tobołki ze swoim dobytkiem. Słyszę płacz dzieci i serce mi się kraje: każde z nich może być Grace. Małą Grace, która ledwo wydawała z siebie jakiegokolwiek dźwięki, a teraz może płacze gdzieś w półmroku.

Całe ciało pulsuje we mnie żarem, jak gdyby płomienie przedostały się do mojej krwi. Staram się przypomnieć sobie topografię Deering Highlands, ale w głowie mam zamęt: tańczą w niej obrazy domu przy Brooks Street 37, koca w ogrodzie i drzew pozłoconych przez słońce chylące się ku ziemi. Jednak gdy wjeżdżam na Edgewood Avenue, wiem, że to za daleko.

Zawracam więc, krztusząc się od dymu, i jadę z powrotem tą samą drogą. Powietrze wypełniają trzaski i huk ognia. Wszystkie domy są nim zajęte, stoją jak drżące duchy, rozżarzone do białości, z otwartymi drzwiami: wyglądają, jakby skóra odpadała im od kości. Błagam, błagam, błagam. Tylko to jedno słowo przewierca mi się przez mózg. Błagam.

Wtedy dostrzegam drogowskaz kierujący na Wynnewood Road — na szczęście ulica jest krótka, przecinają ją tylko dwie inne. Tutaj ogień nie rozprzestrzenił się jeszcze na dobre, na razie baraszkuje pośród baldachimu z gałęzi, prześlizguje się po dachach, jak rosnąca korona bieli i oranżu. Tutaj rzadziej widać ludzi wśród drzew, lecz wciąż wydaje mi się, że słyszę płacz dziecka: jego upiorne, zawodzące echo.

Cała jestem mokra od potu i oczy mnie pieką. Kiedy porzucam rower, przykładam koszulkę do twarzy i staram się oddychać przez nią. Biegnę przed siebie. Na połowie domów nie widzę żadnych numerów. Grace najprawdopodobniej już uciekła. Mam nadzieję, że była wśród tych, których widziałam między drzewami, ale gdzieś głębiej tkwi we mnie obawa, że może być gdzieś uwięziona, że ciotka Carol, wujek William i Jenny zostawili ją na pastwę losu. Zawsze chowała się po kątach, by jak najmniej rzucać się w oczy.

Wyblakła skrzynka pocztowa wskazuje numer 31: to smutny, chylący się ku ziemi dom, dym bucha z okien na piętrze, a płomienie tańczą na zniszczonym dachu. I wtedy dostrzegam ją — albo przynajmniej tak mi się wydaje. Mogłabym przysiąc, że przez sekundę widziałam jej twarz, bladą jak płomień, w jednym z okien. Zanim mam szansę ją zawołać, znika.

Biorę głęboki wdech, ruszam biegiem przez trawnik, a potem w górę po zbutwiałych schodach. Muszę zatrzymać się w drzwiach, bo kręci mi się w głowie. Poznają te meble: wyblakłą kanapę w paski, dywan z jego przypalonymi frędzlami i ledwo widoczną plamę na starych ozdobnych poduszkach, gdzie Jenny wylała sok z winogron — pochodzą z mojego starego domu, z domu ciotki Carol na Cumberland Avenue. Jakbym wpadła prosto do przeszłości, ale przeszłości wypaczonej, śmierdzącej dymem i zatęchłą tapetą, gdzie wszystko jest jakoś zdeformowane.

Biegam od pokoju do pokoju, przywołując Grace, sprawdzając za meblami i w szafach. Wiele pomieszczeń jest pustych. Dom jest dużo większy niż nasz stary i ciotka nie miała czym go wypełnić. Grace zniknęła. Może nawet wcale jej tu nie było — może tylko wyobraziłam sobie jej twarz.

Górne piętro jest czarne od dymu. Udaje mi się dotrzeć tylko do połowy schodów, kiedy jestem zmuszona zawrócić, krztusząc się i kaszląc. Teraz pokoje na dole także stoją w ogniu, zagradzając mi drogę do frontowych drzwi. Do okien przypięte są tanie zasłonki prysznicowe. Znikają za jednym liźnięciem ognia, pozostawiając po sobie swąd palonego plastiku.

Wracam do kuchni, czując się tak, jakby jakiś olbrzym zacisnął pięść wokół mojej piersi. Muszę się stąd wydostać, potrzebuję powietrza. Ramieniem wyważam tylne drzwi, które rozszerzone od temperatury stawiają opór, aż wreszcie wytaczam się na trawnik za domem, kaszląc, z łzawiącymi oczyma. Już nie jestem w stanie myśleć. Nogi niosą mnie same, byle dalej od ognia, gdzieś, gdzie

będzie czym oddychać, byle dalej stąd. Nagle czuję przeszywający ból w stopie i upadam. Spoglądam, o co się potknęłam: klamka, wejście do piwnicy, ledwo widoczne, zarośnięte trawą.

Nie wiem, co każe mi sięgnąć za siebie i szarpnięciem otworzyć drzwi — może instynkt, a może przesądna wiara, że nie potknęłam się o nie przypadkiem. Strome schody wiodą w głąb małej, prymitywnej ziemianki. Piwnica wyposażona jest w półki, na których stoją puszki z jedzeniem. Na ziemi w rzędzie stoi kilka szklanych butelek, pewnie z czymś do picia.

Siedzi wciśnięta w kąt tak głęboko, że o mało jej nie zauważyłam. Na szczęście zanim zamykam drzwi, zmienia pozycję i kątem oka dostrzegam jedną z jej tenisówek, oświetloną zadymionym czerwonym światłem wpadającym z góry. Buty są nowe, ale rozpoznaję fioletowe sznurówki, które sama pomalowała.

— Grace - mówię ochrypłym głosem. Staję na najwyższym stopniu. Gdy oczy dostosowują się do półmroku, Grace staje się wyraźniejsza. Jest wyższa niż osiem miesięcy temu, chudsza i bardziej brudna. Siedzi przykucnięta w kącie, spoglądając na mnie dzikim, przestraszonym wzrokiem. — Grace, to ja.

Wyciągam do niej rękę, ale mała się nie porusza. Robię kolejny krok, ale wolę nie schodzić na sam dół ani próbować jej złapać. Grace zawsze była szybka. Boję się, że znajdzie jakąś szparę, da nura i ucieknie. Serce boleśnie kołacze mi w piersi, a w ustach czuję smak dymu. Piwnicę wypełnia ostry, gryzący zapach, dziwny, ale znajomy. Nie zastanawiam się nad tym. Muszę się teraz skupić na Grace, na tym, żeby ją do siebie przywołać.

— To ja, Grace — próbuję znowu. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądam, jak bardzo się zmieniłam. — To ja, Lena. Lena, twoja kuzynka.

Grace nieruchomieje, jak gdybym poraziła ją prądem.

— Lena? — pyta szeptem pełnym nabożnego lęku. Ale wciąż się nie rusza. Ponad nami rozlega się ogłuszający huk. Spadła duża gałąź albo fragment dachu. Ogarnia mnie przerażenie, że jeśli teraz się stąd nie ruszymy, dom się zawali i zostaniemy tu pogrzebane na zawsze.

— Chodź, Gracie — przywołuję ją dawnym zdrobnieniem. Kark mam cały mokry od potu. — Musimy iść, dobrze?

Wreszcie Grace się porusza, ale niechcący uderza przy tym w coś stopą i słyszę brzęk tłuczonego szkła. Zapach staje się bardziej intensywny, pali mnie w nozdrza i wreszcie wiem, co to jest.

Benzyna.

— Ja nie chciałam — mówi Grace piskliwym, spanikowanym głosem. Przykuca, a ja obserwuję, jak ciemna plama płynu rozchodzi się po ziemi.

Przerażenie jest teraz wszechogarniające.

— Grace, chodź do mnie, malutka. — Staram się stłumić panikę w głosie. — Daj mi rączkę.

— Ja nie chciałam! — Zaczyna płakać.

Pokonuję kilka ostatnich stopni i chwytam ją, podciągając na biodro. Jest zbyt duża, by niosło się ją wygodnie, ale zaskakująco lekka. Owija mi nogi wokół pasa. Czuję jej zębra i ostre kolce bioder. Jej włosy czuć łojem i lekko płynem do zmywania naczyń.

Wybiegam z nią na górę, na świat pogrążony w dymie i płomieniach. Powietrze jest rozmyte, migocze od gorąca, jak gdyby wszystko stało się mirażem. Byłoby szybciej,

gdybym postawiła Grace na ziemię i pozwoliła jej biec obok mnie, ale teraz, gdy wreszcie ją mam — teraz, gdy jest ze mną, trzyma się mnie kurczowo, a serce bije jej w piersi jak oszalałe, łącząc się z rytmem mojego serca — nie wypuszczę jej.

Rower, dzięki Bogu, leży tam, gdzie go zostawiłam. Grace sadowi się niezdarnie na siodełku, a ja wciskam się za nią. Odpycham się i zaczynamy jechać, moje nogi są jak z kamienia, dopóki nie zaczyna nas nieść siła rozpędu. A wtedy pedałuje, najszybciej jak mogę, byle dalej od dymu i płomieni, zostawiając za sobą Deering Highlands w morzu ognia.

HANA

Maszeruję przed siebie, nie zwracając uwagi na to, gdzie jestem i dokąd idę. Jedna noga za drugą. Moje białe buty stukają cicho o asfalt. W oddali słyszę krzyki. Słońce świeci mocno, czuję na ramionach jego przyjemne ciepło. Wiatr porusza lekko drzewami, które po drodze kłaniają mi się i machają, kłaniają i machają.

Jedna noga, a potem druga. To takie proste. Słońce świeci tak mocno.

Co się ze mną stanie?

Nie wiem. Może natknę się na kogoś, kto mnie rozpozna. Może wrócę do rodziców. Może, jeśli świat się nie skończy, jeśli Fred już nie żyje, zostanę sparowana z kimś innym.

A może będę tak iść, aż dotrę na koniec świata.

Może. Teraz to nieistotne. Teraz jest tylko rozpalone do białości słońce wysoko na niebie, są smugi szarego dymu i krzyki brzmiące jak odległe fale oceanu.

Jest stukot moich butów i są drzewa, które zdają się przytakiwać i mówić mi: „Wszystko jest dobrze. Wszystko będzie dobrze”.

Kto wie, może mają rację.

LENA

Gdy zbliżamy się do Back Cove, strumień ludzi zamienia się w ryczącą, pędzącą rzekę i z trudem lawiruję między nimi rowerem. Biegają, krzyczą, wymachują młotkami, nożami i metalowymi rurami, płynąc w nieznanym mi kierunku. Z zaskoczeniem stwierdzam, że już nie tylko Odmieńcy biorą udział w zamieszkach: są tu też przepełnieni gniewem bardzo młodzi, niewyleczeni ludzie, niektórzy dwunasto-, trzynastoletni. Dostrzegam nawet kilku wyleczonych obserwujących nas z okien i machających na znak solidarności.

Wydostaję się z tłumu i wjeżdżam na błotnisty brzeg zatoki, gdzie Alex i ja spotykaliśmy się w dawnym życiu — i gdzie po raz pierwszy poświęcił swoje szczęście, bym ja mogła być szczęśliwa. Wysoka trawa porasta gruzy starej drogi, a w trawie leżą ludzie, martwi albo ranni, którzy jęczą albo wpatrują się pustym wzrokiem w bezchmurne niebo. Widzę kilka ciał unoszących się

przy brzegu twarzą w dół i macki czerwieni rozchodzące się po powierzchni wody.

Za zatoką, na murze, tłum jest tak samo gęsty, jak był, ale wygląda na to, że są to głównie nasi ludzie. Porządkowi i policja musieli zostać zepchnięci do starego portu. Teraz tysiące buntowników płyną w tamtą stronę, a ich głosy łączą się w jeden wielki ryk gniewu.

Porzucam rower obok wielkiego jałowca i wreszcie łapię Grace za ramiona, sprawdzam, czy ma na ciele jakieś zadrapania albo siniaki. Mała się trzęsie, oczy ma szeroko otwarte, jak gdyby bała się, że w każdej sekundzie mogę zniknąć.

— Co się stało z innymi? — pytam. Ma brud za paznokciami, jest wychudzona, ale poza tym wygląda w porządku. Więcej nawet: wygląda pięknie. Czuję, jak w gardle narasta mi szloch, ale go zwalczam. Nie jesteśmy jeszcze bezpieczne.

Grace kręci głową.

— Nie wiem. Zobaczyłam ogień i... ukryłam się.

A więc rzeczywiście po prostu ją zostawili. Albo nie przejęli się nią na tyle, by ją odszukać. Robi mi się niedobrze.

— Zmieniłaś się — stwierdza cicho Grace.

— A ty urosłaś — mówię. Nagle mam ochotę krzyczeć z radości. Mogłabym krzyczeć ze szczęścia, choć cały świat staje w płomieniach.

— Gdzie byłaś? — pyta Grace. — Co się z tobą działo?

— Wszystko opowiem ci później. - Ujmuję jej podbródek jedną ręką. - Posłuchaj, Grace. Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro. Przepraszam, że cię zostawiłam. Już nigdy cię nie opuszczę, jasne?

Wpatruje się w moją twarz. Kiwa głową.

- Teraz będziesz ze mną bezpieczna. - Przepycham te słowa przez ściśnięte gardło. - Wierzysz mi?

Znowu kiwa głową. Przyciągam ją do siebie i przytulam. Wydaje się taka drobniutka, taka krucha. Wiem jednak, że jest silna. Zawsze była. Zniesie wszystko.

- Daj mi rękę - mówię. Nie wiem za bardzo, dokąd iść, i mimo woli moje myśli biegną do Raven. A potem przypominam sobie, że jej już nie ma, że zginęła na murze, i znowu ogarniają mnie mdłości. Ale muszę zachować spokój przez wzgląd na Grace.

Muszę znaleźć bezpieczne miejsce, gdzie będę mogła się z nią schronić, dopóki nie zakończą się walki. Mama mi pomoże. Będzie wiedziała, co zrobić.

Uścisk ręki małej jest zaskakująco silny. Idziemy wzdłuż brzegu, klucząc między rannymi, umierającymi i ciałami zabitych, zarówno naszych, jak i porządkowych. Na szczycie pagórka dostrzegam Colina, który kuśtyka, opierając się ciężko o jakiegoś chłopaka, i kieruje się w stronę wolnego miejsca na trawie. Chłopak podnosi wzrok i serce mi staje.

To Alex.

On dostrzega mnie niemal w tym samym momencie. Chcę go zawołać, ale głos więźnie mi w gardle. Przez chwilę Alex się waha, ale sadza Colina na trawie i schyla się, by mu coś powiedzieć. Colin kiwa głową i chwytając się za kolano, krzywi się z bólu.

A potem Alex rusza biegiem w moją stronę.

- Alex - mówię, jakby wypowiedzenie jego imienia miało sprawić, że on nie okaże się złudzeniem. Zatrzymuje się kilka centymetrów ode mnie, jego wzrok wędruje

w stronę Grace i znowu do mnie. — To jest Grace — przedstawiam ją, pociągając ją za rękę. Mała, zawstydzona, chowa się za moimi plecami.

— Pamiętam, opowiadałaś mi o niej — odpowiada Alex. Z jego oczu zniknęła twardość, zniknęła też nienawiść. Przełyka ślinę. — Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

— Jednak jestem. — Słońce praży bezlitośnie. Nagle czuję w głowie pustkę, nie przychodzą mi do głowy żadne słowa, by opisać wszystko, co myślałam, czego pragnęłam i nad czym się zastanawiałam. — Dostałam... dostałam twoją wiadomość.

Kiwa głową. Jego usta zaciskają się lekko.

— Czy Julian...?

— Nie wiem, gdzie jest Julian — odpowiadam i natychmiast ogarnia mnie poczucie winy. Myślę o jego niebieskich oczach, o ciepłe jego ciała blisko mnie podczas snu. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Pochyliam się i spoglądam Gracie w oczy. — Usiądź i nie ruszaj się stąd przez chwilę, dobrze?

Mała posłusznie siada na ziemi. Nie jestem w stanie oddalić się od niej więcej niż o dwa kroki. Alex idzie za mną. Obniżam głos, żeby Grace nas nie usłyszała.

— Czy to prawda? — pytam go.

— Co ma być prawdą? — Jego oczy mają kolor miodu. To oczy, które pamiętam ze swoich snów.

— Że wciąż mnie kochasz — mówię jednym tchem. — Muszę to wiedzieć.

Alex kiwa głową. Wyciąga rękę, lekko muska mój policzek i odgarnia mi włosy z twarzy.

— To prawda.

— Ale... ja się zmieniłam. I ty też.

— To również prawda — odpowiada cicho. Spoglądam na bliznę na jego twarzy, ciągnącą się od lewego oka aż do brody, i czuję ostry ból w piersi.

— I co teraz? — pytam go. Przez to mocne słońce mam wrażenie, że dzień miesza się ze snem.

— Kochasz mnie? - odpowiada pytaniem, a ja jestem bliska łez. Mam ochotę wtulić twarz w jego pierś i oddychać nią, udawać, że nic się nie zmieniło, że wszystko będzie jak dawniej.

Ale nie mogę. Wiem, że nie mogę.

— Nigdy nie przestałam. — Odwracam od niego wzrok. Spoglądam na Grace, na wysoką trawę pokrytą rannymi i martwymi. Myślę o Julianie, jego ciemnoniebieskich oczach, jego cierpliwości i dobroci. Myślę o wszystkich naszych dawnych kłótniach, i o tych, które jeszcze nastąpią. Biorę głęboki oddech. - Ale to wszystko nie jest takie proste.

Alex wyciąga ręce i kładzie je na moich ramionach.

— Już nie zniknę — mówi.

— Nie chcę, żebyś zniknął — odpowiadam.

Jego palce odnajdują mój policzek, a ja opieram na chwilę twarz na jego dłoni, pozwalając, by odpłynął ze mnie ból ostatnich miesięcy. A wtedy Alex pochyla się i całuje mnie: delikatnie, idealnie, jego usta zaledwie dotykają moich. To pocałunek obiecujący odrodzenie.

— Lena!

Krzyk Grace sprawia, że odsuwam się od Aleksa. Mała wskazuje na mur graniczny i podskakuje podekscytowana, pełna energii. Odwracam się. Przez chwilę łzy zamazują mi widok, przekształcając świat w kalejdoskop kolorów pnących się po ścianie, zamieniających beton w barwną mozaikę.

Nie, to nie kolory: to ludzie. Ludzie, którzy napływają w stronę muru.

Co więcej: burzą go.

Wśród dzikich, triumfalnych okrzyków wymachują młotkami i częściami zburzonego rusztowania albo wręcz gołymi rękami rozbierają mur kawałek po kawałku, znosząc granice świata, jaki znamy. Zalewa mnie fala radości. Grace zaczyna biec. Ją też ciągnie w stronę muru.

— Grace, zaczekaj! — Ruszam za nią, lecz Alex łapie mnie za rękę.

— Znajdę cię — uspokaja mnie, spoglądając na mnie oczyma, które pamiętam. — Już nigdy nie pozwolę ci odejść.

Nie ufam swojemu głosowi. Więc tylko kiwam głową z nadzieją, że mnie rozumie. Ściska moją dłoń.

— Idź — mówi.

Więc idę. Grace przystanęła na chwilę i czeka na mnie, a ja biorę jej drobną rączkę w swoją i wkrótce biegniemy: przez dym, przez trawę przy brzegu, która zmieniła się w cmentarzysko, podczas gdy słońce obojętnie kontynuuje swą wędrówkę, a woda odbija tylko niebo.

Gdy zbliżamy się do muru, dostrzegam Huntera i Brama stojących ramię w ramię, ciemnych, spoconych, uderzających w beton długimi rurami. Widzę Pippę na niezburzonym jeszcze fragmencie muru, jak macha jasnozielonym podkoszulkiem niczym flagą. Widzę Coral, dziką i piękną, która co rusz pojawia się i znika w kłębiącym się wokół niej tłumie. Kilka metrów dalej moja mama uderza młotkiem, porusza się z lekkością i gracją, sprawiając wrażenie, jakby tańczyła: ta twarda i umięśniona kobieta, którą ledwo znam, kobieta, którą kochałam całe swoje życie. Żyje. Tak jak i my. I wkrótce pozna Grace.

Widzę też Juliana. Zdjął koszulkę, jest spocony, balansuje na stercie gruzu, uderzając kolbą karabinu w mur, który odpryskuje i opada deszczem białego pyłu na znajdujących się poniżej ludzi. W słońcu jego włosy błyszczą jak pierścień bladego ognia, a łopatki wyglądają jak białe skrzydła.

Przez chwilę czuję wszechogarniający smutek: z powodu tego, jak wszystko się zmienia, z powodu tego, że nie można cofnąć czasu. Nie jestem już pewna niczego. Nie wiem, co się stanie — ze mną, Aleksem i Julianem, z kimkolwiek z nas.

— Chodź, Lena. — Grace ciągnie mnie za rękę.

Tu jednak nie chodzi o wiedzę, ale po prostu o to, by iść naprzód. Wyleczeni chcą wiedzieć. My zaś wybraliśmy wiarę. Poprosiłam Grace, by mi zaufała. Ja też będę musiała zaufać — że świat się nie skończy, że jutro nadejdzie i że kiedyś nadejdzie też prawda.

Przypomina mi się nagle stary, zakazany wers z tekstu, który pokazała mi Raven. „Ten, kto skacze do nieba, może upaść, to prawda. Ale może też poszybować w górę”.

Nadszedł czas, by podskoczyć.

— Chodźmy — mówię do Grace i pozwalam jej się poprowadzić między ludzi, cały czas trzymając ją mocno za rękę. Wchodzimy w wiwatujący, rozwrzeszczany tłum i przeciskamy się w stronę muru. Grace wspina się na stos gruzu, a ja niezdarnie za nią. Mała krzyczy coś bełkotliwym językiem radości i wolności, tak głośno, jak nigdy przedtem. Zanim zdążę pomyśleć, razem z nią dołączam do reszty i zaczynamy własnymi rękami odłupywać kawałki betonu, obserwując, jak znika granica i wyłania się za nią nowy świat.

Zburzcie mury.

W końcu o to właśnie chodzi. Człowiek nie wie, co się stanie, kiedy runą. Nie da się przeniknąć wzrokiem na drugą stronę, nie wie się, czy przyniesie to wolność, czy ruinę, porządek czy chaos. Czy będzie to raj czy zniszczenie.

Zburzcie mury.

W przeciwnym razie będziecie żyć ostrożnie, w lęku, będziecie budować barykady przeciwko nieznanemu, odmawiać modlitwy, by odegnać ciemność, i szeptać wersy pełne trwogi.

W przeciwnym razie nigdy nie poznacie piekła. Ale nie poznacie też nieba. Nie dowiecie się, co to znaczy oddychać pełną piersią, ani nie zaznacie radości latania.

Wy wszyscy, gdziekolwiek jesteście: wy w strzelistych miastach i wy w małych wioskach. Znajdźcie w sobie to, co najtwardsze, kamienne bryły, żelazne pręty i ogniwa, i wyrzucie precz.

Umówmy się tak: zrobię to, jeśli i wy to zrobicie, teraz i na zawsze.

Zburzcie mury.